

Łabędź z Avonu

Bidwell George



calibre 0.9.43

GEORGE BIDWELL

ŁABĘDŹ Z AVONU

PRZEŁOŻYŁA ANNA BIDWELL

Przedmowa

Ogólnie wiadomo, że do naszych czasów przetrwała znikoma ilość dokumentów źródłowych dotyczących życia Williama Szekspira. Nie pozostawił żadnego diariusza, listów ani notatek czy wskazówek scenicznych do sztuk. Nie przygotował osobiście do druku ani jednego tomu swoich dramatów i poezji, jak na przykład współczesny mu dramaturg, o kilka lat młodszy Ben Jonson.

Metryka chrztu, wpis w rejestrze kościelnym o mającym się odbyć małżeństwie Williama Szekspira (Shaxpere'a) z Anną Whateley, drugi wpis z datą następnego dnia, o małżeństwie tego samego młodzieńca (pisownia nazwiska tym razem: Shaxpear) z Anną Hathaway, kilka dokumentów dotyczących nabycia nieruchomości, kilka wzmianek, pochlebnych lub krytycznych, we współczesnym piśmiennictwie i wreszcie testament. Oto właściwie wszystko, na czym może się oprzeć biograf. Dlatego też, chociaż cały świat zna szekspirowskie dramaty, mało kto jest w stanie uzmysłwić sobie Szekspira-człowieka i jego życie.

Biografie wielkiego dramaturga są zazwyczaj hipotetyczne i w ścisły, naukowy sposób wyszczególniają różnorakie możliwości, dotyczące tego czy innego okresu jego życia. W gąszczu tych możliwości – gdzie jedni szekpirolodzy skłaniają się ku jednej alternatywie, inni ku innej – gubi się i znika postać człowieka żywego. Wielu wybitnych specjalistów powątpiewa, czy Szekspir rzeczywiście ożenił się z Anną Hathaway. Może raczej z Anną Whateley; niektóre znów poszlaki zdają się wskazywać, że chodzi o jedną i tę samą osobę. Czarnej Damy z sonetów nie zidentyfikowano po dziś dzień. W roku 1963 ukazała się naukowo udokumentowana biografia, pióra słynnego angielskiego historyka, znawcy czasów elżbietańskich, w której autor oznajmia, że rozstrzygnął definitywnie tajemnicę osoby patrona i przyjaciela Szekspira – był nim młody hrabia Southampton. W odpowiedzi na tę biografię wybitny angielski szekpirolog oświadczył natychmiast, równie autorytatywnie, że patronem i przyjacielem wcale nie był Southampton, lecz hrabia Pembroke.

Jak więc dojść do zrozumienia człowieka, którego czcimy jako największego dramaturga wszystkich czasów? Uznałem, że najlepszym rozwiązaniem będzie połączenie skąpego, ale pewnego materiału źródłowego z tym, co można jako materiał autobiograficzny zaczerpnąć z twórczości Szekspira. Autor zbeletryzowanej biografii może wówczas korzystać z prerogatywy posługiwania się wyobraźnią i choćby najprostszą interpretacją psychologiczną, by pokusić się o wyjaśnienia, które nie są dozwolone biografowi-naukowcowi, bo ten zobowiązany jest przedstawić również inną alternatywę lub, po rozważeniu wszelkich możliwości, uznać problem za nierozwiązalną tajemnicę, jedną z wielu w życiu Szekspira.

Tego rodzaju zbeletryzowaną biografię oddaję do rąk czytelników. Każdy incydent, każdy aspekt charakteru ma podstawę – chociażby pod postacią najkrótszej wzmianki – w czymś, co jest wiadome o Szekspirze. Ale do osławionych spornych problemów i tajemnic zastosowałem te same zasady interpretacji, które stosuje się przy pisaniu powieści do fikcyjnych bohaterów – twórców wyobraźni i obserwacji autora.

Faktów starałem się nie przeinaczać. Natomiast świadomie korzystałem z licencji poetyckiej, interpretując fakty i wskazówki autobiograficzne z twórczości Szekspira; świadomie wybierałem między możliwościami, których wyboru do tej pory nie przeprowadziła nauka.

Jeśli w rezultacie czytelnik niniejszej książki zyska jaśniejsze wyobrażenie o Szekspirze na tle jego czasów, o Szekspirze żywym, z krwi i kości, o jego słabościach i sile, złych i dobrych cechach, mądrości i szaleństwie – którym podlegają nawet ludzie genialni – wysiłek mój nie pójdzie na marne.

Autor

Prolog

Był dzień świętego Jerzego Roku Pańskiego 1611. Mężczyzna w średnim wieku i młoda dziewczyna przystanęli patrząc na flagę z patronem Anglii, powiewającą na ratuszu miasta Stratford nad Avonem. Oczy mężczyzny, podkrążone, na wpół przysłonięte ciężkimi, z lekka opuchniętymi powiekami, zdradzały znużenie; twarz, poznaczona głębokimi zmarszczkami, świadczyła o trudnych doświadczeniach życiowych i może o niedawno przebytej chorobie. Ale pomimo znużenia trzymał się prosto i wyglądał okazale w ciemnym, bogato haftowanym kaftanie, widocznym pod adamaszkowym płaszczem; a gdy się spojrzano na dziewczynę w czarnej, aksamitnej narzutce, bardzo szczupłą i zgrabną, o jasnej cerze i ciemnych, żywych oczach – podobieństwo tych dwojga przykuwało uwagę. Te same regularne łuki brwi, ostro rzeźbione nozdrza, czysto zarysowany podbródek.

– Chodź, ojczulku, chcę ci kupić parę ładnych rękawic.

Uśmiechnął się do niej, zdradzając w tym uśmiechu głębokie, serdeczne przywiązanie.

– Twoja matka nie pamiętała, że to dziś moje urodziny – rzekł.

Położyła na jego ramieniu rękę o długich, cienkich palcach, w jasnożółtej rękawiczce.

– Może i ty rzadko kiedy dawałeś jej powód, by serdecznie o tobie myślała i pamiętała? – powiedziała z odcieniem wyrzutu, ale zarazem spojrzano na niego ze zrozumieniem i miłością.

– Celny strzał – przyznał. – Ale czy ty nie za mało wiesz o sprawach, w których zabierasz głos?

– Chciałabym wiedzieć więcej – odrzekła.

Stratford, dostatnie miasteczko targowe, leżało na skrzyżowaniu ruchliwych szlaków – z Warwick do Gloucester i z Banbury do Worcester. Przepyszne wiązy i jesiony zaczynały się zielenić na tle pięknego, przyozdobionego złoceniami ratusza, wysokich wież, krytych budynków hal targowych.

Święto patrona Anglii nie było powodem do przerwania handlu.

Muzykant przygrywał na skrzyżowaniu ulic, przekupień przeciskał się w gwarnej tłumie, nawołując młodzieńców, by kupowali koronki i wstążki dla swoich ukochanych. Na ulicy Owczej tłoczyły się wełniste stada, a wśród nich krążyli kupcy, poważnie kiwając głowami.

Ulica Drzewna zapchana była sągami polan, przywiezionych z lasu. Konie stały uwiązane do słupów w pobliżu kościoła. W trzech oberżach na ulicy Mostowej – „Pod Niedźwiedziem”, „Pod Łabędziem” i „Pod Aniołem” – piwo płynęło strumieniami. Z dziedzińców dolatywały nagłe wybuchy oklasków i ochryple głosy mężczyzn, którzy przypatrywali się krwawym walkom kogutów. I wciąż nadjeżdżały nowe ładowne wozy, nadchodziły nowe stada zwierząt przez most u wylotu ulicy – most, który był dumą Stratfordu: dwunastoma łukami spinający brzegi rzeki Avon, wybudowany przed przeszło stu laty na zlecenie i kosztem Sir Hugh'a Cloptona, który ubogim chłopcem opuścił rodzinny Stratford, a wrócił z Londynu jako zamożny kupiec.

Ojciec i córka przystanęli przed halami targowymi.

– Niejedną parę rękawic sprzedałem tutaj – powiedział ojciec, gdy dziewczyna oglądała jedną po drugiej rękawiczki, które jej pokazywał sprzedawca.

– Tu właśnie twój dziadek miał swój kram. Pięknie wykonane były te rękawice. Dziś takich już się nie widuje. Za moich młodych lat – to były rękawice... Sprzedawał też mięciutko wyprawione safiany.

– Jak ci się te podobają, ojczulku? – zapytała dziewczyna podając mu parę skórkowych, brązowych rękawic z krótkimi mankietami wykończonymi białą frędzlą. Nie interesowała się szczególnie losami swego dziada.

Każdy w Stratfordzie znał jego historię. Gdyby tak mogła dowiedzieć się czegoś więcej o przygodach ojca!

– Moje dziecko, są śliczne – odrzekł. – Widzisz, nie mam dziś rękawic, chociaż jest chłodno.

Włożę je od razu; patrz, leżą jak ulał!

Przybrał bohaterską pozę, jedną urękawiczoną rękę opierając na biodrze, drugą unosząc w górę.

– Hamlet na tarasie Elzynory! – zaśmiała się dziewczyna.

– Całe szczęście, że kapelusz skrywa moją łysinę – zauważył dotykając brzegu szerokoskrzydłego kapelusza o wysokiej główce z bobrowego futra. Odstąpił o krok, skłonił się i przybierając wyraz przestraszonego niedowierzania, zaczął deklamować dźwięcznym głosem:

*Ojcze mój, władco Danii, odpowiadaj!
Nie pozostawiaj mię w nieświadomości!
Powiedz, dlaczego święte kości twoje,
na wieki w trumnie złożone, przebiły
śmiertelny całun; dlaczego grobowiec,
w który widziałem cię zstępującego,
podniósł swe ciężkie marmurowe wieko,
żeby cię wrócić ziemi?"*

(Wszystkie przekłady według wydania „Dzieł dramatycznych” Szekspira, Piw 1958.)

Dziewczyna klasnęła w dłonie.

Sprzedawcy przyłączyli się do oklasków.

– Świetnie powiedziane!

Doskonale, panie Will! Jeszcze, jeszcze!

– Co, żeby mnie pan burmistrz aresztować kazał za brewerie i sprośności! – Istotnie, dookoła robiło się już zbiegowisko. – Zapominacie, że nasi miejscowi dygnitarze zabronili kompaniom aktorskim zabawiać was przedstawieniami. Inaczej bywało przed czterdziestu laty, gdy byłem jeszcze smarkaczem.

Aktorów witano radośnie. Ale podówczas purytanów było mało i nie mieli takich wpływów.

– Hańba im! – krzyknął któryś z kramarzy.

– Nasz krajan to sławny aktor i autor sztuk – dorzucił jakiś strojny młodzian.

– Dajcie spokój, ja zawsze byłem po stronie prawa i ładu.

Do widzenia, przyjaciele, życzę wam wszelkiej pomyślności!

Chodź, moje dziecko.

Ojciec i córka poszli ulicą Mostową, która dzieliła się na Górną i Dolną, i skręcili w ulicę Henley.

– Prawdę powiedziawszy, sztuki też bywały inne za moich młodych lat – rzekł ojciec. – Najczęściej grywano moralitety, w których występowały takie postacie, jak Duma, Zbytek,

Niewierność, Świadomość Grzechu.

A każda zbrodnia zawsze była ukarana na końcu. Żadna matka nie miała nic przeciwko temu, by jej chłopiec przypatrywał się tym widowiskom.

– Ten zakaz dawania przedstawień w Stratfordzie tak mnie złości, że nawet mówić o tym spokojnie nie mogę – rzekła dziewczyna kręcąc w irytacji głową, aż zadygotał biały czepeczek.

– To samo dzieje się w wielu miastach w całej Anglii – dodał ojciec.

Na ulicy Henley doszli do pięknego domu o harmonijnych proporcjach, z pruskiego muru na kamiennej podbudowie. Między ciemnymi, dębowymi belkami jaśniały bielone ściany; na drugim piętrze widniały okienka facjatek w ścianach szczytowych, a we wszystkich oknach połyskiwały drobne, oprawne w ołów szybki.

– Dom, w którym się urodził wielki człowiek – odezwała się dziewczyna z łobuzerskim uśmiechem.

– Zachowaj we wszystkim umiar – skarcił ją ojciec, ale również z uśmiechem i zdjawszy kapelusz w bardzo niskim ukłonie, dorzucił:

– Dom, w którym się urodziła moja czarująca córka.

– Komplementy od rodzonego ojca – zaśmiała się. – Musiały ci te twoje urodziny do głowy uderzyć jak wino. Idziemy do domu?

– O, nie! Musimy koniecznie wstąpić do ciotki Joanny. Moja kochana siostrunia nigdy by nie darowała, gdybym jej dziś nie odwiedził.

O pięć lat młodsza od brata Joanna Hart, żona kapelusznika, była okrągłutka, rumiana i zawsze pogodna. Wycalowała serdecznie gości, w urodzinowym podarunku ofiarowała modną laskę, poczęstowała bratanicę słodyczami własnego wypieku i postawiła pojemny kufel piwa przed bratem, który przechadzał się tam i z powrotem po wykładanej kamiennymi płytami posadzce obszernej bawialni; chodził drobnymi, chwiejnymi kroczkami, z miną z lekka wzgardliwą, podkreślając końce wąsików palcami lewej ręki, a prawą z przesadną wytwornością wywijając laską.

– Patrz, ciociu! Malwolio z „Wieczoru Trzech Króli”! – zawołała dziewczyna, a ojciec potwierdził jej domysł, mówiąc:

„Jedni rodzą się wielkimi; inni w pocie czoła do wielkości przychodzą; jeszcze innych wielkość szuka sama.”

– Zawsze bywał trochę dziwny w dzień swoich urodzin – zauważyła Joanna pobłażliwie. – Judytko, kochanie, spróbuj tego ciasteczka!

– Wyśmienite! – mówiła dziewczyna chrupiąc ciastko. – A jeśli bywa zawsze taki w dzień swoich urodzin, chciałabym, żeby codziennie były mego najdroższego ojca urodziny!

– Urodziny! Urodziny! – powiedział solenizant i ustawivszy laskę w rogu bawialni, usiadł wygodnie. – Zebrało mi się na wspomnienia.

Czy pamiętasz, Joanno, naszych sąsiadów z czasów, gdyśmy byli dziećmi: starego Wedgwooda, krawca, który ożenił się tu, w Stratfordzie, a ponoć miał gdzieś drugą żonę? A w górze ulicy ławnik Whateley – bardzo szanowny jegomość, ale wiem z pewnością, że pomagał się ukrywać dwóm swoim braciom, którzy byli katolickimi księżmi... Jego pszczoły porządnie mnie kiedyś pocięły, gdy chciałem im trochę miodu podebrać... A niżej nad strumieniem – kuźnia Hornby’ego...

– Jakie ty błahostki pamiętasz, Will! – pokiwała głową siostra.

– Wiesz, muszę – odparł. – Nigdy nie miałem obfitości klasycznych cytatów na końcu języka, by zapychać dziury w moich sztukach. Musiałem posługiwać się tym, co widziałem i co zapamiętałem. A, jak się zdaje, ludziska lubili takie szczegóły z codziennego życia, jakie czerpałem właśnie z moich stratfordzkich wspomnień. A więc stary Wedgwood i Hornby.

Pamiętam jednego z nożycami w ręku, stojącego przed kuźnią drugiego i plotkującego zawzięcie, i przypomniało mi się to, gdy pisałem „Życie i śmierć króla Jana”:

*„Tak, z młotem w ręku
kowala widziałem,
stał, a żelazo stygło na kowadle,
on zaś połykał rozdziawioną gębą
nowiny krawca, który z nożycami
i miarą w ręku,
w pantoflach włożonych
w strasznym pośpiechu
na przeciwnie nogi,
wyliczał zbrojne tysiące Francuzów,
szykiem bojowym
w Kent już ustawione.”*

Joanna znowu potrząsnęła głową w koronkowym czepeczku.

– Doprawdy, nie wiem, jak ty to robisz – wyznała. – To brzmi tak ładnie, ale jeśli ktokolwiek z nas spróbowałby powtórzyć rzecz własnymi słowami, byłaby zwyczajnie nudna. Ale ty zawsze potrafiłeś zgrabnie rymy składać. Pamiętam, byłam takim małym szkrabem, kiedy napisałeś wiersz dla mnie. Ach, Willu, jakie to dawne czasy!

– Jeśli podliczyć minione zdarzenia... tak, to było dawno – odrzekł jej brat spoglądając w zamyśleniu na belki sufitu.

Ojciec nie jest właściwie bardzo urodziwy – rozmyślała dziewczyna – ale bez wątpienia ma interesującą twarz, nawet w jej oczach, a ona przecież przywykła do niego. To sklepione wysoko czoło, spojrzenie bystre, wszystko widzące, wargi wrażliwe, nawet zmysłowe, wygięte w „łuk Kupidyna”, rysy wyraziste, ruchliwe, tak szybko układające się w ślad za uśmiechem czy błyskiem w oczach.

Oczywiście, na tym jego urzekający urok polegał – połączenie inteligencji oczu i czoła ze zmysłowością ust.

Uśmiechnęła się do swoich myśli: górna część twarzy należała do autora, dolna – do aktora.

Opuściwszy gościnny dom na ulicy Henley, ojciec i córka przeszli znowu przez rynek, odpowiadając na wiele serdecznych powitań, a czasem na sztywne ukłony umiarkowanych purytanów i uśmiechem kwitując odwracające się głowy najbardziej rygorystycznych spośród nich. Wyczulonych uszu Judyty doleciały ochryłym szeptem wypowiedane słowa jakiejś bezzębnej staruchy, plotkującej z drugą:

– On podobno w tym Londynie... kobiety... gorzej niż stary król Harry (mowa tu o królu Henryku VIII)... a ta biedna żona... tyle czasu właściwie bez męża!

Kierując się w stronę domu, szli ulicą Wysoką, gdzie mieściły się kamienice najzamożniejszych kupców i mieszczan. Wiele z tych domów odbudowano niedawno, w latach 1594 i 1595, po wielkich pożarach. Wydawały się częstokroć wspanialsze w nowej szacie – z wysuniętymi ponad ulicę wykuszami, ozdobione płaskorzeźbami – piękniejsze od tych, które ojciec Judyty pamiętał z czasów swej młodości.

Oto w tym domu mieszkali Quineyowie, bławatnicy z dziada pradziada. Richard Quiney zmarł w roku 1602 wskutek rany odniesionej w zwadzie na jarmarku. A tu był sklep, w którym

Bayntonowie sprzedawali wszystko – od głów cukru do prochu strzelniczego. Philip Rogers, aptekarz, miał zwyczaj zachwalać specyfiki, pochodzące – jak podkreślał z doskonałym wyczuciem atrakcyjnej dla kupującego nowości – z Nowego Świata. I Henry Walker też tutaj mieszkał – jego syn William był chrześniakiem ojca Judyty i po nim otrzymał imię.

Szli w milczeniu; starszy mężczyzna pograżył się we wspomnieniach, dziewczyna spoglądała na niego z ukosa, próbując odgadnąć myśli ojca.

Pochwyciwszy jej spojrzenie, uśmiechnął się z czułością.

Urodzona z kobiety, której nie kochał, ta córka stała się jednak jego ideałem kobiecości i wdzięku; pielęgnowała go w chorobie przed paru laty i wyleczyła nie tyle specyfikami doktorów, ile czułą troskliwością i opieką, których tym bardziej potrzebował, że choroba jego pochodziła przede wszystkim z przecapowania.

Weszli w ulicę Kościelną, gdzie na rogu Owczej znajdował się ratusz. Tu odbywały się narady ławników i tu mieściła się szkoła, zwana „gramatyką”.

Na następnym rogu stał ich dom, New Place, największy w całym Stratfordzie, cofnięty nieco w głąb od ulicy, z dziedzińcem od frontu i ogrodami oraz budynkami gospodarczymi od tyłu. Jak most o dwunastu łukach, tak i ten dom kazał zbudować Sir Hugh Clopton na swój własny użytek.

– Ty też wyjechałeś ze Stratfordu ubogim i nieznanym młodzikiem, ojczulku, a wróciłeś...

– Nie zdobywszy tak wielkiej fortuny, jak Sir Hugh – przerwał ojciec.

– Ale dostateczną, by kupić New Place – przypomniała.

– Jeszcze jako wyrostek marzyłem, żeby w tym domu zamieszkać – wyznał. – A później, gdy jeździłem wzdłuż i wszerz Anglii z kompanią aktorską, doszedłem do wniosku, że żadne miasto tak mi do serca nie przypada, jak właśnie Stratford. Czasem się zastanawiałem: czy to umiłowanie rodzinnego partykularza, czy takie szczęście, że przyszedłem na świat we właściwym mieście?

Popatrzmy na morwę, nim wejdziemy.

Był szczególnie dumny z tego drzewka, które zasadził własnoręcznie przed dwoma laty – jedna morwa w całej okolicy!

Rosło dobrze, w miejscu starannie wybranym, osłoniętym od wiatru, z południową wystawą.

Ale dziś myśli jego szybko odbiegły od drzewka. Rzekł:

– Moi towarzysze z teatru pozakładali sobie ogniska domowe w Londynie, tam pracują, mieszkają i dorabiają się. Dla mnie Londyn był tylko czymś przejściowym. Zawsze marzyłem o dniu, kiedy nabieram dość pieniędzy, by móc żyć w Stratfordzie. Już czternaście lat mija, od kiedy kupiłem New Place. A teraz wreszcie jestem tutaj, by się cieszyć moim domem... no, i towarzystwem niektórych z jego mieszkańców.

Weszli do wnętrza i po pięknych schodach na pierwsze piętro.

– Nie ma potrzeby przeszkadzać matce – rzekł. – Chodź do mnie.

Z okna pokoju roztaczał się widok na ulicę, gwarną dzisiaj, wypełnioną tłumami śpieszącymi na targ. Judyta zdjęła narzutkę i czepeczek i rękoma przyglądała bujne, złociste włosy o rudawym odcieniu, które tak pięknie harmonizowały z ciemną barwą jej oczu. Ojciec starannie powiesił kapelusz i płaszcz w szafie, nowe rękawice włożył do szuflady, laskę oparł najpierw w jednym kącie pokoju, potem w drugim, zanim wybrał najodpowiedniejsze dla niej miejsce.

Dopiero potem usiadł w krześle o wysokim, dębowym oparciu, przed wielkim biurkiem założonym manuskryptami. Judyta wiedziała, że nie należy pytać, po co ojciec ją zabrał do swego pokoju. Powie jej sam o tym, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila. Wzięła ze stolika broszurę – „Odkrycie Bermudów, przez Imć Pana Thomasa Gate i innych opisane” – wydaną niedawno, może przed rokiem.

Siedząc na niskim taborecie koło biurka, przeglądała książeczkę, a ojciec układał zapisane karty i zbierał je razem. Broszura przedstawiała dzieje statku „Sea Venture”, który wiozł kolonistów i gubernatora do Wirginii. U wybrzeży amerykańskich spotkała go burza. Podróżnych przeraziły „ogień świętego Elma”, połyskujące na masztach, przeskakujące z żagla na żagiel.

Statek zniosło na nieznane brzegi i chociaż wszyscy się uratowali, przekonani byli, że ląd, na którym się znaleźli, zamieszkują złe duchy. Okazało się jednak, że wyspa, należąca do archipelagu Bermudów, nadawała się do zamieszkania – pod dostatkiem tu było ryb, ptactwa, jadalnych jagód i korzeni. Część załogi się zbuntowała, a nawet uknęła zamach na życie gubernatora; jednakże bunt uśmierzono, a zamachowca rozstrzelano.

Ojciec podniósł kilka kart manuskryptu i wskazał nimi na broszurę w ręku Judyty.

– Z tego właśnie zaczerpnąłem szczegóły.

– Zacząłeś pisać nowy...?

– Tak, nowy... i ostatni – westchnął.

– Och?! – W jej okrzyku mieściło się zdumienie, rozczarowanie i zrozumienie jednocześnie. –

O czym to jest, ojczulku?

– O tobie.

– Przecież ty nigdy nie piszesz o ludziach, których znasz!

– Zawsze pisałem o ludziach, których znam. Czasem sami poznawali siebie, czasem inni ich poznawali. Tylko nie używałem ich właściwych imion.

To nie jest ważne – imię.

– A jak ten dramat będzie się nazywał?

– Nie wiem jeszcze. Może „Burza”? Podoba ci się ten tytuł?

– Pod warunkiem, że to nie ja będę tą burzą.

Roześmiał się i oczy mu zabłyśły.

– Nie, ty w tej sztuce będziesz moją córką. Mirandą, uroczą Mirandą.

– Ładne imię. I nie przedstawisz mnie jako jednej z twoich złośliwych, oczekujących mężów kobiet?

– Nie byłabyś sobą. Poza tym nie masz męża, którego byś mogła oszukiwać.

– Nie, nie mam męża – odrzekła w zamyśleniu. – A już dobiegam dwudziestu sześciu lat.

Piętnaście lat minęło, od kiedy zmarł Hamnet, mój najukochańszy brat, bliźniak mojej duszy i mego ciała. Powiedziałam wtedy, że nigdy za męża nie wyjdę.

– Czas już, żebyś zmieniła zdanie, moja droga.

– Dopóki mam ciebie, ojczu, nie potrzebuję...

– Ojciec to nie mąż... i rzadko kiedy żyje równie długo.

Rzuciła mu spojrzenie na wpół wystraszone i rzekła prędko:

– Ale ten dramat? Mówmy o dramacie. Ja jestem w dramacie twoją córką Mirandą. A ty kim jesteś?

– Jestem Prosperem... i jestem sobą. Nie umiem tego rozdzielić.

Prospero jest monarchą bez państwa, mistrzem sztuk tajemnych, potężnym czarnoksiężnikiem. I ma w swojej służbie ducha, Ariela, który potrafi na jego rozkaz wywoływać burze i katastrofy okrętów, brać w niewolę wrogów, budzić miłość w sercach kochanków; ale moc jego będzie użyta tylko w celach szlachetnych.

Odchylił się na krześle i patrzył na nią z uśmiechem.

Potem ujął pióro, umaczał w kałamarzu, przekreślił wyraz w manuskrypcie, wpisał inny.

Judyta liczyła na palcach lewej ręki, podniesionej do góry.

– Zaraz. Prospero to ty.

Mistrz sztuk tajemnych – tak; czarnoksiężnik trzymający ludzi w zaklęciu przez wiele godzin przedstawienia – tak! Służę mu duch pomocny, twoja wyobraźnia tworząca na twój rozkaz – tak.

Ale czy swoich mocy używasz zawsze tylko w celach szlachejnych?

– Tym razem tak. Zobaczysz.

– Jak długo mam czekać?

– Możemy zaraz zacząć.

– Co? Przeczytasz mi ten dramat?

– Tylko jeden akt, dwie sceny, które na razie istnieją.

Wczorajszej nocy pisałem, kiedyś już spała. Więc chcesz?

– Czy chcę? Czy chcę pierwsza usłyszeć twój nowy dramat?! Ale czekaj. Powiedz mi najpierw, ojczulku, czyś długo rozmyślał o tym dramacie, planował, zastanawiał się nad tematem?

Myślałam sobie kiedyś, że musisz dużo książek przestudiować, nim się do pisania zabierzesz. Twoje dramaty tyle zawierają uczonych wiadomości.

– Nie sądzą tak pisarze, którzy studiowali na uniwersytetach. Jeden z nich – Robert Greene – nazwał mnie „plebejską wroną”. Właściwie mówiąc, moja droga, mało posługiwałem się książkami. Do tego dramatu przeczytałem tylko broszurę o Bermudach. I przypomniała mi się, gdy ją czytałem, legenda, którą kiedyś, dawno, słyszałem: o pewnym władcy wygnanym z małutką córeczką gdzieś w lasy; w wiele lat później uzurpator jego tronu, polując w tych lasach wraz ze swoim synem, został czarodziejską sztuką wciągnięty w pułapkę. Mego władcę zdradzieccy dworzanie wysłał łodzią na morze wraz z małą córeczką; ale szczęśliwie dostanie się na wyspę, ujarzmi jej ducha i podobny do zwierza stwór, pomiot diabła. A imię bóstwa, które tam władało, wziętem z Magellana „Podróży do południowego bieguna”: Setebos.

Nadchodzi burza i wyrzuca na brzegi tej wyspy rozbitków, którymi są wrogowie wygnańca.

Przystojny młodzian, jeden z rozbitków, pojmie za żonę jego córkę...

– Ach! Ale przeczytaj mi to, ojczulku – przerwała Judyta.

Akt pierwszy Scena pierwsza.

Okręt na morzu. Burza, pioruny i błyskawice. Wchodzą Kapitan i Bosman.

Kapitan: Bosman!

Bosman: Jestem, kapitanie. Co robić?

Kapitan: Przemów do majtków, a manewruj żwawo; inaczej wpadniemy na skały. Żwawo, tylko żwawo!

(Wychodzi. Wchodzi kilku majtków.)

Bosman: Dalej, moje dzieci!

Śmiało i żwawo, moje serduszka!

Zwinąć główny żagiel! Baczość na kapitańską świstawkę! Dmijże, aż pęknie!

Nie tylko czytał – grał każdą rolę, jakby znajdował się na scenie. Wstał z krzesła. Komnata przeobraziła się w teatr: oto wchodzi król Neapolu z dworzanami – tymi samymi, którzy niegdyś wygnali z kraju prawowitego władcę, a bosman rozprawia się z nimi bez ceremonii, każąc wracać do kajut; rozbitcie okrętu, trwoga, zamieszanie – i ostatnie słowa sceny pierwszej, wymówione przez zacnego Gonzala:

*„Dałbym teraz tysiąc łańców morza
za jedno staję nieurodzajnego gruntu,
ugoru nieużytku z żarnowcem, byle czego.*

*Niech się stanie wola boża!
Wolałbym jednak umrzeć suchą śmiercią”.*

Judyta siedziała cicho, ledwie wążąc się oddychać, aby nie przerwać natchnienia, jakie zdawało się ogarniać jej ojca, autora-aktora, który tworzył te postacie i wcielał się w nie, w jedną po drugiej.

Słuchała, jak na wyspie Prospero opowiada swej córce Mirandzie, iż niegdyś, jako książe Mediolanu, zagłębiając się w ukochanych księgach, nie dbał o władzę i rządy oddał swemu bratu; jak ten brat władzę zagarnął dla siebie, podporządkował Mediolan potędze Neapolu, a jego wygnał. I jak zacny Gonzalo umieścił żywność, słodką wodę, odzież i ukochane księgi Prospera w owej łodzi, która wreszcie szczęśliwie dobiła do brzegu. Minęły lata poświęcone studiowaniu sztuki czarnoksiężskiej i kształceniu jedynej córki, aż wreszcie:

*„Dziwnym zrządzeniem tak hojna Fortuna,
orędowniczka moja dziś łaskawa,
wszystkich mych wrogów przygnała do wyspy.”*

Wkrótce zasłuchana Judyta poznała Ariela, pokracznego Kalibana ujarzmionego czarami Prospera, i Ferdynanda, który – z dala od swego ojca, króla Neapolu, i dworzan – przypuszcza, że jest jedynym ocalonym rozbitkiem. W tym mniemaniu utwierdza go Ariel:

*„Ojca morskie tulą fale;
z kości jego są korale,
perła lśni, gdzie oko było;
każda cząstka jego ciała
w drogi klejnot się przebrała
oceanu dziwną siłą.
Nimf pogrzebny słyszysz dzwon?”*

Gdy scena dobiegła końca, a Judyta otrząsnęła się z wrażenia, że jest naprawdę na wyspie Prospera, spostrzegła, iż ojciec nie jest wcale wyczerpany, jak mogła się spodziewać. Usiadł z powrotem na krześle, rękopis rzucił na stół i powiedział z uśmiechem:

– Oczywiście, niektórzy z moich kompanów z oberży „Pod Syreną” powiedzą, że zdiecinniałem. Mogę sobie wyobrazić sarkastyczne uwagi zacnego Bena Jonsona o ujarzmiionych duchach i potworach zrodzonych przez czarownice.

– Czy cię to obchodzi, co oni mówią?

– Obchodzi mnie tylko to, co mówi i sądzi moja publiczność.

– Publiczność będzie się zachwycać. Ale dlaczego mówisz, ojczulku, że to twój ostatni dramat?

– Bo teraz nadszedł dla mnie pogodny wieczór, tu w Stratfordzie, z tobą, moja droga. Można w pogodnym nastroju ducha napisać dramat, ale tylko jeden: pożegnanie. Czasem może będę pomagał młodemu Fletcherowi, który objął po mnie obowiązki dostarczania tekstów dla naszej kompanii. Ale nie napiszę już nic własnego. W uniesieniach młodości, moja Judyto, pisałem dramaty. W szaleństwie zazdrości, chociaż zabrakło mi siły, by odepchnąć niewierną, nawet gdym już wiedział o jej winie – pisałem; w pasji zbrukanej, sponiewieranej przyjaźni, chociaż nie mogłem wyzwąć na pojedynek niewiernego przyjaciela-arystokraty – pisałem, nawet jeszcze lepsze dramaty. Ale gdym osiadł w tej ciszy i spokoju? Nie. Po „Burzy” oswobodzę ujarzmione widownie i jak

Prospero wyrzeknę się na przyszłość mej czarnoksiężskiej siły.

– Myślę, że zawsze będą widownie ujarzmione zaklęciem twoich sztuk.

– Sztukę pisze się dla publiczności: zagra się ją i zapomina się o niej, bo są inne, nowsze – odpowiedział. – Ufam, że moje poematy zachowają moje nazwisko w pamięci przyszłych pokoleń. Ale dramaty?...

Judyta szepnęła jakby sama do siebie:

– Nie pójdą w zapomnienie.

Ojciec nie słyszał jej.

Schował rękopis do szuflady i rzekł:

– Wrócimy do tego, gdy napiszę dalsze sceny. A teraz... jak spędzimy mój urodzinowy wieczór?

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu. Siedziała ze spuszczoneymi oczami, a palce jej przesuwaly się lekko po rzeźbionych ozdobach taboretu.

Nagle rzekła:

– Gdy Prospero opowiadał Mirandzie o swoim życiu, pomyślałam sobie, że tak bym chciała...

Zawahała się i spojrzała na ojca spod oka.

– Abym ja ci opowiedział o moim życiu? – dokończył.

– Tak.

– Trudno ci przyjdzie niektóre sprawy zrozumieć.

– Nie jestem dzieckiem. A miłość pozwala zrozumieć wszystko.

– Więc naprawdę chcesz usłyszeć historię mojego życia?

– Czemu to ciebie dziwi? Znam tylko urywki, a i te otoczone są tajemnicą.

– A czy wiesz, że właściwie wszystko, co chciałabyś o mnie wiedzieć, zawarłem w moich sztukach? Namiętny Romeo, oddychający miłością i poezją;

Jakub, melancholijny obserwator wielkiego widowiska życia;

Hamlet, filozof wzdragający się przed gwałtownością czynu... Gdy kreśliłem te postacie, zdawały mi się tworamii mojej wyobraźni – ale może były odzwierciedleniem mnie samego, takiego, jakim wtedy byłem? Chcesz zatem poznać życie nędznego aktora, który swoją rolę

przez parę godzin wygrawszy na scenie,

w nicość przepada...

(„Makbet”)

Część pierwsza
Hamlet-Will

Rozdział I

– Jada! Jada! Ścigajmy się do skrzyżowania, Ryszardzie!

Dwinaścieletni Will Szekspir i o dwa lata starszy Ryszard Field stali pewnego majowego popołudnia na moście nad Avonem w Stratfordzie. W oddali, między bogatą zielenią drzew, dostrzegli barwnie przystrojonych jeźdźców i kryty wóz zaprzężony w ciężkie perszerony, wzbijające tumany białego pyłu w blaskach zachodzącego słońca. Młody Will – krótkie, jasnobrunatne włosy mocno rozczochrane, pasiaste spodnie do kolan, ściśnięty w pasie kaftan, wykładany kołnierzyk i mankiety, bynajmniej już nie białe – podskakiwał z radosnego podniecenia. Jego przyjaciel, solidniejszej budowy i spokojniejszej natury, bardziej zważał na to, by nie zabrudzić albo nie podrzeć swego porządnego ubrania. Will go znacznie wyprzedził, nim dobiegli do skrzyżowania dróg.

Pierwsi jeźdźcy zbliżali się już do nich gościńcem od Warwick.

Jeden był w błękitnym kaftanie i spodniach, w pasy ciemnoczerwone; drugi nosił strój różowy, ozdobiony szamerunkiem.

– Jutro będą grali w ratuszu – mówił Will. – Muszą dostać najpierw zezwolenie. Jak to dobrze, że mój ojciec jest ławnikiem! Zabierze mnie z sobą na próbne przedstawienie do ratusza. – Po czym dodał ze szczerym żalem, ale nie bez pewnej wyższości: – Szkoda, że twój ojciec też nie jest ławnikiem. Poszlibyśmy razem!

– Ja ich zobaczę na dziedzińcu oberży, kiedy już będą mieli zezwolenie – bronił się Ryszard.

– Mój ojciec powiada, że aktorzy zawsze lepiej grają przed prawdziwą publicznością niż przed burmistrzem i rajcami!

Z ulicy Mostowej, z Southam, ze wszystkich stron nadbiegali do skrzyżowania nowi chłopcy.

– Jada!

– Aktorzy! Będzie teatr!

– Odsuń się, szczeniaku!

Gdy kawalkada dotarła do skrzyżowania, gdzie musiała skręcić w ulicę Mostową, by dojechać do ratusza, trzy srebrne trąby uniosły się do góry i ostre dźwięki rozdarły powietrze. Tuzin kolorowo odzianych jeźdźców wymachiwał wesoło rękawicami w odpowiedzi na wrzaskliwe i entuzjastyczne powitania chłopców.

– Witajcie w Stratfordzie! – krzyknął Will i wskoczył na skrzynię wystającą z obładowanego wozu; zawierała jakieś niewiadome, ale z pewnością cudowne kostiumy i dekoracje.

– Z przyjemnością tu znowu przyjeżdżamy! Zobaczymy się jutro na dziedzińcu oberży! – wołali aktorzy odkasłując kurz ośmiomilowej podróży z Warwick.

Ryszard, zasapany, biegł obok wozu z tuzinem chłopców, którzy trzymali się strzemion jeźdźców; inni wybiegli naprzód, by zobaczyć, jak kawalkada będzie wjeżdżała na rynek.

Z okien wyglądały niewieście twarze, powiewały chusteczki; na ulicach głośnie okrzyki witały wjeżdżających.

Nie częściej niż raz lub dwa razy do roku kompanie aktorów przyjeżdżały do Stratfordu, a ich niecierpliwie wyczekiwane odwiedziny były źródłem radości dla wszystkich, prócz purytanów.

By uspokoić ich ewentualne skrupuły, jeden z aktorów, wymachując ręką w karmazynowym rękawie, wołał:

– Bywajcie, zacni mieszczanie!

Jesteśmy kompanią „Sług Hrabiego Worcester”! W każdej sztuce, którą odgrywamy, zło zostaje pogięzione, a cnota triumfuje!

Przed ratuszem dwaj aktorzy zsiadli z koni, a Will znalazł się akurat pod ręką, by je potrzymać. Burmistrz umyślnie przyszedł tego wieczoru do ratusza, by udzielić pozwolenia na występy w mieście Stratfordzie. Aktorzy musieli najpierw okazać „list gwarancyjny” od patrona, hrabiego Worcester – bez tego dokumentu traktowano by ich jak włóczęgów. Była to oznaka ich profesji, zabezpieczenie ich sposobu zarobkowania i nawet ich osobistej wolności. Magnaci patronowali kompaniom aktorskim, które w ich zamkach i pałacach zabawiały gości występami podczas bankietów i różnych uroczystości.

Dwaj aktorzy wyszli z ratusza.

– Gramy przed burmistrzem i rajcami miasta Stratfordu jutro po południu – oznajmił jeden z nich donośnym, dźwięcznym głosem. – A jeśli udzielią nam swej aprobaty i pozwolenia...

– Na pewno udzielią, znają was!

– Byliście tutaj już nieraz! – wołano z tłumu.

– ...to wieczorem odbędzie się przedstawienie na dziedzińcu oberży „Pod Niedźwiedziem”! – dokończył aktor i natychmiast odpowiedziały mu radosne okrzyki:

– Hura!

– Przyjdziemy!

– A grajcie tak, żebyśmy się mogli uśmieć i popłakać!

– I żeby były walki i dużo trupów!

Z radosnym podnieceniem na żywej, bystrej twarzy Will podał cugle starszemu z aktorów. Ten sięgnął do sakiewki.

– Nie, dziękuję – rzekł śpiesznie Will. – Proszę mi nic nie dawać. Mój ojciec jest ławnikiem. I jest zamożny.

Aktor uśmiechnął się i poklepał chłopca po ramieniu.

– A ja – ciągnął Will z przejęciem – też będę kiedyś aktorem!

– Posłuchaj mojej rady i wybierz sobie mniej męczący zawód – rzekł aktor; ale mówił to bez wielkiego przekonania, jakby tylko dlatego, że zwyczaj nakazuje narzekać.

Razem z Ryszardem Will poszedł ulicą Główną za odjeżdżającą kawalkadą, w kierunku swego domu na ulicy Henley.

– Założyłbym się, że to będzie świetne przedstawienie – rzekł Ryszard.

– Założyłbym się, że widziałem lepsze – odrzekł wyzywająco Will.

– Oczywiście! Zaraz znowu usłyszysz o Kenilworth – mruknął Field.

– Czego burczysz? To naprawdę było coś wspaniałego. Założyłbym się, że nigdy w życiu nie widziałeś nic, co by się umywało...

– Dobranoc. Idę do domu.

Rok już mijał od chwili, kiedy ojciec zabrał Willa z sobą, posadziwszy go z tyłu na koniu, do odległego o dwanaście mil zamku Kenilworth, wspaniałej siedziby hrabiego Leicester, faworyta

królowej Elżbiety.

Miłościwa pani wraz z całym dworem przyjechała w gościnę do Kenilworth. Opowiadano, że hrabia miał podówczas podjąć ostatnią, decydującą próbę namówienia królowej, by go polubiła. W każdym razie festyny i uroczystości wyprawił takie, że jeszcze oko ludzkie podobnych cudów nie widziało. Odbywały się wspaniałe pochody i żywe obrazy na wodzie z syreną i delfinami, poruszonymi specjalną maszyną. Potem dała przedstawienie trupa aktorska hrabiego z Jamesem Burbage – a każdy, kto choć cośkolwiek słyszał o ówczesnych kompaniach aktorskich, musiał wiedzieć, że zespół Burbage'a był jednym z najlepszych w całej Anglii. Od muzykantów aż się roilo, w każdym zakątku grała jakaś kapela, a Will uwielbiał muzykę.

Wieczorem – ognie sztuczne. Tak, to było wspaniałe. A na zakończenie cudownego dnia chłopiec przenocował w oberży wraz z ojcem, nim powrócili do Stratfordu, gdzie gotów był opowiadać kolegom o wszystkich cudach, które widział – z upiększeniami.

Gdy po przyjeździe i powitaniu aktorów Will dotarł do domu, zastał rodzinę już przy kolacji. Ojciec i matka siedzieli na dwóch końcach stołu; dalej, w kolejności starszeństwa, młodszy brat Willa Gilbert, Joanna i słabowita Anna, spoglądająca z niesmakiem na pełen talerz przed sobą. Najmłodszy, Ryszard, spał już w dzieciennym pokoju na górze. Rumianolica służąca biegła do jadalni i z powrotem do kuchni z szelestem nakrochmalonych spódnic.

– Znowu się spóźniłeś, Will – upomniała chłopca matka, ale bez gniewu; najstarszy syn był jej oczkiem w głowie.

Pochodząca z zamożnej, szlacheckiej rodziny, Mary Arden w 1557 roku poślubiła stratfordzkiego rękawicznika.

Straciła dwie córeczki, nim 23 kwietnia 1564 roku urodził się Will. Przeżyła też wielką trwogę, bo w tym samym roku epidemia dżumy nawiedziła miasto. Przerazający, czerwony znak pojawił się na drzwiach wielu domów, a cmentarz nad rzeką przyjął wielu nowych lokatorów. Strwożona matka wywiozła niemowlę do domu swoich rodziców o kilka mil od Stratfordu. Dzięki Bogu, wychowała go zdrowo. Później urodziła jeszcze czworo dzieci i niemało z nimi miała kłopotów, ale Will – taki zdolny, pojętny i żywy – pozostał jej ulubieńcem. Co prawda nie przyznawała się do tego nawet sama przed sobą. Tylko może więcej okazywała mu pobłażliwości niż gromadce młodszych dzieci. „On jest najstarszy” – usprawiedliwiała się.

– Przepraszam, mam – powiedział Will całując ją serdecznie. – Chodziłem witać aktorów.

– Tak też myślałem, żeś na pewno bąki gdzieś zbijał – burknął ojciec. – Siadaj teraz i zabieraj się do jedzenia.

– Ojcze, czy będę mógł jutro pójść z tobą na próbne przedstawienie do ratusza? – zapytał Will nie zwracając uwagi na widoczny zły humor ojca.

– Czy mam cię nagradzać za to, że się spóźniasz? – zapytał John Szekspir. – Powinieneś przysiąc fałdów i zabrać się do nauki.

Nie będę cię zachęcał do marnowania czasu. Zresztą zobaczymy – mruknął, a Will już wiedział, że wszystko pójdzie dobrze. Zawsze tak było, gdy ojciec mówił: „Zobaczymy”!

– Ja chcę być aktorem, kiedy skończę szkołę – oznajmił chłopiec po raz drugi tego dnia, tym razem z wyzwaniem w głosie, jakby się spodziewał sprzeciwu.

– I wyjechałbyś ze Stratfordu? – zapytała matka z przestraczeniem.

– Też pomysł! Powinieneś zostać majstrem, wyuczyć się jakiegoś zacnego rzemiosła. To jest uczciwy zawód.

– Dziecinada! – zachnął się ojciec. – Nie zwracaj na to uwagi, Mary.

Stary Szekspir wiedział, że jego syn miał zwyczaj się upierać, jeżeli spotykał się ze sprzeciwem.

– A właśnie, że zostanę aktorem – powtórzył chłopiec.

Ojciec zmienił temat rozmowy i zaczął opowiadać o swoich interesach.

Tego wieczoru Will długo nie mógł zasnąć, pełen radosnego oczekiwania na jutrzejsze przedstawienie. Będą wspaniałe kostiumy i głosy takie, że słowa zabrzmiały jak muzyka; aktorzy będą się poruszali z gracją i dostojnością prawdziwie książęcym. A później on, Will, odegra to samo przed zachwyconymi kolegami w szkole.

Zapisać sobie wszystko, co pamięta z ich słów – a czego nie zapamięta, to mu własna wyobraźnia podpowie. Ale te swoje improwizacje pokazywał tylko Ryszardowi, który może pomału myślał, ale umiał krytykować i zachęcać, chociaż na swój ostrożny sposób.

Zasypiając wreszcie, Will pomyślał, że chciałby, aby w jutrzejszym przedstawieniu znalazła się scena śmierci i aby aktor, nim wyda ostatnie tchnienie, wygłosił wspaniałą, rymowaną tyradę...

W długie, letnie dni w domu Szekspirów ruch panował już od piątej rano. Will i Gilbert chodzili do szkoły na szóstą: nauka trwała do szóstej wieczorem z godziną przerwą na obiad i z dwiema piętnastominutowymi przerwami o dziewiątej i o trzeciej. Taki mieli program zajęć stale, od siódmego roku życia; zimą po ciemku wychodzili i po ciemku wracali. W ciągu dnia mało bywało czasu na solidny posiłek, toteż na pożywne śniadanie w tym zamożnym domu składały się zimne mięsa, chleb i miód, mleko dla dzieci i piwo dla Johna Szekspira.

Po śniadaniu Mary Szekspir jeszcze sprawdzała, czy uszy i twarze zostały należycie wyszorowane, a włosy porządnie uczesane; po czym chłopcy, każdy z pajdą chleba z serem i książkami w tornistrze, wybiegali do szkoły.

Surowa dyscyplina szkolna przyczyniała się zapewne do formowania charakterów owych solidnych, ciężko pracujących mieszczan. Ojciec Willa do takich należał. Gdy urodził się Ryszard, John Szekspir uznał, że trzeba mu więcej miejsca dla jego coraz liczniejszej rodziny.

Kupił dwie kamienice przylegające do jego domu i kazał poprzebijać drzwi między nimi, łącząc w ten sposób warsztaty i magazyny z obszernym mieszkaniem. Oprócz swoich zajęć zawodowych miał wiele pracy w radzie miejskiej. Przed paru laty był burmistrzem, obecnie jako ławnik pełnił rozliczne obowiązki. Stratfordem rządzono w oparciu o zwyczaje patriarchalne: kontrolowano, chroniono i dozorowano wszystkie warsztaty i zakłady miejscowe, mieszkańców podporządkowano licznym przepisom, które zapewniały ład w mieście. Pies bez kagańca, zabłąkana kaczka, gra w karty pod gołym niebem, dziecko poza domem po godzinie ósmej, nie zamieciony rynsztok, wywożenie bez zezwolenia piasku z miejskiej piaskarni – wszystko to karano grzywnami. Imć pan Szekspir także musiał kiedyś wraz z paru sąsiadami zapłacić karę za to, że wyrzucał śmieci koło domu, zamiast je odnosić do publicznego śmietnika na końcu ulicy Henley. Niemałą część swego czasu spędzali ławnicy na wyznaczaniu kar sobie samym, co bez wątplenia przynosiło korzyści kasie miejskiej.

Ale John Szekspir za wiele troski poświęcał swoim obowiązkom municypalnym. Po nabyciu nowych kamienic finanse jego zaczęły podupadać. Mary robiła, co tylko mogła, by pomóc mężowi, który w dobrych czasach nie żałował grosza na dom i rodzinę. Pracowała ciężko: warzyła piwo, robiła sery i masło, gromadziła zapasy owoców na zimę, suszyła zioła ze swego ogrodu. W domu mielono też gorczycę na musztardę, odlewano świece, robiono koronki.

Trzymała jeszcze służącą, uważając, że to jednak większa oszczędność niż obywać się bez niej, ale praczki już nie najmowano; pani Szekspirowa chodziła sama ze służącą do rzeki prać bieliznę i później bielić ją w słońcu na trawie.

Will i Gilbert szli do szkoły.

Młodszy brat śpieszył się w obawie chłosty za spóźnienie; starszy zapominał o grożącej karze, gdy mijali kuźnię, gdzie zacny Goodman Hornby rozżarzał do czerwoności żelazo i zanurzał je w wodzie, która syczała i wrzała. Tego ranka nadarzyła się dodatkowa sposobność do marudzenia: ujrzeni przejeżdżającą grupę myśliwych w skórzanych kaftanach, z sokołami na ręku, w drodze na polowanie.

Gilbert zostawił brata i popędził koło hal targowych na ulicę Główną, a Will westchnął i stał patrząc tęsknie za młodymi ludźmi na swobodzie. W wiele lat później miał opisać, jak

*„...uczeń z teką, zapłakany,
z rumianą twarzą jak poranne niebo,
ślimaczym krokiem wlecze się do szkoły.”*
(„Jak wam się podoba”)

Co prawda Will nie miał zwyczaju wlec się jak ślimak.

Umysł jego był na to zbyt żywy.

Wagary od czasu do czasu – to bywało... Szkoła w Stratfordzie cieszyła się dobrą opinią, a nauczyciele, którzy tam wykładali, byli magistrami uniwersytetu oksfordzkiego.

Chłopcy uczyli się trochę angielskiego, przede wszystkim z Pisma świętego, przy czym poezja psalmów zachwycała Willa. Ale – przeważnie nauka odbywała się po łacinie. Studiowano Wergiliusza, ody Horacego, klasycznych dramaturgów – Senekę, Plauta i Terencjusza. Wielką wagę przykładano do retoryki.

Przeprowadzano rozbiór poematu Owidiusza „Wenus i Adonis”. Na lekcjach historii uczono się o nieszczęsnej Lukrecji, która popełniła samobójstwo. Will poznał też dokładnie dzieje podbojów, panowania i śmierci Juliusza Cezara.

Do nauki retoryki należały również przedstawienia łacińskich komedii, w których występowały postacie zarozumiałego pedanta, impertynenckiej pokojówki, żołnierza-samochwała albo ślamazarnego, tępego sędziego.

Will często grywał role kobiet i tak realistycznie potrafił płakać (umiejętnością tą posługiwał się również niekiedy, gdy go chłostano), że cała widownia płakała z nim razem.

W kilka dni po bytności kompanii aktorów Will i Gilbert, idąc rankiem do szkoły, spotkali Ryszarda Fielda, który właśnie wychodził ze swego domu. Ranek był piękny, rześki, słoneczny, a ptaki na drzewach śpiewały chwałę swobody.

– Czasem chciałbym być ptakiem – westchnął Will. – Wtedy nie siedziałbym tutaj. Spędzałbym cały czas w Lesie Ardeńskim albo nad polami...

Przystanął i podniósłszy głowę, nadstawił policzek, jakby chciał wyczuć na twarzy powiewy świeżego, pachnącego kwiatami powietrza. Gilbert, który już odszedł dalej, zawołał:

– Pośpiesz się, bo się spóźnisz!

– Ty idź, ja muszę zamienić dwa słowa z Ryszardem.

– Naprawdę się spóźnimy – rzekł Ryszard.

– Nie spóźnimy się tam, dokąd idziemy – rzekł Will. – Tam się nikt nigdy nie spóźnia.

– Nie pójdziemy chyba do lasu?

– Właśnie że do lasu. Albo nad rzekę.

– Nie chcę. Ja idę do szkoły.

– „Amo, amas, amat...” Mól książkowy! Kujon! Pewno się boisz chłosty?

Will skręcił w ulicę Owczą, w stronę rzeki. Po chwili usłyszał za sobą człapiące kroki. Ryszard namyślił się jednak. Więcej niż różgi w rękę nauczyciela bał się, że Will – który był jego bohaterem, bo potrafił wiązać słowa w rymy, o czym Ryszard marzył, ale czego nigdy zrobić nie umiał – nazwie go tchórzem.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – powitał go radośnie Will. – Chodźmy dalej, bo nas tu jeszcze ktoś wypatrzy.

– Nie zrobiłbym tego dla nikogo innego prócz ciebie – Ryszard próbował przerzucić odpowiedzialność na cudze barki.

Obaj zwrócili głowy w kierunku szkoły na dobrze znany dźwięk dzwonka, oznaczający rozpoczęcie lekcji.

– Teraz już za późno – powiedział Will z zadowoleniem.

Za miastem spotkali starego rybaka, przygotowującego łódź na brzegu rzeki, na cudownie zielonej i barwnej od kwiatów murawie. Wzgórza Cotswolds błękitniały na południu, a Las Ardeński wzywał ich od północy.

Zaszli rybaka dość niespodziewanie – łódź leżała na wpół ukryta za kępą pochylonych nad wodą wierzb.

– To stary Nick Lane – szepnął Ryszard kładąc ostrzegawczym ruchem rękę na ramieniu Willa. – On na nas naskarzy.

Will strząsnął niecierpliwie rękę przyjaciela z ramienia i podszedłszy zamaszystym krokiem do rybaka, przybrał dumną postawę i zapytał wyniośle:

– Jaką monetą trzeba ci zapłacić, mój człowieku, za przewiezienie nas na tamten brzeg twoją łodzią?

Stary uśmiechnął się złośliwie do impertynenckiego chłopca, patrząc z najwyższym zdumieniem na bezczelnego chłopca.

– Jeżeli ci przewiozę, młody Willu, tobym za to przetrzepał ci spodnie – powiedział. – Przysięgam, że ani twój ojciec, ani pan nauczyciel nie wiedzą, żeście tutaj. Całkiem na pewno!

– Zgadzam się na twoją cenę – odrzekł tym samym wyniosłym tonem Will.

Rybakowi aż szczeka opadła ze zdziwienia.

– Bezczelności ci nie brak – rzekł. – Wcale nie powiedziałem, że cię przewiozę; powiedziałem: „jeżeli”!

Will wytwornym ruchem zabawiał się wyimaginowaną laską, którą wskazał na Ryszarda.

– A gdyby ci to nie wystarczyło, mój zacy człowieku, ofiaruję ci na dokładkę do targu jeszcze tę drugą parę spodni do przetrzepania!

Wykrzywił przy tym tak zabawnie swoją wyrazistą twarz, udając wyniosłość dworaka, że stary rybak aż zaniósł się skrzeczącym śmiechem. Mrugając na Ryszarda, by szedł za nim, Will wskoczył do łodzi i zasiadłszy na rufie, odrzucił w tył głowę i arystokratycznie leniwym ruchem podnosząc rękę, rzekł rozkazująco:

– Nie zwlekajmy więc!

– Koniec świata – rechotał stary i włożył wiosła w dulki.

Kiedy po krótkiej chwili dopłynęli do drugiego brzegu, rybak splunął w dłonie i zatarł je z satysfakcją, mówiąc:

– A teraz moja zapłata!

Ryszard spojrział niespokojnie na przyjaciela. Will wstał, odwrócił się tyłem do rybaka, który podniósł ramię. W tej samej chwili Will sprężył się gwałtownym ruchem i wyskoczył na brzeg, zanim tamten się połapał, o co chodzi. Ryszard, powolny zwykle w ruchach, tym razem z niezwykłą szybkością wyskoczył w ślad za przyjacielem. Will na brzegu znowu przybrał wytworną pozę i złożył wspaniały ukłon.

– Tysiączne dzięki, mój przyjacielu – rzekł.

Rybak chciał wyskoczyć za nimi, ale zorientował się, że to próżny trud. Will i Ryszard pędzili już przez pole, toteż stary, śmiejąc się, pogroził im tylko pięścią.

Chłopcy wędrowali przez wzgórza i doliny, przez pastwiska i zagajniki. Ryszard szedł naprzód równym, wytrwałym krokiem. Will uganiał dookoła; dostrzegał i umiał po imieniu nazwać każdy kwiat dziko rosnący na łące czy pod lasem. Kiedy w przyszłości miał opisywać Las Ardeński, na zawsze nieśmiertelny w „Śnie nocy letniej”, wiersze spływały gładko z jego pióra:

*„Znam smugę dzikim tymiankiem usłaną,
strojną w stokrótek i fiołków wiano,
gdzie wonny jaśmin i róża kosmata
z powojem w górze jakby w dach się splata.”*

Około południa chłopcy skręcili znowu do rzeki, w dalszym od miasta jej biegu. W nadbrzeżnym wykrocie, który był ich ulubionym schronieniem, zasiedli, by zjeść swój skromny posiłek.

– Będę aktorem, kiedy już przestaną mnie męczyć tą szkołą – mówił Will z pełnymi ustami. – Moim rodzicom to się nie spodoba, ale trudno. Tak już musi być.

– Powinieneś zostać poetą – zauważył Ryszard.

– Tak, poetą też – zgodził się Will z entuzjazmem młodzika, który bez zastrzeżeń ufa własnej przyszłości. – Ale poezją nie zarobię na życie, chyba żebym znalazł bogatego patrona, a ja nie chcę być zależny od nikogo.

– Ja będę drukarzem – rzekł Ryszard. – Jeśli nie potrafię pisać poezji – a nie potrafię, bo próbowałem – będę drukował cudze wiersze. Może twoje.

– Moje poezje będą drukowane w Londynie – zapewnił go Will.

– Ja będę londyńskim drukarzem – nie ustępował Ryszard. – Ty napiszesz wielki poemat, Willu.

A ja go wydrukuję.

– Jeśli kiedyś napiszę poemat, to o Wenerze i Adonisie.

Myślałem już o tym. Napiszę to później. Wspaniała historia. – Połknął ostatni kęs chleba z serem i położywszy się na brzuchu, zerwał stokrotkę. – I nafaszeruję mój poemat opisami kwiatów, przyrody, wsi.

Zaczął ściągać z siebie kaftan, a potem koszulkę i spodnie.

– Gorąco! – rzekł. – Popływamy, co?

Razem zanurzyli się w wodzie, rozpraszając ławice drobnych rybek, płosząc kurkę wodną.

Wysuszyli się w słońcu, ubrali z powrotem i ruszyli wzdłuż brzegu w stronę stratfordzkiego mostu.

Ryszard, myśląc teraz o rodzicielskim gniewie, zaczął się niepokoić.

– Za wcześnie wracamy – powiedział. – Zobaczą nas.

– Mieliśmy przyjemny ranek – zauważył filozoficznie Will. – Trzeba za to zapłacić! A wracamy wcześniej, bo dziś po południu łucznicy ćwiczą w Butts Close do zawodów. Muszę na to popatrzeć.

– Nie pójdę tam – zaprotestował Ryszard. – Spróbuję się wśliznąć do domu kuchennym

wejściem. Może mnie nie zobaczą.

– Do mostu musisz dojść w każdym razie, żeby się dostać na drugi brzeg.

Miejscowość Butts Close, gdzie ćwiczyli łucznicy, leżała przy moście. Will nigdy nie pominął sposobności przypatrywania się im. Jak na młodzika, sam potrafił niezłe naciągnąć cięciwę – wyćwiczył się w lesie.

Zwierzyna była zarezerwowana pod surowymi karami na szlacheckie łowy i stoły, ale zdarzało się czasem, że strzała, wymierzona w pień drzewa, dziwnym trafem skręcała w locie i zabijała zająca... albo może nawet pień drzewa okazywał się zającem.

Częstszym jednak kłopotem było odnajdywanie strzał, na co Will miał wypróbowany przez siebie sposób, który opisał później w „Kupcu weneckim”:

*„Kiedym był dzieckiem, a straciłem strzałę,
w tęż samą stronę wystrzelałem drugą,
z tą samą siłą, a większą bacznością,
a tak, na stratę narażając obie,
nieraz mi obie znaleźć się udało.”*

Will przeszedł śmiało przez most, a Ryszard pozostał w tyle, mówiąc, że poczeka, aż na gościńcu będzie pusto. Will liczył na to, że i ojciec jego, i nauczyciel będą jeszcze zajęci i nie przyjdą do Butts Close.

Zebrał się już jednak wcale pokaźny tłum widzów. Chłopiec stanął trochę z tyłu, przypatrując się młodzieńcom ćwiczącym do zawodów, które miały się odbyć za tydzień. Od razu zapomniał o całym świecie, oceniając zręczność i umiejętność każdego z łuczników, porównując jednego z drugim.

Nagle jakaś drobna figurka przysunęła się do niego.

– Gdzie byłeś, Willu? – zaszeptał głos Gilberta.

– A czemuś ty nie w szkole? – odparował starszy brat.

– Puścili nas wcześniej – odszepnął Gilbert.

– Dlaczego? – zapytał podejrzliwie Will.

– Belfer powiedział, że ma jakąś sprawę do załatwienia.

– Oj! Może i wiem, jaka to sprawa!

Will wysunął się pośpiesznie z tłumy. Odwleczenie kary zawsze zostawiało nadzieję, że a nuż coś zajdzie... Nauczyciel może na przykład zachorować!

– Chodź ze mną, młody Willu!

Od razu pomyślałem, że cię tu znajdę. Wiesz pewno, że za wagary należy się kara?

Nauczyciel trzymał go za kołnierz kaftana.

Gdy nieco później wędrował do domu, przygnębiony i na chwilę przynajmniej mądrzejszy, rozmyślał, że uniknąwszy przetrzepania przez rybaka, nie wymknął się jednak solidnej chłości z wypraktykowanej ręki nauczyciela. Will wiedział, że jego ojca też już zawiadomiono o całej sprawie. Ból i upokorzenie wprowadziły go w smętny nastrój.

Jeden tylko był sposób, by się pocieszyć i wzmocnić na duchu.

Chłopiec poszedł z rękoma w kieszeniach, starając się przytrzymać spodnie z dala od obolałej skóry, w stronę New Place. Przed pięknym, wielkim domem oparł się o sztachety ogrodu i na kilka chwil zapomniał o kłopotach przeszłych i przyszłych, wdychając cudowny aromat kwiatów, upajając się ich barwami – były żółte, lila, czerwone, ciemnoniebieskie.

Ogród miał dla niego zawsze kojące właściwości. Lubił bardzo pomagać matce, gdy zajmowała

się ich warzywnikiem przy ulicy Henley, chociaż nie mógł się on nawet równać z ogrodem w New Place. Często potem mówił o ludzkich uczynkach, o rządach, o władzy przy pomocy metafor zaczerpniętych z prac w ogrodach:

Ogrodnik:

*„Idź, uwiąż tamte obwisłe morele,
co gnębią ojca jak niesforne dzieci
ciężkim uciskiem swego marnotrawstwa,
i daj podporę gnącym się gałązkom.
Ty, jak oprawca, idź pościnaj głowy
prątkom, co rosnąc zbyt rączo, wybiegły
nad miarę w naszej Rzeczypospolitej.
Wszystko być równym musi w państwie naszym.
Tak was zajmwszy, sam pójdę wyplenić
szkodliwe chwasty, które bez korzyści
ssa żyzność gruntu z ujmą zdrowym kwiatom.*

Pierwszy pomocnik:

*Mamyż my w ciasnych tych szrankach przestrzegać
praw, form i wszędzie należnych wymiarów
i jakby na wzór silne państwo stawiać,
kiedy nasz ogród morzem warowany,
kraj cały w chwastach, kwiaty przyduszone,
płoty zwalone, drzewa nie ocięte,
grzędy w nieładzie, a w ożywczych ziołach
roje gąsienic?”*

(„Tragedia Ryszarda II”)

Rozdział II

W dwa lata później położenie majątkowe rodziny osiadłej przy ulicy Henley znacznie się pogorszyło. Dochody z przedsiębiorstwa spadły, a John Szekspir próbował łątać braki pożyczkami. Wstydząc się przyznać, że nie może sobie już pozwolić na działalność społeczną, nadal pełnił różne obowiązki w zarządzie miasta.

Szło więc wszystko od złego ku gorszemu. Wierzycciele zaczęli naciskać, a gdy nie mógł ich zaspokoić, oddawali sprawy do sądu. Szczodry i wielkoduszny Szekspir w latach dobrobytu nieraz poręczał za przyjaciół; teraz musiał spłacać nie tylko swoje długi, ale i cudze.

Nadszedł więc dzień, kiedy trzeba było sprzedać kamienice nabyte w latach powodzenia, a nawet nieruchomości wniesione jako wiano przez Mary.

Młody Will uczył się nie najgorzej, chociaż nadal ulegał pokusom swobodnej włóczęgi po polach i lasach. Przyjaźnił się z gajowymi i drwalami, którzy lubili żywego chłopca, ciekawego ich zajęć, ich narzędzi i sposobów pracy. A gdy ich znowu spotykał, chłopiec nigdy nie zapominał niczego z nauk otrzymanych poprzednim razem.

Tylko że nauczyciele i rodzice nie doceniali tych form zdobywania wiedzy.

Aż pewnego razu, wróciwszy ze szkoły, Will usłyszał za drzwiami podniesione głosy ojca i matki.

– Żadnej z niego pociechy – mówił ojciec gniewnie. – Włóczy się po polach albo nad rzeką, zamiast siedzieć nad lekcjami. I zawsze gada tylko o aktorach i teatrach. A czas najwyższy, żeby się zabrał do roboty. Sama przecie mówiłaś, że powinien się wyuczyć jakiegoś solidnego rzemiosła.

– To zacny chłopak – oponowała matka; mówiła nawet dość stanowczo, ale z powagą i smutkiem, które nie opuszczały jej, od kiedy przed rokiem pochowała małą Annę. – Lepszy od wielu innych. Chodzi czasem na wagary, temu nie przeczę. Ale nie kradnie ani szkód nikomu nie wyrządza. Nikt się nigdy nie skarżył na Willa prócz nauczyciela. Will jest jednym z najbardziej lubianych chłopców w całej okolicy.

– A nauczyciel ma słuszość, że się skarży – John podchwycił słaby punkt. – Jeśli ludzie lubią chłopca, to jeden więcej powód, żeby zaczął pomagać w moim przedsiębiorstwie. Ludzka sympatia bardzo się przydaje w interesach.

I w tym tkwiło sedno sprawy, chociaż John Szekspir nie przyznał się do tego głośno.

Potrzebował zręcznych rąk chłopca i jego bystrego umysłu do pomocy w warsztacie i w handlu.

Will, który stał przez dłuższą chwilę z ręką na kłamce, teraz nacisnął ją i wszedł.

– Will, skończysz od dziś ze szkołą – oznajmił ojciec.

– A co będę robił? – zapytał chłopiec nie chcąc się przyznać, że podsłuchiwał.

– Będiesz pracować – odparł John Szekspir. – Ze mną. A ja mam zacząć dyscyplinę na chłopaków, którzy się od roboty wykręcają.

– Ale ja chcę być... – zaczął protestować Will.

– Ja się ciebie nie pytam, czym chcesz być – przerwał mu ojciec ze wzrastającym gniewem, bo

sam czuł, że jest niesprawiedliwy względem syna. – Ja ci mówię, czym będziesz... – I dorzucił łagodniej: – Przynajmniej na jakiś czas.

– Czy nie mógłby jeszcze choć przez jeden rok... – zaczęła Mary, zachęcona łagodniejszym tonem głosu męża.

– Ani jednego dnia więcej! – John Szekspir szybko otrząsnął się z chwili słabości. – Dziś powiem bakałarzom, że Will nie pójdzie do szkoły ani jutro, ani nigdy więcej.

A więc zapadł wyrok ostateczny. Zarówno żona, jak i syn wiedzieli, że w takim momencie dalsza dyskusja z głową rodziny nie przyda się już na nic.

Następnego ranka Will przekładał skóry zamiast przekładać Owidiusza. Zachodził dawniej często do ojcowskiego warsztatu i znał się już nie najgorzej na białoskórnicie.

Jako dramaturg miał później wspominać o doskonałości skóry wołowej używanej na obuwie, o skórze owczej na uprząż, o mięciutkiej skórze koźłej na wyborne rękawiczki. I narzędzia ojcowskiego zawodu miały mu się przydać do porównań, gdy na przykład w „Wesołych kumoszkach z Windsoru” pani Żwawińska powiada:

„Czy twój pan nie nosi wielkiej, okrągłej brody jak nóż rękawicznika?”

Chłopiec przyuczał się szybko, chociaż dorównanie w umiejętnościach wybornemu rękodzielnikowi, jakim był stary Szekspir, wymagałoby oczywiście wielu lat praktyki. Uczył się także handlowania różnymi towarami, które wchodziły w zakres interesów ojcowskich, jak skóry, ziarno, drewno. Kiedy umiał już dobrze rozpoznawać zalety i wady poszczególnych towarów, a także znał cenę każdego gatunku – było to latem 1579 – stary Szekspir powiedział do syna:

– Czas, byś dosiadł kasztanki i zaczął objeżdżać okolicę. Nim wyjedziesz, powiem ci za każdym razem, co możesz kupować, byleś dostał dobry towar i tanio. A co mamy na składzie do sprzedania, sam już dobrze wiesz. Jeśli ci się powiedzie, sprzedasz z zyskiem w innej miejscowości to, co właśnie kupiłeś.

Chłopiec zatarł ręce.

– To będzie świetne zajęcie – rzekł. – Bardziej mi przypada do gustu niż szkoła! A czemu ty sam, ojczu, nigdy teraz nie jeździsz po okolicy?

Ojciec wyglądał szklanym wzrokiem przez okno. Wbił bezmyślnie ostrze noża w drewniany blat warsztatu, wyciągnął go i wbił znowu.

– Prawdę rzekłszy, mój synu, za dużo spotykam po drodze ludzi, którzy mi przypominają, że jestem im winien pieniądze. I nawet przypominają to w dość obraźliwy sposób...

– Już ja im powiem parę słów, jeśli odważą się mnie obrazić – powiedział wojowniczo Will.

– Ciebie nie będą obrażali.

Wiedzą, że to nie twoja wina.

Kiedy Mary Szekspir dowiedziała się o tym projekcie, zaprotestowała, dowodząc, że chłopiec jest za młody.

– Ma piętnaście lat. W jego wieku chłopcy uczą się na uniwersytecie – rzekł John. – Oksford nie dla niego. Codzienne życie musi mu być uniwersytetem.

Chociaż Will marzył o zupełnie innym zawodzie, jednakże polubił bardzo te przejażdżki, które prowadziły go po całym hrabstwie Warwick i po sąsiednim Gloucestershire. Żywy, pogodny, lubiany przez wszystkich, gawędził wesoło z rządcami, stangretami, sokolnikami, psiarczykami. Czasem pan czy pani wielkiego dworu łaskawie zamienili z nim parę słów, z przyjemnością patrząc na tę twarz słoneczną, wymowny głos, zwinne ruchy. Poznawał też do gruntu przyrodę, obyczaje ptaków

i zwierząt, gatunki drzew i roślin; przez wiele miesięcy obserwował gniazdo, najpierw jego budowę, potem wykluwanie się piskląt jaskółek, które ulepiły sobie gniazdo okapem pewnego dworu, gdzie Will często przyjeżdżał. W ćwierć wieku później wykorzystał swoje obserwacje, wkładając w usta szlachetnego Banka w „Makbecie” taki opis:

*„...gość wiosenny,
jaskółka, ówdzie u blank się gnieźdźca,
wskazuje swoim pobytem, że niebo
tchnie tu przyjaźnie: nie ma gzymsu, łuku,
zakąta, gdzie by ten ptak nie przyczepił
dla piskląt swoich wiszącej kołyski.
Zauważyłem, że gdzie te ptaszyny
najchętniej goszczą, tam powietrze bywa
najczystsze.”*

Ale stan interesów Johna Szekspira tak był zagmatwany, że wszelkie dobre chęci i starania chłopca na nic się już zdać nie mogły. Znowu trzeba było sprzedać pewne nieruchomości i nadal wierzyciele naciskali.

Zaciągano nowe pożyczki, by spłacić stare długi, a lichwiarze wyciskali coraz wyższe odsetki, wiedząc o trudnej sytuacji byłego ławnika i burmistrza. Niegdyś dostatnio urządzony dom z wolna pustoszał: to ten, to znów inny cenny sprzęt znikał, zabrany przez komornika.

Coraz rzadziej też goście odwiedzali Johna i Mary Szekspirów. Will wcześniej pojął, że dostatki przyciągają licznych znajomych, a złe czasy ujawniają prawdziwych przyjaciół, chociaż w zmniejszonej liczbie. Ale chłopcu brakło wesolej kompanii sąsiadów, którzy – choć często plotkarze i naiwni głupcy – gawędzili o strasznych czarownicach, pływających w sienie po morzu, wznecających burze i dzierzących losy marynarzy w drapieżnych szponach. Brakowało mu gadatliwych sąsiadek, które opowiadały, jak Robin Goodfellow, psotny duszek, wypijał im jajka, kwaszył śmietanę w dzieży tak, że nie można było masła ubić, albo szczypał leniwe dziewczęta służebne, zgarniające śmiecie w kąty czy pod szafę. Tymi wspomnieniami miał później czarować publiczność, tworząc postać Puka w „Śnie nocy letniej”.

Ale boleśniej dotknęły młodzika, który tak wcześnie stanął u progu wieku dojrzałego, inne oznaki niestałości tych, którzy się zwali przyjaciółmi za dobrych czasów. Chłopcy, którzy byli towarzyszami jego zabaw, chodzili z nim do lasu, szukali gniazd ptasich i rywalizowali w strzelaniu z łuku, dawni koledzy szkolni, którym pisywał wiersze do ich pierwszych bogdanek – ci wszyscy zaczęli go unikać; na jego widok skręcali w boczny zaułek, wchodzili do bramy albo przynajmniej przechodzili na drugą stronę ulicy. Zdarzało się to coraz częściej, a zwykle przyczyną był zakaz rodziców, którzy nie chcieli, by ich synowie spotykali się z synem i współnikiem człowieka nie wywiązującego się ze swoich zobowiązań. Tylko Ryszard Field wytrwał przy nim, nie dbając o zakazy rodziców.

Ale w roku 1579 stracił i tego wypróbowanego przyjaciela.

Pewnego wieczoru, latem, Will i Ryszard, idąc brzegiem Avonu, zbliżyli się do tej samej kępy wierzb, w pobliżu której spotkali niegdyś rybaka w łodzi.

– Hola! Co tam bieleje?! – zawołał Will.

Pobiegł do brzegu, a Ryszard podążył o parę kroków za nim.

– Na Boga! Dziewczyna – wykrzyknął.

Nie zdjąwszy nawet kubraka, skoczył do wody i wynurzył się obok postaci, którą białe,

zabrudzone suknie utrzymywały na powierzchni rzeki. Chłopiec chwycił za suknie, ale nie zdołał wyciągnąć topielicy.

– Pomóż mi, Ryszardzie!

Ryszard płynął już spokojnie ku niemu. We dwóch wyciągnęli jakoś dziewczynę na brzeg. Will pochylił się nad nią; Ryszard podał mu małe zwierciadełko.

Przysunął je do bezkrwistych warg. Potem podniósł się pomału i odstąpił o krok.

– Nie żyje! – wymówił.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Wiesz, kto to jest? – wykrztusił w końcu Ryszard.

– Oczywiście. Katarzyna Hamlet. Mieszka – to znaczy mieszkała – o parę mil stąd, w Tiddington.

– Co my teraz pocniemy? – zapytał Ryszard.

– Biegnij do miasta, a szybko! – powiedział Will oprzytomniawszy. – Sprowadź kogoś. Kiedy wrócicie, schowam się za tamten wykrot. Nikt nie potrzebuje wiedzieć, że byłeś ze mną. Przyjdź tam do mnie później i opowiesz mi wszystko, co tu będą robili.

Ryszard pobiegł, a Will doznawał dziwnych uczuć, sam z tym ciałem, które niebawem miało się zacząć rozkładać, a jeszcze niedawno było młodą dziewczyną, zdolną do śmiechu, płaczu, miłości – tak, przede wszystkim do miłości! Teraz sobie przypomniał, że gdy przed paru dniami był w Shottery, w interesie ojca, opowiadano mu, że Katarzynę Hamlet ktoś uwiódł i że spodziewa się dziecka.

Rozejrzał się dookoła.

Przeszedł kawałek wzdłuż brzegu, do miejsca gdzie wierzby schylały się nad wodą. Stał patrząc w rzekę i niespodziewanie w wodzie, między odbiciem liści, dostrzegł migotliwe odbicie kwiatów.

Podniósł wzrok i ujrzał zwisający na gałęzi wianek taki, jaki splatają dziewczęta, by sobie przyozdobić warkocze.

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę, ale cofnął się: może zdradziłby swoją obecność, gdyby zdjął ten wianek z wierzby? Na niższych gałązkach drzewa złociły się zaczepione pasma jasnych włosów – takich, jakie miała topielica.

„Musiała wspiąć się tutaj, by powiesić wianek – pomyślał – i może pośliznęła się, spadła? Ale po co miałyby wieszać wianek?

Obląkana? Może splotła sobie wieniec i rzuciła się do rzeki?

Któż to odgadnie? Biedna dziewczyna!”

Tajemnicza tragedia wryła mu się w pamięć jak miedzioryt wyżarty kwasem na metalowej płycie. I jak odbitka pojawiła się w „Hamlecie”, gdy królowa opowiada o śmierci biednej, obląkanej Ofelii.

Will leżał za wykrotem i przyglądał się, jak zabierano ciało Katarzyny Hamlet. W godzinę później Ryszard wrócił i szeptem rozmawiali przez chwilę o zmarłej. Wreszcie Ryszard rzekł:

– Cały wieczór dzisiaj chciałem ci coś powiedzieć, ale jakoś nie było sposobności...

– No, to mów!

– Wyjeżdżam. Jadę do Londynu.

– Wiedziałem, że pojedziesz – odrzekł Will. – Jak coś zapowiesz, to zawsze dotrzymasz.

Ale kiedy jedziesz?

– Na jesieni będę już w Londynie. Mam zostać czeladnikiem u majstra drukarskiego.

– Dobrze ci się wszystko układa – rzekł bez entuzjazmu Will. – Ale mnie będzie ciebie brak! –

Przewrócił się na trawie i szturchnął przyjaciela pięścią w plecy. – Przywykłem do ciebie, stary łobuzie!

– I mnie nigdzie nie będzie całkiem dobrze bez ciebie – stwierdził rzeczowo Ryszard. – Ale ty niebawem przyjedziesz także do Londynu, co?

– Wiesz, nie zanosi się na to.

– Chyba nie masz zamiaru zostać na całe życie rękawicznikiem? Wart jesteś czegoś lepszego.

– Ale jak mam się z tego wykręcić, zważywszy, w jakim stanie są interesy ojca?

– To jeszcze jeden powód więcej, byś stąd wyjechał – odparł Ryszard. – Nie możesz zaczynać własnego życia z cudzym kamieniem młyńskim uwiązany u szyi. Czego możesz się w ogóle spodziewać w takich warunkach? I czy w tym wytrwasz?

– Jeśli już o to chodzi, to ja nawet dosyć lubię moją pracę.

Wyjeżdżam dużo, wciąż jestem na wsi, w drodze. A przyszłość? No cóż, wiesz dobrze, czym chciałem być...

– Miałeś napisać poemat.

Zabierz się do tego. Pewno ci to zajmie parę lat, zanim nadasz mu tę doskonałość, jaką chciałbyś w nim widzieć. A ja przez ten czas zostanę wyzwolonym mistrzem drukarskim.

– W każdym razie możesz już teraz zawrzeć ze mną umowę na wydrukowanie mojego pierwszego wielkiego poematu. Zgoda?

Ryszard kiwnął głową i obaj chłopcy wstawszy, uroczyście uścisnęli sobie ręce. Ale Will myślał nie o poemacie, lecz o wędrownych aktorach i o tym, że kiedy deklamował przebrany za dziewczynę, umiał zmusić do płaczu publiczność.

Czas mijał, a Will tęsknił za przyjaźnią i towarzystwem Ryszarda i coraz dotkliwiej odczuwał pogłębiającą się nędzę domu rodzicielskiego. Nikt w rodzinie nie głodował, to prawda – głównie zresztą dzięki wysiłkom Mary. Ale znikły ze stołu różne przysmaki razem z cenniejszymi sprzętami. John Szekspir narzekał coraz częściej na to, co nazywał swoim pechem, i coraz bardziej pogarszał położenie hazardowymi spekulacjami. Wciąż kupował coś nierozważnie, wbrew gorącym sprzeciwom Willa, w nadziei na nadzwyczajny zysk, i musiał sprzedawać ze stratą. Wcale też sytuacji materialnej rodziny nie poprawiło urodzenie się jeszcze jednego, spóźnionego dziecka, Edmunda, który przyszedł na świat w roku 1580.

Will pracował coraz bardziej mechanicznie, bez zapału. Zdawał sobie sprawę, że wszystkie jego wysiłki nie na wiele się przydają. Jeśli sprawy wyglądały choć trochę lepiej, jeśli Willowi powiodło się zarobić, ojciec natychmiast wpadał w entuzjazm, który nieodmiennie kończył się jakimś nowym wariackim projektem, z góry skazanym na porażkę. Dawniej wieczorami – jeśli nie gadał z Ryszardem – Will przesiadywał w warsztacie albo w którymś z ojcowskich składów, przycinając skóry, krając, układając, licząc, sortując lub odrzucając gorsze gatunki; teraz wieczorami wychodził, zabawiał się z najgorszymi łobuzami, których rodzice nie dbali o to, z kim ich synowie się zadają. Razem popijali piwo w nadmiernych ilościach i wyszukiwali w wioskach dziewczęta o takich obyczajach, że przeraziłyby matkę Willa, gdyby je poznała.

Will był podówczas przystojnym, pięknie zbudowanym młodzieńcem średniego wzrostu o brązowych włosach i ciemnych oczach, zamyślonych i zarazem pełnych humoru; miał prosty nos i pełne, zmysłowe usta; poruszał się z wrodzonym wdziękiem i godnością. Dziewczęta w całym hrabstwie oglądały się za nim z westchnieniem, gdy przejeżdżał na kasztance, i myślały sobie, że przyjemnie by było, gdyby dla nich napisał jeden z tych wierszy, które podobno układał tak zgrabnie. Zresztą nie te wdychające dziewczęta osiągały swoje cele, tylko śmiało okiem toczące latawice, którym wcale nie przeszkadzało, że pełen temperamentu chłopak liczył sobie zaledwie szesnaście lat.

Ale młodość musi się wyszumieć i Will dopiero w trzydzieści lat później, gdy pisał „Zimową powieść”, włożył w usta starego pasterza słowa potępiające ten okres:

„Chciałbym, żeby nie było przedziału między dziesiątym a dwudziestym trzecim rokiem życia albo przynajmniej, żeby młodość go przespała, bo w całym ciągu tego pośredniego czasu widzimy tylko uwiedzione dziewczyny, pokrzywdzonych starców, kradzież i bijatyki.”

Wśród dziewcząt oglądających się za młodym szalawią znalazła się wszelako jedna poważniej myśląca, która dostrzegła w młodzieńcu zapowiedź nieprzeciętnych możliwości. Tę dziewczynę Will chciał poślubić i byłby ją poślubił, gdyby był umiał lepiej panować nad swymi namiętnościami.

W odległej o trzy mile od Stratfordu wiosce Temple Grafton żył zamożny gospodarz nazwiskiem Geoffrey Whateley.

Handlował od dawna z ojcem Willa, a chociaż wiedział, jak wszyscy w okolicy, o kłopotach Johna Szekspira, nie zaszło jednak na razie nic, co by przeszkodziło ich dobrym handlowym stosunkom. Will jeździł już wielokrotnie do gospodarstwa Whateleyów i parę razy spotkał tam szczupłą, drobną dziewczynę o słodkiej twarzyczce. Will spostrzegł, że ta jego rówieśnica przyglądała mu się uważnie wielkimi, błękitnymi oczami: próbował więc śmiałym spojrzeniem podchwycić jej wzrok. Ona jednak spuszczała powieki, odwracała się i odchodziła.

Aż pewnego deszczowego popołudnia wiosennego, gdy podjechał błotnistą drogą wiodącą do ich domu, dziewczyna wyszła na ganek.

– Ojca nie ma w domu – powiedziała melodyjnym, łagodnym głosem.

Will doznał dziwnego uczucia – opuściła go zwykła pewność siebie. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego całą wdzięczną twarzyczką podniesioną ku niemu.

Willa ogarnęła taka nieśmiałość, że zaczął się złościć sam na siebie. Po prostu jąkał się i mówił bez ładu i składu:

– W takim razie... to znaczy... pewno muszę... najlepiej pojedę sobie!

Ze zgrozą zorientował się, że się czerwieni gorącym rumieńcem.

Policzki tak go paliły, że pomyślał, iż krople deszczu muszą chyba syczeć, dotknąwszy ich, jak na rozpalonej blasze.

Jego rumieniec kazał dziewczynie spuścić oczy, ale miętosząc chusteczkę cienkimi palcami, powiedziała:

– Deszcz pada. Może wstąpisz na chwilę? Mogę cię poczęstować kuflem piwa.

Nie zastanawiając się wcale, że to właściwie jej matka powinna była go zaprosić, Will zeskoczył z kasztanki w mgnieniu oka i przywiązał ją do słupa na dziedzińcu. Dziewczyna odwróciła się, by wejść z powrotem do domu, a na progu rzekła doń przez ramię, z nieśmiałym wdziękiem:

– Wejdz, proszę...

– Ale moje buty... – zaprotestował słabo; istotnie, jego wysokie buty do konnej jazdy były fatalnie zachlapanie błotem.

Dziewczyna znowu zwróciła się do niego i uważnie spojrzała na buty.

– Nic nie szkodzi – powiedziała. – Pójdziemy do kuchni. Tam twoje buty nie będą nikomu przeszkadzały, a przy tym wysuszysz się trochę przy ogniu.

– W takim razie wejdę od strony kuchni! – zawołał Will i obiegił dom wokoło, przy czym zabłocił sobie buty jeszcze bardziej.

Czekała już na niego przy kuchennym wejściu. Will zdjął kapelusz i obracał go w rękach, rozglądając się po obszernej kuchni o bielonych ścianach, po lśniących ciepłym połyskiem miedzianych rondlach, patelniach i półmiskach. Szukał pani Whateley, by ją przywitać, ale ujrzał tylko dziesięcioletniego brata dziewczyny, który bąknąwszy „dzień dobry”, z powrotem wetknął nos

w kubek z mlekiem. Will spojrzął pytająco na młodą gospodynię.

– Nikogo więcej nie ma w domu – powiedziała.

Gdyby mu wręcz oznajmiła, że go kocha, nie mogłaby w tej chwili bardziej Willa zdziwić i uszczęśliwić.

Chłopiec dopił resztę mleka, odstawił kubek i zapytał siostrę:

– Czy mogę pójść do moich królików?

– Idź, tylko szybko przebiegnij przez podwórze, żebyś nie zmókł – zgodziła się dziewczyna.

Zachowywała się jak doświadczone, troskliwa i gościnna gospodyni. Wzięła kapelusz od Willa i powiesiła go na haku, po czym zabrała jego płaszcz i zarzuciwszy go na wieszak do ubrań, przysunęła blisko do ognia, wesoło płonącego w kominie. Potem przyniosła mu parę pantofli i mimo jego gorących protestów kazała mu zdjąć buty, aby lepiej wyschły. Will nie rozglądał się teraz, jak to zwykle robił w każdym domu, obserwując wszystkie szczegóły urządzenia i sprzętów. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku ze zręcznej postaci dziewczyny, gdy krzątała się po kuchni.

– Chcę, żebyś wiedział, iż umiem podejmować gości nawet wtedy, kiedy mnie mama nie pilnuje – rzekła uśmiechając się i postawiła przed nim na stole, zasłanym czystym obrusem, miedziany kufel i dzban z piwem.

– Ja myślę, że ty z pewnością wszystko umiesz – odparł i gotów był kopnąć się za własną nieporadność.

Dziewczyna przyniosła chleb, masło i ser i usiadła naprzeciwko za stołem z kubkiem gorącego mleka.

– Na imię mi Anna – rzekła. – I to właściwie wszystko, co można o mnie powiedzieć. Ale ty mi opowiedz o Willu Szekspirze, bo słyszałam, że jest bardzo niedobrym chłopcem.

Roześmiał się patrząc, jak z komiczną powagą potrząsnęła głową, i nagle opuściła go całą nerwowość i skrzepowanie.

Siedzieli więc i rozmawiali, a raczej on mówił, a ona tylko wtrącała od czasu do czasu słowa zachęty. Will opowiadał o swym domu i rodzinie, a ona ułatwiała mu zadanie, mówiąc, że wie o trudnościach finansowych ich przedsiębiorstwa. Opowiedział jej o swojej pracy, o silnym postanowieniu odbudowania fortuny ojcowskiej, o tym, że marzył, aby w tym celu pojechać do Londynu i zostać aktorem.

– To ci będzie trudno zrobić – powiedziała. – Panu Szekspirowi potrzebna jest pewno twoja pomoc. Może pomyśleć, że uciekasz z tonącego okrętu, jak powiadają marynarze.

Każde jej słowo brzmiało mu w uszach jak najpiękniejsza melodia.

– Kłopot polega na tym – tłumaczył – że cokolwiek bym tu zdziałał, niczego zasadniczo nie zmienię. Chciałbym coś zrobić na własną rękę, a nie tylko powtarzać zajęcia i zawód mego ojca.

– Tak, powinieneś na własną rękę coś zrobić – zgodziła się Anna. – Każdy człowiek powinien sam naciągać cięciwę swego łuku i strzelać do własnego celu.

– Kto by pomyślał, że w parze z tą ładną główką będzie szedł talent do takich zręcznych metafor? – rzekł Will odzyskując nareszcie swoją do tej pory niezawodną umiejętność prawienia gładkich komplementów.

– Nie zaprosiłam cię do kuchni po to, byś mi schlebiał – powiedziała, ale zarumieniła się i schyliła głowę.

– By dowieść moich honorowych intencji, powinien bym poczekać na powrót pani Whateley – rzekł.

– Ale moja odzież wyschła, a mam jeszcze długą drogę przed sobą.

Muszę cię więc pożegnać.

Nie chciał, by czar tego popołudnia przerwały oficjalne, sztywne powitania. To wspomnienie musi pozostać nietknięte, nikomu nie znane, aż do... aż do następnego razu.

– Żałuję, że nie potrafiłam zająć cię tak, byś zapomniał o mijającym czasie – rzekła z uprzejmą gościnnością, ale i z łobuzerskim uśmiechem.

– Piękna panno Anno, to bardzo z twojej strony niesprawiedliwe, tak źle mnie rozumieć.

– Ponoć niesprawiedliwość jest zwykłą wadą dziewcząt.

– Między nami nie ma miejsca na żadne niesprawiedliwości – odrzekł wstając i dopinając płaszcz. – Tylko na szczere uczucia.

Wstała, podniosła ku niemu głowę i w jej uśmiechniętych oczach zabłysło coś jakby łza.

Tej nocy, gdy Gilbert zasnął w wielkim łóżku, w którym obaj chłopcy razem sypiali, Will zaczął pisać przy migotliwej świeczce sonet do łzy, która zdradziła mu tkliwe uczucia dziewczyny.

Rozdział III

– Pewno, że Will jest bardzo jeszcze młody – przyznała Mary Szekspir. – Ale mógłby szukać daleko, zanimby znalazł zaciejszą dziewczynę. Wolałabym ją na synową od wszystkich innych. A wychowana jest praktycznie i bardzo mi w domu pomoże.

Jej mąż, jak zwykle niekonsekwentny, nie kłopotał się kosztami, jakich musiał przysporzyć projektowany ożenek najstarszego syna, który na razie nie miał żadnych widoków na zdobycie lepszych środków zarobkowania.

– Ustatkujesz się przynajmniej – rzekł pogroziwszy na wpół żartobliwie palcem Willowi.

– Bardzo to zacnie z waszej strony, kochani rodzice – rzekł Will gorąco. Bał się stanowczego sprzeciwu. – Chciałem powiedzieć, że nie zamierzam zwiększać jeszcze waszych kłopotów. Znajdę sobie jakąś pracę, żeby opłacić Anny i mój udział w wydatkach domowych.

Ojciec obruszył się na to.

– Co? A jak ja sobie dam radę?

Polegam na tobie, Willu.

– Teraz Gilbert może zająć się tym, co ja robię – odparł Will.

– Jest już dosyć duży i bystry, i ma spryt do handlu. Sam to nieraz mówiłeś, ojczy. Na objazd pojedzie parę razy ze mną, a w warsztacie ojciec mu pokaże, co i jak. Jeszcze będzie ojciec rad z tej zmiany.

John Szekspir zamruczał coś pod nosem, a jego żona spytała:

– A cóż na to Whateleyowie?

– Nie wiem jeszcze. Musiałem najpierw mieć wasze zezwolenie, zanim pomówię z panem Whateleyem. Zdaje się, że mnie dosyć lubią.

– Stary Whateley wychwalał cię wczoraj na targu – wtrącił John Szekspir. – Oponował komuś, co pokpiwał, że nie masz żadnego własnego zawodu.

Wzajemne uczucie Willa i Anny szybko dojrzało.

„Jak cztery róże kwitnące ich usta

w swym się wiosennym blasku całowały...”

(„Tragedia Ryszarda III”)

Jej rodzice chętnie witali Willa, chociaż Geoffrey Whateley, człowiek praktyczny i doświadczony, nalegał, by młodzieniec wyruszył w świat na zdobycie fortuny.

– Zechcesz się może ożenić pewnego dnia – mówił z niewinnym wyrazem twarzy. – A wtedy zapragniesz samodzielności.

Sprawy twego ojca mnie nie obchodzą, ale... Widzisz, gdybym ja był na twoim miejscu, rozejrzałbym się po świecie, gdzie musi się znaleźć jakieś ciekawsze zajęcie i bardziej zyskowne dla energicznego i niegłupiego młodzieńca. Wtedy byś mógł swojej przyszłej żonie ofiarować dostatek i lepszą przyszłość niż tu, trzymając się zawodu ojcowskiego i ciągnąc za sobą ciężar zagnatwanych spraw i długów.

W tym samym więc duchu mówił Will, jękając się z przejęcia, gdy pod dachem Whateleyów prosił o rękę Anny.

– Nic nie mam przeciwko tobie, mój chłopcze – odparł stary Whateley. – Nie mam ci za złe, że ponoć hulaleś sobie od czasu do czasu. Ja też byłem kiedyś młody... – Tu Whateley, który był tęgi i ogromnego wzrostu, aż dziwić się przychodziło, jakim sposobem tak wielki mężczyzna spłodził tak małą córkę, wykrzywił połowę ogorzałej twarzy w porozumiewawczym uśmiechu. – Ale...

Do serca Willa zakradł się mrozący chłód. Uznał, że najlepiej będzie uprzedzić groźbę zawartą w tym małym słówku.

– Będę szukał innych sposobów zarobkowania – rzekł pośpiesznie. – Chciałbym, żeby Anna mogła żyć w takich warunkach, do jakich przywykła.

– Mało prawdopodobne, żeby ci się to od razu udało – odparł ojciec dziewczyny. – I nie widzę nic złego w tym, że młoda para musi skromniej żyć na początku. Ale... musisz mieć korzystne perspektywy. Kiedy to nastąpi, dostaniesz moją córkę, chłopcze, z moim błogosławieństwem. Miałem inne plany dla niej. W Warwick mieszka pewien dobrze prosperujący prawnik... Lecz nie będziemy o tym mówić. Gdy chodzi o moją córkę, jestem może starym głupcem, ale najwięcej mi zależy na tym, żeby była szczęśliwa.

– Jeśli musimy czekać, to będziemy czekać – rzekł młodzik zrezygnowany. – Postaram się znaleźć sobie pracę...

– Słyszałem, że chciałeś być kiedyś aktorem? – zapytał stary Whateley.

– Takie ambicje mógłbym urzeczywistnić tylko w Londynie – odrzekł Will, a w jego głosie zabrzmiał odcień rozpacz. – A prócz tego wyobrażam sobie, że to niezbyt odpowiednia profesja dla waszego zięcia.

– Dlaczego nie? – odparł Whateley. – Nie jestem purytaninem. Z tego, com słyszał od wędrownych kompanii, jak na przykład od Jamesa Burbage, który stoi na czele „Sług Hrabiego Leicestera”, powodzi im się nie najgorzej w dzisiejszych czasach. A co do wyjazdu do Londynu... no, a gdzie indziej młodzi mają szukać fortuny?

Jedź. Próbuuj swoich sił. A gdy staniesz na własnych nogach i będziesz miał dobre widoki na przyszłość, wtedy, powtarzam, dam ci Annę z błogosławieństwem.

I nie bój się, dziewczyna będzie czekała na ciebie. Mogę ci to zagwarantować. Ona całkiem zwariowała przez ciebie i te twoje wiersze.

Ale na tę propozycję nie chciała się zgodzić Mary Szekspir, a i Anna obawiała się, że rozłąka może okazać się rozstaniem ostatecznym. Will przypomniawszy ukochanej jej słowa, iż każdy powinien sam naciągać własny łuk i strzelać do własnego celu. Jedynk wbrew tym słowom i Will, znalazłszy prawdziwą miłość, nie kwapił się do tego, by się z nią rozstać.

Pisał wiersze podobne do tych, w których później Valerio w „Dwóch panach z Werony” opłakiwał swoje rozstanie z Sylwią:

*„Jakiż blask blaskiem, gdy Sylwii nie widzę,
rozkosz rozkoszą, gdy jej nie ma przy mnie?*

.....
*Jeśli przy Sylwii nie będę z wieczora,
już śpiew słowika zda mi się bez dźwięku... ”*

Will błąkał się po ścieżkach, polach, lasach, nad brzegiem rzeki przez wiele dni i niejedną noc, rozmyślając, usiłując powziąć decyzję. Jeśliby go matka albo Anna namawiały do wyjazdu, byłby

wyruszył od razu.

Ale obie starały się go zatrzymać. Jednego dnia dochodził do przekonania, że szanse sławy, fortuny i zdobycia narzeczonej warte są wszelkiego ryzyka, warte nawet gniewu matki. Zresztą, jeśliby mu się powiodło, gniew ten szybko by przeminął. W nocy po takim dniu spał dobrze, postanowiwszy jechać do Londynu najpierwszą okazją – może jakim wozem kupieckim – a jeśli nie, to choćby iść pieszo. Następnego dnia Anna wypłakiwała mu się na ramieniu, błagając, by jej nie porzucił, i całe jego postanowienie rozplątywało się w jej łzach. Albo też gdy Anna, połykając łzy, zgadzała się na jego wyjazd, matka protestowała:

„Nie dam sobie rady bez ciebie, Will” – i znowu jego postanowienie kończyło się na niczym.

Miesiące upływały. Ryszard Field, który przyjechał na krótki wypoczynek do domu, nalegał i namawiał jak mógł, by Will zaczął nowe życie w Londynie.

Miłość do Anny, uwielbienie jej wdzięcznej niewinności pohamowały skłonności Willa do latania za spódniczkami. Ale też ciągle obcowanie z ukochaną dziewczyną rozpałiło jego zmysły do stanu wrzenia – i tak tego lata roku 1582 rozegrała się pierwsza tragedia jego życia.

Przy gościńcu do Temple Grafton, o milę od Stratfordu, znajdował się mały przysiółek zwany Shottery, gdzie mieszkała rodzina Hathawayów, dawnych przyjaciół Johna Szekspira, który niegdyś – w dwa lata po przyjściu na świat Willa – zaręczył za nich, gdy zaczęli pożyczkę. Dom Hathawayów był duży, z czarnymi belkami na bielonych ścianach, kryty strzechą, z wysokimi kominami i pięknym ogrodem. W roku 1581

Ryszard Hathaway, ojciec rodziny, zmarł. Pozostawił ziemię najstarszemu synowi, Bartłomiejowi, a na wiano dla najstarszej córki – Anny – zapisał niewiele ponad sześć funtów szterlingów, to znaczy ledwie tyle, by starczyło na kupienie skromnej wyprawy.

Will znał rodzinę Hathawayów i znał Annę, która była starsza od niego o osiem lat, niebrzydka, kruczowłosa, z orzechowymi oczami, ale o wąskich wargach i nieładnej cerze. Młodych ludzi, którzy się do niej zbliżali, odstraszał jej zaborczy charakter. Licząc już dwadzieścia pięć lat, Anna Hathaway postanowiła sobie za żadną cenę nie zwiednąć w staropanieństwie. Nieraz próbowała uwodzić Willa, ale ten, nawet za swoich szalonych dni, wołał milsze od niej dziewczęta. Pozartował sobie z nią czasem i szedł w swoją drogę.

Tego lata, w rok po śmierci starego Hathawaya, Mary Szekspir poleciła synowi zanieść – po drodze do Anny Whateley w Temple Grafton – wiązkę ziół, których pani Hathaway nie miała w swoim ogrodzie. Śpiesząc do swojej Anny, Will minął gospodarstwo Hathawayów, postanowiwszy wywiązać się z polecenia w powrotnej drodze. W Temple Grafton godziny mijały jak z bicza trzaśł. Zakochani rozprawiali o swoim małżeństwie, układali plany, aż Will, rozgorączkowany, nie ufając sobie, wcześniej pożegnał się z ukochaną i ruszył w drogę powrotną. Wstąpił do Shottery, oddał zioła, zamienił kilka uprzejmych słów z panią Hathaway i poszedł dalej w zapadającym zmroku.

– Will! Will! – zabrzmiał nagle głos Anny Hathaway. – Zaczekaj na mnie!

Przystanął. Dziewczyna przybiegła, zdyszana.

– Widziałam, jak szedłeś po południu w tamtą stronę. I wiem, gdzie szedłeś i do kogo.

Zarozumiałe nic dobrego z tej Anny Whateley i nosa drze jak nikt, ale na nic się nie zda mówić ci o tym. Nie uwierzysz.

– Sam wiem i nie potrzebuję słuchać cudzego zdania – odparł i ruszył dalej.

– Ależ, Will! Czekałam tu umyślnie na ciebie. Chcę ci coś pokazać, tam w zagajniku. Lubisz

ptaki? Takie śliczne gniazdko! A ja nawet nie wiem, jak się te ptaki nazywają. Chodź!

Chwyciła go za rękę i pobiegli razem. Will się zaciekawiał – gniazdko warte było chwilki czasu. Przedarli się przez krzaki i na skraju małej polanki ukrytej w środku zagajnika, Anna przyklęła i zaczęła rękoma rozsuwać wysoką trawę. – Chodź do mnie... – szepnęła.

Will przyklęł obok dziewczyny. Szybko objęła go za szyję i zanim uchwycił równowagę, przewróciła go na trawę. Szeptala namiętne, bezładne słowa o tym, jak go kocha. Szarpnął się, chciał się jej wyrwać, ale trzymała go, aż jego własne, rozpalone zmysły, jego tęsknota za Anną Whateley przysłała na pomoc w tej chwili Annie Hathaway.

W godzinę później Will, przerażony, wpadł nareszcie do swego pokoju. Co uczynił? Jak będzie mógł spojrzeć znowu w czyste, niewinne oczy swojej Anny? I co jeszcze może z tego wyniknąć? Och, Boże, tylko nie to! Musi wyznać wszystko Annie.

Albo nie, przenigdy! Nigdy Anna nie powinna się o tym dowiedzieć! A jeśli ta dziewczka od Hathawayów zagrozi wyjawieniem wszystkiego własnej matce i braciom? Cóż za gmatwanina! W co on się wpakował? I co za głupiec z niego! A może to prawda, że kto raz wszedł na złą drogę, zawsze już na tej drodze pozostanie?

Nie wszedł na kolację, wymówił się bólem głowy. Leżał na łóżku, twarz ukrywając w pościeli. Całe szczęście, że przynajmniej Gilberta nie ma – wyjechał na wieś, do rodziny matki. Z oczu popłynęły mu łzy – najboleśniejże łzy ze wszystkich, łzy wstydu, gorzkości, upokorzenia... Wątpliwości, trwoga, przerażające perspektywy goniły jedne za drugimi w jego umyśle. Na jedną godzinę, na jedną tylko godzinę zapomniał o swojej prawdziwie ukochanej... A miał żałować tego przez całe życie.

Przez kilka dni Will chodził, poruszał się, pracował jak człowiek w gorączce.

Automatycznie wykonywał codzienne obowiązki i popełniał idiotyczne pomyłki. Gdy mu robiono wymówki, patrzył tępym, nie rozumiejącym wzrokiem, tak że farmerzy, do których zajeżdżał, spojrzawszy na niego ze zdziwieniem, mówili później swoim żonom, że młodego Willa musiało chyba słońce porazić.

Nie pokazywał się w Temple Grafton. Odzyskując stopniowo zdolność jasnego myślenia, oskarżał się coraz surowiej za brak opanowania i coraz bardziej obawiał się konsekwencji swojego szaleństwa.

Ale gdy minął tydzień, zaczął mu wracać młodzieńczy optymizm.

Czyż nie był mężczyzną i czyż mężczyźni nie mieli prawa używać życia, swobody, brać rozkoszy tam, gdzie można było ją znaleźć? Do tej pory zawsze mu się udawało – czemu tym razem miał mieć pecha? Wreszcie – idąc polami, by ominąć Shottery – poszedł do Temple Grafton. Był niespokojny, zmieszany, ale jego wrodzony talent aktorski przyszedł mu z pomocą. Tłumaczył się, że nie przychodził z powodu nawału pracy... Dotknięcie ręki Anny wywołało na jego twarzy gorący rumieniec wstydu. Ale i to potrafił ukryć, aż wreszcie się opanował. Życie znowu nabrało uroku; nadzieja obudziła się w jego sercu: byle tylko mógł jakoś rozwiązać ten węzeł.

Ale Will nie znał jeszcze Anny Hathaway. Nie uwiodła go ona w chwili uniesienia zmysłów.

Zrobiła to świadomie, a celem jej było małżeństwo. Wiedziała, że Will był wrażliwy na wdzięki niewieście, słyszała o jego eskapadach, wydał się jej zatem łatwą zdobyczą. Był trochę zbyt młody na męża i jego zarobki nie obiecywały dostatków, ale lepszy taki mąż niż żaden. Tamtego pamiętnego

wieczoru Will uciekł od niej bez słowa. A teraz w ogóle się nie pokazywał.

Anna Hathaway czekała niecierpliwie. Gdy minął miesiąc, zaczęła czatować na Willa w pobliżu Temple Grafton, kryjąc się starannie, żeby jej nikt nie zobaczył. Gdy nareszcie Will się zjawiał, zatrzymała go.

– Chodźmy do zagajnika – zaczęła.

– Nigdy więcej – odparł przyspieszając kroku.

Czepiała się jego ramienia, biegnąc prawie.

– Ale muszę ci coś wyznać – nalegała.

– Nie mam chęci słuchać!

– Musisz wysłuchać – odrzekła chwyciwszy go oburącz za rękaw.

Strach, o którym chciał zapomnieć, chwycił go nagle za gardło. Patrzył na nią tępo.

Była starsza od niego, a teraz wydawała mu się większa. W nieprzytomnej wizji widział ją jako olbrzymkę, z wolna, ale nieuchronnie odpychającą w cień, w nicość, drobnutką postać jego ukochanej. Gdy oprzytomniał, napadła go chęć uduszenia jej własnymi rękoma. Ale ta chwila minęła od razu – przez całe życie miał cofać się przed aktami przemocy.

I znowu Will męczył się i chodził jak obłąkany. Nigdy się nie wyrzeknie Anny Whateley! A musi się ożenić z Anną Hathaway... Ale nie, za nic nie poślubi tej, która go złapała w pułapkę. Musi znaleźć jakieś wyjście, jakieś rozwiązanie. Ale jakież może tu być uczciwe, honorowe rozwiązanie? Znajdzie kogoś, kto się z Hathaway ożeni.

Uśmiechnął się z goryczą. Któż by chciał?... Ale co będzie z Anną Whateley? Nie potrafi żyć bez niej. Co za szkoda, że nie był na królewskim dworze. Tam ponoć mężczyzna mógł mieć i żonę, i kochankę. Na dworze.

Oczywiście – w Londynie. Tym razem nie będzie się już zastanawiał. Do Londynu! Będzie aktorem, zdobędzie sławę...

Młodzięcza wyobraźnia rozwinęła przed nim dzieje wspaniałej kariery aktora, grającego pierwsze role w tragediach i komediach, podziwianego przez cały Londyn – aż nagle zdał sobie sprawę, że w tym obrazie błyszczącej przyszłości zabrakło miejsca dla Anny Whateley.

Od kiedy postanowił wyjechać, Will widywał od czasu do czasu Annę Hathaway, by łagodzić jej obawy i podejrzenia. Oszukiwanie jej sprawiało mu nawet satysfakcję; natomiast odwiedziny w Temple Grafton były udręką, gdyż ukrywając swój haniebny sekret przed Anną Whateley, czuł się po prostu nikczemnikiem. Wiedział już bez żadnych wątpliwości, że będzie ojcem. Nadeszła godzina. Teraz musi zaryzykować – inaczej wszystko utraci.

– Postanowiłem jechać do Londynu i wstąpić do trupy aktorskiej – powiedział.

– Ach, Willu, przecież powiedziałeś, że nie pojedziesz! – zaprotestowała.

– Jeśli pozostawimy sprawy własnemu losowi, nigdy się nie pobierzemy. Twój ojciec ma słuszną rację. Muszę wyprawić się na zdobycie fortuny – mówił stanowczym tonem.

Anna zaczęła płakać i Will poczuł, jak jego stanowczość rozplywa się w jej łzach. Ale tym razem musi wytrwać. Myśl o strasznej alternatywie dodała mu energii.

– I kiedy chcesz jechać? – pytała Anna załamując ręce.

– W ciągu miesiąca. Gdy się wreszcie zdecydowałem, nie będę zwlekał.

– Wyjdę za innego, kiedy ty będziesz w Londynie – zagroziła.

– Pobierzemy się, zanim wyjadę – oznajmił.

– Co? Ależ ojciec nigdy na to nie zezwoli!

– Popłacz mu na ramieniu – uśmiechnął się Will.

Wprawdzie wyrażał raczej nadzieję niż pewność, jednakże okazało się, że miał rację.

Wobec łez córki energiczny olbrzym ustąpił jak byle słabeusz.

– Więc dobrze, niech będzie po Bożym Narodzeniu – zgodził się.

– Kiedy my nie możemy tak długo czekać – błagała znowu Anna. – Will chce jechać zaraz...

– Tyle czasu trwało, nim się zdobył na decyzję, a teraz taki gwałt – burczał stary Whateley mrugając do Willa nad głową przytulonej do niego córki.

– Nie zdąży się już dać na zapowiedzi przed adwentem, a w adwencie przecież nikt wam ślubu nie da – przypomniawszy malutka pani Whateley.

– Możemy dostać specjalną dyspensę – rzekł Will.

– To będzie wyglądało na kompromitujący pośpiech – odezwała się znowu pani Whateley.

– No, powód okaże się jasny, gdy Will wyjedzie – powiedział pan Whateley. Jeżeli się zgadzał na małżeństwo, to już bez zastrzeżeń.

Zdobywszy zgodę Whateleyów, Will natarł na swoich rodziców z taką gwałtownością, że rzeczywiście coś w tym było podejrzanego, i zaraz potem pojechał konno do odległego o dwadzieścia mil miasta Worcester, aby tam, w Sądzie Konsystorskim diecezji, otrzymać dyspensę na poślubienie Anny Whateley bez zapowiedzi.

Uzgodniono, że ślub będzie cichy, zaprosi się tylko najbliższą rodzinę młodej pary; sam Whateley nalegał na to, dowodząc, że woli dać młodym żywą gotówkę niż wyrzucić pieniądze na jedzenie i trunki dla żarłocznych sąsiadów.

Roześmiał się szeroko i dodał:

– Znam ja ich! Myślę sobie, że Geoffreyowi Whateley dobrze się powodzi. Czekają tylko, by wydał córkę za mąż, i już się szykują, by na tym weselu objeść się i upić do nieprzytomności. No, to my ich wystrychniemy na dudków!

Tego dnia, gdy Will pojechał do Worcester – a pogoda była piękna, sucha – i galopował wesoło po trawiastej ścieżce wzdłuż wyboistego gościńca, w Stratfordzie odbywał się targ.

Geoffrey Whateley w oberży „Pod Niedźwiedziem” udowadniał, jaką ma mocną głowę. Zdarzało mu się to. Gdy trunek rozwiązał mu język, zaczął rozpowiadać o bliskim małżeństwie swej córki z młodym Willem Szekspirem.

– A ładniejszej od nich pary nie było w tym Roku Pańskim 1582 przed żadnym ołtarzem w całym hrabstwie Warwick! – wołał. – Za ich zdrowie, moi przyjaciele!

Panie gospodarzu, napełnij nam kufle!

Między tymi, którzy wypili toast i pośpieszyli do domu, by opowiedzieć nowinę, był młody gospodarz z Shottery, Bartłomiej Hathaway.

Otrzymawszy dyspensę, Will poszedł na noc do oberży, w której zwykle zatrzymywali się mieszkańcy Stratfordu, gdy przyjeżdżali do Worcester.

Następnego ranka wcześniej zjadł śniadanie i zapłaciwszy oberżyście, wyprowadził kasztankę ze stajni. Właśnie miał dosiąść konia, gdy na dziedziniec wjechało galopem dwóch jeźdźców. Nie zwróciłby na nich uwagi, lecz jeden zawołał:

– Hej tam, Will Szekspir!

Zaczekaj no. Mam z tobą do pomówienia.

Drugi jeździec zeskoczył szybko z wierzchowca i podszedłszy do Willa, ujął cugle kasztanki. Will powoli wyjął nogę ze strzemienia.

– Dzień dobry, panie Sandells... Dzień dobry, panie Richardson... – wyjąkał. – Nie spodziewałem się...

– Pewno, żeś się nie spodziewał – odparł ostro Sandells, ten, który go zawołał.

– I nie spodziewałeś się, że zaraz wrócisz, z nami znowu do Sądu Konsystorskiego.

– Ja wracam do Stratfordu – rzekł Will głosem zmartwiałym ze strachu.

– Wszyscy wrócimy do Stratfordu, i owszem – zgodził się Sandells. – Ale najpierw pojedziemy do Sądu Konsystorskiego wymazać to, coś tam wczoraj zdziałał, i zrobić to, co ci nakażemy.

– Ale... ja nie rozumiem – skłamał Will.

– Dosiądź kasztanki i jedź z nami. Nie ma potrzeby aby cały Worcester słuchał o naszych sprawach. I nie próbuj żadnych głupstw!

Fulks Sandells, krępy, barczysty, brodaty mężczyzna, był rolnikiem z Shottery, dawnym przyjacielem zmarłego Ryszarda Hathaway. John Richardson również był z Shottery, a różnił się od sąsiada przede wszystkim wyjątkową milkiwością.

Sandells podprowadził swego wierzchowca tuż do kasztanki, gdy Will jej dosiadał;

Richardson puścił cugle i zajął pozycję z drugiej strony klaczy.

Tak wyjechali z dziedzińca, a Will dosłyszał jeszcze, jak jeden ze stangretów mówił do drugiego:

– Ten młody na kasztance coś przeszkrobał. I nie puszcza mu tego płazem. Nie chciałbym sprzeciwiać się temu brodatemu, który gada za dwóch.

Gdy kopyta koni zadudniły na bruku ulicznym, Sandells rzekł:

– Bartłomiej Hathaway usłyszał wczoraj, że chcesz się żenić z Anną Whateley. Gdy jego siostra o tym się dowiedziała, zemdląca.

Jej matka wprędce się dopytała, w jakiej córka jest kondycji i kto temu winien. Posłała po mnie. Najpierw pojechałem do Geoffreya Whateley i powiedziałem mu nowinkę, więc możesz być spokojny, że ta dyspensa, którą masz w kieszeni, na nic ci się nie przyda.

Następnie pojechałem do twego ojca. A później z sąsiadem Richardsonem wyjechaliśmy przed świtem, żeby ciebie tu przyłapać, łobuzie.

Will nie odzywał się ani słowem. Cóż mógł powiedzieć?

Miał nadzieję, że Anna Hathaway dowie się o projektowanym ślubie – za późno. A teraz, gdy ci dwaj starsi mężczyźni znali jego sekret, czuł się upokorzony i zawstydzony.

Wreszcie rzekł, na wpół usprawiedliwiając się, na wpół błagalnie:

– Ona jest starsza ode mnie o osiem lat.

– Powinieneś być wcześniej o tym pomyśleć – odrzekł szorstko Sandells. – Ja bym się nie żenił z kobietą starszą ode mnie, ale zawsze uważałem, żeby nie znaleźć się w takiej sytuacji, kiedy małżeństwo bywa konieczne!

Will stał obok – czując się tak głupio, że najchętniej zapadłby się pod ziemię – kiedy Sandell od omawiał sprawę z pisarzem w Sądzie Konsystorskim.

– Ze względu na wczorajszy zapis – rzekł pisarz – muszę mieć gwarancję, że wszystko jest w porządku.

– Sąsiad i ja zagwarantujemy – odrzekł natychmiast Sandells.

– Czterdzieści funtów szterlingów – zakończył pisarz zmierzwiwszy go złośliwym spojrzeniem, a potem pomału, nosem prawie dotykając papieru, zaczął wpisywać nowe dane do rejestru.

Gdy wszyscy trzej opuścili budynek sądu, Sandellsowi, zadowolonemu z załatwienia sprawy, poprawił się humor.

– Jeśli ktoś zechce studiować księgi tego rejestru, mój ty młody koguciku – powiedział ze śmiechem – teraz czy w przyszłości, ten niewątpliwie podrapie się w głowę nad tym Willem

Szekspirem, który dzień po dniu zapowiada o swoim zamiarze poślubienia dwóch różnych narzeczonych. Tylko że nikogo nigdy nie będą obchodziły sprawy Willa Szekspira!

Popędził konia i pozostawił tamtych dwóch za sobą. A wówczas Johnowi Richardsonowi na chwilę rozwiązał się język:

– To co zrobiłem, uważałem za swój obowiązek wobec rodziny sąsiada i przyjaciela. Ale przyznaję, że mi ciebie żal, mój chłopcze. Anna Hathaway nie jest dla mnie ideałem żony. Boję się, że za swoją nieostrożność drogo zapłacisz.

Will nie odpowiedział. Myślał o tamtej drugiej Annie. Ale nie miał jej już nigdy zobaczyć.

Zaraz po Bożym Narodzeniu poślubiła zamożnego prawnika z Warwick.

Rozdział IV

*„Za lada dziewczką uśmiech jego leci,
a dla mnie tylko westchnienia zostały!
Piękność ma wędnie, dowcip mój blednieje:
smutne to wszystkich zdradzonych żon dzieje.
Na jedno jego spojrzenie miłosne
wszystko odkwitnie jak róże na wiosnę.
Gdy on na obcym szczypie trawę błoniu,
ja schnę jak chwasty w domowym ustroniu.”*

Słowa te wypowiada Adriana, jędzowata żona Antyfolusa z Efezu w „Komedii omyłek”. Ale mogłaby je równie dobrze powiedzieć Anna Hathaway, której gorzkim portretem jest Adriana, w owym okresie między listopadem 1582, kiedy odbył się ich ślub, a ostatecznym wyjazdem Szekspira ze Stratfordu.

Niedobrana para zamieszkała z rodzicami Willa w domu przy ulicy Henley. Anna otrzymała dobre przeszkolenie od swej matki, toteż mogła być użyteczna dla obarczonej nadmiarem pracy teściowej. Ale Mary Szekspir nie polubiła jej i nie okazywała jej serca. Nie umiała przebaczyć kobiecie, która przekreśliła szczęście jej ukochanego, pierworodnego syna. Natomiast John Szekspir stanął po stronie synowej, może tylko na przekór Willowi.

Nie był to więc szczęśliwy dom ani dla Willa, ani dla jego żony. Jak mógł spoglądać z radością na tę, przez którą utracił radość swego życia?

Powrócił do hulank, dając rychło opuszczonej żonie pod dostatkiem powodów do zmartwień i skarg. Anna wymyślała mu, gdy zabałamucił się gdzieś na noc – co się nierzadko zdarzało – a kiedy odpowiadał jej ostro, wpadała w pasję i rzucała się na niego z paznokciami i zębami.

Kiedy indziej znów narzekała na jego nędzne zarobki, złośliwie wymawiała mu brak ambicji, darła jego wiersze, nazywając je śmieciami, które mu tylko kradną czas. Niekiedy u wędrownego przekupnia albo w kramie na targu Will znajdował książkę, której nie mógł się oprzeć i pomimo biedy kupował ją – wówczas Anna zapytywała, czy spodziewa się, że jego żona i dziecko będą jeść papier.

W sześć miesięcy po ślubie przyszła na świat córeczka Zuzanna i Will przez krótki czas okazywał tkliwą czułość zarówno niemowlęciu, jak i żonie. Tym razem Mary Szekspir nieświadomie przeszkodziła zapowiadającej się poprawie stosunków między młodymi małżonkami.

Wszedłszy do pokoju, zobaczyła swego syna zabawiającego malutką córeczkę, która się śmiała do niego, marszcząc buzię.

– Dziwię się doprawdy, że masz serce do niej – powiedziała Mary Szekspir. – Przecież ostatecznie ta mała jest właściwie przyczyną, dla której nie mogłeś poślubić...

Will odwrócił się i wyszedł bez słowa. Myśli podobne do tej, jaką wyraziła matka, przychodziły

mu przez głowę już przedtem, ale kiedy malutka Zuzanna pojawiła się na świecie, zdusił je w sobie. Teraz nagle gwałtowną falą powróciła cała gorycz utraty jedynej dziewczyny, jaką do tej pory kochał. Tego wieczoru nie wrócił do domu; i znowu Anna miała powody skarżyć się, że „schnie jak chwasty” bez jego miłostnego spojrzenia.

Will dostał pracę kopisty w biurze prawnym; miał nadzieję, że przynajmniej trochę uciszy niezadowolenie ojca i zły język żony. Gilbert zajął jego miejsce w przedsiębiorstwie starego Szekspira. Obserwowanie praktyki adwokackiej w prowincjonalnym mieście bawiło Willa – wiele spraw zapamiętał i później znalazły one odbicie w jego twórczości.

„Marnujecie drogie przedpołudnie, słuchając sprawy między przekupką i tandeciarzem, a potem odraczacie mizerny spór o trzy grosze na drugi dzień audiencji.” („Koriolan”)

Ale gdy jego pracodawca znalazł wiersze nabazgrane na marginesach dokumentów prawnych, pożegnał się z usługami młodego kopisty. Przez jakiś czas Will uczył w szkole i nawet początkowo z przyjemnością odświeżał w pamięci Owidiusza, Wergilego i Horacego, ale wkrótce przekonał się, że i to zajęcie nużyło jego coraz aktywniejszy umysł.

Jedyną pociechą były mu chwile, gdy zasiadał z piórem w ręku i kartą papieru przed sobą – szybko czerniła się równymi liniami wierszy. Tematem były mu codzienne obserwacje przyrody, czasem pisywał złośliwe satyry na prawników i ich pompatycznych klientów, na bezdusznych nauczycieli. Kilka razy zaczynał poemat, który obiecał napisać i dać do wydrukowania Ryszardowi Fieldowi: poemat oparty na Owidiuszowej wersji miłości Wenery i Adonisa. Niedawne przeżycia pozwoliły mu prawdziwiej odtwarzać boginię, bezwstydnie szukającą uścisków pięknego a niechętnego jej Adonisa. Łatwiej mu przychodziło gromadzić poszczególne epizody niż komponować całość – opis pięknego rumaka, polowania na niedźwiedzia albo pokornego ślimaka, cofającego się, gdy ktoś dotknął jego rożków. Stos kart manuskryptu rósł, lecz nie było w nich jeszcze ciągłości, tylko szkice, z których miała dopiero powstać całość.

Tak więc, jeśli wieczorem był w domu, spędzał czas na pisaniu do późna w noc przy blasku łożowej świeczki.

– Co ty tak ślęczysz nad tymi gryzmołami? – usłyszał za sobą głos żony. Odwrócił się z irytacją i ujrzał ją stojącą za jego krzesłem w koszuli nocnej.

– Tak sobie notuję, co mi przyszło do głowy – odparł.

– Gdybyś zajął się jakąś użyteczną pracą... – zaczęła.

– Robię, co muszę – przerwał jej ostro. – Chodzi mi to po głowie cały dzień. Jeśli nie zapiszę, nie zaznam snu.

– A ja w żadnym razie nie śpię – poskarżyła się. – Dziecko mi się porusza w łonie i dokucza.

– Przepraszam – zmiękł nagle.

– Przyjdę za minutkę.

Ale Anna nie dała się ułagodzić.

– Opowiadasz, że chcesz odbudować fortunę rodziny – rzekła. – W ten sposób żadnej fortuny nie zdobędziesz!

W lutym roku 1585 przyszły na świat bliźnięta, chłopiec i dziewczynka, ochrzczone imionami Judyty i Hamneta. Tę parę ojciec darzył serdeczną miłością, jakiej nie umiał ofiarować ich starszej siostrzyczce. Ale gdy powinszowania i chrzciny skończyły się, Will znów wędrował w zamyśleniu wśród pól i lasów, oddychających pierwszą zapowiedzią wiosny, i robił rachunek sumienia.

„Życie ucieka – rozmyślał. – Nie mam żadnego zawodu. Nie mam przyszłości. Jestem bez grosza.

Wszystko to powinno zmusić mnie do działania”. Usiadł na nasłonecznionym zboczku, gdzie zielone źdźbła przebijały się przez brunatne resztki zeszłorocznej trawy. Wspominał, co go od

działania powstrzymywało. Przed paru laty – a wydawało się, że przed wiekiem całym, w innym życiu – powstrzymywały go matka i Anna Whateley. A dziś, choć jeszcze nie skończył dwudziestu jeden lat, miał na karku żonę-jędzę i troje dzieci. Cóż za sytuacja dla ambitnego młodego poety!

W niedługi czas później Will dostał list od Ryszarda Fielda, który donosił mu, że pracuje u majstra drukarskiego, Francuza nazwiskiem Vautrollier, wybornego znawcy sztuki drukarskiej, a zwłaszcza druku ozdobnego. Prostoliniwny jak zawsze, Ryszard pisał bez ogródek, że majster jest z niego zadowolony, a majstrowa patrzy na niego z wielką przychylnością.

Ryszard w dalszym ciągu listu opisywał rzeczowo, praktycznie i bez romantycznych uniesień wielkie, dwustutysięczne miasto, w którym czuł się zupełnie jak w domu. Opisywał ulicę przy rzece, zwaną Strand, ze wspaniałymi magnackimi siedzibami w otoczeniu ogrodów, ze stopniami wiodącymi do wody; opisywał gmachy parlamentu na wybrzeżu, pałac Westminster, sławny zamek zwany Tower of London i najważniejszą arterię komunikacyjną, rzekę Tamizę, zatłoczoną łodziami i statkami najrozmaitszego kalibru, a przecinaną promami, kursującymi z jednego brzegu na drugi; opowiadał o królowej, pływającej po rzece we wspaniałej, cudownie przybranej łodzi, z towarzyszącymi jej dworzanami i muzykantami; wówczas wszystkie inne statki zatrzymywały się i ustępowały jej miejsca, a na brzegach tłoczyły się tłumy; wspominał o dworzanach, o studentach prawa, którzy prowadzili rozwiązy i hulaszczy tryb życia, czego zresztą Ryszard nie pochwalał. A w każdej oberży przy rzece można spotkać powracających z dalekich stron podróżników, prawiących o nadzwyczajnych odkryciach, o bogactwach Wschodu, o możliwościach odbijania łupów Hiszpanom i ograniczania hiszpańskich prerogatyw na Zachodzie, o dziwach przyrody, które ponoć na własne oczy widzieli, jak na przykład „górali z wolami jak woły, na których szyjach wiszą torby mięsa, albo ludzi z głowami na piersiach”.

Will czytał z zapartym tchem o bogato przyodzianych mężczyznach, o kobietach w bajecznych strojach, o heroldach krzykami nawołujących do ustąpienia z drogi przed szlachetnymi panami, o przekupniach sprzedających materie i korzenie, które ponoć nabywali od Drake’a lub Raleigh’a; o aktorach i teatrach, i o tym, jak wszyscy mieszkańcy Londynu, od dworzan do czeladników, tłumnie uczęszczają na przedstawienia.

Ryszard był może pozbawiony wyobraźni, ale nie brakło mu chytrłości. Zarzucił wędkę bardzo zręcznie. Cała ta obszerna pisanina miała na celu wyłowienie przyjaciela ze stojących wód Stratfordu. W dalszym ciągu pisał już otwarcie, że Will powinien przyjechać do Londynu. Aktorom dobrze się tu powodzi: on sam poznał wielu, gdyż przychodzili do drukarni jego majstra, Francuza. Tutaj Will będzie mógł urzeczywistnić swoje marzenia – spłacenie długów ojca i odbudowanie fortuny rodzinnej.

Ryszard znajdzie mu w Londynie jakieś tanie i wygodne pomieszczenie.

Przysiadłszy na murze za mostem, gdzie odczytywał list, Will podniósł głowę i spojrzał na Stratford, który naraz wydał mu się mały, ciasny i duszny.

Jak młody człowiek może w tym zaścianku cokolwiek osiągnąć?

Jako aktor? Oczywiście nie. Jako poeta? Po to także trzeba jechać do Londynu, do tego bogatego, barwnego, podniecającego Londynu, i znaleźć sobie mecenasa. Will od dawna wiedział, że Londyn musi być jego celem, ale najpierw powstrzymywało go leniwe niezdecydowanie, a później...

Żona? Dzieci? Will czuł się tak skrzywdzony przez Annę, że łatwo mu przyszło wyzbyć się skrupułów. Cokolwiek ją teraz spotka, sama będzie temu winna.

Obiecywał sobie, że hojnie zaopatrzy dzieci, że co roku przyjedzie do Stratfordu – może razem

z trupą aktorską? – by je odwiedzić. Przecież nie ma zamiaru się ich wyrzec. Na pewno go nie zapomną – zwłaszcza malutki Hamnet o poważnej twarzyczce i zawsze roześmiana Judytka.

Nie miał nawet do kogo ust otworzyć, żeby pogawędzić serdecznie, szczerze. Nie ma Ryszarda, nie ma też i...

Westchnął, ale myśli gnały naprzód, unosiły go już w przyszłość. Kilka lat później Valentio w „Dwóch panach z Werony” powiada, że „Domowa młodzież ma rozum domowy”.

„Ja bym cię raczej chciał mieć towarzyszem,
byś poznał dziwy świata za granicą,
zamiast tu w domu, tkwiąc w gnuśnym ospalstwie,
marnować młodość próżniactwem bez celu.” Nic mu już teraz nie przeszkodzi. I ledwie myśl ta przemknęła mu przez głowę, natychmiast zdał sobie sprawę, co najbardziej mu przeszkodzi.

Jak pojedzie do Londynu? Dostać się tam nie będzie ostatecznie tak trudno, ale skoro już tam wyląduje... Czy Ryszard Field ma go utrzymywać, dopóki sobie nie znajdzie jakiegoś źródła zarobku? Nie, to nie do pomyslenia, nie do przyjęcia. I znowu zaczęły nim szarpać sprzeczne myśli.

Aż wreszcie szczęśliwy przypadek odmienił losy młodego Willa.

W roku 1587, kiedy od ożenku Willa upłynęło już pięć długich i nużących lat, kompania „Sług Hrabiego Leicestera” zawitała znowu do Stratfordu.

Kierownikiem trupy, a zarazem głównym aktorem był James Burbage, urodzony stratfordczyk, który rozpoczynał życie jako stolarz, ale przerzuciwszy się do teatru, zdobył fortunę i sławę. W latach siedemdziesiątych tego stulecia, jak Will dobrze wiedział, wynikły nieporozumienia między Lordem Mayorem Londynu a stołecznymi aktorami. W rezultacie aktorów wygnano poza obręb miasta. Pewien popularności i ogólnego poparcia, James Burbage wziął w dzierżawę na dwadzieścia jeden lat kawałek gruntu w Shoreditch, poza obrębem jurysdykcji władz municypalnych Londynu. Tam wybudował teatr, bardzo prosty i skromny – równie prosty jak jego nazwa: „The Theatre” – ale dobrze wyposażony. W ten sposób kompania zdobyła stałą siedzibę, co dawało im oczywiście o całe niebo lepsze szanse niż dotychczasowa włóczęga z jednego dziedzińca oberży do drugiego. I od tej pory ustalił się też dobrobyt aktorów.

James Burbage znał dobrze Johna Szekspira, który niejednokrotnie udzielał mu licencji na przedstawienia w Stratfordzie. A Burbage nie był człowiekiem, który zapominał o dawnych znajomych tylko dlatego, że zaczęło im się gorzej powodzić. Wieczorem po przybyciu do Stratfordu zabrał z sobą swego osiemnastoletniego syna Ryszarda, zwanego Dickiem, grającego już poważne role, i drugiego aktora, nazwiskiem John Heminge, i razem przybyli w odwiedzinach na ulicę Henley.

Powitanie było bardzo radosne.

Mary Szekspir, jej córka Joanna i synowa zakrzętały się pośpiesznie, by przygotować poczęstunek godny londyńskich gości.

– A jakże wyglądają sprawy kompanii, panie Burbage? – spytał John Szekspir, gdy mężczyźni zasiedli nad pełnymi kuflami piwa. – Spodziewam się, żeście nam znowu przywieźli piękne przedstawienie!

– Mamy właśnie poważny kłopot – potrząsnął głową Burbage. – Po drodze pokłócili się nasi dwaj towarzysze. Jeden dobył szpady i zadał taki cios, że tamtego na śmierć przebił.

– Nieba! Cóż za okropna historia! I wierzę, że kłopot nie mały! – zawołał stary Szekspir.

– Okropne dla tego biedaka. A my – dramatycznym ruchem wskazał swego syna i Heminge’a – doprawdy nie wiemy, jak sobie poradzimy z przedstawieniem. Gdy jedziemy w objazd, ograniczamy

liczebność naszej trupy do minimum. Musimy brać pod uwagę wydatki – konie, noclegi, posiłki. Każdy z nas gra po parę ról. Ten aktor, który zginął, grał drugorzędne role, ale ktoś musi je grać.

– Więc jak sobie poradzicie?

Czy przedstawienie się nie odbędzie?

Will aż dygotał z podniecenia.

– Gyrwałem na scenie tylko w takich sobie, miejscowych przedstawieniach – odezwał się. – Ale jeżeli tu chodzi o drobne, drugorzędne role... to może mógłbym spróbować.

W tej chwili Anna weszła do pokoju z tacą i usłyszała słowa męża.

– Też coś! – burknęła. – Nie ma potrzeby, żebyś się na pośmiewisko wystawiał. Chociaż gdyby chodziło o rolę błazna, tobyś się pewnie nadawał.

– Ja się wystawiam na pośmiewisko od trzydziestu przeszło lat, moja pani – odpowiedział jej Burbage. – I nie wydaje mi się, żebym miał przyczyny do narzekania na mój zawód. – I dorzucił zwracając się do Willa: – Słuchaj, Will, próba odbędzie się jutro przed południem. Możesz popróbować swoich sił. Nawiasem mówiąc, burmistrz zaproponował mi kilku tutejszych młodzieńców.

Wypróbujemy wszystkich po kolei i jeśli ty będziesz najlepszy, to chętnie skorzystamy z twoich usług. Nie miej jednak do nas żalu, jeżeli będziemy musieli zaangażować innego.

Will przyszedł na próbę podniecony, ale ufny we własne siły. Czuł, że teraz nadarza mu się sposobność, która będzie zapłatą za lata wyrzeczeń i wahań. Poprosił, aby najpierw przeegzaminowano innych kandydatów, którzy się zgłosili.

Przypatrywał im się pilnie, śledził, co robili jego zdaniem dobrze, a co źle, obserwował też uważnie reakcje starego Burbage'a i innych aktorów, przypatrujących się grze kandydatów. Wreszcie nadeszła jego kolej. Rola sługi: tylko parę komicznych wierszy do powiedzenia; następnie rola starej czarownicy, bez słów, gestami tylko rzucającej uroki; i wreszcie gajowego, pojawiającego się na scenie dwukrotnie: raz brutalnego wobec wiejskich chłopców, drugi raz – służalczo pokornego wobec szlachty.

– No, co do tego chyba nie ma wątpliwości – orzekł James Burbage zwracając się do swoich kolegów, którzy zgodnie kiwnęli głowami. – A więc dobrze, zostań tutaj, Willu Szekspirze, zwrócę ci uwagę na popełnione niedociągnięcia. A wy reszta – dziękuję wam za dobre chęci i będziecie mieli wolny wstęp na każde przedstawienie, na które zechcecie przyjść. Tymczasem do zobaczenia! Chodź, Willu!

Świeżo upieczony aktor miał taką treść, że w dzień przedstawienia Dick Burbage musiał go prawie siłą wypchnąć na scenę, ale spisał się o tyle dobrze, że przedstawienia nie zepsuł. Wieczorem James Burbage rzekł doń zachęcająco:

– Najlepiej wypadłeś jako gajowy. Musiałeś chyba studiować zachowanie tych ludzi, gdy wymyślają kłusownikom, i to zapewne będąc po stronie kłusowników, co? – Dick roześmiał się na to głośno, a jego ojciec mówił dalej: – Jeżeli zechcesz zagrać z nami znowu, gdy następnym razem przyjedziemy do Stratfordu, to wyćwiczmy cię lepiej i damy ci rolę króla – masz do tego odpowiednią prezencję i figurę.

Był to tak ważki komplement, iż ostatecznie zdecydował o losie Hamleta-Willi, poety-filozofa, który sam nie umiał się zdobyć na czyn.

Miejsce Anny obok niego było już puste. Will popatrzył z niesmakiem na pościel, gdzie przed chwilą leżała, podszedł do okna i aż jęknął na widok ciężkich chmur i deszczu. Zwykle lubił ciepłą

ulewę, z radością patrzył na rośliny rozwijające się po długiej suszy. Ale właśnie dzisiaj deszcz mu był bardzo nie na rękę. Płaszcz jego nie należał do najnowszych, a kaftan i spodnie, które włoży, będą jedyną odzieżą, jaką ze sobą zabierze. Książki zawinął w tłumoczek jeszcze wczoraj i zostawił w kryjówce przy gościńcu, ale choć kryjówka była sucha, niepokoił się, czy przetrzyma taką ulewę.

„Za to będzie mniej gapiów wypatrujących na gościńcu – pomyślał. – To przynajmniej jedna dobra strona tej ulewy”.

Po śniadaniu Anna poszła ubijać masło. Will pośpieszył na górę, włożył najlepsze ubranie i, nie zauważony przez nikogo, wysliznął się z domu. Szybko przeszedł opustoszałą ulicę Henley, nie śmiejąc się obejrzeć, by znowu nie opadły go wątpliwości. Prędko przebiegł ulicę Mostową i przez most wydostał się na gościniec do Banbury. Dzień był targowy, wozy jechały szosą, ale jadący pookrywali się od deszczu i nie zwracali na niego uwagi.

Odczekał, aż gościniec opustoszał, i wydobył zawiniątko z książkami; obejrzał je starannie, odwinął róg i z satysfakcją stwierdził, że deszcz nie przeciekł do środka.

Szedł pieszo około pięciu mil, aż znalazł się na wschód od wioski Ettington. Tam schronił się w starej, opuszczonej szopie koło kępy drzew i czekał...

Czekał trzy długie godziny.

Czekanie omal go nie zgubiło.

Oskarżał siebie jako dezertera opuszczającego dom, żonę i dzieci. Dwukrotnie chwycił już zawiniątko i wychodził z szopy na deszcz, zwracając się ku Stratfordowi. Ale za każdym razem w porę się hamował i czekał dalej.

Wreszcie, śledząc gościniec, dostrzegł niewielką kawalkadę.

Tym razem nie było barwnych strojów, świecących w słońcu wszystkimi kolorami tęczy. Nie było srebrnych trąb. Aktorzy pozawijali się w ciemne płaszcze i opończe, jechali skuleni, ze schyłonymi głowami, woda spływała z szerokoskrzydłych kapeluszy, błoto przyskało spod kopyt koni i ciężkich kół wozu, wiozącego dekoracje i sprzęt teatralny.

Will, mocno ściskając swoje książki, wyszedł na gościniec i zawołał:

– Dzień dobry, panie Burbage!

Czy mogę pojechać z wami?

Burbage wstrzymał konia i cała kawalkada przystanęła.

– Nic nie mamy przeciw twemu towarzystwu – odrzekł Burbage. – Ale dokąd to Bóg prowadzi?

– Do Londynu, za pańskim pozwoleniem. Mam tam do załatwienia interesy mojego ojca.

– Hm, dziwne, że mi nic o tym nie wspomniał, gdyśmy popijali z nim piwo wczoraj wieczorem „Pod Łabędziem”.

– Decyzja zapadła nagle – zająknął się Will.

Burbage strząsnął wodę ze swego kapelusza i zmierzył młodego człowieka długim, uważnym spojrzeniem.

– Nie znudziło ci się przypadkiem życie małżeńskie, co? – mruknął.

Willa chwycił nagły atak kaszlu. Burbage nadal patrzył na niego w zamyśleniu. Wiedział dobrze, że małżeństwo młodego Szekspira nie należało do szczęśliwych. Wiedział o jego marzeniu, by zostać aktorem.

Cóż, nic go nie obchodzą cudze domowe sprawy! Will opanował wreszcie swój atak kaszlu.

– Jesteś pełnoletni, co? – zapytał Burbage, niedwuznacznie zdradzając swoje wątpliwości.

– Oczywiście.

– Słuchaj, młodzieńcze. Nie oszukasz mnie tak łatwo. Ale prawdę rzekłszy, żal mi ciebie.

A poza tym – brak mi aktora, a nie znajdziemy w każdym mieście, gdzie będziemy grać, Willa

Szekspira. Jutro gramy w Banbury, za kilka dni pojedziemy do St. Albans. Będiesz grał te role, z których wywiązałeś się dobrze w Stratfordzie, a ja nie będę cię dalej indagował.

Zgadzasz się?

– Całym sercem! – odpowiedział młodzieniec i rzeczywiście całe serce włożył w te słowa, tak czuł się uszczęśliwiony.

– W takim razie włącz do wozu i umości się tam jak możesz najwygodniej. Aż żał mi, że nie mogę także jechać pod budą!

– Pozwól mi więc, panie, wsiąść na twego wierzchowca, a sam schroń się do wozu. Dla młodej skóry deszcz niegroźny!

– Rób, co ci mówię – odparł James Burbage i machnął ręką na kawalkadę, by ruszali dalej. – Do mnie należy prowadzić moją kompanię i nie będę kryć się przed niełaską pogody lub fortuny.

Ulokowawszy się między pakami i tłumokami, Will poczuł się bezpieczny – zarówno od ciekawskich gapiów, którzy z niepożądanym pośpiechem mogli donieść do Stratfordu o miejscu jego pobytu, jak i od wahań, które tak długo panowały w jego myślach.

„W zabiegach ludzkich jest przyływ i odpływ;

pora przyływu stosownie schwytna

wiedzie do szczęścia; kto onę opuszcza,

ten podróż życia po mieliznach z biedą

musi odbywać.”

(„Juliusz Cezar”)

Intermezzo

– Tak wyjechałem ze Stratfordu – powiedział ojciec Judyty.

Spojrzał przez okno, ponad dachami kamienic, w stronę Ardeńskiego Lasu. – Kochałem to miasto... – ciągnął, jakby mówił raczej do rozległego widoku za oknem niż do córki. – Ale jechałem wówczas ku temu, co kochałem jeszcze bardziej...

– Ku sławie i fortunie – odezwała się Judyta tak cicho, że zaledwie zdał sobie sprawę, że to jej głos dokończył myśl.

– Czy masz do mnie żal o to? – zapytał i teraz patrzył wprost na nią z taką intensywnością, że spuściła oczy przed jego wzrokiem, nagle pojawiwszy, jak wiele musiała znaczyć dla niego odpowiedź na to pytanie.

– Żal? Żał mi tylko, że zamiast jechać z głową wysoko podniesioną, z wielkimi nadziejami, zegnany błogosławieństwami i gorącymi życzeniami, musiałeś wykradać się potajemnie.

– Ale nie masz żalu o to, że opuściłem twoją matkę... i ciebie? – nalegał.

– Teraz nie – powiedziała. – Dawniej, tak dawno, jak tylko mogę zapamiętać, dziwiłam się czy też miałam żal, sama nie wiem, jak to określić; dlatego, że tęskniłam za tobą, że chciałam widywać cię częściej, znać cię lepiej, wiedzieć, że i ty mnie znasz. Ale ostatnio jesteś ciągle ze mną i wszystkie moje tęsknoty rozplynęły się już w twojej bliskości.

Wstał i podszedł do niej.

Spojrzała w górę ku niemu, uśmiechnięta; schylił się i dotknął jej czoła ustami. Po czym znowu zwrócił się do okna.

– To jednak było krzywdzące dla twojej matki – rzekł.

– Ale pomyślne dla twoich widzów i czytelników – odparła.

– Gdybyś był został, nie powstałyby może ani twoje sztuki, ani poezje.

– Oto pytanie – powiedział, jakby rozmawiał sam z sobą. – Co jest ważniejsze: ambicja czy obowiązki?

– Ty sam, ojczy, rozstrzygnąłś, co jest ważniejsz, słowami, które – przysięgłabym – płynęły z twego własnego serca, chociaż to Poloniusz w „Hamlecie” je mówi:

*„...rzetelnym bądź sam względem siebie,
a jako po dniu noc w porządku idzie,
tak za tym pójdzie, że i względem drugich
będziesz rzetelnym.”*

Podszedł znów do niej i uśmiechnął się gorzko.

– Pozostawienie jej samej z trojgiem dzieci nie było rzetelne.

Judyta uniknęła odpowiedzi, sama zadając pytanie:

– Teraz znasz życie lepiej niż wtedy, gdy wyjeżdżałeś ze Stratfordu. Gdybyś mógł powrócić do tamtej chwili, bogatszy o doświadczenia całego życia, czy nie postąpiłbyś jeszcze raz tak samo?

Przeciągnął ręką po swym wysokim czole i powoli dwukrotnie kiwnął głową.

– Chociaż miałbym niewątpliwie tyle samo trudności z powzięciem decyzji, co wtedy. Zazdroszczę ludziom czynu, Judyto.

Minęło parę dni, nim znowu Judyta, po porannej przechadzce, weszła do pokoju ojca, który wskazał jej taboret i od razu zaczął czytać.

Akt drugi Scena pierwsza (Inna część wyspy. Wchodzą Alonso, Sebastian, Antonio, Gonzalo, Adrian, Francisko i inni.)

Gonzalo: „Błagam cię, panie, pociesz się, bądź wesół,

bo wszyscy mamy powód do pociechy:

nad straty nasze ratunek nasz droższy...” Ojciec Judyty grał rolę Gonzala, następnie innych po kolei, podkreślając, że pojmował tę scenę jako satyrę na dworzan: ich sprzeczki, dokuczanie staremu doradcy, kończą się wreszcie okrzykiem Alonsa:

*„Wszystkie te słowa do uszu mi wpychasz,
tylko ażeby drażnić me uczucia.*

.....
*O, ty mój piękny, drogi mój dziedzicu
na Neapolu i na Mediolanie,
jakiejże ryby stałeś się pokarmem?”*

Muzyka Ariela ukołysała już wszystkich do snu prócz Sebastiana, brata króla Neapolu, i Antonia, brata Prospera i uzurpatora jego księstwa. I oto Antonio namawia Sebastiana, by skorzystał ze sposobności i zabił swego królewskiego brata; a ponieważ następca tronu, Ferdynand, zginął w falach morskich, więc Sebastian w ten sposób odziedziczyłby koronę Neapolu. Muzyka Ariela budzi króla Alonsa i wierne go Gonzala w porę, by ujrzeni ostrze grożącej im stali.

W scenie drugiej aktor-dramaturg zamieniał się kolejno w trefnisia Trynkula, w pijanego sługę Stefana i w poczwarnego niewolnika, Kalibana. Ten ostatni, wśród pijackich błazeństw Trynkula i Stefana, ofiarowuje swoje służby tej parze, która rozporządza „niebiańskim trunkiem”.

– Ciszej, ojczulku, cały dom obudzisz! – mówiła Judyta śmiejąc się jak szalona, gdy ojciec pełnym głosem ryknął piosenkę pijanego Kalibana:

*„...Już nie będę od tej pory
myć talerzy, skrobać stołów.
Ban, ban, ban! Kaliban!
Szukaj sługi – to mój pan!”*

Pomimo protestów Judyta pokładała się ze śmiechu, a gdy Szekspir skończył czytać i usiadł, zawołała:

– To cudowna komedia! Och, tatusiu, to naprawdę cudowne!

– Żadna sztuka nie może być nazwana cudowną, dopóki nie zostanie skończona. A wtedy nigdy nie wydaje się taka cudowna, jak wówczas, gdy rodziła się w wyobraźni.

Spojrzała na niego pytająco.

Studiował manuskrypt. Wstała, by odejść, ale zatrzymał ją ruchem ręki.

– Zostań, mamy przecież snuć dalej dzieje mojego życia... A zaczniemy od słów, którymi Kaliban skończył poprzedni akt:

*„Wolność, hej, wolność!
O wolność, hej, wolność!”*

Część druga
Plebejska wrona

Rozdział V

Gdy wreszcie, po przedstawieniach w Banbury i St. Albans, trupa Jamesa Burbage jadąc na południowy wschód zbliżała się do Londynu, aktorzy byli wymęczeni kilkutygodniowym objazdem, trudami podróży i niewygodnymi noclegami. Stroje, tak barwne i pociągające, gdy wyruszyli ze stolicy, ucierpiały mocno na skutek niemal nieustannego deszczu. I teraz także siąpił drobny kapuśniaczek, a dokuczliwa mgła przenikała zimnem do szpiku kości, chociaż był dopiero wrzesień.

Najnowszy uczestnik kawalkady nie dbał o pogodę. Londyn leżał przed nim – dosłownie na odległość zapachu. Londyn, wokół którego koncentrowały się wszystkie jego nadzieje, o którym marzył od tylu lat, gdzie spodziewał się zdobyć sławę i fortunę. Wielu przecież opuściło rodzinny Stratford bez grosza, a powracali z dostatkiem, by kupować nieruchomości i sprawować zaszczytne funkcje w miejscowych władzach. Will siedł obok wozu z rekwizytami, wyciągając szyję, by dostrzec jakieś szczegóły w zamglonej panoramie dachów i wież.

Wyobraźnia poety stworzyła już własną wizję miasta – pełnego wspaniałych budowli, barwnych ulic, strojnych magnatów i dam, służby w liberjach. Wiedział, że jest to ośrodek handlu, ale wyobrażał sobie jego skarby pod postacią zwojów błyszczących jedwabi, skrzyń aromatycznych korzeni, worów srebrzystego ziarna, przepysznych mebli. Nie tylko Ryszard Field opisywał Londyn; w opowiadaniach i listach innych ludzi pojawiał się w wyidealizowanej postaci.

Gdy przez bramę, zwaną Newgate, wjechali na pierwszą nędzną ulicę, Will złapał się za nos, nie mogąc znieść okropnego fetoru bijącego z rynsztoków, którymi spływały gnijące nieczystości; w uszach huczało mu od gwałtownych hałasów, nie przypominających w niczym słodkiego śpiewu ptaków i szelestu liści w Lesie Ardeńskim; wyższe piętra kamienic wystawały ponad ulice, a mieszkańcy nie dbali, na co i na kogo wylewali z rozmachem wiadra pomyj przez okna. A w ten deszczowy i mglisty dzień nie widać było żadnych strojnych postaci: mężczyźni i kobiety pookrywali się ciemnymi płaszczami. Przybysz, nawykły do świeżego, czystego powietrza i spokojnego życia prowincjonalnego miasteczka, gotów był już zawrócić, aby uciec od tej kloaki, gdzie, wbrew świadectwu oczu, nie wydawało mu się możliwe, by ludzie mogli długo wytrzymać.

Różne pojazdy z turkotem pędziły ulicami, rozpryskując na wszystkie strony błoto i zmuszając przechodniów do śpiesznego cofania się pod ściany kamienic; opatulone kobiety, nie zważając na brud i błoto pod nogami ani na deszcz, stały gromadkami na rogach i plotkowały; o uszy szorstkimi zgrzytami uderzało bicie młotów, krzyki czeladników, zachwalających wyroby swoich majstrów, metaliczne dzwonki woziwodów, brzęk naczyń, ciągłe dźwięki dzwonów w którymś z kościołów, dzwonki przy warsztatach, dzwonki szkół, dzwony pogrzebowe. Na przestrzeni półtorej mili Will naliczył trzy bójki na pięści, jedną na szpady. Musieli przejechać całe miasto, by dostać się do teatru Burbage'a.

– No, jak ci się tu podoba? – zapytał John Heminge schylając się ze swego wierzchowca do młodzieńca.

– Chyba nie będę mógł tego wytrzymać – odparł Will tęskniąc w tej chwili do Stratfordu, gdzie

wymyślania Anny wydawały mu się jedyną fałszywą nutą w wielkim muzycznym poemacie.

– Przywykniesz! – uśmiechnął się Heminge strząsając krople deszczu ze swych długich wąsów.

– Każdy z nas przywykł.

– Będę musiał – mruknął Will z determinacją.

Kawalkada wędrowała nie kończącymi się ulicami, aż wreszcie dotarła do Bishopsgate, przekroczyła bramę w murach otaczających City i wjechała na ulicę Shoreditch, by dotrzeć wreszcie do teatru. Zaczęto zaraz wypakowywać bagaże teatralne, a James Burbage zwrócił się do Willa:

– To wielkie miasto i obcemu trudno sobie tu poradzić. Czy wiesz, jak iść tam, dokąd chcesz się udać?

– Muszę dotrzeć na dziedziniec katedry Św. Pawła – odrzekł Will. – Mam tam dawnego przyjaciela ze Stratfordu.

– Może lepiej niech cię Dick zaprowadzi. Jak nazywa się ten twój przyjaciel?

– Ryszard Field; pracuje u mistrza drukarskiego, pana Vautrollier. Drukarnia...

– Ależ my znamy drukarnię starego Vautrollier! Wiesz oczywiście, że on sam zmarł na wiosnę? –

I James Burbage zawołał swego syna. – Dick, słuchaj, zaprowadź Willa do drukarni Vautrolliera.

Wiadomość o śmierci starego Vautrollier zaskoczyła Willa.

Może Ryszard gdzie indziej teraz pracuje? Ale nie okazał swego niepokoju.

– Tysiącne dzięki, panie Burbage. Okazał mi pan bardzo wiele dobroci.

– A ty byłeś nam wielką pomocą. Masz, to ci się należy za twoje trudy – rzekł i wręczył mu pieniądze.

– Ależ... pan płacił za mnie w zajazdach.

– Płaciłem za wszystkich. To koszty teatru.

Will spojrzał z czułością na monety leżące na jego dłoni.

Powiedział do siebie, nie zdając sobie nawet sprawy, że mówi głośno:

– Moje pierwsze pieniądze zarobione w zawodzie aktorskim!

James Burbage podniósł w górę jedną krzaczastą brew. Uśmiech błąkał się wokoło jego pełnych, wyrazistych warg.

– Pierwsze? Spodziewasz się, że będzie ich więcej?

Will uznał, że nie czas teraz na dalsze wykręty.

– Od dawna marzyłem, żeby zostać aktorem – wyznał.

– Mówiono mi, że jesteś po trosze poetą – rzekł Burbage. – A poeci miewają często różne... marzenia!

– Bywają marzenia, które na zawsze muszą pozostać tylko marzeniami – odparł Will patrząc staremu aktorowi prosto w oczy.

– Ale są też takie, które mogą się ziścić nawet w życiu poety!

Burbage zacisnął wargi i pokiwał głową.

– Gdyby nie te interesy, które masz załatwić dla twego ojca – powiedział chytrze – to bym ci zaproponował, żebyś przyszedł jutro do teatru. Może byśmy mogli dojść do porozumienia.

– Myślę, że pan rozumie... że pan dawno odgadł, panie Burbage, jak to jest z tymi interesami do załatwienia dla mego ojca – rzekł szczerze Will. – Ale byłoby to z mojej strony nieładnie, gdybym chciał wciągać pana, dawnego przyjaciela ojca, w sprawę mojej... tego...

– Ucieczki – dokończył Burbage. – Sądzę, że jeżeli już jesteś w Londynie, mój chłopcze, twój ojciec wolałby widzieć cię pod opieką doświadczonego i przyjaznego ci człowieka, niż żebyś sam się wałęsał. Jeśli jutro dojdziemy do porozumienia, napiszę do niego.

– Och, panie Burbage! – wykrzyknął Will z przepełnionego serca. – Na pewno dojdziemy do

porozumienia. I nigdy, nigdy nie pożałuje pan swojej dobroci, przysięgam!

– I ja tak myślę – odrzekł stary aktor. – Teraz pośpieszaj z Dickiem. Jego matka będzie na nas czekała z kolacją. – A uważaj na pieniądze, jakie masz przy sobie! – zawołał jeszcze za odchodzącym. – W Londynie więcej jest wydrwigroszy niż uczciwych ludzi w Stratfordzie.

Istotnie, w Londynie roiło się podówczas od złodziei, kieszonkowców, oszustów i rozmaitych spryciarzy, czyhających na przybyszów z prowincji. Will miał ich przedstawić w „Komedii omyłek”:

*„Mówią, że w mieście tym oszustów nie brak;
jest tu dostatek ćwiczonych kuglarzy
i czarowników, durzących zaklęciem,
czarownic zdolnych z duszą ciało zabić,
przebranych łotrów, chępliwych znachorów
i wielu innych amatorów grzechu!”*

Will szedł w stronę katedry Św. Pawła tak lekko, jakby leciał na skrzydłach, miast stąpać po kocich łbach kiepskiego bruku; ani się nie obejrzał za siebie, wszystkimi myślami wybiegał w przyszłość.

Nie odzywał się z wielkiego przejęcia ani słowem, gdy więc stanęli pod szyldem z białym chartem, którego sobie wybrał za godło Vautrollier, młody Burbage rzekł:

– Jesteśmy na miejscu. I jeśli mam rzec prawdę, nudny z ciebie kompan!

– Och, panie Ryszardzie, proszę mi wybaczyć! – zawołał Will oprzytomniawszy nieco. – Ten przyjazd i obietnica twojego ojca tak mną wstrząsnęły, że wydaje mi się, jakbym wylądował na księżycu.

Dick Burbage parsknął śmiechem.

– Przekonasz się, że w życiu aktora nie ma nic z nadziemskich rozkoszy! – rzekł. – Dobranoc. A od jutra nie nazywaj mnie panem Ryszardem. Wołają mnie Dick.

Rozglądając się przez chwilę, nim zastukał do drzwi, Will dostrzegł kilka szyldów drukarskich na sąsiednich kamienicach. Coraz więcej ręcznych pras zakładano w tej dzielnicy, by zaspokoić wzrastające potrzeby poddanych królowej Elżbiety w dziewiętnastym roku jej panowania.

Przybysza z prowincji ogarnęła naraz panika: młody Burbage odszedł, a co będzie, jeśli Ryszarda w ogóle tu nie zastanie?

Schludnie odziana pokojówka otworzyła drzwi, do których zastukał, i niebawem uwolniła go od niepokoju: tak, pan Field jest w domu. Może pan zechce wejść? W chwilę później dwaj przyjaciele padli sobie w objęcia.

Ryszard Field, zawsze krępej budowy, utył jeszcze bardziej i miał już wygląd człowieka interesów, ufne go w swoje stanowisko i zdolności. Wypuścił wreszcie przyjaciela z objęć, odstąpił o krok i spojrzał na niego.

– Will, Will! Więc przyjechałeś nareszcie! – wołał.

– Czulem to w kościach, że przyjedziesz, ale tak długo zwlekałeś, że już się zacząłem obawiać...

– Przyjechałem i zostaję, mój drogi przyjacielu!

Zasiadłszy w wygodnie urządzonym pokoju – wyściełane meble, kanapa, biurko zasłane papierami, książki na półkach, firanki w oknach, wszędzie czystość i porządek nadzwyczajny – Will pokrótce opowiedział wszystko o sobie, aż do chwili gdy Burbage zaproponował mu pracę w teatrze.

– Nie mogłeś lepiej trafić – orzekł Ryszard prawie ojcowskim tonem z wyżyn swego kilkuletniego już doświadczenia londyńskiego. – Burbage’owie to solidna familia. Nie hazardują się

ani nie spekulują: poważni ludzie teatru, aktorzy z powołania. Często tu widzimy Jamesa Burbage'a i jego syna Cuthberta, który ma głowę do interesów i zarządza sprawami finansowymi kompanii.

– Nie widziałem go jeszcze, znam tylko Dicka – rzekł Will.

Ryszard Field przyglądał się przyjacielowi, gładząc brodę z wyrazem powagi niezwykłej w jego wieku. Opowiadając Will wstał; chodził po pokoju, gestykulował żywo, z entuzjazmem mówił dźwięcznym, tenorowym głosem, potrząsał kasztanowatymi włosami, oczy mu błyszczały.

Ryszard patrzył, słuchał, wreszcie uśmiechnął się tak, jak ludzie doświadczeni zwykli uśmiechać się do naiwnych, i powiedział z odcieniem wyższości:

– Bardzoś lekkiego serca, jak na tak ważną okazję.

– Ptak uwolniony z klatki – odparł Will – będzie dopóty śpiewał pieśń wolności, dopóki sprytniejsze ptaki, od dawna na swobodzie, nie rzucą się na niego i oczu mu nie wydziobią.

W dwanaście lat później miał wyrazić cały ciężar długich dni, miesięcy i lat, które upłynęły, zanim wyrwał się ze swej klatki:

„Lecz pod warunkiem... że dacie mi wolność jak wiatr na morzu wiać, gdzie i jak zechcę.”

(„Jak wam się podoba”)

Will zatrzymał się nagle przed Ryszardem.

– Ależ jestem zapalczywym samolubem! – wykrzyknął. – Mówię tylko o sobie. A przecież chciałbym wiedzieć, jak stoją twoje sprawy. James Burbage powiedział mi, że twój majster...

– Umarł – dokończył spokojnie Ryszard.

– A cóż będzie z tobą? I co się stanie z drukarnią?

– Drukarnia prosperuje.

Jacquinetta i ja uzgodniliśmy, że szkoda by było zwijać tak dochodowy interes.

– Jacquinetta? Któż to jest?

– Na razie jest jeszcze panią Vautrollier.

– Rozumiem, wdowa – rzekł Will. – Więc teraz ty obejmujesz drukarnię?

– Najpierw obejmę Jacquinettę, a potem drukarnię.

– To znaczy, że...?

– To znaczy, że przyjechałeś akurat w porę, by być drużbą na moim ślubie, jeżeli uczynisz mi ten zaszczyt.

Ryszard powiedział to urzędowym tonem, jak człowiek interesu omawiający ważną transakcję.

– Jeżeli zaczekasz chwilę – dodał – poproszę Jacquinettę, żeby zeszła tu do nas.

W tym momencie Will zdał sobie sprawę, że podczas gdy w

Stratfordzie on, chociaż młodszy, grał pierwsze skrzypce w ich przyjaźni, to teraz, po latach spędzonych przez Ryszarda w Londynie, kierownicza rola przeszła, chwilowo przynajmniej, w jego ręce.

Pani Vautrollier była brunetką, przystojną jeszcze, chociaż dużo starszą od Ryszarda. Rozmawiała z przyjacielem narzeczonego żywo, pogodnie, z wyraźnym akcentem francuskim. Will polubił ją od razu i z przyjemnością przyjął jej zaproszenie na wieczerzę.

Zauważył też, że narzeczeni rozmawiali z sobą raczej jak wspólnicy w przedsiębiorstwie niż jak kochankowie w przeddzień ślubu.

Gdy dwaj stratfordczycy szli ramię w ramię do oberży – gdzie zdaniem Ryszarda można będzie wynająć niedrogo pokój czysty i dość wygodny – Will spróbował ostrzec przyjaciela, bo już od

godziny pewne wątpliwości tłukły mu się po głowie.

– Twoja... pani jest bardzo miła – rzekł. – Ale wiesz, to wdowa... i chciałem powiedzieć... o tyle starsza od ciebie! Rozumiesz, mówię dlatego, że wiem coś o tym.

Anna...

Nie umiał jeszcze wyrazić swoich zastrzeżeń i rad tak dobitnie, jak to miał uczynić w „Wieczorze Trzech Króli”:

*„Żona, od której starszy jest małżonek,
łatwiej nad jego sercem panuje;
bo choć nie szczędzim pochwał samym sobie,
wierzej mi, chłopcze, uczucia są nasze
łżejsze, chwiejniejsze, łatwiej przemijają,
brak im niewieścich uczuć głębokości.”*

Ryszard pozostał niewzruszony.

– Uważam to za łaskę fortuny – rzekł – że obecna właścicielka drukarni ma tyle zalet. Mogła to być wdowa całkiem stara i wstrętna, tak, że poślubienie jej byłoby istotnie poświęceniem.

Wydawało się, że Ryszard byłby gotów wziąć za żonę nawet potwora, byleby zdobyć drukarnię.

Will mało spał tej pierwszej nocy w Londynie. Podniecenie nie dawało mu zmrzyć oka, a prócz tego za oknem wciąż skrzypiał na wietrze metalowy szyld oberży.

Gdy zaczynał zapadać w drzemkę, na ulicy rozlegał się zachrypnięty głos stróża nocnego, wędrującego z latarnią na wysokim kiju.

– Piąta godzina i wszystko w porządku! Pogoda ciepła, ale wietrzno! Piąta godzina, wszystko w porządku! – wołał.

Will słyszał tupot jego ciężkich butów, oddalający się w stronę Blackfriars. Na nic się nie zda zasypiać teraz. Wstał, naciągnął spodnie i podszedł do okna. Wysunął głowę, ale pośpiesznie cofnął ją, niemile rażony wstrętnymi woniami ulicy.

Wziął dzbanek z wodą, by się umyć, woda była jasnobrunatnej, błotnistej barwy, zaczerpnięta z pobliskiej Tamizy albo może ze studni, prawdopodobnie zanieczyszczonej. Skończyło się rozkoszne popijanie świeżej wody, czerpanej wprost z bijącego źródła.

Teraz przez okno zaczęły dolatywać różne nowe dźwięki, nie tylko nawoływanie stróża nocnego. Brodaci kupcy, zdążający na ulicę Lombard, jechali na ciężkich, wolno stąpających wierzchowcach, otuleni w ciepłe płaszcze, z przytroczonymi do siodeł workami pieniędzy; konni posłańcy wymijali ich buńczucznym galopem, niektórzy ubłoceni po całogodzinnej jeździe; ładowne wozy turkotały jadąc do przystani; przekupnie zaczęli okrzykami zachwalać swoje towary. Will, pociągnięty coraz ruchliwszą sceną za oknem, zapomniał o niemiłych zapachach.

Rozkosz obserwowania budziła się zastępując wczorajsze oszołomienie i wstręt do hałasu, brudu i smrodu.

Aż nagle ujrzał coś, do czego nigdy nie mógł się przyzwyczaić, chociaż miał widywać to potem często: wleczono na miejsce kaźni jakiegoś nieszczęśnika, zapewne skazanego za drobne przekroczenie, jak kradzież kawałka sukna, albo za narażenie się jednemu z rządowych szpicli, od których roiło się we wszystkich publicznych miejscach, a którzy nadśluchiwali, czy ktoś nie mówi źle o królowej.

Na śniadanie zjadł kawałek boczku, popił piwem i wyszedł wreszcie na ulicę – z pewną niechęcią, ale też mocnym postanowieniem zapoznania się jak najszybciej z tą zdumiewającą

mieszaniną kloacnych woni i pompatycznego przepychu, która zwała się stolicą Anglii. Znalazł drogę na dziedziniec katedry Św. Pawła i zobaczył czeladnika otwierającego drukarnię Vautrolliera; szedł dalej prosto ulicą Cheapside. Ciągłe potracali go tragarze z worami lub skrzyniami na plecach, nosiwody, dziewczęta śpieszące z jajami i masłem, łobuziaki zabawiające się między tłumem przechodniów. Dotarł na ulicę Bishopsgate i odetchnął z ulgą, wiedząc, że teraz już tylko musi iść prosto aż do ulicy Holywell, gdzie mieścił się „Teatr”

Burbage’a.

Niespodziewanie tłumy zaczęły się rozstępować, cisnąć pod ściany: ktoś przyparł go energicznie do muru; wokół rozległy się wołania: „Armata!

Armata!” Wspinając się na palce, zdołał dostrzec mosiężne działo z Tower, ciągnięte przez wielkie perszerony, w drodze na codzienne ćwiczenia. Dużo było wojennych przygotowań, gdy Will przybył do Londynu, choć patriotyczny entuzjazm miał osiągnąć szczyt dopiero w następnym roku. Gdzieś na wschód od ulicy Bishopsgate ćwiczyły oddziały artylerii.

Spiski na życie królowej, do których podniętą były knowania jej kuzynki i pretendenci do tronu, Marii Stuart, osiągnęły największe nasilenie z początkiem roku, aż wreszcie Elżbieta wydała wyrok śmierci na zdeponowaną królową Szkocji, od dawna trzymaną w więzieniu.

Papistowska Hiszpania zebrała w Kadyksie flotę, złożoną z ogromnych galeasów, szykując się do ukarania tej impertynenckiej, małej wyspy, która tak bezczelnie poczyniała sobie z katolickimi monarchami i lekceważyła władzę papieża. W kwietniu Sir Francis Drake, faworyt królowej, dawny korsarz, obecnie dowódca marynarki wojennej, wpłynął do Kadyksu na czele floty małych, zwrotnych statków i według jego własnego określenia „zgoił brodę królowi Hiszpanii” – spalił liczącą dziesiątki tysięcy ton wojenną flotę Hiszpanii. Ogolony król wpadł w pasję i bynajmniej nie poniechał projektu najazdu na Anglię. Zabrał się do gromadzenia następnej floty.

Elżbieta zaś i jej ministrowie zaczęli werbować żołnierzy, ćwiczyć wojsko, ściągając z każdego hrabstwa rekrutów – rodzinne Warwickshire Willa miało na przykład dostarczyć sześciuset pieszych – do obrony wybrzeży wyspy na wypadek, gdyby flota hiszpańska, przewyższająca angielską tonażem, liczebnością załóg i uzbrojeniem, zwyciężyła małe statki angielskie, obsługiwane przez nielicznych, choć doświadczonych i pełnych zapału marynarzy.

Z Shoreditch Will skręcił w niewłaściwą ulicę i niespodziewanie znalazł się przed drugim z teatrów londyńskich, zwanym „Curtain”, mieszczącym się w pobliżu „Teatru” Burbage’a. Trzeci teatr, „Rose”, znajdował się znacznie dalej, na południowym brzegu rzeki. Właścicielem „Rose” był Philip Henslowe, który sam nie grywał; jego głównym aktorem był sławny Edward Alleyne o wspaniałym głosie, imponującej prezencji i pompatycznych gestach.

Dotarłszy wreszcie do właściwego miejsca, Will spotkał Dicka Burbage’a, który powiedział biorąc go pod ramię:

– Ojciec zajęty, omawia nową sztukę, którą nam przynieśli.

Kazał mi pokazać ci nasz cyrk pcheł.

– Cyrk?...

– Tak nazywamy nasz teatr – zaśmiał się Dick.

Młody Burbage był nieco wyższy od Willa, ciemnowłosy i ciemnooki, a jego brwi zapowiadały się nie tak samo krzaczaste jak u ojca.

Widownia była mała, ze dwadzieścia metrów kwadratowych, z czego blisko połowę zajmowała scena, wysunięta do przodu tak, że widzowie otaczali z trzech stron proscenium, czyli estradę.

Trzypiętrowe galerie znajdowały się pod dachem; również scenę osłaniał dach wsparty na wysokich kolumnach, ale parter, przeznaczony dla stojących widzów, był pod gołym niebem, co

właściwie uniemożliwiało przedstawienia przy złej pogodzie.

Will i Dick weszli na scenę przez jedno z dwóch wejść zza kulis.

– Takie dwa wejścia są bardzo dogodne – objaśniał Dick. – Jeśli na przykład w sztuce pokazujemy paradę wojsk, możemy wchodzić na scenę z jednej strony, a wychodzić z drugiej.

Kiedy grywamy na dziedzińcach zajazdów, gdzie często bywa tylko jedno wejście, nasze pochody tak się czasem płaczą, że ledwie można je doprowadzić do porządku! Albo w scenach wojennych: jednym wejściem wchodzi Anglicy, a drugim, naprzeciwko, Francuzi.

Nad sceną, w głębi pod dachem, znajdowała się obszerna scena górna, która czasem przedstawiała mury zamczyska, czasem balkon, z którego jakiś szlachetny bohater wygłaszał górnolotne przemówienie do żołnierzy lub tłumów, a czasem miejsce spotkania kochanków.

Will miał się posłużyć „górną sceną” do słynnego dialogu w tragedii „Romeo i Julia”. Pod nią mieściła się garderoba, którą posługiwano się również jako częścią sceny, gdy chodziło o przedstawienie grobowca, jaskini albo jakiejś dalszej komnaty.

– Wybudowanie tego wszystkiego tyle kosztowało, co wyposażenie statku szukającego fortuny w zamorskich krajach – informował Dick. – Mój ojciec zapożyczył się po uszy i płaci wysokie odsetki.

Will z radością stwierdził, że aktorzy, których poznał na objeździe, powitali go jak starego towarzysza. John Heminge powiedział z uśmiechem:

– Dowiaduję się, że ponieważ załatwienie spraw twojego ojca okazało się niemożliwe, zwiążesz z nami swoje losy.

– Chcę spróbować – powiedział gorąco Will i pomyślał, że na dzisiaj ta wiadomość wystarczy mu zupełnie do szczęścia.

W chwilę później spotkali drugiego syna Burbage’a, Cuthberta, z pliką papierów pod pachą i zaaferowanym wyrazem twarzy. Istotnie, miał powody do zaaferowania, gdyż na jego barki spadły wszystkie sprawy finansowe i administracyjne kompanii, a także kłopoty z kostiumami, rekwizytami, z przygotowywaniem widowni i sceny do przedstawień.

Cuthbert zabrał z sobą Willa, by mu pokazać kostiumy w garderobie tuż za sceną. Wiele kostiumów uszyto bardzo starannie, z kosztownych materiałów – przeznaczono je na długi użytek. Takie na przykład stroje, jak króla i dworzan, często potrzebne, zniszczyłyby się szybko, gdyby były tandetne, zwłaszcza przy ciągłych pakowaniach i rozpakowywaniach podczas objazdów prowincji.

– Koszt naszych kostiumów jest przedmiotem ciągłych zatargów z autorami sztuk – opowiadał Cuthbert. – Wierszokleci nie mogą strawić faktu, że gdy im płacimy sześć funtów za dramat, wydajemy jednocześnie dwadzieścia funtów na jedwabny kaftan albo płaszcz. Oburzają się, że krawcowi płaci się więcej niż im, ale zapominają, że przecież krawiec musi też dostarczyć materiał, a oni tylko swoją pracę.

– Cuthbert niewiele sobie ceni pracę umysłową – zakpił Dick. – Droższy mu nowy kostium niż nowa sztuka.

– Kostium jest towarem, który zawsze można odsprzedać w razie potrzeby – odparł Cuthbert. – A sztuki, którą wykorzystamy, nikt nie zechce odkupić.

Gdy nareszcie Burbage przysłał po niego, Will czuł się jak odurzony wszystkim, co zobaczył i usłyszał.

James Burbage i Cuthbert powiedzieli mu, że jest już za stary, by go mogli wziąć jako praktykanta, czyli ucznia; zaangażują go więc na próbę jako pomocnika do wszystkiego.

– To jest Londyn – rzekł dyrektor kompanii – nie prowincjonalne miasteczko, więc nie możesz jeszcze grywać tu większych ról. Będiesz wzywał aktorów na scenę lub statystował, gdy zajdzie

potrzeba...

– Jako jeden z pół tuzina zuchów reprezentujących armię – wtrącił Cuthbert.

– Jeśli okażesz dobrą wolę i będziesz zawsze pod ręką, gotów do pomocy – ciągnął James Burbage – nie wątpię, że wszystko ułoży się jak najlepiej.

Formalności nie było żadnych.

Ale ta rozmowa oznaczała początek dwudziestotrzyletniej pracy Willa w teatrze; i nie tylko pracy, ale kompletnego oddania się sprawie teatru w każdym jego aspekcie. On sam w owej chwili nie czuł już podniecenia; ogarnął go wielki spokój jak człowieka, który długo płynął kruchym stateczkiem po burzliwym morzu i nareszcie zawinął do upragnionego portu.

Wszyscy w kompanii wkrótce szczerze polubili Willa za jego niezmiennie dobry humor, dowcip, łagodność i sumiennosc w wykonywaniu każdego powierzonego mu obowiązku. Chętnie i pogodnie dźwigał ciężkie skrzynie i z równą ochotą pomagał każdemu aktorowi przy wdziewaniu skomplikowanej zbroi. Zwłaszcza świetnie potrafił ubierać i charakteryzować tych młodzieńców, których cienkie głosiki nadawały się do ról kobiecych. Chłopcy ci mieszkali u starszych kolegów, którym ich rodzice wypłacali pewną sumę za przyuczenie synów do zawodu aktorskiego. Następcy ich w kompanii Burbage'a mieli później w szekspirowskich sztukach grać role Julii, Porcji, Desdemony, Ofelii, Kordelii czy Kleopatry.

Will został też prawą ręką Cuthberta, który przekonał się niebawem, że młodzieniec potrafi bardzo dokładnie załatwiać wszelkie sprawy administracyjne.

Ta współpraca zaczęła się od narzekania Cuthberta, jaką to ma okropną robotę przy sprawdzaniu inwentarza rekwizytów teatralnych. Will natychmiast ofiarował się z pomocą i w nagrodę znalazł się wśród zbiorowiska najdziwniejszych przedmiotów. Oprócz rozmaitych mebli, toporów, łuków i wszelkiej broni był tutaj grobowiec, dwie wieże kościelne, trójząb Neptuna, drewniana noga, łuk i kołczan ze strzałami – atrybuty Kupidyna – skrzydła Merkurego, cała kolekcja koron, tiara papieska, dwie trumny, skóra krowy bez nóg, złote runo, dwa wzgórza z murawą, drzewo ze złotymi jabłkami, skóry lwa i niedźwiedzia.

Pierwsze przedstawienie, w którym Will brał udział, stojąc przez pół godziny bez słowa w charakterze łucznika, przejęło go bardzo, a zarazem dało mu sposobność poczynienia różnych obserwacji. Na próbach bacznie przypatrywał się aktorom.

Podczas tego epokowego dlań przedstawienia, które zaczęło się około drugiej po południu, interesował się głównie widownią. Dzień był piękny, słoneczny, tak że milczący łucznik mógł się przypatrywać, ile dusza zapragnie, pysznym strojom i dumnym minom magnatów, szlachty oraz studentów, którzy zapełnili galerie. Spostrzegł, jak wymieniali między sobą uwagi, gdy bohater sztuki wypowiadał jakąś ciekawą myśl, jakąś kwestię prawdziwie poetycką albo zręczny epigram.

Spostrzegł też, że pojedynki i walki, farsowe intrygi i fantastyczne cuda, włączane do przedstawień dla rozśmieszenia płacących po jednym pensie widzów z parteru, bawiły również spektatorów na droższych miejscach.

Na parterze znajdowała się liczna grupa młodzików, trzymających się razem, i z ich to strony, jak zauważył Will, dobiegały najczęściej kpiny i tupania, jeśli aktor się zająknął albo jeśli jakaś kwestia wydawała im się nudna.

Cuthbert Burbage, dokładniejszy informator od swego brata Dicka, opowiedział później Willowi, że byli to czeladnicy i praktykanci, przeważnie synowie kupców albo drobniejszych ziemian, na ogół inteligentni chłopcy, w przyszłości rajcy i burmistrzowie, ale na razie nie dysponujący gotówką na opłacenie droższych miejsc. Byli oni wcale surowymi i wymagającymi krytykami.

Milczący łucznik z rozbawieniem przyglądał się, jak niejeden z bogato wystrojonych elegantów

z niższych galerii wychylał się, by porozmawiać z jakąś przystojną dziewczuszką na parterze, poczęstować ją jabłkiem albo podsunąć jej flaszeczkę z wonnościami.

Purytanie wciąż wołali, że kobiety nie powinny chodzić do teatru, jeśli chcą zachować umysł czysty i niewinny. Ale za czasów królowej Elżbiety białogłowy w Londynie nie dbały o te upomnienia, chodziły do teatru, często nawet bez towarzystwa mężczyzn, tak jak chodziły do oberży i piwiarni, gdy miały na to ochotę.

Will przekonał się, że jak w Stratfordzie całe miasto przychodziło na przedstawienie, ilekroć przyjeżdżali aktorzy, tak i w Londynie na widok podniesionej na „Teatrze”

Burbage’a flagi tłumy płynęły przez bramę zwaną Bishopsgate; tłumy, na które składały się wszystkie warstwy społeczeństwa, od posługaczy do magnatów. A tak głęboko londyńczycy wierzyli w słuszność maksymy, że nie samym chlebem człowiek żyje, iż nawet ubodzy woleli zapłacić za wstęp na widowie niż za pożywny posiłek; kobiety, które dostały zapomogę rano, po południu biegły, by ją wydać na teatr, a ich mężowie pozwoliliby raczej głodować żonie i dzieciom, niż mieliby opuścić przedstawienie nowej sztuki.

Obserwacje milczącego łucznika miały być dla niego nieocenioną pomocą, gdy zaczął sam pisać sztuki przeznaczone dla zabawienia bywalców teatru, a dochodowe dla współaktorów z kompanii Burbage’a.

James Burbage nie zatrudniał Willa tylko jako milczącego łucznika; przeciwnie, chciał, by młody człowiek jak najprędzej ulżył przecieżonym pracą aktorom, grając pomniejsze role.

Oddano więc Willa pod szczególną opiekę Johna Heminge’a, aktora rutynowanego, doświadczonego, chociaż może niezbyt wybitnego.

Był to mężczyzna nieco za tęgi, o wesołych mrugających oczach, który cieszył się dobrą opinią jako nauczyciel początkujących adeptów Melpomeny. Zawsze paru młodzieńców czekało na chwilę, kiedy poprzednich, już poduczonych, Heminge wypuści ze swoich rąk, pozwalając im przyłączyć się do płatnych aktorów.

Will miał z natury zgrabne ruchy, musiał jednak wiele godzin poświęcić na naukę wchodzenia na scenę i schodzenia z niej w sposób odpowiadający wymogom poszczególnych ról.

Musiał wciąż nakładać dziwaczne i niewygodne kostiumy, by przywyknąć do poruszania się w nich z całą swobodą; ćwiczył się w dykcji i w gestykulacji z wytrwałością, która mu zjednywała pochwały Heminge’a, a fechtunek praktykował wspólnie ze zwinnym Dickiem.

Czas jego był tak wypełniony, że tylko z rzadka mógł wpaść na pogawędkę do Ryszarda Fielda, który też był bardzo zajęty sprawami drukarni i przygotowaniami do zbliżającego się ślubu.

Pewnego wieczoru, w parę miesięcy po przyjeździe do Londynu, Will pomagał Cuthbertowi w jego rachunkach i spisach inwentarza. Właśnie skończyli zajęcia i Will wkładał ciepłą opończę, bo ziąb panował dojmujący tej zimowej nocy, gdy James Burbage wypadł niespodziewanie z izdebki, która stanowiła jego sanktuarium, z grubym manuskrytem w ręku.

– Powinno być dobre, a nie jest! – wykrzyknął więcej właściwie do siebie niż do Cuthberta, jakby doprowadzony do ostateczności. – To stare sztuczdyło, któreś wy dostał ze swojej spiżarni chomika, mówiąc mi, że się nada... – Machnął papierami w stronę widowni. – Tak, treść dobra, historyczna, kilka doskonałych momentów dramatycznych, ale dialogi są kompletnie przestarzałe! Nie można wypuścić na scenę aktorów i kazać im tak gadać! A dłuższe kwestie... Doprawdy, sam nie wiem, jak mogłem kiedyś wygłaszać podobne tyrady! – Stał przed Willem, ale zdawało się, że go nie poznaje. – Mógłbym dać to do przeróbki Kitowi Marlowe albo Bobowi Greene, albo George’owi

Peele. Ale nie ma na to czasu! Musimy zacząć próby pojutrze! Musimy! Nie mam żadnej nowej sztuki!

Nagle wyrzucił gwałtownym ruchem cały stos papierów w powietrze: karty spadły w nieładzie na jego siwiejącą głowę i rozleciały się dookoła.

Zaczął je deptać.

Will ukląkł i zbierał rozrzucone karty. Burbage oburącz chwycił się za włosy.

Był przemęczony i doprowadzony do desperacji.

– Czemu nie mamy kogoś, kto by umiał te rzeczy dla nas przerabiać? Dlaczego musimy zawsze polegać na tych przeklętych obcych pismakach?

Pomysł przyszedł Willowi do głowy błyskawicznie i zanim zdał sobie sprawę, że mówi, wypalił:

– Może ja bym spróbował, panie Burbage?

– Ty? Kto ty jesteś? – warknął stary aktor. Ale opamiętał się zaraz. – Przepraszam cię, Will, sam nie wiem, co mówię. Coś ty powiedział? Chcesz spróbować przerobić tę sztukę? No, słyszałem, że jesteś trochę poetą, ale to wcale nie znaczy, żebyś się rozumiał na dramatach!

– Przestudiowałem wszystkie sztuki, które Cuthbert ma w swojej... spiżarni chomika – przerwał Will.

– Dobrze więc, zabierz te przeklęte papierzyska. Nic nie mogę z nimi zrobić. Już dość sobie nałamałem nad nimi głowy.

Zawołaj mi tu Dicka. Musimy iść do domu na kolację. I tak usłyszymy parę słów od pani Burbage za spóźnienie!

Will niańczył manuskrypt pod opończą, jakby każda karta była ze złota. W pokoju, który obecnie odnajmował u pewnej gospodyni na ulicy Bishopsgate, zabrał się przede wszystkim do uporządkowania chaosu, w który manuskrypt się zamienił wskutek zbyt gwałtownych gestów starego Burbage'a. Wreszcie położył stos kart na stole i starannie wygładził pozawijane rogi.

Zabrał się do czytania.

O północy zaczął przekreślać tu i ówdzie zdania i całe ustępy – lekko, by można było odczytać przekreślone słowa – a ponad wierszami wpisywał nową wersję.

Pracował całą noc. Dziewczyna służebna, przynosząc mu skromne śniadanie, zastała go całkowicie ubranego, nawet w opończy, rozczochranego, z oczyma przekrwionymi, z palcami poplamionymi inkaustem. Ponieważ stół był cały zasłany rozłożonymi papierami, dziewczyna postawiła tacę na komodzie i czekała przypatrując się lokatorowi z ręką wspartą na biodrze. Drobną, niebrzydka, z zuchwałym wyrazem twarzy, mile przyjmowała zaczepki ze strony wesołego, młodego aktora. Ale dzisiaj Will nawet nie spojrzał na nią. Nie podziękował.

Wreszcie wzruszyła ramionami i odeszła kołysząc biodrami w nadziei, że młodzieniec choć raz spojrzy na nią. Nie spojrzał.

Machinalnie sięgnął lewą ręką po chleb z serem i zaczął jeść, pisząc nadal prawą. Machinalnie pochylił się i podniósł kufel z piwem do ust. Wykreślał i pisał... wykreślał i pisał. Nie poszedł na obiad. O czwartej po południu zaczął ostatni akt, o ósmej wypuścił pióro ze zmęczonej dłoni i w oczach jego zapalił się błysk zadowolenia.

Nie wiedział, czy mu się powiodło, ale dokonał tego, czego się podjął. Nie miał już czasu, by przeczytać raz jeszcze przerobioną sztukę: Burbage chciał nazajutrz od rana zaczynać próby. Musiał bez zwłoki pośpieszyć do „Teatru” gdzie stary aktor na pewno jeszcze siedzi, zajęty jakimiś sprawami kompanii.

– Właśnie przeszukuję spiżarnię chomika – rzekł Burbage, gdy ujrzał Willa. – I będę dalej szukał. Co w tak krótkim czasie zrobiłeś, nie może się na nic przydać; zresztą, nawet gdybyś miał miesiąc

przed sobą, to i tak nie wiem, czy potrafiłbyś przerobić tę sztukę. Połóż rękopis na stole.

Will był za bardzo zmęczony, żeby rozpocząć dyskusję.

Położył milcząc rękopis, jak mu kazano, i wyszedł znowu na ulicę Holywell. Nagle zrobiło mu się słabo i przypomniał sobie, że od rana nie miał nic w ustach.

Zaszedł do karczmy przy gościńcu Shoreditch i jadł nie czując smaku potraw. Potem powlókł się z powrotem do swego pokoju i w ubraniu rzucił się na łóżko.

Była jedenasta rano następnego dnia, gdy feteryczna służebna obudziła go, zuchwale łaskocząc w nos.

– Trzy razy już próbowałam obudzić miłościwego pana – rzekła. – Spiełeś się wczoraj wieczorem czy co?

Chwytał ją wpół i wycisnął mocnego całusa na jej ustach.

– To żeby ci dowieść, że nie czuć żadnym trunkiem ode mnie! – oznajmił.

– Jeśli to jedyny powód, dla którego mnie całujesz, to możesz sobie zabrać z powrotem twoje całusy!

Will zjadł śpiesznie śniadanie, oczyścił kaftan, wyszczotkował włosy, umył twarz i wyruszył znowu do „Teatru”.

Ciężko mu było na sercu, gdy sobie przypomniał, jak to Burbage nie chciał nawet obejrzeć jego przeróbki. A na taką właśnie sposobność czekał!

I cóż mu to dało? Tylko na próżno nie przespaną noc!

Gdy wchodził do „Teatru”, Cuthbert wybiegł na jego spotkanie.

– Ojciec cię wzywa! Idź zaraz na scenę! Wścieka się, że się tak spóźniasz.

Will wsunął się jednym z wejść koło górnej sceny. Zanim jeszcze cośkolwiek zobaczył, stanął jak wryty. Usłyszał, że Dick deklamuje tyradę, którą napisał w ciągu całonocnej pracy nad starą sztuką. Opanowawszy się i udając obojętność, wszedł na scenę.

– A chodźże tu, Will! – wołał Burbage. – W sześciu miejscach nie mogłem odczytać twojej bazgraniny! Słuchaj, świetnie wyreperowałeś to stare sztuczdyło! Znalazłem nareszcie mojego własnego przerabiacza, a wszystko dzięki temu, że sobie te papierzyska na głowę rzuciłem!

Rozdział VI

W roku 1588, w kilka miesięcy po przyjeździe Willa do Londynu, cała Anglia gotowała się do odparcia najazdu Wielkiej Armady króla Filipa hiszpańskiego.

Flota angielska, pod dowództwem lorda admirała Howarda i jego zastępcy, słynnego korsarza Sir Francisa Drake'a zaopatrywała się w prowiant i amunicję w oczekiwaniu na wielką bitwę.

Angielskie okręty, mniejsze od ogromnych hiszpańskich galeasów, były za to zwrotniejsze, w kunszcie żeglarskim nikt nie mógł dorównać Anglikom, a prócz tego flota ich nie była obciążona, jak Armada, obowiązkiem osłaniania licznych statków transportowych, wiozących wojska lądowe.

Założono wielki obóz wojenny w Tilbury, o dwadzieścia mil na wschód od Londynu, przy ujściu Tamizy, i rozmieszczano oddziały wojska wzdłuż południowych i wschodnich wybrzeży. Do Tilbury śpieszyły tysiące ochotników, by wesprzeć wojska zaciężne.

Ryszard Field powędrował mężnie z piką na ramieniu, pozostawiając swojej świeżo poślubionej małżonce opiekę nad czeladnikami i drukarnią na dziedzińcu katedry Św. Pawła.

Will namyślał się: pójść czy nie? Ale z dnia na dzień zatrzymywały go zajęcia w „Teatrze”, a gdy wreszcie postanowił iść – w połowie lipca – Hiszpanie pod wodzą Mediny Sidonii byli już koło Plymouth, a małe angielskie stateczki niczym naszczekujące pieski doskakiwały do nich to z przodu, to z tyłu – i co i raz niszczyły jakiś ciężki galeas. W parę dni później – oczekując lada chwila wylądowania na ziemi angielskiej oddziałów księcia Parmy – królowa Elżbieta dokonała przeglądu swoich wojsk w Tilbury.

Razem z niezliczonymi tłumami znalazł się tam i Will z braćmi Burbage. Pochłaniali wzrokiem królową, która odmówiła wszelkiej straży i przejeżdżała z gołą głową, w lekkim półpancerzu przed długimi szeregami żołnierzy. Jej śnieżnobiałego wierzchowca prowadził, idąc pieszo, Lord Generał, hrabia Leicester, faworyt królowej i ponoć jej kochanek. Hrabia Ormonde niósł przed nią miecz królewski, a paż szedł z tyłu z hełmem przyozdobionym białymi piórami.

Przystanąwszy na niewielkim wzgórzu, królowa wygłosiła przemówienie do żołnierzy.

Oznajmiła, że przychodzi, by wraz z nimi walczyć na śmierć i życie.

– Wiem, że ciało moje jest tylko ciałem słabej kobiety, ale serce mam zaiste króla, i to króla Anglii; dlatego z pogardą wyzywam na bój władców Parmy i Hiszpanii i każdego europejskiego monarchę, który by się ośmielił najechać granice mojego królestwa.

Oficerowie i żołnierze wiwatowali na jej cześć bez końca. Elżbieta osiągnęła dramatyczny efekt, który był jej celem. Żołnierze zaklinali się, że z ochotą odadzą za nią życie.

Zresztą nie potrzebowali tych przysiąg dotrzymywać. Francis Drake, wspomagany wichurą i burzą, rozbijał właśnie pływające pałace Sidonii o zdradzieckie skały podmorskie.

Chociaż Will nie brał bezpośredniego udziału w wydarzeniach związanych z pokonaniem Wielkiej Armady, ogólnie panujący nastrój ufności we własne siły, powszechna chęć bronienia każdej piędzi angielskiej ziemi oraz umiejętnie dobrane słowa królowej wywarły na nim głębokie wrażenie, co odbiło się wyraźnie na trylogii pierwszych sztuk wystawionych, a później

opublikowanych pod jego nazwiskiem: „Henryk VI – część pierwsza, druga i trzecia”.

Wpływ innego rodzaju, raczej warsztatowy, wywarło na nim przedstawienie, które oglądał tegoż roku – Christophera Marlowe’a „Tamerlan Wielki”. Kit Marlowe, rówieśnik Willa, miał wyborne wyczucie potrzeb teatru i walorów dramatycznych; upajał widownię wspaniałą retoryką białego wiersza, grmiącą nad głowami olśnionych widzów, a wygłaszaną z nadzwyczajną swadą przez młodego, świetnego aktora, Edwarda Alleyna. W jednej z ulubionych przez publiczność scen obnoszono jeńców Tamerlana w klatce, a później Alleyn opierał na nich stopę jak na podnóżku. W innej ze scen wieszano na murze zakutego w kajdany władcę Babilonu i strzelano do niego. Była też scena, która dała Alleynowi sposobność do najbardziej gwałtownych i przejmujących widownię okrzyków, kiedy dwaj więźni do niewoli monarchowie wjeżdżają na proscenium ciągnąc wóz z Tamerlanem, a on wymachuje nad nimi biczem, poganiając „azjatyckie szkapy”. W wiele lat później Will, nawiązując do tego przedstawienia, wkłada w usta Pistola w drugiej części „Henryka IV” trawestację słów Tamerlana:

*„Więc te Azji szkapy,
do juk zrodzone, chude, dychawiczne,
na dzień trzydziestu mil niezdolne zrobić,
chcą się z Cezarem, z Hannibalem mierzyć
lub z trojańskimi Grekami?”*

Po obejrzeniu „Tamerlana Wielkiego” na scenie Will dostał skrypt, z którego grano sztukę, i zabrał się do studiowania go, zwracając uwagę na pyszną retorykę i poetyckie efekty. Od dziesięciu lat angielscy dramaturdzy skłaniali się ku tragedii i ku górnolotnym, często pompatycznym, wierszowanym tyradom. Toteż gdy Marlowe, a później i Szekspir, zaczęli pisać swe poetyckie utwory na scenę, publiczność miała już ucho tak wyczulone, że umiała od razu rozróżnić wiersz zły, dobry czy też genialny, wzruszający lub tylko poprawny.

Na Willa wywarła także wpływ pewna rozmowa.

Któregoś ranka, na początku roku 1589, stary James Burbage udzielał mu dobrych rad na temat gustów publiczności i wskazówek scenicznych co do prowadzenia akcji w przerabianych sztukach.

– Znajdź sposoby – mówił – stałego informowania widowni, zwłaszcza parteru, o ważnych szczegółach akcji. Każ umieszczać krzesła i stoły, by widziano, że scena rozgrywa się w domu, a wzgórze z murawą, jeśli rzecz ma się dziać na dworze. Goniec, przybywający z daleka, powinien być zawsze w wysokich butach do konnej jazdy.

Gdy król występuje w zbroi, widzowie mogą się domyślać, że jest na polu bitwy. Jeśli stróż nocny z latarnią przejdzie przez scenę, każdy odgadnie, że rzecz dzieje się nocą na ulicach miasta. I nie żałuj głośno brzmiących trąb, niech celebrytują wszelkie dworskie i wojenne okazje triumfalnymi fanfarami, pobudkami i alarmami.

Publiczność lubi odgłos trąb. To ją podnieca i zapowiada ważne, wstrząsające wydarzenia. Rzadko kiedy będziesz musiał podawać dokładnie miejscowość, gdzie scena się rozgrywa, ale jeśli zajdzie tego potrzeba, znajdź sposób zręczny i gładki, by któryś z aktorów powiedział o tym zaraz na początku.

Will pamiętał o tych radach i później, gdy już pisał własne sztuki. W „Wieczorze Trzech Króli” Wiola po rozbiciu okrętu i ocaleniu na obcych brzegach pyta: „Co to za kraj jest?” A kapitan odpowiada: „To Iliria, pani”. W jednej z pierwszych scen „Hamleta” znajduje się kilka wzmianek, rzec by można, geograficznych; między innymi król mówi do Laertesza:

„Mów śmiało.

*Nie traci próżno słów, kto się udaje
z słusznym żądaniem do monarchy Danii.”*

Od bezpośrednich rad Burbage przeszedł do osobiście zaprzatających go trosk, jakby na głos myślał. Ale Will miał i te głośne rozmyślania przyjąć za wskazówkę, w jakim kierunku powinien próbować swoich sił.

Po klęsce Wielkiej Armady, w drodze powrotnej do domu, hrabia Leicester rozchorował się ciężko i już nie wstał z łoża. Śmierć jego pozbawiła Burbage’a patrona, ale niebawem znalazł innego. Był nim Ferdinando, Lord Strange, dziedzic tytułu hrabiego Derby, młody magnat, namiętny wielbiciel teatru i poezji, żywo interesujący się trupą aktorów, którym użyczył swego nazwiska, obejmując nad nimi patronat.

– Mam więc znów protektora – mówił w zamyśleniu James Burbage. – Mam własny teatr i nie najgorszych aktorów, chociaż muszę czasem pożyczać sobie Alleyna.

– I entuzjastycznych widzów – dorzucił Will.

– Dobrze powiedziane! Warto o tym pamiętać. Sonety można pisać do szuflady, gdzie leżą, aż ich autor umrze, a one rozpoczną nowe życie. Ale dramaty pisze się dla współczesnych widzów, by im się przypodobać, by ich zabawić, by się śmiali, płakali, krzyčeli...

– Jeżeli krzyczą z zachwytem...

– Kłopot polega na tym, że brak mi dobrych sztuk. Marlowe pisze przede wszystkim dla Henslowe’a. Robertowi Greene tylko wydaje się, że jest geniuszem, a w samej rzeczy daleko mu do tego. Rzadko trafia się, by Londyn mógł oglądać jakiegoś „Tamerlana”! Krótko mówiąc, potrzeba mi dobrego, rzetelnego, pracowitego dramaturga, mój Willu, który potrafi wykorzystać entuzjazm patriotyczny naszych rodaków, zaciekawic ich podniecającą akcją i dołożyć trochę prawdziwej poezji na użytek wykształconych i wymagających widzów z galerii. Bo zwykle dostają tylko podniecającą akcję, albo tylko podbijanie narodowego bębenka czy też tylko liryczne piękno poezji.

Wszystkich zaś trzech rzeczy razem – prawie nigdy! A przecież, jeśli ktoś potrafi przerabiać marne wiersze na dobrą poezję, reszta nie powinna być dla niego trudna. Pod dostatkiem jest dzisiaj źródeł, z których można zaczerpnąć ciekawą fabułę. Choćby wszystkie księgi przychodzące do nas z Italii. Albo nowe wydanie „Historii Anglii” Holinsheda, dwa lata temu opublikowane.

Różne opowieści o przygodach żeglarzy i podróżników. Widzowie lubią wszelkie takie historie.

Hektor trojański albo Pompejusz rzymski, albo któryś z królów angielskich, gdy wystąpi na scenie z odpowiednimi i wzniosłymi tyradami, podlanymi sosem filozoficznym... Ale oto ja sam dość już tyrad wygłosiłem dzisiaj. Zabieraj się stąd, mój chłopcze. Gramy o drugiej.

Tego dnia Will jadł swój południowy posiłek samotnie w taniej oberży. W ogóle był towarzyski, wesoły i lubiany, ale w tej chwili chciał być sam.

Zastanawiał się nad słowami Burbage’a.

– Patron, teatr, aktorzy, widzowie... A ja? Oto jest właściciel teatru, przyjaźnie do mnie usposobiony; aktorzy, których możliwości znam; źródła pod ręką, by z nich czerpać do woli; no i mam łatwość układania wierszy, podobno nawet niezłych.

Czy posiadam potrzebną dramaturgowi imaginację? Do tej pory korzystałem z cudzej wyobraźni, dodając cudzym myślom skrzydeł moimi słowami...

Przyjechał do Londynu w poszukiwaniu sławy i fortuny.

Marzył o sławie poety. Ale poemat „Wenus i Adonis” spoczywał nie dokończony w szufladzie w jego pokoju przy ulicy Bishopsgate. Ryszard Field wciąż pytał o ten utwór. Will westchnął i pomyślał, że chociaż koniec już napisał, ale reszta przedstawiała się na podobieństwo pierwszej sztuki sukna utkanej przez początkującego czeladnika: cała w skazach. Trzeba było jeszcze dopisać poszczególne zwroty, poprawić rymy. Mało czasu mógł jednak poświęcić na pracę twórczą nad swoim poematem: rano próby, po południu przedstawienia, wieczorami przerabianie starych sztuk; no i pierwszy objazd, w którym Will wziął udział, latem i wczesną jesienią po klęsce Wielkiej Armady.

Pisanie dla teatru było trudną i daleką drogą do sławy, ale przecież właśnie na tej drodze Christopher Marlowe zdobył sławę, a Robert Greene w każdym razie zaznał jej trochę. Ale czego w tej chwili przybysz ze Stratfordu najpilniej potrzebował, to pieniędzy. Jako początkujący „pomocnik do wszystkiego” otrzymywał od Jamesa Burbage’a siedem szylingów tygodniowo, mniej więcej tyle samo, co murarz.

Przy wielkiej oszczędności mógł przeżyć za pięć szylingów.

Pozostałe dwa szylingi miały wystarczyć na ubranie, pozwolić mu na rzadkie odwiedziny w sławnym miejscu spotkań ludzi teatru – w oberży „Pod Syreną”, w pobliżu Św. Pawła, no i na drobne upominki dla feterycznej służącej w domu, gdzie mieszkał.

Burbage dawał mu od czasu do czasu szylinga lub dwa za pomaganie Cuthbertowi.

Najlepszy sposób zarobkowania, jaki do tej pory wynalazł, to było przerabianie starych sztuk: dostawał za to po dwadzieścia szylingów od jednego dramatu.

Wszelkie takie dodatkowe zarobki posyłał Annie do Stratfordu.

Toteż sześć funtów, które można było zarobić za napisanie nowej sztuki, wydawało mu się bardzo bliskie tej fortuny, kórą chciał zdobyć.

„Pod Syreną” Will spotykał ludzi spoza ciasnego kółka aktorów Burbage’a. Oberża mieściła się w budynku o podwójnej fasadzie, rozdzielonej w środku wejściem na dziedziniec, z drzwiami do poszczególnych izb z obu stron.

Na pierwszym piętrze okna wysuwały się wykuszami nad ulicę, wysokie i oszklone oprawnymi w ołów szybkami; na drugim piętrze okna były niższe a szersze; jeszcze wyżej widniały okienka facjatek. W środku mieściły się izby „prywatne i publiczne”. Obiady można było, wedle woli, jeść przy stole oberżysty, Williama Johnsona, lub też kazać je sobie podawać przy oddzielnych stolikach.

Spoglądając wstecz korytarzem lat, Will nie umiał na ogół rozróżnić chronologicznej kolejności poszczególnych odwiedzin w oberży: takiej czy innej rozmowy, zasłyszanej plotki, wiadomości, jakiejś ciekawszej wymiany zdań, w której brał udział. Pamiętał je tylko ogólnie, jako jeden ciąg podniecających dla umysłu rozrywek – czasem zakończonych nadmiernym pijaństwem, czasem nawet bójką. Ale parę wydarzeń zapisało się wyraźnie w jego pamięci.

Kiedyś na przykład John Heminge zaprosił Willa i Dicka Burbage’a „Pod Syrenę”, aby oblać małą uroczystość rodzinną.

Usiedli w obszernej, niskiej izbie o belkowanym pułapie i ścianach wykładanych dębową boazerią, zwykle zarezerwowanej dla aktorów, ich przyjaciół i patronów. Było tu nieskazitelnie czysto: na dwóch długich stołach bieleły się obrusy, na półkach wzdłuż ścian połyskiwały miedziane kufle i naczynia.

Heminge zażądał flaski starego wina.

– Dziś są urodziny mojej żony – oznajmił. – Musimy napić się za jej zdrowie.

– Każda okazja jest dobra, gdy wino dobre! – zawołał Dick.

Wtem drzwi otworzyły się z trzaskiem. Heminge skoczył na równe nogi.

– Kit! Co za niespodzianka! I Bob także... I Sir Walter! Witam was, uniżenie witam! Gospodarzu! Jeszcze jedną flaszkę!

Pierwszy wszedł wysoki mężczyzna o twarzy żywej, inteligentnej, pewnym siebie, a nawet zadziernym obejściu, niedbale ubrany i potargany:

Christopher Marlowe. Za nim niski jegomość gładzący długą, rudą, rozdwojoną brodę: Robert Greene. I wreszcie mężczyzna o arystokratycznym wyglądzie i minie z lekka pogardliwej; jego ciemne włosy były starannie utrefione, broda przystrzyżona w krótki szpic, kreza zakończona cenną koronką, kaftan z najpiękniejszego jedwabiu: Sir Walter Raleigh. Niedawno rywalizował z Robertem Devereux, hrabią Essexem, o miejsce faworyta królowej, opróżnione po śmierci hrabiego Leicestera. Sir Walter zajął drugie miejsce w tej rywalizacji, zdobywszy tytułowe stanowisko kapitana gwardii królewskiej. Był to wybitny żeglarz, żołnierz, odkrywca, podróżnik, miłośnik teatru i sam nie najgorszy poeta, a także domniemany ateista.

Powiększona kompania zabrała się do spełniania kielichów za zdrowie pani Heminge.

– No, a jak tobie się powodzi, Willu Szekspirze? – zapytał Marlowe rzucając na ławkę pod oknem swój kapelusz z piórami.

– Jak idzie przerabianie sztuk?

Will spotkał Marlowe'a parę razy w „Teatrze” i zachwycał się „Tamerlanem Wielkim”.

– Życzyłbym sobie tylko, żeby ich było więcej do przerabiania – odparł Will.

– A kiedy nam napiszesz własny, oryginalny dramat? Pan Burbage mówił mi, że się tego spodziewa.

– Jeszcze powinienem terminować – odrzekł Will czując się bardzo niepewnie w towarzystwie tych doświadczonych ludzi teatru i znakomitego dworzanina królowej.

– Wszyscy się uczymy wszędzie i nieustannie – zauważył Raleigh. – A kiedy nam się zdaje, że coś wiemy i umiemy, wtedy wciąż jeszcze nic nie wiemy. Znamy tylko nasze własne opinie, a sądy innych ludzi mogą być przecie równie słuszne, a nawet słuszniejsze od naszych.

– Czy pan jest oksfordczykiem? – zapytał Greene gładząc brodę i złośliwie spoglądając na Willa małymi, okrągłymi oczkami.

Will nigdy poprzednio nie spotkał się z Greenem, chociaż słyszał o nim dużo jako o płodnym autorze licznych romansów prozą, pamfletów, dramatów i poezji. Sir Walter i Marlowe rozmawiali z sobą, pochyleni. Dick milczał patrząc z irytacją na Greene'a, znanego z zamiłowania do szyderczych zaczepki.

– Jestem stratfordczykiem – odparł spokojnie Will wiedząc doskonale, o co tamtemu chodzi.

– Jako o siedlisku wiedzy nie mam zbyt wysokiego mniemania o tym mieście – rzekł Greene. – Jeśli ktoś nie posiada wykształcenia, niechaj lepiej zajmie się pisaniem tak modnych dzisiaj podręczników prowadzenia rachunkowości, czyszczenia plam albo tłumaczenia snów.

– Daj spokój, Bob – Heminge pośpieszył na odsiecz przyjacielowi. – Każdy początek jest trudny i zasługuje na zachętę.

– Lepiej nie zachęcać tych, którzy z braku wykształcenia nie mogą do niczego dojść – upierał się Greene.

Will pienił się wewnątrz i miał na końcu języka ostrą ripostę. Ale był tylko w najlepszym razie „przerabiaczem” – żadnego własnego dramatu nie miał jeszcze na swoim koncie.

Prócz tego, pierwszy raz znalazłszy się w towarzystwie dworzanina i arystokraty tego znaczenia i takiej sławy, jak Sir Walter, nie chciał w jego obecności wdawać się w kłótnię.

Ale sam Sir Walter wmieszał się do rozmowy i wraz z Marlowe'em zaczęli dowcipnie i niezłośliwie dokuczać Heminge'owi, który był znany z dość ciasnych pojęć religijnych.

Marlowe i Greene należeli do grupy, w skład której wchodził też Thomas Kyd, Thomas Nash, Thomas Lodge i George Peele, znanej pod nazwą „uniwersyteckich mędrków”.

Ludzie ci, zdobywszy tytuły naukowe, wiedzę klasyczną i łatwość rymowania, śpieszyli z tym ładunkiem do Londynu. Tu mogli się wkrótce zorientować, że Henslowe, Burbage i inni kierownicy kompanii aktorskich na gwałt potrzebowali dramatów, wystawiając czasem po kilkanaście nowych sztuk w ciągu miesiąca. „Mędrkowie” trzymali się razem, często wspólnie mieszkali, pili tęgo, pojedynkowali się często i większość z nich miała okazję osobiście zapoznać się z londyńskim więzieniem.

Will ocknął się ze swoich rozmyślań, słysząc, jak Marlowe mówi do Heminge’a, szarpiąc go za rękaw:

– Przekonania religijne człowieka są bez znaczenia!

Religia jest tylko fortelem, którym posługują się możni i wielcy tego świata, by trzymać w pokorze masy. Przykazania religijne są łańcuchami, które krępują swobodę umysłu.

– Człowiek potrzebuje przykazań w życiu – bronił się Heminge.

– Więc niechaj to będą przykazania rozsądku, a nie przerażonego instynktu – rzekł z odcieniem wyższości Sir Walter.

– Za wielu znacie uczonych, Sir Walterze, i innych, którzy by chcieli świat nam zwalić na głowy – zalił się Heminge.

– Tego świata uczeni nie zwalą – zaśmiał się głośno Marlowe. – Za to zwalą tamten!

Sir Walter i Marlowe zabawiali się naukowymi doświadczeniami, pragnąc dociec prawdy.

– Wy, sceptycy, chcielibyście odrzucić wszelki autorytet, wszelki ład, wszelkie prawo, wszelkie instytucje – rzekł Heminge.

– My, sceptycy – poprawił go Raleigh – niczego nie chcemy odrzucać ani też niczego afirmować. My tylko wątpimy i rozumem dociekamy słuszności tego, co inni afirmują lub odrzucają, aby uzasadnić nasz brak zgody.

– Ja z mojej strony – oznajmił Marlowe – odrzuciłbym precz wszelkie autorytety, prawo i instytucje. Pragnę swobody ducha! Swobody poszukiwań tego, co jest istotniejsze niż samo życie, poszukiwań piękna.

– Lecz piękno duszy jest najważniejsze – oponował Heminge.

– Więc powiedz mi, co to właściwie jest dusza? – podchwycił Marlowe.

– Dusza jest duchową i nieśmiertelną substancją, którą tchnął w człowieka Bóg – odparł Heminge bez namysłu.

– Dobrze, ale co to jest ta substancja? – nalegał Marlowe.

– No, dusza – odrzekł Heminge.

– Rozumujesz jak sofista – zaśmiał się Marlowe. – Kręcisz się w koło!

– Dość tych głupich dysput – rzekł ziewając Greene.

– Bynajmniej ci za tę uprzejmość nie dziękuję! – zawołał gwałtownie Marlowe przysuwając zaczerwioną ze złości twarz do Greene’a.

– Chciałem powiedzieć, że głupio ci oponuje ten półgłówek aktorzyzna – wytłumaczył niechętnie Greene. Siedział przy tym odwrócony plecami do Willa z celowym grubiaństwem.

Will nie mógł się dłużej pohamować.

– Półgłówki czy nie, panie Greene – powiedział zmuszając się do spokoju – ale nie kto inni jak właśnie aktorzy będą przekazywać widowni pana wiersze. I albo je uwiecznią, albo przekreślą deklamując!

Greene nie zaszczycił go odwróceniem głowy. Wezwał tylko pachołka służebnego i zawołał:

– Przynieś nam jeszcze jedną flaszkę! A zapłaci ten uczonec z uniwersytetu w Stratfordzie jako karę za sprzeciwianie się mądrzejszym od siebie.

– Zapłacę chętnie, abym mógł wnieść toasty: za zdrowie największego współczesnego dramaturga! Za zdrowie kapitana gwardii jej królewskiej mości!

Za zdrowie mego szlachetnego instruktora wzniosłej sztuki aktorskiej, i – wskazując na Dicka Burbage – za zdrowie przyszłego, daj Boże zwycięskiego, rywala wielkiego Edwarda Alleyna!

Na to nareszcie Greene obrócił się w krześle.

– A nie wypijesz za zdrowie jedyne go prawdziwie wzniosłego intelektu między wami? – wykrzyknął waląc pięścią w stół, podczas gdy Marlowe i Sir Walter śmiali się serdecznie.

– Jeśli o mnie chodzi, panie Greene – powiedział Will pochylając się ku niemu i mówiąc prawie szeptem – możesz pan wypić całą flaszkę sam albo wylać ją sobie na głowę. Mnie to obojętne. Ale ja z panem nigdy pić nie będę!

W tej chwili pachołek przyniósł wino, a Kit Marlowe, śmiejąc się wciąż, chwycił odkorkowaną flaszkę w swoją wielką garść i jednym szybkim ruchem skąpał rude włosy i brodę Greene'a w reńskim winie.

Rozdział VII

– Nie jesteś dla mnie taki, jak dawniej – skarżyła się fertyczna pokojówka.

– Bo już nie jestem niczym więcej – odparł Will z gigantycznym ziewnięciem – jak tylko machiną wymyśloną po to, by wodzić piórem po kartach papieru.

Potarł przekrwione oczy i starał się otrząsnąć ze snu tak ciężkiego, jakby był pod wpływem narkotyku. Pracował nad „Henrykiem VI” do czwartej nad ranem, a teraz, po czterech ledwie godzinach snu, musi wstać, zjeść śniadanie i pośpieszyć na próbę sztuki, do której poprzednio dopisał parę scen, by ożywić nudny skrypt.

– Mężczyzna nie powinien wciąż i zawsze pracować – oznajmiła służąca.

– A młoda kobieta nie powinna przeszkadzać mężczyźnie przy ranej toalecie – odparł Will. – Zmiałaj stąd natychmiast.

Dziewczyna wyszła nadąsana.

Na stole leżały stosy papieru, książki, gęsie pióra. Na podłodze wokół krzesła walały się skrypty zapisane równymi linijkami, ale pełne przekreśleń, przeróbek i poprawek. Książki pożyczał od Ryszarda Fielda. Obowiązki rodzinne nie pozwalały młodemu aktorowi na takie zbytki, jak kupowanie książek. Pożyczył więc od przyjaciela kronikę obejmującą czasy aż do śmierci Henryka VII w roku 1509, napisaną przez Roberta Fabyana, drugą kronikę Edwarda Halla, skrypt aktorski „Tamerlana Wielkiego” Marlowe’a i otwartą właśnie na stole „Historię Anglii” Raphaela Holinsheda.

Nie na próżno James Burbage zwrócił uwagę swego pupila na „Historię Anglii” Holinsheda.

Will studiował ją, zaznaczał różne ustępy, notował własne uwagi na marginesach, nie dbając o to, co sobie Field pomyśli o tak bez troskim traktowaniu jego własności. Rzeczywiście, znalazł tu niewyczerpane prawie źródło tematów.

Postanowił na początek wziąć na warsztat dzieje wojen z Francją za panowania Henryka VI (w połowie XV wieku). A więc triumf Joanny d’arc – przedstawionej jako ladacznica i oszustka – pod Orleanem i stopniowe wypieranie Anglików z Francji, do której tronu pretendowali angielscy monarchowie. Bohaterem przemawiającym do patriotyzmu widzów był Lord Talbot, odważny, dzielny, rycerski w czynie i słowie wódz. Przy okazji Will mógł też dać ujście wrodzonemu wstrętowi do wszelkich domowych waśni, przedstawiając w scenach rozgrywających się w Anglii kłótnie możnych baronów, które doprowadziły do wybuchu wojny o tron między dynastią Yorków

(Białą Różą) a Lancastrów (Czerwoną Różą), wojny domowej, trwającej z górą lat trzydzieści.

Will wyczuł trafnie, że ten właśnie historyczny temat będzie ogromnie aktualny. Anglia, świeżo zwyciężywszy Wielką Armadę, rozwijając handel na Wschodzie i Zachodzie, sięgając po skarby i ziemie Nowego Świata, stała u progu złotej ery. Ale co przenikliwsi słyszeli złowrózbnę tykanie zegara dziejów, przygłuszone melodiami kurantów, i rozumieli, że korona Anglii może znowu stać się przedmiotem krwawych, wieloletnich zatargów. Królowa Elżbieta nie miała potomka, za stara już była do macierzyństwa, a uparcie odmawiała wyznaczenia następcy tronu. Czy po jej śmierci różni

pretendenci nie wtrąca znowu kraju w otchłań wojen domowych?

Młody hrabia Essex, urodziwy i rycerski, śmiały i porywczy, od pięciu lat był faworytem królowej – dwudziestoletnim faworytem pięćdziesięcioletniej kobiety. Bożyszcze londyńskich tłumów, którym zrećnie schlebiał, marzył ponoć o tronie po śmierci Elżbiety. W roku 1591 powierzono mu dowództwo wojsk wysłanych do Normandii w sukurs Francuzom walczącym z Hiszpanią, ale po roku wyprawę odwołano.

Essex wrócił wściekły, ponieważ nie dano mu sposobności – jak twierdził – poprowadzenia angielskich rycerzy do chlubnych zwycięstw. Winą za swoje upokorzenie obarczył doradców królowej – starego, mądrego i lojalnego Lorda Burleigh i jego syna, Roberta Cecila. Postanowił więc podkopać zaufanie, jakim obydwu darzyła Elżbieta.

Szeptano sobie, że wspólnie z Sir Walterem Raleigh i kilku innymi dworzanami planował nawet usunąć ich przemocą, jeśli by zaszła potrzeba.

Przy blasku łojowej świeczki, w skromnej izbie przy ulicy Bishopsgate, Will pograżał się w studiowaniu Marlowe'a. Nie dorównywał jeszcze w biegłości stylistycznej swemu preceptorowi. Szukał dopiero po omacku własnego stylu, własnej formy, w którą chciał przyoblec opowieść. Przerabiać cudze sztuki, dodawać tutaj scenę komiczną, ówdzie górnolotną tyradę – nie przedstawiało specjalnych trudności. Ale zmieścić pół wieku dziejów w ramach własnego, oryginalnego dramatu, który powinien się rozegrać w ciągu kilku godzin – to była zupełnie inna sprawa.

Pisząc Will cały czas zaglądał do kronik. Mało znał historię Anglii prócz tego, co w nich wyczytał. W dodatku musiał często zmieniać chronologię, by dostosować ją do potrzeb konstrukcji dramatycznej. Nie cofał się przed takimi poprawkami, jeśli tylko narracja rozwijała się jasno, a myśl przewodnia była zrozumiała dla wszystkich. Jego zadaniem było wstrząsnąć widzami, by odeszli do domu przejęci, podniesieni na duchu i wrogo nastawieni do wojny domowej. Jeśli dla osiągnięcia swoich celów będzie musiał zonglować datami, jeśli postać historyczna, która w rzeczywistości zmarła wcześniej, przyda mu się w późniejszym okresie – to niech pożyje sobie dłużej. Jego narracja była dla parteru; jego poezja – dla galerii.

Nad dramatem o królu Henryku VI Will pracował solidnie, nie pozostawiając niczego na łaskę przypadku.

Pisał scenę za sceną, grał je, sam występował w kolejnych rolach, a także przypatrywał im się jako widz, odtwarzał ugrupowania na scenie, wypróbowywał gesty przed lustrem, wsłuchiwał się w kadencję białego wiersza.

Często, wygłosivszy tyradę, odczytywał następnie głośno jakąś kwestię z dramatów Marlowe'a, szukając porównań. Z ciężkim westchnieniem przyznawał palmę pierwszeństwa swemu mentorowi, ale w pracy nie ustawał. Noc po nocy przesiadywał i pieniądze, które dawniej trwonił „Pod Syreną”, wydawał teraz na coraz nowe wiązki świec.

Służebna w domu, w którym mieszkał Will, pozbawiona jego uścisków i drobnych podarków, zaczęła się do niego odnosić chłodno i wyniosłe albo też dla odmiany grubiańsko. Któregoś ranka postawiła z głośnym trzaskiem tacę ze śniadaniem i oskarżyła go wręcz, że się ugania za innymi kobietami.

– Masz rację – odrzekł Will ze zmęczonym uśmiechem. – Zajęły mnie teraz trzy inne kobiety.

– Trzy! – wybuchnęła z pasją.

– Ty... Salomonie!

– Tak, trzy – potwierdził. – Małgorzata, córka księcia andegaweńskiego a żona króla angielskiego Henryka VI, księżna Owernii i Joanna d'arc. Nigdy nie słyszałaś o Joannie? Później

będzie jeszcze Eleonora, księżna Gloucester, Margery Jourdain, czarownica, Lady...

– Co? Czarownica? – Pokojówka wysunęła naprzód rękę z szeroko rozstawionymi palcami, jakby chciała odczynić urok, i zaczęła się cofać ku drzwiom. – Teraz wiem, że ten gość z sąsiedniego pokoju ma rację, mówiąc, żeś zwariował. Bardzo grzeczny gość, który nie spędza nocy na bazgraniu! Opowiada, że gadasz sam z sobą, wołasz i chodzisz w nocy po pokoju.

– Poproś go w moim imieniu o wybaczenie za to, że mu przeszkadzam – odrzekł Will spokojnie.

Dziewczyna, której zwycięską rywalką okazała się biała karta papieru, wyprostowała się, burknęła coś jeszcze z pogardą i wyszła nareszcie z pokoju.

A Will powrócił do pisania swego pierwszego dramatu. Oto Lord Talbot wygłasza przemówienie, gdy dwie wrogie armie stoją naprzeciw siebie przed decydującą bitwą. Will włożył wszystkie swoje umiejętności w tę tyradę, która obudziła frenetyczny zapal elżbietańskiej widowni, mającej jeszcze świeżo w pamięci zwycięstwo angielskich stateczków nad pływającymi fortecami hiszpańskimi.

Ukończywszy tyradę Talbota Will wstał z krzesła, trzymając w prawej ręce pióro, które miało przedstawiać miecz, a kartę papieru w lewej. Było to niedzielne popołudnie. Will właśnie wygłaszał końcowe wiersze przed oknem wychodzącym na ulicę, gdy drzwi jego pokoju otworzyły się z hałasem.

– A więc piszesz ten dramat!

Przechodziłem ulicą i usłyszałem, jak wołałeś: „Bóg i święty Jerzy! Talbot i prawo Anglii!” Dobrze ci szło!

Odczytaj mi to jeszcze raz!

Kit Marlowe rzucił kapelusz na łóżko i usiadłszy na krześle, zaczął przeglądać rozrzucone karty manuskrytu, zapisane urywkami dialogów i wskazówkami scenicznymi.

– Bardzo to uprzejmie...

Bardzoś łaskaw... – bąkał Will.

– Ale wstyd mi, doprawdy, powtarzać moje ubogie wiersze przed tobą.

– Niech licha porwie twoje wykręty! – krzyknął Marlowe. – Słuchaj, ja się męczyłem tak jak ty, miałem zupełnie podobne kłopoty. Może ci będę mógł pomóc.

Will odczytał tyradę Talbota, nie tak głośno tym razem i mniej dramatycznie, skrepowany obecnością słuchacza.

– Dobrze! Bardzo dobrze! – orzekł Marlowe wysłuchawszy uważnie do końca. – Tu i ówdzie zdałoby się zmienić jakieś słowo czy zwrot. Zaraz to zrobimy. Daj mi resztę tego dramatu.

Siedział nie odrywając oczu od manuskrytu, a Will kręcił się niespokojnie obok niego.

– Tu byś powinien dać coś mocniejszego... tak na przykład... zgadzasz się?

Dopiszę to... Tę scenę trochę bym skrócił... Patrz, aż się prosi, żeby tutaj skończyć... reszta nic nowego nie wnosi... I słuchaj, ja bym ci radził tę scenę przenieść, dać ją trochę wcześniej... Powiedzmy tu...

Była to krytyka pełna entuzjazmu, a jednocześnie rzeczowa, konstruktywna. Marlowe zatopił się cały w tym zadaniu, którego sam się podjął. Will był tym wzruszony do głębi. Mrok już zapadł, gdy dotarli do tyrady Talbota. Marlowe zaproponował kilka poprawek.

– Teraz zadeklamuj to znowu – powiedział rozkazująco, ale był to rozkaz entuzjasty.

„Łęklive stado angielskich danieli

owiała psiarnia francuskich ogarów!

Bądźmyż przynajmniej rasową zwierzyną,

nie chudą sarną, szczyptnięciem zabita,

lecz wściekłym raczej rozpaczą jeleniem,
psów krwawą zgrają trzymającym w dali
groźnym połyskiem stalowego wieńca.

Niech każdy przeda drogo, jak ja, życie,
a drogo swoją zapłacą dziczyznę.” Gdy słowa przebrzmiały, Marlowe milczał jeszcze chwilę.
W końcu rzekł:

– Niech cię nie znam! Wyrwiesz dobrych parę piór z mojego pióropusza chwały. Muszę pędzić
do domu i zabrać się do pisania czegoś lepszego od Tamerlana.

Inaczej może się okazać, że skapcianałem zupełnie. Będę ci wyznaczał coraz dalsze cele, mój ty
łuczniku piszący dramaty!

– Będę się starał dorównać ci – powiedział Will. – Ale daleko mi do tego.

– Nie starzyśmy jeszcze – rzekł Marlowe. – We dwóch, jak się zabierzemy do pisania, wyprzemy
innych ze wszystkich teatrów. A teraz idziemy „Pod Syrenę”.

– Nie obraż się, ale wiesz... nie teraz. Chcę wykończyć...

– Siebie wykończysz – przerwał Marlowe. – Jak ty wyglądasz?

Masz oczy sowy, która przez sto nocy hukaniem spać ludziom nie dawała... Żadnych wymówek...

Bierz kaftan... kapelusz... Daj spokój czesaniu brody. Wino ci i tak do ust trafi. Chodź zaraz.

Wypijemy za zdrowie „Henryka VI”!

„Pod Syreną” było gwarno jak zawsze i jak zawsze dyskutowano o najświeższych
wiadomościach, ważniejszych i mniej ważnych.

Ryszard Field, coraz lepiej znany jako wydawca cennych dzieł literackich, opublikował angielski
przekład Ariostowego poematu „Orlando Furioso”, pióra Johna Harringtona, chrzestnego syna jej
królewskiej mości.

Śmiano się serdecznie, gdy Marlowe zaczął opowiadać, jak ten przekład powstał. Harrington
przetłumaczył podobno najpierw tylko kilka dość rozwiązłych ustępów z księgi dwudziestej ósmej
utworu Ariosta. Krążyły one w odpisach wśród dworzan, aż dostały się w ręce królowej, która
natychmiast posłała po swego chrzestniaka, natarła mu uszu, nawymyślała porządnie za
deprawowanie dam dworu i rozkazała nie pokazywać się jej na oczy, dopóki nie przetłumaczy
całości poematu!

Drugim ważnym wydarzeniem literackim, żywo omawianym „Pod Syreną”, było wydanie
„Astrophela i Stelli”, pióra Sir Philipa Sydneya, poety i żołnierza, który zmarł w roku

1586 z ran odniesionych w bitwie. Na „Astrophela i Stellę” składało się sto osiem sonetów
i jednaście pieśni, najpiękniejszych może erotyków, jakie do tej pory ukazały się w języku
angielskim. Will pożyczył sobie egzemplarz tej książki i pilnie studiował budowę sonetu; wysyłał
nawet wierszowane listy do przyjaciół, mające tę właśnie formę poetycką.

Innego rodzaju wiadomość, która dotarła „Pod Syrenę”, również omawiano gorąco. Na kilka
statków angielskich napadła niespodziewanie koło Azorów flota hiszpańska.

Większość okrętów zdołała się wymknąć, ale Sir Ryszard Grenville na statku „Revenge” wydał
bitwę przeważającym siłom i walczył z setką swych ludzi przeciw piętnastu okrętom hiszpańskim,
z których każdy, spróbowawszy abordażu, został odparty ze znacznymi stratami.

Dopiero gdy wszystkie maszty runęły, amunicja się wyczerpała, piki co do jednej połamano,
czterdziestu marynarzy zabito, a resztę poraniono – dopiero wtedy Sir Ryszard zgodził się ostatecznie
poddąć swój statek, zastrzegłszy, że wszystkich jeńców Hiszpanie odstawią do Anglii. Sam Sir
Ryszard zmarł w trzy dni później z odniesionych ran. Opowieść ta budziła nadzwyczajny entuzjazm
w narodzie, dumnym z odwagi swych obrońców i swej z każdym rokiem rosnącej potęgi. Willowi

przyszło od razu na myśl, że widownia tym bardziej entuzjastycznie przyjmie tyradę Talbota.

Jeszcze przed rozpoczęciem „Henryka VI” Will odwiedził Stratford. Anna nie umiała pisać, otrzymywał więc wiadomości z domu tylko za pośrednictwem stratfordczyków, którzy przyjeżdżali w interesach – do Londynu. Tęsknił za bliźniętami, a miał nadzieję, że może i Anna złagodniała w czasie jego nieobecności. Gdyby była rozsądniejsza, na pewno powitałaby go w najładniejszym czepeczku i z uśmiechem na twarzy. Niestety, Anna wyładowała na nim gniew kobiety porzuconej, nazwała go zbiegiem i zarzuciła mu, że pędzi rozwiązyły żywot w tej jaskini rozpusty, za jaką uważała Londyn. Na spacerach z małym Hamnetem, mężnie kroczącym obok ojca, i z Judytką niesioną „na barana”, odwiedzał wesołe od kwiecica łąki i pachnące, cieniste gaje, które mówiły mu o szczęściu utraconym wraz z Anną Whateley.

Od powrotu ze Stratfordu tygodnie w Londynie upływały mu w atmosferze dramatu, który pisał. Układał dialogi i kwestie po drodze do „Teatru”, notował poszczególne zwroty, gdy czekał za kulisami, roztargniony do tego stopnia, iż przyjaciele mogli go chwilami uważać za głuchego. Ale gdy pisał zamknięty w swej izbie, wspomnienia wypadków z własnego życia, własnych uczuć i doznań narzucały mu się często z przemożną siłą. W ostatniej scenie król Henryk postanawia poślubić Małgorzatę d’anjou, zakochawszy się w niej na podstawie lirycznych opisów swych posłów. Niektórzy z królewskich doradców protestują, ponieważ inne kandydatki na królewską małżonkę wniosłyby bogate wiano, a Małgorzata jest córką człowieka zubożałego.

Jeden z posłów, Suffolk, odtrąca te zastrzeżenia jako procedurę nadającą się raczej przy kupowaniu wołów albo koni. I oto znowu nasuwają się słowa, które są echem przeżyć osobistych, niedawnych odwiedzin w Stratfordzie:

*„Alboż nie piekłem zmuszone małżeństwo,
nie długim ciągiem sporów i zgryzoty?
Gdy wolne stadło źródłem błogosławieństw
i niebieskiego wzorem jest pokoju!”*

Przepisawszy na czysto ukończony dramat, Will wybrał się pewnego ranka do „Teatru” z plikiem papierów pod pachą i mocno bijącym sercem.

– No, nareszcie! – rzekł James Burbage. – Daj, muszę to przejrzeć. Marlowe opowiadał mi, że twoja sztuka poruszy całe miasto!

Niepokój Willa nie trwał długo. Przejrzenie kilku scen wystarczyło doświadczonemu staremu aktorowi.

Podniósłszy głowę, spojrzał na Willa, uśmiechnął się do niego i zrobił porozumiewawczą i zachwyconą minę – jak mężczyzna do mężczyzny na widok przechodzącej pięknej kobiety.

Teatr „Rose” Philipa Henslowe’a, na południowym brzegu Tamizy, był niedawno odnowiony i odmalowany. Burbage wziął go w dzierżawę na sezon wiosenny 1592 roku, gdyż budynek ten mógł pomieścić znacznie więcej widzów. Teraz, kiwając głową nad dramatem Willa, rzekł:

– Otworzymy sezon w nowym teatrze twoim „Henrykiem VI”. To się dopiero będą zdumiewali!
Nowa sztuka nowego autora!

Będziemy musieli pośpieszyć się trochę z próbami, ale to się da zrobić. Czy masz kogoś upatrzzonego do którejś z ról?

Taki był James Burbage. Gdy raz coś postanowił, nie wahał się więcej, nie skąpił, nie robił

zastrzeżeń. Całym sercem oddawał się sprawie, na którą się zdecydował.

– Zdaje mi się, że Alleyn mógłby dobrze zagrać Talbota – powiedział Will.

– Świetnie! Kto jeszcze?

– Dick doskonale by się nadawał do roli Ryszarda Plantageneta, a Heminge mógłby być królem.

– Czekaj, czekaj! A gdybyś ty sam zagrał króla?

– Nigdy nie występowałem w tak wielkiej roli.

– To znaczy, że miałbyś ochotę spróbować. Załatwione. Jego łagodny charakter akurat odpowiada twemu usposobieniu.

Czasem sobie myślę, że jesteś aż nazbyt łagodny, Willu. Życie może cię zranić, i to boleśnie.

W próbach okazało się, że Burbage trafnie rozdał role.

Will miał prezencję i wrodzoną godność, odpowiednią do kreowania królewskich postaci – pod warunkiem, że bojowa energia nie wchodziła w skład monarszych atrybutów – i po tym dobrym początku często nosił na scenie koronę. Zresztą nigdy nie kreował głównych bohaterów: jako aktor był sumienny, umiał się dostosować do wskazówek, ale nie odznaczał się wybitnym talentem.

Po którejś z rannych prób, kiedy Burbage nawymyślał swemu królowi jak przekupka na targu rybnym za brak dostatecznie królewskiego majestatu, Will poszedł wreszcie odpocząć za kulisami razem z Kempem, zwykle grającym role komiczne w kompanii „Sług Lorda Strange’a”, ale obecnie występującym jako biskup Winchesteru, a także jako pasterz, ojciec Joanny d’arc.

– „Koroną strojne głowy spać nie mogą” – zakpił dobrodusznie Kemp ze strudzonego Willa.

– A co za kapuściana głowa idzie spać w koronie? – odparował Will.

Podczas tych prób przekonał się, że każdy z aktorów był zdania, iż potrafiłby lepiej od autora napisać dramat. Edward Alleyn ciągle krzywił się nad kwestiami Talbota i głośno twierdził, że zbiera mu się od nich na wymioty; zachowywał się zresztą tak samo przy próbach każdej sztuki czyjegokolwiek pióra. Inni aktorzy, wprawdzie trochę skromniej, ale także żądali zmian; Burbage czasem ich popierał, czasem się sprzeciwiał. Trzeba też było zmieniać i wykreślać teksty ze względu na czas trwania przedstawienia i możliwości sceny. Will przywykł do tego, że musiał być stale w pogotowiu, by dokonywać poprawek w dramatach innych autorów; ale przekonał się, że znacznie trudniej mu przychodzi zmieniać własne wiersze na rozkaz aktorów, którzy nie dbali wcale o całość sztuki. Dużo trudności było też z wyuczeniem młodego praktykanta, który grał Joannę d’arc, tej roli mieniającej się od rozmaitych odcieni.

Pierwsze przedstawienie „Henryka VI” było triumfem dla „Sług Lorda Strange’a”. Dramat podchwycił świetnie nastroje panujące w Anglii. Autor dał pod dostatkiem wszystkiego, co publiczność najbardziej lubiła: żywą akcję, tempo, ruch, bitwy, szczęk mieczów, bohaterstwo, śmierć, pogrzeby, zaręczyny, procesje, wspaniałe stroje i nieustanne fanfary. Trąby nie próżnowały, a cała widownia krzyczała razem z Alleynem: „Bóg i święty Jerzy! Talbot i prawo Anglii!”

Po przedstawieniu Marlowe odszukał Willa, jeszcze w kostiumie królewskim, i w uniesieniu trzepnął go w plecy z takim zapałem, że aż korona potoczyła się na podłogę, a Cuthbert Burbage natychmiast zaczął krzyczeć, by nie niszczyć rekwizytów.

– Jeśli ostatni dramat, jaki napiszesz, spełni zapowiedź pierwszego, to będzie utworem genialnym! – wołał Marlowe.

Głęboko wzruszony wielkodusznością rywala, rzadko spotykaną zarówno wśród pisarzy, jak i aktorów, Will jąkał słowa podziękowania.

– Spotkamy się „Pod Syreną” – oznajmił Marlowe. – To trzeba oblać. James się już zgodził i wszyscy przyjdą jak jeden mąż!

Will wyszedł z teatru „Rose” razem z Heminge’em i Kempem.

– Wspiąłeś się od razu, pierwszym dramatem, na sam szczyt drabiny – mówił zacytowany Heminge.

– Nie chwal mnie przedwcześnie, drogi przyjacielu – odrzekł Will. – Dopiero zaczynam wstępować pod górę po tych szczeblach.

– Bacz, byś się nie pośliznął – ostrzegł Kemp, ponurego usposobienia, jak zwykle zawodowi komicy.

– Bez tego się nie obejdzie – zauważył doświadczony Heminge. – Ale i tak można iść w górę.

– Jeśli już o to chodzi, powiedz mi, dokąd ta wasza drabina ma go zaprowadzić? – zapytał Kemp.

– Na wyżyny Marlowe’a – odparł bez namysłu Will. I czując rozkoszny ciężar sześciu funtów złotem w kieszeni, dodał: – I do zaspokojenia moich najzupełniej ziemskich potrzeb.

– Gdyby tak Robert Greene cię usłyszał, zgorszyłby się niepomału tak przyziemnymi celami twojej twórczości – mruknął Kemp.

– Dlatego, że jego sztuki nie przynoszą mu ani spełnienia wzniosłych celów, ani też przyziemnych – odparł Heminge.

„Henryk VI” szedł przy szczelnie wypełnionej widowni przez cały sezon. Dziesięć tysięcy widzów obejrzało sztukę.

Henslowe, jako właściciel teatru, był zachwycony. James Burbage i cała kompania „Sług Lorda Strange’a” gratulowała sobie – wielkodusznie głośno, inni tylko w duchu – że znaleźli własnego dramaturga, który potrafi rywalizować z Marlowe’em w brawurowych tyradach i zdystansować tę nadętą purchawkę, Greene’a, którego dramat, wystawiany poprzednio w „Rose”, zrobił klapę.

Po jednym z przedstawień, gdy Will wychodził właśnie z teatru, zawezwano go do Jamesa Burbage.

Stary aktor stał w pozie pełnej szacunku w towarzystwie trzech wystrojonych młodych arystokratów. Ten, do którego Burbage zwracał się z największym respektem, był młodzieńcem uderzającej urody: jego gładko ogolona twarz miała klasyczny owal, brwi rysowały się regularnymi łukami, nos był prosty, nozdrza delikatne, usta drobne. Twarz ta mogłaby uchodzić za trochę zniewieściałą, gdyby nie oczy spoglądające z męską stanowczością i dumą. Na lewe ramię odrzucił długie, złociste, starannie utrefnione loki.

„Liczy chyba nie więcej, jak dwadzieścia lat – osądził Will.

– Cóż za wspaniała postać!

Przeznaczeniem jego musi być przykuwanie uwagi zarówno kobiet, jak i mężczyzn”.

Will patrzył jak zaczarowany na złotowłosego młodziana; tamtych po prostu ignorował.

– Jego wysokość hrabia Southampton życzy sobie pomówić z tobą – rzekł Burbage.

Zmieszany, ale nie spuszczać wzroku przed dumnym spojrzeniem przybysza, Will złożył dworski ukłon, jakiego się wyuczył na scenie.

– Niegrzecznością byłoby opuścić „Rose”, nie podziękowawszy autorowi tak znakomitej rozrywki – zaczął młody hrabia. – Zwróciłem uwagę na aktora: nie wiedziałem, że jesteś pan również wybornym poetą.

– Wielki to dla mnie zaszczyt – odrzekł Will.

Oczarowały go wytworne maniery Southamptona, jego łaskawość, a nawet serdeczność. Było w nim niewątpliwie wiele arystokratycznej dumy, ale wydawało się, że na razie młody magnat nie podkreśla dystansu między sobą – wysoko urodzonym, bogatym i oczekującym świetnej kariery na dworze i w wojsku – a tymi aktorami skromnego pochodzenia i niepewnej przyszłości.

– To nie komplement – ciągnął młodzian. – Mówię szczerze: dzisiejsze popołudnie było dla mnie rozkoszą.

– Powodzenie pierwszego dramatu, milordzie – rzekł Will – przysparza czasem gorzkich

rozczarowań.

– Pomyślałbym, że raczej odwrotnie – rzekł Southampton. – Ale wydaje mi się, że pojmuję: obawiasz się, czy zdołasz to powodzenie zachować.

– Utrafiłeś doskonale w sedno mych obaw, milordzie.

„Jest przenikliwy – pomyślał Will. – To nie tylko złotowłosy młodzian nadzwyczajnej urody, ale i człowiek o nieprzeciętnej inteligencji. Czyż nie ideał patrona poety?”

– Będę niecierpliwie wyglądał sposobności – powiedział Southampton z wielką kurtuazją – oglądania następnych dramatów pańskiego, ponoć pracowitego pióra, panie Williamie Szekspirze. I żywię niepłonną nadzieję, że nasza znajomość nie zakończy się na tym krótkim spotkaniu.

Podniecająca zachęta! Ale Burbage szturchnął Willa.

Przyjaciele hrabiego zaczęli się niecierpliwić. Marnotrawić czas dla byle aktora!

– Nie zasłużyłem na tyle łaskawej dobroci, milordzie – rzekł Will.

A jednak coś więcej niż wzajemna sympatia błysnęło na chwilę w spojrzeniach młodego magnata i świeżo upieczonego dramaturga, gdy Will składał niski ukłon pożegnalny.

Miało to być brzemienne w następstwa spotkanie, dzięki któremu powstały najpiękniejsze sonety Szekspira i którego wpływ znaczy się wyraźną nicią w jego twórczości.

Henryk Wriothesley, hrabia Southampton, urodził się w roku 1573. Gdy miał lat osiem, odziedziczył tytuł rodowy, a opiekunem jego został Lord Burleigh, wielki podskarbi królewski. Kształcił się w Cambridge, studiował prawo. Jako dworzanin budził westchnienia wszystkich młodszych dam dworu, a i ze starszych niejedna traciła rozsądek na jego widok.

Jego nadzwyczajna uroda, wrodzony wdzięk, inteligencja i wykształcenie zwróciły nawet uwagę bystrej w ocenie ludzi, starzejącej się królowej.

Pożegnawszy młodego hrabiego, Will pomyślał, że może znalazł to, czego mu w Londynie najbardziej brakowało – bliskiego przyjaciela. Ale zaraz odrzucił to urojenie. Par królestwa i syn rękawicznika ze Stratfordu? Nonsens! Will z wysiłkiem zapanował nad niedorzecznymi myślami i poświęcił się pracy nad następnymi częściami dramatycznej trylogii o Henryku VI. Znowu przesiadywał nocami z piórem w ręku. Ale gdy wspominał Southamptona, nie nazywał go nigdy inaczej, jak Złotym Lordem.

Rozdział VIII

Nikt nie wiedział, z jakiego powodu wtrącono do więzienia w Southwark, niedaleko od teatru „Rose”, pewnego czeladnika z kapeluszniczego warsztatu.

Opowiadano tylko, że ludzie, którzy przyszedli go aresztować, zachowywali się brutalnie, że weszli do domu swej ofiary z dobytą bronią, że sterroryzowali żonę nieszczęśnika, która siedziała przy kominku z niemowlęciem na kolanach.

Tego samego dnia po południu, 12 czerwca 1592 roku, kompania „Sług Lorda Strange’a” dawała przedstawienie nowej sztuki w teatrze „Rose”. Parter zapełnili czeladnicy i praktykanci, którzy głośno krytykowali sztukę, ale z zachwytem przyjęli końcowy komiczny taniec w wykonaniu Kempa. Natychmiast po przedstawieniu czeladnicy i setki ich towarzyszy, którzy czekali przed teatrem, wyruszyli bezładnym, hałaśliwym tłumem do pobliskiego więzienia Marshalsea, a zebrawszy się przed posępnym budynkiem – z kapelusznikami na czele – głośno i groźnie domagali się uwolnienia więźnia. Liczbę ich mnożył szybko zbierający się dookoła tłum gapiów, wśród których znalazł się Will i kilku innych aktorów.

Will ukończył już i brał udział w wystawieniu drugiej i trzeciej części „Henryka VI”, w których doprowadził dzieje wojen Dwóch Róż do wstąpienia Edwarda IV na tron angielski. W drugiej części nakreślił postać księżnej Gloucester, która była jakby szkicem do późniejszego wspaniałego portretu innej kusicielki do zbrodni w imię ambicji – Lady Makbet. W trzeciej części, gdzie trupy padają gęsto, autor przedstawił znacznie pełniej i wyraziściej niektóre postacie, jak na przykład Ryszarda, późniejszego księcia Gloucester, ułomnego na ciele i duchu. Niektóre z przemówień noszą coraz wyraźniejsze znamię świadomej sobie poezji. Tyrada księcia Yorku, stojącego w obliczu śmierci, którą miał ponieść z rąk królowej Małgorzaty i jej dworaków, zawiera sławny wiersz:

„O serce tygrysie pod szatą niewiasty!” – wiersz, który miał swoje szczególne dzieje.

Nagle z bram więzienia Marshalsea wypadli strażnicy z dobytą bronią i zaatakowali czeladników i ciekawskich.

Czeladnicy jęli się bronić; w gwałtownej utarczce tłum brał już górę, gdy nadjechał galopem Lord Mayor na czele oddziału konnicy. W kilka chwil tłum się rozpierchł: ludzie uciekali w stronę Mostu Londyńskiego i promów na Tamizie, a wielu trzymało się za potłuczone głowy, przewiązywało krwawiące rany lub podpierało rannych towarzyszy.

Na widok nadjeżdżającego Lorda Mayora grupa aktorów wycofała się od razu. Towarzysze Willa pośpieszyli do promu, zdążając „Pod Syrenę”; on sam wymówił się, chcąc popracować nad nową sztuką, którą już zaczął pisać, i poszedł w stronę Mostu Londyńskiego na ulicę Gracechurch, która prowadziła do Bishopsgate.

Niebawem dogonił go rozprasający się tłum.

Czeladnicy odgrażali się głośno i zapowiadali, że w wilię świętego Jana – była to tradycyjnie noc różnych zamieszek – rozbiją łeb każdemu strażnikowi, który ośmieli się wytknąć nos na ulicę. Will słuchał i rozmyślał o powodach ich gniewu i zagrożeniu ładu w mieście.

Szedł trzymając się tuż pod ścianami kamienic i kramów wybudowanych na mieście. Jako doświadczony już i otrząskany ze wszystkim londyńczyk nie podniósł nawet wzroku, by choćby jednym spojrzeniem obrzucić wystawione na widok publiczny ścięte głowy zdrajców, zatknięte na palach bramy. Ciężki wóz przejechał środkiem, zmuszając pieszych do pośpiesznego usunięcia się na bok. Most nie tylko jako arteria komunikacyjna, ale również jako ośrodek handlowy był widownią stale rozgrywających się dramatów. To płynąca kra podcięła jego filary, to przepływające rzeką łodzie wywracały się na bystrym prądzie i ludzie wpadali do wody. Kupcy, których kramy mieściły się tutaj, napełniali most nieustannym zgiełkiem, nawołując przechodniów i zachwalając swoje towary, głośno targując się i sprzecząc; od strony sąsiednich wielkich pomp, wzniesionych niedawno przez pewnego holenderskiego inżyniera, by zaopatrywać miasto w wodę, dobiegał rytmiczny stukot.

Will przystanął. Drogę zagradzała mu grupa krzyczących i gestykułujących ludzi zebranych wokół kramu. Dwaj woźnice, nie mogąc przejechać, obsypywali ich niewybrednymi wyzwiskami. Wspiąwszy się na palce, Will dostrzegł młodą, strojną kobietę w towarzystwie drugiej, zapewne jej pokojowej, sprzeczącą się z kramarzem.

Pokojowa zwróciła się do swej pani:

– Proszę iść dalej, jaśnie pani. Ja sama rozprawię się z tym zdziercą.

– Zapłaćcie! – wołał kramarz.

– Zapłaćcie mi cenę, którą wymieniłem!

– Za taką cenę można kupić podróźny kufer, a nie sakiewkę – odparła energicznie młoda kobieta.

Will nie mógł dojrzeć jej twarzy, ale głos miała melodyjny i dźwięczny, nawet gdy się targowała z kramarzem. Modne aksamitne wstęgi spływały barwną smugą z jej strojnego czepeczka.

– Taka jest cena! Proszę mi zapłacić albo zwrócić sakiewkę – nalegał kramarz.

– Takiej ceny żądacie tylko od dostawio odzianych – klóciła się pokojowa. – Kto inny by usłyszał czwartą część tej sumy!

– Zapytajcie ich! Zapytajcie ich! – wołał kramarz, szerokim gestem wskazując na coraz liczniejszy tłum napierający na grupkę, która zatarasowała przejście. Will zaczął się przeciskać do kramu. – Każdy człowiek tutaj mi przyzna, że to uczciwa cena!

– Zaklinam jaśnie panią, proszę już odejść – perswadowała znów pokojowa.

– Co? Mam iść sama przez to zbiegowisko?

Młoda kobieta pogardliwym ruchem głowy wskazała coraz gęstszy tłum. W tej chwili Will stanął obok niej.

– Niech mi będzie wolno odprowadzić panią – powiedział.

Odwróciła się żywo; na Willa spojrzała parą oczu czarnych, błyszczących, z których gniew jakby od razu zniknął. Czepeczek nie zasłaniał w całości kruczoczarnych włosów, tworzących oprawę twarzy o cerze lekko śniadej, której bladość podkreślały jeszcze ciemne, wyraźnie zarysowane brwi.

Musiła mieć najwyżej dwadzieścia parę lat. „Wygląda jak urocza Cyganka” – pomyślał Will, a dama odezwała się do niego:

– A kimże jest mój łaskawy obrońca, jeśli mogę spytać?

– Will Szekspir, skromny aktor, do usług – odrzekł z niskim ukłonem.

– Och! – zawołała kruczowłosa piękność. – Widziałam pana dziś na scenie w teatrze „Rose”, a także widziałam pana sztukę „Henryk VI”. Z wdzięcznością przyjmuję pana rycerską pomoc, panie Szekspirze!

– Proszę iść, jaśnie pani – ponagliła pokojówka.

Poszła więc z Willem, łagodnie podtrzymującym jej ramię, rzucając na tłum pogardliwe

spojrzenia i podnosząc wysoko głowę, jakby doskonale wiedziała, w jakiej pozie jest jej najbardziej do twarzy.

– Mieszkam niedaleko stąd – powiedziała, a głos jej zawibrował niskim dźwiękiem, poruszając w Willu jakąś głęboką strunę. – Na ulicy Fenchurch.

Szli ulicą Gracechurch, Will od strony jezdni, żeby osłonić ją od pojazdów, które nawet w ten gorący, suchy dzień opryskiwały przechodniów błotem z rynsztoków. Rozmawiali trochę sztywno o teatrze i aktorach, o zamieszkach przed więzieniem, wywołanych aresztowaniem czeladnika. Skręcili w ulicę Fenchurch, a Will zapragnął, żeby nieznajoma mieszkała o pięć mil dalej.

– Spotykałam nieraz artystów – mówiła dama – ale nigdy aktorów.

– W głosie jej zabrzmiała leciutka nuta pogardy.

– Aktorzy też do artystów się zaliczają – odrzekł Will.

– Jeśli piszą dramaty, to oczywiście – odrzekła rzucając mu uwodzicielskie spojrzenie.

Nie należała do modnego wówczas i opiewanego typu kobiet jasnowłosych i błękitnookich, o białej i różowej cerze. Nie była też pięknnością w klasycznym znaczeniu tego słowa, ale roztaczała wibrującą namiętnością urok i obudziła ją w Willu.

– Mój dom – powiedziała zatrzymując się przed wysoką kamienicą o szarej fasadzie.

– Ku memu najgłębszemu żalowi – rzekł Will. – Skromny aktor – celowo i z pewną złośliwością podkreślał swój zawód – pragnął tylko, by te krótkie chwile mogły się przeciągnąć w godziny.

– Umie pan prawić prześliczne komplementy. Proszę, może zechce pan wstąpić, wypić ze mną szklaneczkę wina i oczarować mnie raz jeszcze tymi wdzięcznymi zwrotami, w które przyozdabia pan kwestie w swoich dramatach.

Musiała więc należeć do tych kobiet – a było ich wiele w Londynie, o czym Will dobrze wiedział – które mało sobie ceniły własną reputację.

Rozważniejsze niewiasty nie zapraszały do swoich domów przygodnych znajomych.

W bogato, a nawet z ostentacyjnym przepychem urządzonym salonie, dama usiadła na szerokiej kanapie; pokojowa zabrała jej czepeczek i rękawiczki. Will stał czekając, aż wskaże mu krzesło. Ale ona zaprosiła go ruchem ręki na kanapę obok siebie. Mocne pachnidło, którego używała, zakreśliło Willowi w głowie na równi z jej bliskością.

Kiedy pokojowa – która spojrzała porozumiewawczo, jak się Willowi zdawało, na swoją panią – przyniosła wino i słodczyce, czarująca uwodzicielka powiedziała:

– Mąż mój jest kupcem, człowiekiem bardzo zajęтым sprawami finansowymi. Bierze udział w wyposażaniu i ekspediowaniu statków, wypływających na dalekie wyprawy. Obecnie jest właśnie nad morzem, w porcie Plymouth.

– Ludzie o takich zainteresowaniach mogą wiele zdziałać w naszych czasach – odrzekł Will odgadując ukryte znaczenie jej słów. – Sądząc po tym pięknym salonie, musi mu się dobrze powodzić.

– Pieniądz jest rzeczą potrzebną w życiu – odrzekła. – Ale i młodość ma swoje uroki, a mój mąż minął już nawet wiek średni. Kobieta często tęskni za tym połączeniem entuzjazmu i doświadczenia, które bywa udziałem mężczyzn lat, powiedzmy, trzydziestu.

Z tymi słowami podniosła kryształowy pucharek z winem i nad jego brzegiem spojrzała na Willa wzrokiem, który już żadnych nie pozostawiał wątpliwości.

O takiej kobiecie Will, zabawiając się z dziewczętami służebnymi i żonami sklepikarzy, często marzył. Jako człowiek żonaty, świadom rodzinnych obowiązków, nie myślał już o drugiej takiej romantycznej miłości, jak jego młodzieńcze uczucie do Anny Whateley – naiwnej, niewinnej i uroczej.

Teraz siedział obok kobiety, jakiej właśnie szukał – wykształconej, otoczonej zbytkiem, namiętnej; kobiety, która już знаła miłość i wciąż jeszcze pragnęła miłości; kobiety, której mąż często był poza domem i widocznie nie bardzo się interesował tym, co robi jego żona, o tyle od niego młodsza.

Następnego ranka ucałował gorąco jej rękę.

– Kiedy znowu mam przyjść, moja czarodziejko... – zaczął.

– Odnajdę cię, kiedy to będzie dla mnie możliwe, drogi, skromny aktorze – odrzekła. – Mój zacny małżonek w swej aż nazbyt materialnej postaci, ma dzisiaj wrócić. Idź więc już i pozwól mi spać.

W obawie przed poważniejszymi rozruchami w noc świętojańską mieszczenie londyńscy zorganizowali dodatkową straż.

Czeladnikom zabroniono wychodzić na ulice, uprzedzono też majstrów, żeby trzymali ich w domu, jak również służbę, która zawsze przyłączała się do wszelkich zamieszek.

Jednocześnie bolesny cios spotkał aktorów. Rajcy miejscy, uznawszy, że w teatrach gromadziły się najróżniejsze męty, wzbronili przedstawień aż do końca września. Zarządzenie to miało podłoże polityczne.

Purytanie nieustannie głosili w swoich kazaniach, że uczęszczanie do teatru jest grzechem prowadzącym do wszelakich zdrożności. Rajcy londyńscy, przeważnie kupcy i zamożni mieszczenie, mieli swoje powody niechęci do aktorów, toteż z zadowoleniem powoływali się na purytanów. Ludzie teatru nie sprzedawali żadnego towaru, uważano ich więc za pasożytów małpujących dworskie stroje i obyczaje i odciągających czeladników od pracy. Byt aktorów zależał zatem wyłącznie od królowej, która lubiła teatr.

Gdyby nie to, Marlowe byłby jedynie autorem ateistycznych broszur, a Will Szekspir pozostałby rękawicznikiem. Gdy królowa zamawiała dworskie przedstawienia, co się często zdarzało, aktorzy musieli być gotowi i należycie wyćwiczeni.

To stwarzało konieczność dawania stałych przedstawień w mieście za biletami wstępu. Jednakże rajcy chwyтали każdą sposobność, by zabraniać chodzenia do teatru.

James Burbage pośpiesznie zorganizował dla kompanii „Sług Lorda Strange’a” objazd po kraju. Wiadomość ta zaskoczyła Willa. A co będzie, jeśli jego Czarna Dama zechce go wtedy zawezwać? Utraci ją! Co prawda nie był pewien, czy można mówić o utracie czegoś, co się posiadało zaledwie przez kilka godzin. Ale zasmakowawszy w tych kilku godzinach, Will tęsknił za nimi. Nie zaznał jeszcze takiej miłości.

W ciągu ostatnich dni przed wyjazdem kompanii nawiedzał jak duch okolice ulicy Fenchurch.

Doprowadzony do ostateczności, postanowił zastukać do drzwi i zapytać o panią domu. Ale gdy podszedł do nich, zabrakło mu odwagi. W wilię wyjazdu postanowił dokonać jeszcze jednej próby. Ale tym razem przed domem stały dwa wierzchowce. Czarna Dama wyszła niebawem w towarzystwie tęgiego, starszego mężczyzny o czerwonej twarzy, który pomógł jej dosiąść konia. Will stał z boku, gdy przejeżdżali, i wpatrywał się w nią z tęsknotą, jakby miał siedemnaście lat. Czarna Dama spojrzała wprost na niego nie mrugnawszy nawet okiem.

Przekonany, że nigdy jej więcej nie zobaczy, Will jakby oszalał w czasie tego objazdu. W każdym miasteczku szukał pociechy w objęciach dziewcząt, urzeczonych świetnością londyńskiego aktora. Co prawda nie zawsze fatygował się, by przyjść na umówione spotkanie: czasem przychodził, czasem nie.

A nieraz, nawet zjawiwszy się w umówionym miejscu, rozczarowywał nadzieje swych

romansowo nastawionych partnerek.

Któregoś wieczoru wybrał się na przechadzkę z młodą mężatką, która tak się zadurzyła w aktorze, że zaryzykowała dla niego gniew męża. Ale gdy nalegała, by wybrać się do zacisznego zagajnika, Will uparł się, by usiąść na widocznej zewsząd murawie i tam recytował jej długie przemówienie poczciwego króla Henryka VI, który wzdycha za prostymi zajęciami i przyjemnościami zwykłego pasterza. Rozmyśla nad tym, jak dzieliłby swe życie – dobry, zapobiegliwy gospodarz – między opiekę nad owieczkami, odpoczynek i niewinne rozrywki:

*„O, jak rozkoszne, o, jak błogie życie!
Czy cień nie miłszy cierniowego krzaka
śpiącemu przy swej trzodzie pasterzowi
nad haftowane złotem baldachimy
królom, o zdrajców sztylecie marzącym?
O miłszy, stokroć, tysiąc razy miłszy!
W ubogiej chatce pasterza serwatka
i napój zimny w skórzanej butelce,
sen w cieniu drzewa na świeżej murawie,
wszystko w bezpiecznym użyte pokoju,
ach, jakże królów prześciga lakocie,
mięsa błyszczące na złotych półmiskach,
sen na łożnicach snycerskiej roboty,
pod strażą troski, zrad i podejrzenia.”*

Jak zwykle, recytując Will wcielał się w postać, której kwestię wygłaszał. Wymawiając sowa: „Sen w cieniu drzewa na świeżej murawie” – przymknął oczy jak król Henryk wyobrażający sobie pasterskie rozkosze; gdy je otworzył, na murawie obok niego widniała tylko zgnieciona trawa, znacząca ślad jego towarzyski. Dostrzegł ją już daleko, idącą szybkim krokiem, z głową podniesioną jakby w gniewie. Will uśmiechnął się, dokończył recytacji, ale nie pofatygował się, by pójść za nią.

Po powrocie do Londynu nadal szukał bezowocnie swojej Czarnej Damy. Wywiedziało się, że jej mąż przebywa wciąż w stolicy, więc z ciężkim westchnieniem postanowił czekać. W oberżach i tawernach aż huczało od plotek, które zajęły uwagę Willa i pozwoliły mu na chwilę zapomnieć o Czarnej Damie. Oto Sir Walter Raleigh pojął za żonę, w wielkim sekrecie przed królową, swoją umiłowaną Bess Throckmorton, która już oczekiwała dziecka.

Jej królewska mość bardzo nie lubiła takich sekretów. Raleigh był dowódcą gwardii królewskiej, Bess jej damą dworu. Jak się wazyli pokochać, a tym bardziej pobrać bez pozwolenia królowej?

Aby im dać nauczkę, kazała oboje wtrącić do Tower, oczywiście osobno. Stamtąd Raleigh zasypywał listami i wierszami osoby z najbliższego otoczenia królowej w nadziei, że echo jego słów dotrze i do Elżbiety. A poezje te tak były sformułowane, że mogło się doprawdy wydawać, że wcale nie Bess Throckmorton, a sama królowa Elżbieta była obiektem miłości Raleigha. I druga wiadomość, którą omawiano w tawernach i oberżach: Ryszard

Greene zmarł na puchlinę wodną, a wierzyciele, wśród nich i drukarze, wdarli się do jego mieszkania i rzucili jak sępy na jego rzeczy. Rozważano głośno, jakie też manuskrypty mogły się znaleźć w spuściźnie po zmarłym.

Greene zmarł bogobojnie, ale żył po szelmowsku. Na rok przed śmiercią, w jednym z częstych

nawrotów wyrzutów sumienia i żalu, napisał broszurę pod tytułem: „Rewelacje oszukaństw”.

„Znam świat – pisał tam – a poznałem go nie podróżowaniem, lecz eksperyencją i wołam wraz z Salomonem: „Omnia sub sole vanitas!” (łac. – wszystko pod słońcem jest znikomością.)”

Zadedykował tę pracę kupcom, czeladnikom, rolnikom i wyjaśnił im szereg popularnych oszustw, którymi karciarze i wydrwigrosze wyludzali pieniądze od prostaczków. Ta broszura przyniosła mu ładny dochód, Greene przygotował więc szereg podobnych, przyjmowanych chętnie przez drukarzy, bo łatwo je było rozprzedawać.

W sierpniu 1592 roku, podczas hulanki z Thomasem Nashem i paru innymi uniwersyteckimi mędrkami, Greene uraczył się nadmierną ilością marynowanych śledzi i reńskiego wina. Ta gastronomiczna zbrodnia nie wyszła mu na zdrowie. W tym okresie morowa zaraza wybuchła w Londynie i przyjaciele Greene’a łącznie z Nashem, uciekli na prowincję. Greene leżał chory, nie mógł się ruszyć i był na domiar złego bez grosza. W ostatniej rozpaczyc zaczął pisać broszurki zawierające rady dla młodych mężczyzn i ostrzeżenia przed ladacznikami, oberżystami i lichwiarzami.

Wreszcie przyszło mu do głowy napisać o tych, dla których miał zawsze najgłębszą pogardę – o aktorach. Już na łożu śmierci wysłał do jednego z przyjaciół słynny list ostrzegający przed tymi „małpami”, „umalowanymi potworami” i zawierający szyderstwo zaadresowane aż nadto wyraźnie: „Nie ufajcie aktorom, gdyż jest wśród nich pewna plebejska wrona, strojna w nasze piórka, która z sercem tygrysa pod szatą aktora sądzi, że jak najlepszy z nas potrafi napuszonym stylem ozdabiać biały wiersz i niby istny Jaś Totumfacki wyobraża sobie, iż jest jedynym Trzęsisceną (Shakescene zamiast Shakespeare) w kraju”.

Nawet w godzinę śmierci Greene nie mógł zapomnieć sprzeczki z Willem „Pod Syreną”. Szydził więc usiłując go ośmieszyć i parodiując jego zwrot o „sercu tygrysa pod szatą niewiasty” z trzeciej części „Henryka VI”.

– Musisz koniecznie zaprotestować – nalegał James Burbage, dotknięty w swej zawodowej dumie.

Will napisał więc do Chettle’a, drukarza, który wyciągnął ten rękopis z papierów po zmarłym i wydał go drukiem.

Chettle opublikował bardzo piękną apologię Szekspira, pisząc, że gdy poznał osobiście poetę, oczarował go urok jego osoby. „Prócz tego, wielu ze wszech miar szanowanych ludzi mówi o jego rzetelnym postępowaniu, świadczącym o prawości charakteru, o jego dowcipie i wdzięku w pisaniu, uwydatniającym artyzm jego sztuk”.

Jeszcze zanim tę apologię wydrukowano, Will spotkał znowu swego Złotego Lorda, tym razem „Pod Syreną”. Młody Southampton przywitał go serdecznie i rzekł:

– Miałem właśnie nadzieję, że pana spotkam. Przede wszystkim dlatego, że chciałem panu powinszować wzbudzenia furii Roberta Greene’a na łożu śmierci.

– Proszę nie szydzić ze mnie, milordzie – odparł Will. – Proszę nie przypominać aktorowi w obecności innych aktorów, że członków naszej profesji nazwano małpami, umalowanymi potworami, a mnie jako dramaturga – plebejską wroną, i to na dokładkę zarozumiałą.

Southampton pochylił się i przyjaźnie położył rękę na ramieniu Willa.

– Mój zacny panie Szekspirze! – zaprotestował. – Pan mnie źle zrozumiał. Ja znam tych uniwersyteckich mędrków. Sam jestem jednym z nich. Przed światem mogą uchodzić za dowcipne i wytworne umysły, ale między sobą zachowują się jak warczące kundły, szczekające na tych, których się boją, kąsające każdego nowo przybyłego i uciekające z podwiniętym ogonem, gdy zaatakowany się odwróci...

– Ale ten opis nie pasuje do Kita Marlowe’a – przerwał Will.

– Wyjątek, jeden z tysiąca, gdyby było tysiąc tych uniwersyteckich mędrków – odparł Southampton. – Marlowe ceni wolność pisania i mówienia wyżej od własnego życia; jest przy tym niezwykle rzadkim gatunkiem człowieka, który kocha nie tylko własną wolność, ale i wolność innych ludzi.

Will się uśmiechnął.

– Przepraszam – powiedział. – Marlowe okazał mi wiele uprzejmości. Nie mogłem się więc zgodzić, by go łączono, jak mi się zdawało, z takim Greene’em, który zresztą... niech mu tam, „requiescat in pace” (łac. – niech odpoczywa w pokoju.)

– Warczące stado – ciągnął Złoty Lord – nie zaszczycą swoją uwagą mało ważnych i skromnych.

Robert Greene zaatakował Willa Szekspira dlatego, że dostrzegł jego wyższość. Talent Greene’a bladł w tym porównaniu, niefortunny mędrzec postanowił więc odgryźć się pomniejszając pana nie przez atakowanie pana inteligencji albo talentu, gdyż tu nie mógłby nic wskórać, lecz tego, czym zwykle pogardzają ludzie pokroju jego czytelników...

Zawahał się; będąc z natury i wykształcenia dyplomata, szukał odpowiednich słów, ale Will odpowiedział mu z całą prostotą:

– Mego urodzenia i zawodu.

– Ludzie atakując się nawzajem – szybko powiedział Southampton – aby coś zrabować, odpłacić za otrzymaną ranę lub odeprzeć groźbę.

– Nie posiadam niczego, co by było wartościowe nawet dla tych sępów, które obrabowały mieszkanie Greene’a – zakpił Will.

– Ale zraniłeś pan Greene’a i stanowiłeś groźbę dla niego i dla ludzi jego pokroju. I to jest właśnie dowód pańskiej wyższości. I powtarzam, winszuję panu, bo wystraszyłeś go do tego stopnia, że się zapomniał i wystawił na pośmiewisko.

– Posiadał głęboką wiedzę – powiedział wielkodusznie Will.

– Ale posługiwał się nią w tych dziedzinach, gdzie wystarcza wiedza powierzchowna – odrzekł Southampton i dorzucił prędko: – Ufam, że ta uwaga nie urazi pana.

– Raczej przyklasnę przenikliwości milorda – odrzekł z uśmiechem Will. – Właśnie ta powierzchowność mego własnego wykształcenia – które najczęściej ściągam po drodze, skąd mogę – skłoniła mnie do przeciwstawienia uczonym elaboratom uniwersyteckich mędrków tradycji popularnych.

– Przeobrażonych dla pana własnych celów – dokończył Złoty Lord.

Gdy Will już wychodził z tawerny, Southampton odciągnął go poufale na stronę i powiedział:

– Poeta, drogi panie Szekspirze, powinien korzystać w każdy możliwy sposób z pomocy tych, którzy mu dobrze życzą.

Wysokie urodzenie daje przynajmniej jedną możliwość: pozwala wspierać przyjaciół, dla których fortuna mniej była łaskawa.

Nuta pobłażliwej wyższości w słowach młodego arystokraty dotknęła Willa, choć pojął, że nie była zamierzona. Gdy wracał do siebie, zastanawiał się nad rozmową z Southamptonem.

– Zraniłem mędrków uniwersyteckich – rozmyślał. – Stanowią dla nich zagrożenie. A jednak, dopóki piszę tylko sztuki dla teatru, zawsze będą się chełpić swoją wyższością. W pewnym sensie bowiem posiadają tę wyższość – mają wykształcenie, którego ja nigdy już teraz nie potrafię zdobyć.

Ale ich główna cytadela, w której się czują bezpieczni, to domena wielkich poematów.

Zobaczmy. Mam przecie mój poemat... „Wenus i Adonis”.

Rozdział IX

Zachęcony powodzeniem, z jakim spotkała się trylogia dramatyczna „Henryk VI” – chociaż zdawał sobie sprawę z jej braków – Will zabrał się pośpiesznie do następnego dramatu zatytułowanego „Tragedia Ryszarda III”, w którym doprowadził do końca dzieje wojen Dwóch Róż. Większy nacisk położył tutaj na odtworzenie charakteru tytułowego bohatera, tego samego Ryszarda księcia Gloucester, którego w poprzednim dramacie przedstawił jako ułomnego na ciele i duszy. W „Ryszardzie III” Will widział już tragedię nie tyle jako nieuniknione przeznaczenie, ile jako wynik jakiejś fatalnej skazy na charakterze człowieka, skądinąd może wartościowego.

Ryszard szeregiem nikczemnych morderstw toruje sobie drogę do tronu. Wreszcie staje na polu bitwy w obliczu wojsk Henryka, hrabiego Richmondu, który miał zakończyć ostatecznie wojnę domową i wstąpić na tron angielski jako Henryk VII, pierwszy z dynastii Tudorów.

W dramacie występowała ogromna ilość osób i wszyscy aktorzy, prócz Dicka Burbage'a, który kreował Ryszarda, musieli grać po kilka ról.

Więcej było tutaj pojedynków na słowa i wybornych dialogów niż szybkiej i hałaśliwej akcji. W wigilię historycznej bitwy na polach Bosworth rozbito obozy króla Ryszarda i Henryka po dwóch stronach sceny i widownia z zapartym tchem patrzyła na procesję duchów zamordowanych przez Ryszarda ofiar, przeklinających swego kata – „Rozpaczaj i giń!” – i błogosławiących jego przeciwnika – „Żyj i bądź szczęśliwy!” Dick Burbage zdobył sławę w tej roli; a gdy król Ryszard po przegranej bitwie woła po dwakroć: „O, konia! Moje królestwo za konia!” – cały parter, zapchany czeladnikami i praktykantami, krzyczał wraz z nim, pełen nienawiści do króla, ale zachwycony wspaniałą grą młodego aktora.

W ówczesnej Anglii wzrastały uczucia patriotyczne wraz z gorzką nienawiścią do Hiszpanii i papieżstwa. Coraz więcej jezuitów, przebranych za szlachciców, kawalerów, żołnierzy, marynarzy, kupców, a nawet włóczęgów, dostawało się na wyspę, by spiskować przeciw królowej i jej państwu.

Proklamacja Elżbiety ostrzegła naród, że Filip hiszpański i papież przygotowują nową inwazję. Pospólstwo – które zwykle okazywało sympatię złoczyńcom, a nawet politycznym wrogom królowej prowadzonym na egzekucję – obrzucało jezuitów przekleństwami i błotem, krzycząc, gdy kat wznosił miecz:

„Boże, zbaw królową! Śmierć zdrajcom!”

Will wyczuł te nastroje i wyraził je w końcowej scenie dramatu, w przemówieniu Henryka, którego wstąpienie na tron zakończyło długie lata wewnętrznych zamieszek i wojen:

*„Racz stępić, Panie, ostrze zdrajców szabli,
co by te krwawe dni chcieli przywrócić,*

*plączącą Anglię w krwi znowu zanurzyć!
Niechaj ta ziemia nędznika pochłonie,
co by chciał zdradę zaszcześcić w jej łonie!
Wojny domowej rany pokój goi;
daj, Boże, niech się na wieki ostoi!”*

Pewnego popołudnia w czasie przedstawienia z roli Willa-aktora, grającego w sztuce Willa-dramaturga, wynikało, że musiał podejść blisko do galerii z prawej strony. Zamarł na chwilę, wpatrzony w galerię, aż inny aktor szturchnął go w łokieć, a sufler krzyknął prawie tak głośno, jak sam Ryszard Trzeci. Will spóźnił się z odpowiedzią: pośpiesznie, ale nadal z roztargnieniem, wypowiedział wreszcie swoją kwestię. Zobaczył ją – Czarną Damę! I ona go poznała i uśmiechnęła się do niego! Will przez resztę przedstawienia grał jak w transie prócz pewnego momentu, kiedy na chwilę oprzytomniał dostrzegłszy rzecz zdumiewającą. Dick Burbage jako Ryszard miał ukrywać się przez parę minut przed większą częścią widowni za filarem podtrzymującym dach nad sceną.

Will, wpatrujący się w Czarną Damę z drugiej strony sceny, zauważył jej rękę, niedbale spuszczoną poprzez balustradę.

Palce jej zręcznie rzuciły malutką, zgniecioną kulkę papieru do nóg Dicka – króla Ryszarda. Ten nieznacznie wsunął kulkę nogą za filar, a pod koniec sceny, jakby poprawiał sobie coś przy cizmach, schylił się i kulkę podniósł. Will poszedł do garderoby z goryczą i gniewem, walczącymi o lepsze w jego sercu.

Dick wpadł do garderoby, gwizdząc wesoło. Wykonał jakieś taneczne „pas” i nagle przerwał sobie, by zakrzyknąć: „O, konia!

Moją drugą najlepszą parę spodni za konia – by dojechać na ulicę Fenchurch po przedstawieniu!”
Gniew Willa ochłódł i zmienił się w odrętwienie. Dick rzucił mu karteczkę papieru, na której nakreślono słowa: „Powiedz służącej, że Ryszard Trzeci chce się ze mną widzieć”.

Podczas następnej sceny Will spostrzegł, że jego... – a właściwie czyja? – Czarna Dama zniknęła. „Pośpieszyła do domu, by się upewnić, czy małżonek nie wrócił przypadkiem” – pomyślał.

Po tej scenie Will nie występował już więcej.

„A gdybym tak zastąpił Dicka? – zastanawiał się w garderobie.

– Dicku kochany, czy wolno mi tak postąpić? Tobie wyznaczono spotkanie, ale ja mam prawo pierwszeństwa. Co prawda, ktoś inny jeszcze ma prawo pierwszeństwa przede mną, ale ten jest chyba zajęty doglądaniem swoich statków.

Powiesz, Dicku, że to postępek niegodny przyjaciela? Ale w miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone”.

Wahając się jeszcze, Will wymknął się z teatru. Nie spostrzegł nawet, kiedy się znalazł przed domem Czarnej Damy. Pewno nie zechce go przyjąć.

Przecież czeka na...

– Kto? – zapytała zdumiona pokojowa usłyszawszy dziwne imię.

– Powtórz swojej pani, że Ryszard Trzeci chce się z nią zobaczyć – powtórzył Will. – Ona zrozumie.

– Nie jestem pewna, czy zna tamtych dwóch Ryszardów – odrzekła pokojówka, ale poszła oznajmić jego przybycie.

Wchodząc do salonu, bardzo niespokojny, jakie też spotka go przyjęcie, nie zauważył nawet, jak głęboki był dekolt stanika, zakończonego na karku wysoką, sztywno sterczącą krezą.

Złożył swój najbardziej dworski ukłon. Na moment czoło Czarnej Damy zmarszczyło się

gniewnie, ale zaraz uśmiechnęła się porozumiewawczo, zachęcająco.

– William Pierwszy – powiedziała.

– Zdobywca, który zajął tron w 1066 roku – dodał Will.

– A zdobył go przemocą, nie mając do niego prawa!

Will nie mógł dłużej prowadzić tej rozmowy. Uczucie w nim wezbrało. Przyklęknął.

– Tak tęskniłem! – zawołał gwałtownie. – Tak tęskniłem do dnia, kiedy mnie zawezwiesz! A ty tymczasem wezwałaś innego...

– Jeśli przyszedłeś, by mi prawić kazania – rzekła – to zostaw mnie raczej Ryszardowi.

Prócz tego nie lubię mężczyzn, którzy klękają.

– Nie przyszedłem prawić kazań, lecz przypomnieć o sobie – odrzekł wstając.

– Za nieśmiały jesteś, jak na zdobywcę, Williamie – rzekła Czarna Dama. – Pokażę ci, jak ja zagrałabym tę rolę...

Powstawszy, niespodziewanie objęła go i złożyła gorący pocałunek na jego ustach, ale jednocześnie pohamowała jego zapały, mówiąc:

– Lepsza nawet od twoich dramatów będzie scena, gdy... tamten Ryszard Trzeci tu przyjdzie.

W docinkach Will nikomu nie ustępował.

– Nie będzie żadnej sceny – odparł wiedząc już, jak sobie poradzi.

– Gdybym się nie spodziewała co najmniej pojedynku, nie pozwoliłabym ci tu zostać. Nie czerwona farba, ale najprawdziwsza krew na moim dywanie! W żadnym teatrze tego ci nie zademonstrują!

– Całe szczęście – mruknął Will.

Przypuszczał, że Dick nadejdzie lada chwila.

Nasłuchiwał. Ale Czarna Dama nie zdradzała najmniejszego niepokoju. Zachowywała się coraz swobodniej, coraz bardziej wyzywająco. Minuty upływały... złożyły się na godzinę. Dick musiał widocznie pójść do domu, by się wystroić w nowy kaftan i spodnie. Może żona nie pozwoliła mu wyjść ponownie?

– Och, nie będę dłużej czekać – rzekła w końcu Czarna Dama. – Kazałam podać wino i słodczyne na górze. Chodźmy.

W jej buduarze stał okrągły stolik, zastawiony kryształami, srebrem i różnymi smakołykami.

Jeszcze jedna godzina minęła, nim wreszcie na schodach rozległy się lekkie kroki pokojowej. W odpowiedzi na pukanie Czarna Dama zawołała:

– Kto tam?

– Proszę pani, przyszedł jeszcze jeden Ryszard Trzeci.

W głosie służącej brzmiał tłumiony śmiech.

Will był na to przygotowany.

– Powiedz mu – zawołał – że William Zdobywca był przed Ryszardem Trzecim.

Jeszcze na wpół przytomny, Will szedł na ranną próbę do teatru. W miarę jak uniesienie mijało, ogarniała go niechęć.

Nie do niej... do siebie samego.

Dwukrotnie miał ją w objęciach, ale do jej serca nie przeniknął wcale. Właściwie... czy chciał tego? Może lepiej być jej kochankiem niż człowiekiem, którego by naprawdę pokochała?

Dla niego nie może być miłości dozgonnej. Wspomniał na Zuzannę, Hamneta, Judytkę... no i na Annę, która tak samo należała do niego, jak i dzieci. Lepiej tak, jak jest... ale co dalej? Kazała mu

przyjść w przyszłym tygodniu, lecz może tym razem jego ktoś uprzedzi? Na przykład Dick Burbage. Za parę minut znajdzie się z nim twarzą w twarz.

Ciężka dłoń uderzyła go w ramię. Tak, to był Dick Burbage.

– Dzięki Bogu, Will! Ocaliłeś mnie od popełnienia fatalnego głupstwa, a moją żonę od wielkiego zmartwienia! Ta kobieta umówiła się przecież nie ze mną, tylko z rolą, którą grałem. Co prawda dobrze to świadczy o mojej grze!

– Nie potrzebujesz tego rodzaju świadectw – przerwał mu Will doznawszy szczerzej ulgi wobec takiego postawienia sprawy. – Cały Londyn mówi o twoim królu Ryszardzie.

– Wszystko dobre, co dobrze się kończy – rzekł Dick.

– To mógłby być doskonały tytuł komedii! – Ty teraz tylko żyjesz teatrem!

– Nie najgorsza to rzecz dla aktora – zakończył rozmowę Will.

Pod koniec roku 1592 „Pod Syreną” trzęsło się od plotek i rozmów na temat zdobycia wielkiej hiszpańskiej karaki „Madre de Dios” przez parę małych stateczków angielskich w pobliżu Wysp Azorskich. Karaka miała siedem pokładów, czterdzieści metrów długości, wyporność tysiąca sześciuset ton, jej maszty liczyły po czterdzieści metrów wysokości, a załoga – siedmiuset ludzi. Kiedy po długiej, zaciętej bitwie angielscy marynarze przystąpili do abordażu i weszli w końcu na pokład karaki, stąpali po trupach i po zalanych krwią deskach. Koło steru ciała leżały stosami, bo statek był tak ciężki, że kołem sterowym musiało obracać po dwunastu mężczyzn naraz, a działa angielskie jedną salwą zabijały po kilku sterników. Pod pokładem znaleźli bezcenny ładunek: złoto, klejnoty, perły.

Kiedy „Madre de Dios” przyholowano do portu Dartmouth, rozpoczęły się długie targi o podział łupów. Jak zwykle nikt na tym wiele nie zyskał, prócz królowej, która otrzymała osiemset tysięcy funtów za zainwestowane w ekspedycji tysiąc osiemset. Sir Walter Raleigh, którego wkład wynosił dwadzieścia sześć tysięcy funtów, otrzymał z powrotem tylko dwadzieścia cztery tysiące. Ale Raleigh nie był monarchą ani nawet faworytem w owym czasie.

Nad kuflami piwa rozprawiano także o małżeństwie Edwarda Alleyna z Joanną Woodward, pasierbicą właściciela teatru „Rose”, Philipa Henslowe.

Powstała w ten sposób rodzinna spółka teatralna. Alleyn od tej pory związał się z Henslowe’em, a w zamian za to miał udział w dochodach teatru „Rose”, dobrze prowadzonego przez teścia.

Żartowano, że Joanna jest dla Alleyna prawdziwą „różą bez kolców”.

Tematem, który niepokoił zwłaszcza aktorów, było szerzenie się morowej zarazy w Londynie. Wezwano dłużników i wierzycieli, by dochodzili jakoś do porozumienia, gdyż straszna choroba atakowała ze szczególną złośliwością więzienia zatłoczone podówczas niewypłacalnymi dłużnikami. Co prawda, mało kto się kłopotał o los więźniów; chodziło raczej o to, że ich śmierć pozbawiała wierzycieli należnych im pieniędzy. Lord Mayor czynił pewne wysiłki, by zahamować rozprzestrzenianie się zarazy, ponieważ królowa zagroziła, że przeniesie sądy – wielką atrakcję dla ośrodka handlowego i źródło dochodu dla mieszczan – do innego miasta. Istniały zarządzenia dotyczące zachowywania czystości, jak nakaz wywożenia śmieci, zamiatania ulic, czyszczenia otwartych kanałów, ale nie przestrzegano ich, dopóki nie zaczynała się szerzyć zaraza.

Wówczas palono ogniska na ulicach celem odświeżenia powietrza, zakazywano sprzedawania używanej odzieży, oddzielano chorych od zdrowych, pieczętowano zakażone domy, a dla ich nieszczęśliwych mieszkańców stawiano żywność na parapetach okien.

Dalsze szerzenie się choroby oznaczałoby niechybnie zamknięcie teatrów. Z początkiem roku

1593 liczba zgonów wzrosła do tysiąca tygodniowo w City, a do tego trzeba było doliczyć przynajmniej pięćset na przedmieściach. Toteż dnia 2 lutego cios padł. Aktorzy londyńscy zostali pozbawieni środków zarobkowania. Nie pozostało im nic innego, jak wybrać się na długi objazd prowincji.

– Nas wszystkich dotknęło to boleśnie – mówił Will siedząc w bawialni Fieldów. Jacquinetta, z głową schyloną nad haftem, przysłuchiwała się rozmowie mężczyzn. – Ale dla mnie to najgorszy cios. Nie mam po co pisać dramatów. Na objeździe nigdy nie grywamy nowych sztuk.

Skąd mam wziąć pieniądze, by posłać je do domu?

– Daj mi wydrukować ten twój poemat „Wenus i Adonis” – nalegał Ryszard Field. – Za długo, doprawdy, nad nim pracujesz. Przynieś mi go jutro, będziesz miał gotówkę na bieżące potrzeby.

– Nie jest jeszcze skończony – upierał się Will. – Powiadasz, że za długo nad nim pracuję. Ale słowo daję, nie pamiętam, kiedy ostatni raz choćby jeden wiersz dopisałem.

– No, więc teraz masz czas, żeby go dokończyć.

– A objazd?

– Nie jedź na objazd. Chyba że boisz się zarazy.

– A ty wyjeżdżasz?

– Czy przypuszczasz, że mógłbym zostawić drukarnię? Z tego żyję!

– A pani? – spytał Will.

– Tylko bardzo głupie żony opuszczają swoje miejsce przy mężu – odrzekła żywo doświadczona mężatka.

Spoglądając na tęgą, przysadziłą postać Ryszarda i na jego małe oczki w nalanej tłuszczem twarzy, Will pomyślał, że chyba Jacquinetta nie ma powodów do obaw. Co prawda, bywało, że nawet jeszcze mniej urodziwi mężczyźni zawędrowali na błędne ścieżki.

Powróciwszy do swojej skromnej kwatery, Will zaczął się zastanawiać nad propozycją Fielda. Wyjął manuskrypt poematu i jał go przeglądać. W chwilę później przekreślał już i pisał z zapalem i z łatwością, jakiej dawniej nie znał. Coś jednak zawdzięczał Czarnej Damie: stan nieustannego podniecenia sprzyjał wenie poetyckiej. Jego własny utwór porwał go; przetwarzał w najpiękniejszą poezję dzieje odtrąconej miłości, a jednocześnie, czerpiąc pełną garścią ze wspomnień stratfordzkich, malował sceny polowań i jazdy konnej na tle uroczych pejzaży.

Znowu obudził się nazajutrz w stanie kompletnego wyczerpania.

Nie przynosiła mu już śniadań fertyczna pokojowa. Opuściła służbę dość nagle, z goryczą mówiąc o lokatorze z sąsiedniej izby, który okazał się żonatym człowiekiem i nie mógł jej poślubić, chociaż powinien by to uczynić. Na jej miejsce przyszła bezzębna, zasuszona dziewczica w średnim wieku, co sprawiło, że lokatorzy znacznie więcej niż poprzednio przebywali poza domem.

Will znowu musiał powziąć decyzję, co zawsze było dla niego najtrudniejszą sprawą.

Jechać na objazd czy nie jechać?

Oczywiście, powinien jechać. Jak ma inaczej zarabiać? James Burbage pokryje koszty noclegów i utrzymania, a te kilka szylingów tygodniowo, które stale zatrudniony aktor kompanii zarabiał, będzie mógł posyłać w całości – albo prawie w całości – do Stratfordu. Wciągając spodnie, spojrzął na rozłożone na stole karty manuskryptu.

Położył się spać poprzedniego wieczoru, nie dokończywszy wiersza – na próżno szukał w zmęczonej głowie odpowiedniego zwrotu. Ale teraz idealnie pasujące słowa przyszły mu nagle do głowy. Usiadł, na wpół ubrany, i dopisał brakujące wyrazy.

Mógłby teraz skończyć poemat w ciągu kilku dni. Ale później będzie musiał znaleźć patrona, będzie musiał tkwić na miejscu, by odczytywać i poprawiać odbitkę drukarską. Nie mógłby wyruszyć

na objazd. Burbage był mu jeszcze winien za „Tragedię Ryszarda III” i dwutygodniową gażę. Czy to mu wystarczy do czasu, gdy otworzą znowu teatry? To będzie zależało, kiedy je otworzą – może za trzy miesiące, a może za pół roku albo za rok?

Kończąc się ubierać i jednocześnie jedząc śniadanie, Will pomyślał o swojej Czarnej Damie. Jej pan małżonek pojechał na północ: nie będzie go w domu przez dłuższy czas. Czy i ona ma akurat wtedy opuszczać Londyn?

Zostanie! Ale jeśli poemat „Wenus i Adonis” nie będzie miał powodzenia, nie przyniesie mu ani sławy, ani pieniędzy? Och, musi mu przynieść i z pewnością przyniesie sławę i pieniądze!

Przypomniał sobie, jak Robert Greene w swojej przedśmiertnej tyradzie dowodził, że człowiek bez odpowiedniego wykształcenia nigdy nie dorówna uniwersyteckim mędrcom w poezji. Poemat „Wenus i Adonis” będzie jego odpowiedzią na to – odpowiedzią triumfalną!

Tego dnia już nie było przedstawień. Aktorzy omawiali szczegóły objazdu – Burbage’owie, Heminge, Thomas Pope, Augustine Phillips. Will próbował przerwać im i oznajmić, że się do nich nie przyłączy, ale zabrakło mu odwagi. Zostawił ich, wciąż dyskutujących. Wpół drogi na ulicę Bishopsgate zawrócił. W „Teatrze” zastał Burbage’a samego.

– Nie pojedę na ten objazd – wykrztusił.

– Wielka szkoda – odrzekł spokojnie Burbage. – Pewnie jakaś spódniczka, co?

Zadowolony, że Burbage tak gładko przełknął wiadomość, Will odzyskał dobry humor.

– Tak – odrzekł. – Wenus.

– Każdemu się zdaje, że jego dzisiejsza bogdanka to Wenus – mruknął Burbage.

– Ale moja to naprawdę Wenus.

I Adonis.

Burbage popatrzył na niego ze zdziwieniem i pewnym niepokojem.

– To nazwa poematu, który chcę wydać drukiem – objaśnił Will.

– Ach, tak! – rzekł Burbage z wyraźną ulgą. – No, z tego powodu nie potrzebujesz opuszczać objazdu. Po twoim odejściu postanowiliśmy jeszcze trochę poczekać. Może zaraza ustąpi? Wydrukuj poemat. To bardzo dobra myśl. Na razie nie jedziemy, ale i nowych sztuk nie będzie nam chwilowo potrzeba.

Znajdź sobie jakiegoś szlachetnego lorda, któremu zadedykujesz swój utwór, a powinien ci za to napchać kieszenie złotem.

– Wolę moją niezależność – odparł Will.

– Nie bądź śmieszny! – zaprotestował energicznie Burbage. – Każdy poeta, który drukuje trochę poważniejsze wiersze, dedykuje je jakiemuś patronowi. I nie krępuje się przyjąć podarunku w brzęczącej monecie. Szlachetny lord płaci nie bez kozery; musi płacić, jeśli chce być uważany za mecenasa sztuk. I na dworze inaczej zaraz patrzą na patrona poetów, i on sam czuje się wspaniałomyślnym opiekunem artystów. Wydatek mu się doskonale opłaca. I pamiętaj też, że dla niego te pieniądze dużo mniej są warte niż dla ciebie – ma ich tyle! Słuchaj, poproś o audiencję u tego młodego Southamptona, któremu kiedyś cię przedstawiłem.

– Jeszcze mnie weźmie za natręta – powiedział z wahaniem Will.

– Mniej się w Londynie nauczyłeś, niż myślałem – powiedział Burbage ojcowskim tonem. Istotnie, bardziej był ojcem dla Willa niż John Szekspir. – Powinieneś mieć na uwadze dwór i arystokrację. Któż inny pomoże poecie, jeśli nie oni? To rzecz naturalna, że początkujący pisarz zwraca się ku temu ognisku wytwornego życia, jakim jest dwór królowej.

Bez patrona nie dasz sobie rady.

– Dziękuję ci, James. Pomyślę o tym – zakończył rozmowę Will.

Trudno było się zdecydować, a jeszcze trudniej przeprowadzić podjętą decyzję. Ale nadszedł dzień, kiedy Will przystroił się z nadzwyczajną starannością i bardzo przejęty udał się do londyńskiego domu Złotego Lorda, Southampton House, mieszczącego się w Holborn, na zachodnim krańcu City. Niósł swój poemat zaopatrzony w dedykację na pierwszej stronie. Zamierzał prosić Złotego Lorda o pozwolenie jej umieszczenia.

Przestudiował wśród książek Ryszarda Fielda wiele tego rodzaju dedykacji, zanim nakreślił własną – słowami spokojnymi, taktownymi, nie przesadzając ani w pochlebstwie, ani w skromności.

W obszernym hallu Southampton House Will czekał wraz z kilkunastu innymi osobami na młodego hrabiego. Jakiś malarz przyniósł obraz, który chciał mu ofiarować; jubiler miał z sobą pyszny rubin, który chciał mu sprzedać; kupiec oznajmił, że chce prosić o pożyczkę, by zapłacić za towary z zagranicy, które czekały na statku w porcie; filozof szukał poparcia, by otrzymać stanowisko na uniwersytecie. Will był nieprzyjemnie zaskoczony tą kompanią. Czuł się jak żebrak pod bramami zamku. Jeśli wielcy i możni tak traktują muzy, to lepiej pisać sztuki dla parteru.

A jednak, czy to właściwie taka wielka różnica – grać za grosze czeladników czy dedykować lordom za funty szterlingi swoje utwory? Czeladnicy otrzymywali pełną wartość za swoje grosze.

Natomiast, wbrew wszelkim zapewnieniom Burbage'a, Will wątpił, czy szlachetny lord...

Wszyscy obecni, jak jeden mąż, zwrócili się w kierunku szerokich, wspinających schodów.

Jubiler i filozof wystąpili śpiesznie naprzód. Złoty Lord, w towarzystwie dwóch panów ze swej przybocznej świty, stał na czwartym od góry stopniu, rękę lekko wspierając na balustradzie. „Jest piękny ponad wszelkie wyobrażenie – pomyślał Will. – Nic dziwnego, że damy dworu...”

Jubiler i filozof mówili obaj jednocześnie. Ale Złoty Lord wcale ich nie raczył zauważyć.

Malarz wystąpił naprzód.

– Później, mój przyjacielu – Southampton uczynił ręką gest lekki, ale zdumiewająco wymowny w swej wzgardzie.

Kupiec spróbował:

– Milordzie... panie hrabio... upraszam o parę słów...

– Ach, pan William Szekspir!

Złoty Lord zostawił panów ze świty i podszedł do Willa.

Reszta petentów cofnęła się: jubiler – marszcząc czoło, filozof – ledwie kryjąc szyderczy wyraz twarzy. Will skłonił się.

– Najniższe służby, milordzie...

– Miałem nadzieję, że zobaczę pana w moim domu. Chodźmy, zapraszam na kieliszek wina, a później proszę mi opowiedzieć, czemu zawdzięczam tę fortunną wizytę.

Poprowadził Willa na górę po schodach między ozdobnymi filarami; za nimi szli dwaj panowie ze świty.

Pozostawieni na dole, rozczarowani petenci, zaczęli rozmawiać między sobą.

W gabinecie o ścianach zastawionych książkami Złoty Lord gawędził o teatrze i sztuce. Podano wino. Wówczas Southampton odprawił świtę i zapytał Willa, czym może mu służyć. W chwilę później czytał dedykację.

– Doskonale ujęte! – pochwalił. – Styl wytworny, zdania harmonijne... Czy sądzisz, panie Szekspirze, że mógłbyś mnie nauczyć tak pięknego sposobu wyrażania myśli?

Will był zachwycony zręcznym komplementem. – Obawiałbym się, że uczeń prześcignie mentora – rzekł.

– Spłodziłem parę sonetów w moim życiu – mówił Southampton.

– Ale rzadko tylko wzlatuję na wyżyny poezji. Nie tak jak pan, który stale unosisz się na

wysokościach.

– A próbując się wznieść, narażam się na fatalne strzały – odparł Will. – Ufam tylko, że wasza lordowska mość nie będzie łucznikiem, który mnie zestrzeli i pograży w otchłani desperacji swoją dezaprobatą.

– Jestem pewien, że tak nie będzie. Proszę mi zostawić ten poemat. Jutro go panu odeślę.

Wychodząc Will odwrócił się jeszcze na progu i ogarnął wzrokiem wspaniały gabinet.

– W takim otoczeniu cóż za rozkosz pracować! – powiedział z westchnieniem.

– Różnego rodzaju pracą tu się zajmuję. Załatwiam sprawy związane z administrowaniem moimi dobrami, czytam, studiuje.

– I wysłuchuję próśb ubogich poetów – dorzucił Will z trochę krzywym uśmiechem.

Southampton zignorował te słowa.

– Panie Szekspirze, mam duży dom. Z głębi serca zapraszam, byś zechciał przychodzić tu i pracować. Mam bibliotekę, gdzie jest o wiele więcej książek niż w tym gabinecie. Proszę z niej korzystać. Wydam instrukcje służbie, by przygotowano pokój do pana dyspozycji.

– Milordzie, tyle dobroci! – Will był głęboko wzruszony.

– Cóż za korzyść z nie używanej przestrzeni wśród czterech ścian? – rzucił retoryczne pytanie Żłoty Lord. – Nasyć te mury, panie Szekspirze, metaforą, poezją, rymem, wyobraźnią! Southampton House ma rangę magnacką – niechże zdobędzie też sobie jakąś zasługę w świecie sztuki.

Bardzo pragnąłbym skorzystać ze wspaniałości milorda!

– Proszę więc! Od jutra będzie dla pana przygotowany gabinet do pracy. A ja pozwolę sobie zajrzeć tam czasem, przedyskutować pański poemat i hm... sprawy związane z tak gorącą i zaszczytną dla mnie dedykacją. I proszę pamiętać: jeśli moja fortuna i urodzenie będą zdolne dopomóc panu, byś dotarł tam, dokąd sięgasz aspiracjami – niechaj ci służą.

Nigdy już nie będzie panu brakowało tych doczesnych ułatwień, które są mimo wszystko niezbędne.

– Milordzie, jestem tylko ubogim aktorem, ale niepodległego ducha. Już teraz wasza lordowska mość ofiarowuje mi znacznie więcej niż patronat: coś, co mi się wydaje bliskie przyjaźni. Proszę zrozumieć, że nie pragnę niczego więcej.

– Drogi panie Willu, polubiłem pana od pierwszej chwili. A im bliżej pana poznaję, tym więcej cenię. Przyjaźń, mówisz pan? A więc przyjacielowi wolno ofiarować podarunek bez obrazy.

„Adieu!” I oby pana pragnienia szczęśliwsze znalazły spełnienie niż tęsknoty bogini Wenus do Adonisa.

Gdy Will przechodził przez obszerny hall, idąc ku wyjściu, spostrzegł, że nzebierało się jeszcze więcej czekających.

Filozof pobiegł za nim, chwycił go za rękaw i zaczął naszeptywać mu do ucha tak, by lokaj nie usłyszał:

– Na pewno, tak jak inni tego samego pokroju, i on także – tu głową wskazał na schody, w górę – tylko obiecuje patronat, by się w jego sieni dużo petentów zbierało! Lordowie to lubią!

– Hrabia Southampton jest człowiekiem prawdziwie szlachetnym – odrzekł Will sztywno.

– To znaczy, że panu dobrze zapłacił – zauważył szyderczo filozof.

W tej chwili służący otworzył na rozcież drzwi. Will znienna chwycił filozofa za kołnierz i wyciągnął na ulicę. Natężywszy mięśnie, pięknie rozwinięte jeszcze w stratfordzkich lasach, podniósł go i potężnym kopnięciem przerzucił na drugą stronę ulicy, nosem do rynsztoka. Lokaj prychnął zachwyconym śmiechem i czym prędzej zakrył sobie usta dłonią, a Will odwrócił się do niego i rzekł:

– Niech taki śmieć nie brudzi swoją obecnością domu jego lordowskiej mości!

Tak się złożyło, że Will ukończył poemat „Wenus i Adonis”, po wielu latach odwlekania, akurat w najodpowiedniejszej chwili. Gdy oddawał manuskrypt Fieldowi do druku, poezja była w powietrzu.

Lata dziewięćdziesiąte tego stulecia widziały w Anglii niebywale żniwo poetyckie. Dwór i sfery wykształcone zachwycaly się „Królową wrózek” Edmunda Spensera, najpiękniejszym poematem narracyjnym od czasów Chaucera. Sonety Sir Philipa Sydneya znajdowały się w bibliotece każdego kulturalnego szlachcica. A byle młodzik, który potrafił złożyć dwa rymy, wypisywał wiersze do swojej ukochanej.

Ryszard Field specjalizował się w wydawaniu klasyków – tych, których Will studiował za swoich szkolnych lat, jak Owidiusz, Cicero i Plutarch; wydrukował „Traktat o melancholii”

Tymoteusza Brighta – utwór, którym później posługiwał się Will pisząc „Hamleta”; wydawał również broszury o aktualnych zagadnieniach polityki francuskiej. Przeglądając je, Will zaczerpnął stamtąd wiele postaci do swoich sztuk, jak na przykład księcia de Longueville, króla Nawarry, a także Birona, którzy niebawem mieli wystąpić w jego komedii „Stracone zachody miłości” wraz z dziewczyną wiejską ochrzczonej imieniem pani Field – Jacquinetta.

W kwietniu 1593 roku poemat Szekspira wyszedł drukiem. Na tytułowej karcie widniały słowa:

„Wydrukował Ryszard Field, można nabyć „Pod Białym Chartem” na dziedzińcu Św. Pawła”.

Powodzenie utworu przekroczyło wszelkie oczekiwania zarówno autora, jak i drukarza. Nowe wydania wychodziły jedno po drugim. Ryszard zacierał ręce i liczył szylingi, a Will po raz pierwszy w życiu miał wypchaną sakiewkę... i odtrącał pokusy rozrzutności.

Od pewnego już czasu chodził codziennie pracować w Southampton House, gdzie z rozkazu Złotego Lorda miał pokój do swojej dyspozycji. Pracował z zapamiętaniem nad nowymi dramatami i nad „poważniejszym utworem”, który przyrzekł swemu mecenasowi w dedykacji. Często miewał długie, intymne, przyjacielskie rozmowy z Southamptonem, który wkrótce mówił mu po imieniu. Pewnego dnia, kiedy Złoty Lord nie przyszedł na pogawędkę, Will, coraz bardziej ujęty serdecznością młodego magnata, skreślił do niego sonet.

Tymczasem Burbage wraz z grupą kilku aktorów, zniechęciwszy się czekaniem na pozwolenie otwarcia teatrów, wybrał się na objazd prowincji. Will im nie towarzyszył. Pieniądzy nie potrzebował, czas miał wypełniony.

Powodzenie poematu wraz z przyjaźnią Southamptona wprowadziły Willa w sfery towarzyskie, w których obowiązywały kultura osobista, dowcip, wykształcenie, inteligencja i wytworność manier. Była to wielka zmiana w porównaniu z kompanią zacnych, ale często dość rubasznych aktorów. Skromność, łagodność i wrodzona szlachetność obojczyca zyskiwały młodemu poecie przychylność wielkich panów, szolarzy i dam. Jego Czarna Dama, o wiele łaskawsza dla niego teraz, gdy świeża sława otaczała jego nazwisko, recytowała mu, gdy ją odwiedzał, długie ustępy z jego poematu.

Dwór zachwycił się swawolną żartobliwością utworu, jego ożywczą pogodą i cudownymi opisami przyrody – cytowano urywki przy każdej sposobności.

W uniwersytecie w Cambridge, dawnej twierdzy Roberta Greene’a i jego zwolenników, studenci kładli się spać z poematem Szekspira pod poduszką.

Nawet profesorowie pisali o nim ze wstrzemięźliwymi pochwałami.

„Plebejska wrona” rozwinęła skrzydła do lotu i przeobraziła się w łabędzia.

Intermezzo II

– Czy twoja Czarna Dama miała imię, które pasowało do jej czaru? – zapytała Judyta zerkając na ojca z rozbawieniem i sympatią zarazem.

– „Nomina sunt odiosa” – odrzekł. (Wyrażenie łacińskie oznaczające, że w opowiadaniu nie należy wymieniać nazwisk.)

Judyta westchnęła.

– Czy naprawdę bardzo ją kochałeś?

– Istnieją różne rodzaje miłości, moja droga. – Pogładził ręką czoło, przytknął oczy, jakby przywoływał wizję. – Byłem nią jak odurzony.

– Czy mogę zadać jedno zuchwałe pytanie?

– Pytaj, o co chcesz. Tylko nie o jej imię.

– Czy nie odczuwałeś wyrzutów sumienia ze względu na mamę?

– Twoja matka i ja byliśmy małżeństwem już tylko z imienia.

Po sukcesie mojego poematu przyjechałem do Stratfordu...

– Trochę to pamiętam. Nawet w Stratfordzie wiadano, że stałeś się sławny...

– Wiedzieli o tym moi rodzice, ale nie moja żona – powiedział z naciskiem.

– Pamiętam, jak dziadek mówił, że byłeś bardzo hojny. Hamnet i ja dostaliśmy nowe płaszczyki i obuwie tej zimy.

– Hamnet był tak poważny i myślący. Cierpliwość, z jaką znosił wieczne łajanie matki, wzruszała mnie.

– A jaka ja byłam?

– Kochająca, jak zawsze...

– Ciebie, ojczulku – przerwała mu.

Wyciągnął do niej rękę. Wstała i uściskała go czule.

Trzeci akt „Burzy”, gotów do odczytania Judytce, rozpoczyna się „przed całą Prospera”.

Ferdynand, syn króla Neapolu, wchodzi dźwigając kłodę drzewa i monologuje o Mirandzie, której już oddał swe serce. W następnej scenie Prospero przysłuchuje się, niewidzialny, młodej parze, która przyrzeka sobie wieczną miłość. Ojciec Judyty odtwarzał kolejno oboje kochanków. Judytce wydało się, że ze szczególnym odczuciem recytował:

*„Niejednom dziewczę chętnym ścigał okiem,
słów ich harmonia nieraz moje uszy,
zbyt tylko chętne, w swe ujęła więzy;
różne kochałem dla cnót rozmaitych,
lecz żadnej jeszcze tak całą mą duszą.
W każdej z nich zawsze jakaś skryta wada
Z jej najpiękniejszym klóciła się wdziękiem,
Cały mu urok z wolna odbierała.”*

W scenie drugiej Trynkulo i Stefano sprzeczzają się po pijanemu, a Kaliban namawia ich do zamordowania Prospera, po czym Stefano będzie mógł zostać królem wyspy. W ostatniej scenie aktu przed królem Alonsem i jego dworzanami wspaniały bankiet zastawiają duchy, „Co pod postacią dziwną i potworną

mają obyczaj lepszy, łagodniejszy
niżeli wielu, ba! niżli ktokolwiek

z ludzi żyjących w naszym pokoleniu!” Gdy bankiet czarodziejskim sposobem znika, niewidzialny Ariel zaczyna wyliczać zbrodnie rozbitków, a ci, wystraszeni i rozgniewani, dobywają mieczów.

Ariel szydzi z nich, bezradnych wobec ducha niedosiętego dla ludzkiej broni, i przypomina im straszną przeszłość, o której, jak mniemali, nikt nie wiedział, a i oni sami najchętniej by o niej zapomnieli:

*„Pomnijcie teraz (w tym przybyłem celu),
że wy trzej, niegdyś, dobrego Prospera
z Mediolanu śmieliście wypędzić
na morskie fale (morze mści się teraz),
z niewinną córką okrutnie porzucić;
za czarną zbrodnię niebo sprawiedliwe,
co karę zwleka, lecz nie zapomina,
przeciw wam burze i morza, i ziemi,
przeciw wam wszystkie podniosło stworzenia.”*

Imię Prospera, wymówione na tej odległej wyspie napełnia przerażeniem Króla Alonsa, który zapowiada, że się utopi wierząc, iż jego jedyny syn Ferdynand również utonął.

– A przez ten cały czas Ferdynand tonie, ale tylko w miłości – zauważyła Judyta.

– Węzły dramatu powinny być mocno zadziergnięte, aby warto było je potem rozsupłać – odrzekł Szekspir. – Ale to mi coś przypomina. W opowiadaniu o moim życiu pozostawiliśmy moją skromną osobę w więzach podwójnych: Złotego Lorda i Czarnej Damy. Zanim ujawnię plany Prospera, opowiem ci o kajdanach, które sam sobie nałożyłem i w których się długo szarpałem.

Część trzecia
Złoty Lord i Czarna Dama

Rozdział X

Na słoneczną pogodę sławy Willa i przyjaźni z wielkodusznym patronem – padł cień. Aresztowano Thomasa Kyda, autora popularnej „Tragedii hiszpańskiej”, sztuki o zemście kończącej się tuzinem śmierci.

Dzień po dniu plotkarze przynosili „Pod Syrenę” coraz to nowe wiadomości:

– Te pogróżki przeciw holenderskim kupcom, niedawno rozplakatowane po mieście...

Podobno Kyd był w to wmieszany...

– Antyreligijne broszury znaleziono w jego papierach...

– Nie przyznaje się do ateizmu, nawet pod torturami...

Ale pogrążył Kita Marlowe.

Powiedział, że te broszury zostawił u niego Kit, kiedy wspólnie opracowywali jakąś sztukę...

– Królowa zastanawia się teraz, co począć z jawnym ateizmem Marlowe’a. Najgorsze jest to, że on podobno innych do ateizmu podburza...

– Boją się postawić Marlowe’a przed sądem. Jeszcze przypadkiem wyzna publicznie, że z polecenia rządu szpiegował katolików. To nie będzie dobrze wyglądało: on, znany ateista, zausznikiem rządu!

– Więc co z nim zrobią? Skażą go na wygnanie?

Will poszedł odwiedzić Marlowe’a by go ostrzec o tych plotkach, w których mogło być sporo prawdy. Ale Marlowe śmiał się z ostrzeżeń.

– A Kyda wcale nie winię – mówił. – Nie zeznał niczego, czego by nie wiedział doskonale każdy, kto kiedykolwiek słyszał, jak gadam. Ale gadać nie przestanę. Jeśli chcą mi zamknąć usta, wiedzą – jak! Nie byłbym pierwszy.

W parę dni później Marlowe poszedł w kompanii trzech podejrzanych typów, co mu się nieraz zdarzało, do obskurnej tawerny nad rzeką. We czwórkę jedli, pili i chodzili po ogrodzie. Powróciwszy do tawerny, pokłócili się przy płaceniu rachunku. Któryś ze zbirów dobył noża. Marlowe’a zraniono w oko. Po krótkiej, ale okropnej agonii – zmarł.

„Pod Syreną” przyjęto straszną wieść absolutnym milczeniem.

Wymieniano porozumiewawcze spojrzenia ale nie komentowano tej śmierci. Szpiedzy Lorda Kanclerza czyhali wszędzie.

Aktorzy, dramaturdzy i widzowie mówili o teatrze Marlowe’a. James Burbage, z wyzyna swego długoletniego doświadczenia i znajomości poetów i sceny, oznajmił:

– Przed Marlowe’em nie było w naszym języku ani prawdziwego białego wiersza, ani prawdziwej tragedii.

Sir Walter Raleigh, bratnia dusza Marlowe’a-ateisty, rzekł:

– Jakiegokolwiek były jego błędy – a niech potępi go ten, co sam jest wolny od wszelkich wad – Marlowe nie znał dumy, prócz dumy z tego, co potrafi ludzki intelekt.

A Will w imieniu dramaturgów dodał:

– To był nasz przywódca i mentor. Cokolwiek bym powiedział o moim zadłużeniu w stosunku do niego, nigdy nie zdołam wypłacić całej należności...

Will wszedł do katedry Św.

Pawła z Czarną Damą u boku. Po głównej nawie spacerowali młodzi wykwintnisie, niedbałym ruchem odrzucając z ramion barwne, jedwabne pelerynki i srebrnymi wykałaczkami usuwając z zębów resztki ostatniej uczy. Na filarach widniały nalepione ogłoszenia służących szukających pracy, a oni sami często wystawiali tu również, by zademonstrować swoje zalety jak bydlę na targu. Tu szeptem przekazywano sobie ostatnie nowiny dnia, tu się umawiano i spotykano, tu załatwiano interesy handlowe i osobiste. W zakątkach siedzieli zawodowi skrybowie, kreśląc listy dla nie znających sztuki pisanie; adwokaci przyjmowali swoich klientów. Czasem zdarzały się sprzeczki i bójkę; winnych sadzano później w dybach na dziedzińcu przed katedrą.

– Powiedział mi, że będzie tu dziś rano – rzekł Will do swej towarzyszkę.

– Nie mogę się go doczekać – odpowiedziała. – Odmalowałeś go w tak cudownych kolorach!

– Jest bardzo urodziwy i szlachetny, posiada wszelkie cnoty – rzekł Will. – Ale patrz!

Właśnie nadchodzi!

Od kiedy przeczytała dedykację, w której Szekspir poświęcił poemat „Wenus i Adonis” Southamptonowi, Czarna Dama wciąż nalegała, by pozwolił jej zobaczyć młodego arystokratę. Zazdrosny kochanek uległ w końcu, dumny, że może się pochwalić tak wysoko urodzonym przyjacielem.

W lśniącym, atlasowym kaftanie, wysokim kapeluszu z piórami, lekko wspierając palce lewej ręki na wysadzanej klejnotami rękonożnicy szpady, Złoty Lord szedł wzdłuż głównej nawy, a za nim biegły wszystkie spojrzenia. Jego jasne włosy zapalały się płomiennymi błyskami od promieni słonecznych, wpadających ukośnie przez wysokie okna. Will cofnął się usiłując pociągnąć Czarną Damę za sobą w cień filaru, ale ona nie ustąpiła i stała nadal, prawie na drodze Southamptonu.

Will zmuszony był znowu stanąć obok niej.

– Jak się masz, Will, myślałem, że będziesz przy pracy o tej porze! – przywitał go Złoty Lord.

– Przeszkadzono mi, milordzie – powiedział Will, ze znaczącym uśmiechem spoglądając na swoją towarzyszkę. – Czy wolno mi prosić o zaszczyt przedstawienia...

Southampton zamiótł posadzkę piórami kapelusza w niskim ukłonie.

– Istotnie, tak urocza przeszkoda... – powiedział dwornie. – Pani, twoim codziennym, chyba nie uciążliwym obowiązkiem winno być przeszkadzanie mojemu przyjacielowi. Wiem, że pracuje za dużo!

Bez najmniejszego skrępowania Czarna Dama pożerała go zachwyconym wzrokiem.

– Moją codzienną przyjemnością, nie obowiązkiem – odrzekła.

– Czemuż to, Willu, ukrywałeś do tej pory przede mną tak olśniewający kwiat? – mówił Złoty Lord. – Cudne kwiecie nie powinno w ukryciu płonąć rumieńcem!

– Kwiaty tak w pełni rozwinięte, jak ja, dawno już przestały się rumienić – odpowiedziała, śmiejąc się, Czarna Dama.

Will oblał się zamiast niej gorącym rumieńcem.

– Tysiącrotnie przepraszam – mówił Southampton. – Umówiłem się dzisiaj. Ale mam niepłonną nadzieję, że w najbliższej przyszłości...

Z ponownym niskim ukłonem poszedł dalej.

– Prawdziwy Adonis z twego poematu – powiedziała Czarna Dama gorącym szeptem; oczy jej

śledziły Złotego Lorda, dopóki nie zniknął w tłumie.

– Adonis powstał w mojej wyobraźni na długo przedtem, zanim go poznałem – odparł Will.

Głos jego zabrzmiał tak ostro, że Czarna Dama zerknęła na niego ukrdkiem. Gdyby je dostrzegł, spojrzenie to powiedziałoby mu, że jego bogdanka zraniła go świadomie i z pewną satysfakcją.

Ale Will patrzył prosto przed siebie.

Następnego ranka nie pozwolił nikomu przeszkodzić sobie w pracy. Pierwszym wierszem, który napisał w pięknej komnacie domu Southamptona, był sonet do Czarnej Damy. Po czym zabrał się do trzeciego aktu sztuki pod tytułem „Ugłaskanie sekutnicy”.

Pokój wyznaczony przez Złotego Lorda dla dramaturga nie był ubogim, okrytym pajęczynami zakamarkiem. Olbrzymi stół zajmował środek obszernej, wykładanej boazerią komnaty, wzdłuż ścian stały rzeźby. Jak w większości londyńskich domów bogatych elżbietańczyków – arystokracji i zamożnego kupiectwa – rzemieślnicy i dekoratorzy przede wszystkim wysilali swoje talenty na przyozdobienie kominka i sufitu.

Will opisał później taką ornamentykę w „Cymbelinie”:

*„Kominek zdobi południową ścianę,
a na nim posąg Diany w kąpeli;
figury zda się, że mówić gotowe:
rzeźbiarz, jak gdyby drugi jaki Stwórca,
przeszedł naturę niemym arcydziełem...*

.....
*Na stropach złote wiszą cherubiny,
kominka wilki (małom nie zapomniał) -
dwa kupidyny skrzydlate ze srebra,
każdy, na jednej trzymając się nodze,
na swej pochodni opiera się wdzięcznie.”*

Półki, wpuszczone w boazerię, zawierały wybór książek takich, jakie mogły być najpotrzebniejsze Willowi, którego o to wypytał uprzednio sekretarz Southamptona. Na stoliku w kącie leżała lutnia, a obok nuty madrygałów i miłosnych pieśni. Na tym samym stoliku stały dwie okrągłe wazy – jedna napełniona płatkami róży, druga fiołkami.

Doszedłszy do jakiegoś trudnego punktu w komedii, którą pisał, Will wstał od stołu i wziął lutnię do ręki. Chodząc tam i z powrotem, brząkał w struny i nucił, a umysł jego to pogrążał się w rozmyślaniach o Czarnej Damie, to znów szukał rozwiązania trudnej sceny.

Praktyka teatralna udoskonaliła zarówno jego grę na lutni, której wyuczył się jeszcze w Stratfordzie, jak i rozwinęła jego z przyrodzenia dźwięczny głos tenorowy. Tu, w domu Southamptona, znajdował nie tylko rozkoszne oderwanie się od gwaru i odrażających woni miasta, ale również mógł szukać wytchnienia i inspiracji w muzyce, bez obawy, że jakiś współlokator zaraz zacznie na znak protestu walić pięścią w cienką ścianę izby.

Przerwał nagle spacer po komnacie, odłożył lutnię, usiadł okrakiem na krześle i szybko skreślił wiersze:

*„Na co muzyka na świat jest zesłana?
Nie na toż, aby umysł nasz rzeźwiła?
Po dziennych trudach, naukowych pracach?”*

Gładko płynęły wiersze, formowała się scena. Gęsie pióro skrzypiało, naciskane mocno, i zawracało zamasztywym ruchem do początku następnego wiersza.

Do komnaty wszedł Złoty Lord, przystanął na chwilę w drzwiach, a zobaczywszy, że Will pisze, cicho podszedł do stołu. Will pisał dalej. Southampton wziął do ręki kilka rozrzuconych kart manuskryptu, układał je, odczytywał, kiwał z uznaniem głową. Will nie podnosił wzroku.

Młody magnat dostrzegł sonet leżący na stole; rzucił pytające spojrzenie na Willa, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, wziął kartę do ręki i zaczął czytać.

Brwi unióśł w górę, jakby w zdziwieniu. Will napisał wyraz „Exit” pod ostatnim wierszem, wziął czystą kartę, napisał „Scena II” i odłożył pióro.

– Przepraszam bardzo! – rzekł.

– Bałem się przerwać.

– Zrozumiałem od dawna – odrzekł Złoty Lord – że muzie należy się pierwszeństwo przed przyjacielem.

– To brzmi jak wymówka – zauważył Will.

– Nie miałem takiego zamierzenia. Obawiam się, że przeczytałem coś, czego nie powinienem był ruszać. Ale wiesz, Willu, ten sonet jest piękny!

– Myśli nocne, spisane rankiem – odrzekł Will z uśmiechem.

– Czy mogę o nim podyskutować? – zapytał Southampton. – Widzę, że jest bardzo osobisty.

Will wolałby istotnie, żeby Southampton nie przeczytał tego sonetu. Ale był przecież tylko aktorem, a ten wspaniały młodzieniec, razem z całą jego wielokrotnie podkreślaną przyjaźnią, był magnatem i patronem, który niedawno ofiarował Willowi w prezencie znaczną sumę pieniędzy. Ta przepaść między nimi nieraz drażniła Willa. Czuł się upokorzony, że przyjął od niego pieniądze. Czyżby zaprzedał swoją niezależność? Przypomniały mu się słowa Burbage’a, że każdy poeta powinien mieć hojnego patrona-dobroczyńcę, który zresztą również korzysta z własnej dobroczynności.

– Podyskutujmy więc, i owszem – rzekł. – To pewno słaby utwór.

Nawet nie przeczytałem go po napisaniu.

– Bardzo jesteś w nim szczery i nie masz wielu złudzeń, jeśli chodzi o twoją panią – rzekł Southampton. – Ale wiesz, ona ma dużo czaru.

– Ten sonet nie był przeznaczony dla niej.

Próbowałem tu tylko wyrazić, że chociaż zniewoliła moje serce, rozum mój ją odrzuca. Staram się zdawać sobie jasno sprawę z tego, co się we mnie dzieje, by nie mieszać pożądania i miłości.

– Więc nie kochasz jej? – spytał Southampton siadając wygodnie w rzeźbionym krześle. – Powstrzymaj mnie, przyjacielu, jeśli okażę się niedelikatnym intruzem.

Przez chwilę Will patrzył w milczeniu na swego patrona. Był rzeczywiście niedelikatny – wdzierał się w najintymniejsze myśli i uczucia. A jednak nie wydawał się Willowi intruzem.

Poeta zachwycał się tym młodzieńcem, pięknym, wykształconym, kulturalnym, bogatym, i to nie tylko w dobra ziemskie, ale i w szlachetne uczucia. Sentyment, jakim darzył świetnego młodziana, był zarazem czymś mniej i czymś więcej niż przyjaźnią. Patrzył na niego, młodszego latami, o tyle zaś wyższego stanowiskiem społecznym, trochę jak na ukochanego brata, któremu jego doświadczenie mogłoby posłużyć za wskazówkę i ostrzeżenie. Ale zdawał sobie sprawę, że właściwie i tamtemu nie brakło doświadczenia. Myślał o nim to, co później Valerio mówi o Proteju w „Dwóch panach z Werony”:

*„Jego wiek młody, doświadczenie stare,
na czole wiosna, ale sąd dojrzały.
Zgoła – gdyż jego przymiotom nie zrówna
żadna z tych pochwał, które mu tu dają -
mąż to skończony z postaci i duszy,
z całą okrasą, co szlachcica zdobi.”*

– Jeśli miłością jest, że nie mogę wytrzymać z dala od niej – rzekł Will – to kocham ją do szaleństwa. Ale jeśli miłość wyrasta z szacunku – to nie kocham jej wcale.

– Zadurzenie? – zapytał Southampton.

– Nienawidzę siebie za własną słabość – wyznał Will – a jednak pociąga mnie do niej nieodparta siła; bierze mnie do niewoli dotknięcie jej ust, a gardzę sobą w chwilę po jej opuszczeniu.

Southampton kręcił w palcach loki spadające mu na ramiona i patrzył na cherubiny na suficie.

– A czy ona cię kocha?

– Ona nigdy nie pokocha żadnego mężczyzny. Kocha miłość, kocha intrygi, kocha okazywaną jej adorację, kocha wielu mężczyzn, zwłaszcza tych, których nazwiska coś znaczą w świecie.

Złoty Lord w zamyśleniu kołysał z lekka głową.

– Ma innych kochanków?

Will drgnął.

– Ufam, że nie – odparł głosem, który mu nagle ochrypl; a wyraz cierpienia, który skurczem przebiegł mu po twarzy, powiedział więcej, niż mogłyby wyrazić jakiegokolwiek słowa.

– Powiedziałeś, że kocha wielu mężczyzn – przypomniał Southampton.

– Z pewnością miała i pewno będzie miała innych kochanków – wytłumaczył powoli Will, a każde słowo było jak bolesny cios, własną ręką zadany. – Ale ufam, że teraz ich nie ma...

– Ach, tylko jednego naraz! – rzekł Southampton i zaczął się śmiać.

Na chwilę gniew ogarnął Willa.

Ale opamiętał się i zaraz poczuł wdzięczność do patrona za wytworzenie swobodniejszego nastroju.

– Jestem sporo młodszy od ciebie, Will – powiedział Złoty Lord – ale zaryzykowałbym twierdzenie, że jesteś ulubieńcem fortuny. Nawet nie potrzebujesz twojej kochanki utrzymywać! I możesz ją rzucić, kiedy ci się spodoba.

– A ona mnie – dodał Will.

– Pewno by to zrobiła, gdyby przeczytała ten sonet – odrzekł Southampton wstając z krzesła i wskazując na kartę papieru leżącą na rogu stołu.

Zaczął chodzić tam i z powrotem po komnacie. Will nie przerywał zamyślenia przyjaciela. O czym on mógł myśleć? Czyżby się dziwił, że zwykły aktor może być aż tak zakochany? Will wiedział, że Southampton kochał wprawdzie teatr, ale jak inni z jego sfery spoglądał z góry na aktorów.

Czasem mu taka myśl dokuczała; czasem nawet żałował, że taki sobie obrał zawód; to przypadek pozbawił go możliwości poświęcenia się profesji, która budziłaby szacunek u ludzi takich, jak Southampton. Próbował te uczucia wyrazić w sonecie pisanym do Złotego Lorda; ale właściwie wyraził tylko pewną niechęć do własnego zawodu, co się prawie każdemu chwilami zdarza; pod koniec sonetu wyliczał jego błogosławieństwa, a zwłaszcza błogosławieństwo przyjaźni takiego patrona, co kazało mu nie pragnąć zamiany nawet na kondycję samego króla.

Młody hrabia stanął przed Willem, który w następnej minucie oskarżał się już

o niesprawiedliwość wobec przyjaciela.

– Słuchaj, nie potrzebujesz przesiadywać w Londynie – rzekł Southampton – i narażać się na niebezpieczeństwo zarazy. Czy nie chciałbyś pojechać na jakiś czas do mego domu w Tichfield?

Tam się dobrze pracuje. Ty lubisz wieś, przyrodę...

Odpoczniesz. Ja tam często zaglądam, chociaż rzadko na dłużej. Moja matka – nieprzeciętna kobieta – będzie cię podejmowała w czasie mojej nieobecności.

– Krępuje mnie przyjmowanie wciąż nowych dobrodziejstw – zaczął Will. – Nie mam możliwości...

– Och, nie mów głupstw – rzekł niecierpliwie Southampton. – Moim obowiązkiem i przyjemnością jest popieranie sztuki!

Teraz Will z kolei zaczął przemierzać komnatę niespokojnymi krokami.

Southampton z łatwością odgadł jego myśli.

– Twoja Czarna Dama będzie tym namiętniejsza po rozłące – powiedział lekko, półżartem.

– Jej mąż był długo nieobecny – odrzekł Will. – Jeśli niebawem powróci, przyjmę z wdzięcznością zaproszenie.

– Doskonale! – zakończył Southampton. – Daj mi znać, kiedy zechcesz pojechać.

Wyszedłszy z Southampton House, Will zawahał się, czy pójść „Pod Syrenę”. Dawno tam nie był. Tłumaczył sobie, że to z powodu zarazy, ale w głębi serca wiedział, iż właściwie nie tego się obawiał. Chciał uniknąć pytań, może niewybrednych żartów na temat Czarnej Damy. Cóż mógł odpowiedzieć? Jak miał się odwzajemnić żartem za żart? Nie była ona dlań ani zabawką jednej nocy, ani prawdziwym ukochaniem.

I druga sprawa: bał się jak ognia, że zawistni pisarze posądzą go o interesowność w przyjaźni ze Złotym Lordem.

I nagle porwał go pusty śmiech. Z trudem hamował się, by ludzie nie oglądali się za nim na ulicy. Kochanka, którą bał się zostawić, bo jej nie ufał!

Niesmak do własnego zawodu, zrodzony z aspiracji towarzyskich! Dusił się od tłumionego śmiechu. Zdał sobie sprawę ze śmieszności własnego położenia. Gdyby Ryszard Field albo Dick Burbage zachowywali się podobnie, ileżby znalazł zabawnych dowcipów na ich temat, jakżeby ich wyśmiewał, wykpiwał!

Jego życiem był teatr i słowa wypowiedane przez aktorów. Do tego świata należał, blisko związany ze wszystkimi ludźmi teatru. Jeśli się od nich oderwie, straci ten kontakt z rzeczywistością, którym odznaczała się jego twórczość, wyższa przez to nad twórczość dramaturgów akademickich.

Skierował się w stronę Cheapside, gdzie mieściła się tawerna „Pod Syreną”. Pierwszy raz wrócił znów do normalnego, dawnego życia od czasu, gdy Czarna Dama i Złoty Lord zaabsorbowali wszystkie jego myśli i uczucia. Jeszcze daleką miał drogę do odzyskania niezawisłości, ale zdarzenia, niektóre bolesne, inne podniecające, miały mu na tej drodze dopomóc i poprowadzić go dalej.

Tego samego wieczoru poszedł na ulicę Fenchurch, jak się umówił. Czarna Dama z żalem mówiła o bliskim już powrocie męża. Tymczasem przychodził do niej co wieczór. Zdawał sobie sprawę z własnego szaleństwa, ale nie mógł się zdobyć na żaden stanowczy krok. Może kiedy będzie w Tichfield...

Pracował z pasją, kończąc „Ugłaskanie sekutnicy”. Treść zaczerpnął ze starej sztuki o tym samym prawie tytule: szlachcic z Werony, imieniem Petruccio, poślubia znaną z gwałtownego usposobienia złościcę i traktuje ją tak bezceremonialnie, że... wkrótce staje się łagodniejsza od żon wszystkich jego przyjaciół.

Southampton osobiście towarzyszył mu w odległej podróży konno przez Winchester do Tichfield. Dla Willa był to nowy, nie znany kraj. Z zachwytem przekonał się, że jego patron prawie równie dobrze jak on sam znał się na miejscowej przyrodzie, obyczajach zwierząt i ptaków, nazwach kwiatów polnych i leśnych. Gdy dojechali do pałacu, wydawało mu się, że ujrzał przed sobą obraz wspaniałego padewskiego domu z nie granej jeszcze komedii:

*„Ugłaskanie sekutnicy”
„...zaopatrzone jest dostatnio w sprzęty
złote i srebrne, dzbany i miednice
do obmywania jej pieszczonych rączek.
Moje obicia pochodzą wprost z Tyru;
w skrzyniach z słoniowej kości mam schowaną
złotą monetę; w cyprysowych kufrach
szale, kosztowne kołdry i kobierce,
drogie materie, batysty, kotary,
perłami tkane tureckie poduszki,
weneckie frędzle przerabiane złotem,
naczynia z cyny i miedzi...”*

Matka Złotego Lorda przyjęła gościa serdecznie; on sam odjechał wkrótce, gdyż, jak mówił, wzywano go do dworu; ale miał niebawem znów przyjechać. W czasie jego nieobecności Will zabrał się do pracy nad następną sztuką. Chciał, aby Burbage i kompania „Sług Lorda Strange’a” mieli pod dostatkiem nowości, gdy londyńskie teatry otworzą nareszcie swe podwoje. Napisany wówczas „Tytus Andronikus” dotrzymuje kroku okropnościom „Tragedii hiszpańskiej” Kyda.

Lawinię, córkę tytułowego bohatera, wodza rzymskiego, okrutni wrogowie gwałcą i okaleczają; opowieść o pomście jej ojca, to opowieść

*„... o gwałtach, morderstwach,
obrzydłych sprawkach, czynach jak noc czarnych,
występnych spiskach, zdradach, nikczemnościach,
o dokonanych bez litości zbrodniach.”* W pojęciu samego poety znacznie ważniejszy był jego drugi poemat, nad którym pracował – „Porwanie Lukrecji”.

Z myślą o nim studiował, jeszcze w Southampton House, Liwiusza i innych historyków rzymskich. Willem szarpała jednak tęsknota za Czarną Damą.

Niejednokrotnie już gotów był posłużyć się jakąś wymówką i wrócić do Londynu; jeśli tego nie czynił, to tylko dlatego, że przypominał sobie o obecności w Londynie jej męża. Czarna Dama, gdy mążnek był w domu, nie ryzykowała utraty bogactw i wygod, które jej zapewniał.

Southampton przyjeżdżał do Tichfield na krótkie odwiedziny, często przywożąc z sobą gości, ludzi wytwornych, bywałych w świecie, czasem prawdziwie wykształconych. Wszyscy traktowali poetę z szacunkiem, co utwierdzało jego pewność siebie. Zawsze chciwie zbierał okruchy wiedzy, przysłuchiwał się więc pilnie, gdy doświadczeni podróżnicy opowiadali o obyczajach południowych narodów, szaleństwach lub mądrości władców, ambicjach państw europejskich, nadziejach skolonizowania Nowego Świata, położeniu Anglii we współczesnym układzie sił politycznych.

Odmienne to było towarzystwo od tego, z którym spotykał się „Pod Syreną”, gdzie najczęściej powierzchowne epigramy przyjmowano za filozofię, a plotka zastępowała dokładną relację wydarzeń.

Gdy Złoty Lord z towarzyszącymi odjeżdżał, wielki dom pustoszał na kilka dni, a Will powracał do swojej pracy i do spokojnych, długich rozmów z Johnem Florio, dawnym gubernatorem młodzieńczego Southamptona. Florio był synem włoskiego humanisty, zbiegła z ojczyzny, a sam magistrem oksfordzkim i nauczycielem języków; obecnie zajmował się przygotowaniem słownika włoskiego. On to ukazał Willowi nowe źródła tematów scenicznych, mówił mu o szczegółach życia w miastach włoskich, uczył go zwrotów, które dodawały lokalnego koloru dialogom.

Matka Złotego Lorda, hrabina Southamton, była jeszcze przystojną kobietą. Lubiła prowadzić długie rozmowy z poetą, który był wesoły i dowcipny mimo swych sercowych trosk. Hrabina ufała, że pod wpływem tego starszego nieco przyjaciela syn jej może ustatkować się z wolną.

Młodzieniec przyczyniał jej wiele niepokoju wybuchami lekkomyślnego temperamentu, a także igraniem z ogniem w niebezpiecznych przedsięwzięciach politycznych.

Southamptonowie byli starą rodziną katolicką i wobec tego szpieg Lorda Skarbnika nie spuszczała z nich oczu.

Przypuszczano nawet, że sam John Florio był rządowym szpiegiem. Hrabina pragnęła gorąco, by dziedzic rodu mniej przyciągał niepożądaną uwagę. Ale samowolny, ambitny i porywczy Southamton związał się z przedsiębiorczym i dzielnym hrabią Essexem, który wciąż popadał w konflikty z doradcami królowej. Co więcej, urodziwy chłopiec romansował z niejedną damą dworu Elżbiety, czym ściągał gromy na swoją głowę.

Jego matka pragnęła oczywiście ożenić go jak najprędzej.

– Lord Skarbnik, opiekun mojego syna, chciał za niego wydać swoją wnuczkę – opowiadała pewnego dnia Willowi. – A ten uparty chłopak odmówił wbrew moim namowom i jeszcze obraził go, mówiąc, że nie ma ochoty dać się związać.

– Młody jest – łagodził Will.

– A zarazem zbyt doświadczony w podległych sprawach tego świata – odparła hrabina. – Pan, panie Szekspirze, mógłby może wpłynąć na niego.

– Czy łaskawa pani nie zapomina, że to nie ja jestem jego patronem, lecz on moim?

– Proszę tak nie mówić. Mój syn lubi pana i wysoko ceni pańskie talenty. Uważa się przy tym za mecenasa sztuk pięknych.

Raczej usłucha pana niż własnej matki. Tak to już najczęściej bywa z młodymi: prędzej przyjmą radę od obcych niż od swoich.

– Będę zawsze starał się spełnić każde życzenie pani hrabiny.

– Więc proszę mu wytłumaczyć, że powinien się ożenić.

Will uniósł brwi.

– Czy pani hrabinie wiadomo o moich własnych doświadczeniach, jeśli chodzi o stan małżeński?

Czy ptak, który bezprawnie umknął z klatki, może namawiać swobodnego jeszcze brata, by się dobrowolnie dał zamknąć?

Hrabina bywała dość bezceremonialna.

– Nie widzę potrzeby, aby mój syn zawierał związki małżeńskie w ten sam sposób, co pan – rzekła.

Will parsknął śmiechem.

– Proszę mi wybaczyć, panie Szekspirze – dorzuciła. – Nie chciałam powiedzieć...

– Łaskawa pani – przerwał jej Will. – Okazałbym się grubianinem, gdybym nie zastosował się do jej woli.

Uprzedzam tylko, że nie spodziewam się, aby moje wysiłki odniosły jakikolwiek skutek. Po tej rozmowie Will zabrał się do pisania cyklu sonetów, w których z serdecznym przywiązaniem

i podziwem unosił się nad urodą i zaletami Złotego Lorda. Poeta był tu najzupełniej szczery: pisał to, co czuł. Ta uroda przyciągała wzrok mężczyzn, a serca kobiet; dzięki tej urodzie Szekspir pokochał go – jak kochał wszystko, co piękne. I ta uroda – nalegał w sonetach – musi zostać odtworzona. Poeta próbował wykorzystać próżność młodego mężczyzny, radząc mu pojąć żonę i spłodzić syna, aby gdy włosy jego zbieleją, a twarz pokryją zmarszczki, mógł widzieć odbicie własnej dumnej, młodzieńczej, nieporównanej urody w swoim potomku.

Ale gdy po raz ostatni przed powrotem Willa do Londynu Southampton przyjechał do Tichfield, poeta spostrzegł od razu u niego pewną wyniosłość, pewien chłód i odcień pobłażliwej wyższości, tak jakby młody magnat chciał przypomnieć poecie, żeby się zbytnio nie spoufalął. A może trochę się go obawiał? Will pomyślał, czy czasem inni poeci, którzy starali się o względy hojnego arystokraty, nie próbowali zabrać mu przyjaźni patrona? Czy może on sam, wychwalając tak bardzo Złotego Lorda, nie oczekiwał od niego zbyt wiele?

Czy też może Southampton był niezadowolony z tych sonetów, namawiających go do ożenku? Will nadaremnie próbował odgadnąć istotny powód niespodziewanego ochłodzenia uczuć Southamptonu.

Skończył „Porwanie Lukrecji” i opatrzył utwór dedykacją tak gorącą, iż cały świat mógł się przekonać, jak pięknie rozwinęła się i dojrzała przyjaźń między nimi od czasu ukazania się poematu „Wenus i Adonis”.

„Cokolwiek stworzyłem, jest twoje; cokolwiek mam stworzyć, jest twoje, gdyż ze wszystkim, czym jestem, należę do ciebie”.

Rozdział XI

Po powrocie do Londynu Willa spotkało przykre rozczarowanie.

Czarna Dama dała mu znać, że jej mąż jest wciąż jeszcze w domu.

Przyjechał dużo później, niż się spodziewała – dopiero od dziesięciu dni był w Londynie.

Może niebawem wyjedzie. Will chodził jak nieprzytomny, nie mogąc na niczym skupić uwagi.

Ale musiał się otrząsnąć, bo czekały go ważne sprawy.

Jego koledzy-aktorzy powrócili z objazdu. Od Bożego Narodzenia zezwolono na ponowne otwarcie teatrów. Zapanował gorączkowy ruch i pośpiech, wszyscy przygotowywali się, by znowu podbić serca publiczności, od dawna spragnionej ulubionej rozrywki. Will zabrał się na gwałt do pisania jeszcze jednej sztuki: „Dwaj panowie z Werony”.

Prócz tego królowa wydała dyspozycję, aby kompania „Sług Lorda Strange’a” dała dla dworu przedstawienie w Greenwich w dzień Rzezi Niewiniątek.

– Jej królewska mość wyraziła życzenie – powiedział Burbage Willowi – żebyś ty był wśród grających. To najlepszy chyba dowód, jak daleko zaszedłeś od chwili, kiedy przyjechałeś z nami ze Stratfordu... Czekaj, ileż to lat temu?

Burbage postarzał się i pamięć mu często nie dopisywała.

– Siedem lat – odrzekł Will. – Czuję się naprawdę zaszczycony...

– Jej królewska mość chce zobaczyć autora „Henryka VI”, „Ryszarda III” i wybranej na tę okazję „Komedii omyłek”.

Na liście aktorów nazwisko Willa znalazło się na drugim miejscu, pomiędzy Kempem, najślawniejszym aktorem komediowym owych czasów, a

Dickiem Burbage, który już zaćmiewał sławą Alleyna jako aktor tragiczny. Will wiedział, że nie dorównuje im na scenie, chociaż koledzy go szanowali.

Kompania Burbage’a popłynęła od Mostu Londenckiego w dół do Greenwich wielką łodzią – wszyscy przybrani byli w barwy Lorda Strange’a. Konieczność noszenia liberii drażniła Willa.

Uważał ją za symbol upokarzającej niższości, dzielącej go od ludzi, w których towarzystwo się dostał dzięki swym talentom poetyckim i patronatowi Southamptona. Była to jedna z przyczyn, dla których obrany zawód często go niecierpliwiał.

„Komedia omyłek” doskonale nadawała się na przedstawienie dworskie. Tłem, na którym Will umieścił dwie pary bliźniąt, wplątane w takie zawilości, że aż się w głowie widzom kręciło, był Londyn, chociaż autor nazwał go Efezem; wojna z Syrakuzami przypominała stosunki Anglii z Hiszpanią. Bliskość portu, flotylle okrętów, ruch przyplływających i odpływających statków kupieckich, sprawy handlowe – wszystko to było żywcem wzięte z życia Londynu.

Opactwo poza obrębem murów miejskich, dokąd chroni się jedna z postaci komediowych – to Holywell Priory, mieszczące się w pobliżu „Teatru” Burbage’a i ulicy Bishopsgate, gdzie mieszkał Will. Nawiasem mówiąc, pod postacią Adriany Will sportretował w „Komedii omyłek” swoją żonę Annę.

Will widywał już królową, gdy płynęła wspianiale przystrojona łodzią po Tamizie albo gdy przenoszono ją w lektyce przez miasto. Teraz, kiedy siedziała tuż przy scenie, mógł z bliska obserwować tę kobietę, która jednocześnie czarowała i przerażała zarówno starych, jak i młodych mężczyzn na dworze, która zdecydowała, że najlepszym sposobem utrzymania w posłuszeństwie niespokojnych poddanych będzie zdobycie ich miłości – i zamiar ten powiódł się jej jak nikomu jeszcze z angielskich monarchów. Liczyła już sześćdziesiątkę, nie wyglądała młodo. Cierpiała na reumatyzm i częste bóle głowy.

Jej dumnie wyprostowana, szczupła postać i niezwykle piękne ręce nie mogły w zupełności zatuszować wrażeń, jakie wywierała postarzała twarz, szczerbate zęby i peruka.

Jako widz Elżbieta była ideałem dla aktorów, niezależnie od tego, że pokrywała koszty kostiumów, wystawy i wypłacała za przedstawienie dworskie sumę równą tygodniowym dochodom ze sprzedaży biletów. Nie miała upodobań intelektualnych snobów, chociaż władała łaciną w sposób, który budził podziw humanistów, znała doskonale sześć innych języków, układała niezłe wiersze i komponowała utwory muzyczne.

Za przykład jej realizmu może posłużyć odpowiedź, jakiej udzieliła ambasadorowi Francji, który zachwycał się jej wiedzą.

„Nie jest cudem nauczyć kobietę mówić kilku językami – rzekła. – Znacznie trudniej nauczyć ją, by trzymała język za zębami”. W parę godzin ten żart królowej obiegił stolicę i dotarł „Pod Syrenę”. Elżbieta umiała ocenić klasyczną tragedię, ale o wiele więcej lubiła, na równi z większością swoich skromniejszych poddanych, wesołą rozrywkę i sposobność do śmiechu.

Will baczenie przypatrywał się królowej, śledził, co się jej podobało, jakiego rodzaju dowcipy budziły jej śmiech.

Rozmyślał przy tym, ilu i jak potężnych wrogów miała w Europie ta wątła kobieta i jej małe, morzem opasane królestwo.

Hiszpania zbroiła się znowu przeciw niej. Papież nie tylko rzucił na nią klątwę, ale z góry udzielił rozgrzeszenia za jej zamordowanie. Każdy z pomniejszych koronowanych książątek, jeśli chciał zaskarbić sobie przychylność Watykanu albo Filipa hiszpańskiego, obsypywał ją obelgami i pogróżkami.

A cóż powiedzieć o jej własnych dworzanach? Will zdawał sobie sprawę, że sam pragnie towarzystwa ludzi wykształconych, takich jak ci, którzy kręcili się lotem ómy wokół tronu. A jednak wiedział, że życie ich obracało się w kręgu plotek, skandali, złośliwości i satysfakcji z upadku tych, którym wczoraj jeszcze schlebiali. By wznieść się na wyżyny królewskich faworów, trzeba było wiele zręczności i niemało szczęścia.

Ale upadek z tych wyżyn, czasem wprost do Tower albo pod topór kata, bywał rezultatem jednego tylko fałszywego kroku albo złośliwej intrygi zazdrosnego rywala.

Po przedstawieniu aktorzy zasiedli do wieczerzy przygotowanej w pałacu. Ale królowa się nie zjawiała.

Ostatecznie, aktorzy nosili liberię i byli czymś w rodzaju służby dworskiej lub magnackiej. Któryś z nich mógł zabłysnąć przez chwilę u dworu, a nawet przyciągnąć uwagę królowej, ale jako zespół nie zaliczali się do dworzan.

„Porwanie Lukrecji” ukazało się wreszcie, pięknie wydrukowane przez Ryszarda Fielda. Jak Will przewidywał, w przeciwieństwie do pierwszego, ten poemat wywołał więcej zainteresowania na uniwersytetach niż wśród szerokiej publiczności. Ale i tak rozchodził się o wiele lepiej od

większości poezji w owych czasach.

Małżonek Czarnej Damy – nareszcie, nareszcie! – wyjechał do Portsmouth, by doglądać zaprowiantowania floty wypływającej przeciw Hiszpanom na iberyjskie wybrzeża. Will z „Porwaniem Lukrecji” pod pachą i bijącym sercem udał się na ulicę Fenchurch.

Wprowadzony do salonu, zastał panią domu przy szpinecie.

Przestała grać i spojrzała na niego z ukosa. Ruchem ręki poprosił, by grała dalej; był może w takim nastroju, który miał wyrazić w parę lat później w „Wieczorze Trzech Króli”:

*„Jeśli muzyka jest miłości stawką,
dajcie mi waszej muzyki do zbytku,
niechaj apetyt umrze z przesycenia.”*

Czy chciał, by jego miłość umarła? A jednak nie mógł zdobyć się na to, by uczynić jakiś krok w tym kierunku.

Przestała wreszcie grać i odwróciła się ku niemu. Zdawało mu się, że dostrzegł na jej twarzy wyraz pogardy pomieszanej z niepokojem. Ale wziął ją w ramiona, całując gorąco, chociaż nie oddawała mu pocałunków. Gdy puścił ją na koniec, zakpiła:

– Jakiś ty energiczny! Czy to w Tichfield odkryłeś w sobie taką furję? Pewno jakaś służebna odrząciła twoje amory i musiałeś ją pouczyć, by się nie opierała... aktorowi!

Podszedł do niej szybko i gwałtownym ruchem objął ją znowu.

– Ja nie jestem dziewczyną służebną – szdyziła. – Będę się opierała, jeśli tak mi się spodoba... i nie będzie mnie posłuszeństwa uczyć... aktor!

Wciąż powracała do tego słowa: „aktor”! Wiedziała, jak go zranić, i dążyła do tego świadomie. Była silna i przez chwilę trzymała go w szachu. Ale wybuch namiętności zwielokrotnił jego siły. Obie jej ręce wykręcił do tyłu i zamknął w swojej dłoni jak w kleszczach.

– Lubię, kiedy jesteś śmiały, Willu – powiedziała. – Do tej pory śmiałość była zawsze po mojej stronie. Kazałeś mi prawie życzyć sobie... ale nie. On jest szlachcicem.

– Kto jest szlachcicem? – spytał Will, dziwnym, ukośnym ruchem wysuwając naprzód głowę.

– Ktoś, kto był śmiały od samego początku – odpowiedziała, ręką poprawiając uczesanie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Pochylił się nad nią i obu rękoma ujął ją mocno za ramiona.

– Znowu próbujesz być śmiały? – rzekła złośliwie. – Dość już tego, mój zaborczy panie aktorze!

Puścił ją i cofnął się.

Wyglądał jakby nagle skurczył się w sobie. Wiedział już, że ktoś go zastąpił, ale czuł przewrotne pragnienie obracania sztyletu w ranie.

– Musisz mi wszystko powiedzieć – wyjąkał, wcale już nie władczym, tylko błagalnym tonem.

– Usiądź, proszę! – powiedziała.

Była najzupełniej spokojna, rozkoszując się wyraźnie sytuacją. Ale on stał jak wryty, z nieprzytomnym wzrokiem.

– Ostatecznie, mało która kobieta odrzuciłaby awanse hrabiego, tylko po to, by nie urazić... aktora.

Wreszcie uzyskał pewność i w tej samej chwili ogarnął go taki wstręt, jakby był nieczysty, jakby w żyłach jego płynęła zatruta krew morowej zarazy. Ale tę truciznę sączyło w jego żyły tych dwoje, wokół których życie jego się koncentrowało od wielu miesięcy.

– Southampton? – szepnął.

Dotarł jakoś do frontowych drzwi domu. Nigdy później nie pamiętał, jak. Pamiętał tylko, że do jego uszu dolatywały dźwięki szpinetu Czarnej Damy, przegrywającej melodię miłosnej piosenki.
„Jeśli muzyka jest miłości stawą...”

Rozdział XII

Przez ile długich, nużących dni Hamlet, królewicz duński chodził udając obłąkanie i nie mogąc się zdecydować, czy i jak pomścić zabójstwo swego ojca!

Przez ile długich, nużących dni Will Szekspir, aktor i poeta, żył, pracował, rozmawiał z towarzyszami, a wszystko jakby w transie, osaczony myślami o zdradzie kochanki i przyjaciela, nie mogąc się zdobyć na żadną decyzję!

Chodził teraz prawie co dzień „Pod Syrenę”. Szukał zapomnienia, a zarazem wiedząc, że plotki niedługo rozniosą po całym mieście najświeższy romans Southamptona, zamierzał je uprzedzić; nie chciał wyglądać na zdruzgotanego tym ciosem – chociaż czuł się zdruzgotany.

– Rzadko tutaj zaglądałeś ostatnio, Willu – powitał go Heminge pociągając długiego wąsa.

– Szlachetni lordowie zajmowali mu czas – zauważył szyderczo Kemp.

– I praca także – bronił przyjaciela Dick Burbage.

– Ile razy go prosiłem, by poszedł ze mną na piwo – wtrącił Cuthbert – zawsze się wymawiał zmęczeniem.

– To choroba serca – dodał Kemp.

Will pozwolił im się wygadać.

Uśmiechał się tylko, wreszcie rzekł z odcieniem goryczy:

– Asystowanie dworzanom, kochanie kobiet, przerabianie i pisanie sztuk – nie wiadomo, co jest cięższą pracą.

Trefniś skrywał swój ból, a jednocześnie walczył z tym, co byłoby śmiercią artysty – z niewiarą w człowieka.

Pracował z większym jeszcze zapamiętaniem niż dawniej. Nie chodził do Southampton House.

Pisał w swoim pokoju na ulicy Bishopsgate. Dawniej to pomieszczenie mu wystarczało.

Teraz, po miesiącach spędzonych w odmiennym otoczeniu, jego pokój wydał mu się nieznośnie hałaśliwy, duszny, niewygodny.

Zaczął szukać innego. Mógł sobie przecież pozwolić na droższe mieszkanie.

Do Złotego Lorda kreślił smutne, pełne wyrzutów sonety.

Do Czarnej Damy pisał wiersze z gorzkimi oskarżeniami, ale nie posyłał ich wprost do niej, lecz – może z niewinną chytryością – również do jej nowego kochanka.

Przerabiał stare dramaty z zapasów Burbage’a, dostosowując je do współczesnych wymagań.

Wykończył również swoich „Dwóch panów z Werony” – dzieje nieszczęśliwej miłości, przebranych bohaterów, ucieczki i wygnania.

Odkładał na chwilę pióro i opierając zmęczoną głowę na dłoni, rozmyślał o Złotym Lordzie.

„Tyle w nim widziałem szlachetności! Jego upadek jest moim upadkiem. Mnie to boli, nie jego. Jego słabość jest moim cierpieniem. Pod dostatkiem kobiet wyciąga do niego ramiona, a on zabrał właśnie moją... Czy zrobił to, żeby mnie okryć wzgardą? Pan, zabierający kochankę swemu słudze? Nie, to ona go uwiodła. On jest młody.

To jej gorące spojrzenia, słowa rozpały w nim ogień. Ale czy nie wysłał mnie celowo do Tichfield? Z góry przeznaczył ją dla siebie. Oboje nic niewarci.

Ale jego cenilem przecież ponad wszelką wartość...”

Gdy żale przekształciły się w gniew, Will wybrał się do Southampton House. Po drodze układał sobie śmiałe, oskarżające, agresywne słowa, które powie Southamptonowi.

Czy on sobie wyobraża, że zapłaciwszy honorarium patrona ubogiemu poecie, kupił go już całego, ze wszystkim, co do niego należy? Rzuci mu te pieniądze na stół! Ale Złoty Lord nie może zwrócić tego, co zabrał. Układał sobie słowa... takie, jakie w „Dwóch panach z Werony” Valentio mówi do Proteja, gdy ten zaleca się do jego ukochanej Sylwii:

*„Żal mi, że odtąd wierzyć ci nie mogę
i świat z twej winy obcym poczytuję.*

*Najgłębsza rana z przyjacielskiej dłoni. Przeklęty czasie, w którym dłoń ta rani
srożej niż zemstą wrogowie zagrzeni!”*

Will odszukał sekretarza i powiedział mu, że chce się widzieć z hrabią. Sekretarz powrócił z wiadomością, że jego wysokość żałuje, ale jest zajęty.

– Poczekam – powiedział z uporem Will.

– Szkoda pańskiego czasu – zauważył sekretarz spoglądając na niego z sympatią. – Jego wysokość jest w towarzystwie damy. Nikt nie może przewidzieć, jak długo...

Will szedł w dół ulicą Holborn w czarnym nastroju. Wtem przystanął i roześmiał się w głos. Nie powstrzymywał śmiechu jak niegdyś: niech przechodnie myślą, co chcą! Przechodzący czeladnik zatrzymał się i popatrzył na niego. Will uspokoił się, spojrział z powagą na czeladnika i chciał już odejść, gdy ten się odezwał:

– Dobry musiał być ten żart, panie. Gdybym i ja mógł się tak pośmiać, może bym odzyskał apetyt, który straciłem, gdy mój mistrz zwinął warsztat i przepadły wszystkie moje nadzieje...

Will spojrział znowu na czeladnika.

– Zabłąkany pies, przygarnięty do domu, pieszczony i hołubiony, a potem kopniakiem wyrzucony z powrotem na bruk – powiedział.

Czeladnik patrzył ze zdziwieniem.

– I z tego się pan śmiałeś?

Kiepski żart, panie, i niewdzięczny!

– Udają wzdargę dla miłości.

Nie chcą się żenić. Szukają przygód. Będą walczyć w służbie królowej. Będą studiować księgi.

Tak powiada nasza szlachta.

– Wciąż nie wiem, z czego tu się śmiać – mruknął czeladnik.

– Więc jak to się dzieje – ciągnął Will – że damy dworu trzeba z nieprzystojnym pośpiechem wydawać za męża, a biedni aktorzy zastają swoje kochanki w objęciach hrabiów?

Czeladnik się uśmiechnął.

– To może i żart – przyznał wspaniałomyślnie. – Ale pana łatwo do śmiechu doprowadzić...

Łaskotliwe musisz mieć pan żebra!

Will pomacał się po żebrach od góry do dołu, jakby przesuwając palcami po klawiszach.

– Pewien hrabia i moja kochanka wygrali na nich wesołą melodię – powiedział i śpiesznie poszedł dalej.

Znowu zawędrował „Pod Syrenę” – do tego portu, dokąd uciekał od samego siebie –

i zachowywał się tam równie zagadkowo, jak w rozmowie z czeladnikiem.

Przyjaciele śmiali się, bo każdy się bał, że go posądzą o tępy umysł, niezdolny do oceniania dowcipu. Ale wracając do domu, każdy po drodze drapał się w czuprynę i rozmyślał, czy to genialny Will staje się za mądry, czy on sam jest za głupi.

Sen opuścił Willa. Noc po nocy poeta przemierzał pokój niespokojnymi krokami. Tęsknił za Czarną Damą, to znów nie mógł ścierpieć nawet myśli o niej.

Wspominał z żalem godziny poufnych, ciekawych rozmów ze Złotym Lordem; to znów nienawidził go i postanawiał odtąd nazywać Lordem Pozłacanym.

Siadł i zabrał się do czytania książki – zbioru przysłów i złotych myśli z literatury włoskiej – ofiarowanej mu przez autora, Johna Florio, w Tichfield. „Nie ma potrzeby mówić tak wiele o miłości – czytał. – Wszystkie książki tytułu autorów pełne są miłości; stracone to zachody mówić o miłości”.

Will zatrzymał się. „Stracone to zachody mówić o miłości”.

Nie. „Stracone zachody miłości” – tak, oto tytuł nowej sztuki, której temat snuł mu się po głowie, od kiedy spotkał tego czeladnika na ulicy: dworzanin, ostentacyjnie gardzący miłością.

A ile z tej wzgardy się ostanie, gdy spojrzą na niego jakieś urocze, błękitne lub czarne oczy?

To mu pomoże. Nowa sztuka do napisania. Tym razem będzie to w całości dzieło jego wyobraźni, nie zapożyczone znikąd. Nawet nie ze starych kronik czy dzieł historycznych. Pośpiesznie zaczął kreślić główne zarysy akcji.

W „Straconych zachodach miłości”, które zaczęły powstawać, Will postanowił wykpiwać innych, ale nie mógł się powstrzymać, by nie szydzić również z siebie i własnego zadurzenia. W sztuce była mowa o królu Nawarry i jego trzech dworzanach, którzy wspólnie zdecydowali wygnać na zawsze miłość ze swoich serc.

Bohaterowie, wyraźniej niż w dawniejszych utworach, odtwarzali żywe modele: Rozalina na przykład wydaje się portretem Czarnej Damy, a Biron, jeden z trzech dworzan – karykaturą samego autora. Oczywiście, niebawem zaprzysiężeni wrogowie kobiet wpadają w objęcia miłości.

Biron, jakby echo Willa, w pięknej przemowie głosi pochwałę przyjemności życia, odpoczynku, a na koniec – towarzystwa kobiet:

*„Lecz miłość, której kobiet oko uczy,
nie w jednym mózgu żyje wmurowana,
lecz jak myśl szybka, wśród żywiołów ruchu,
do wszystkich naszych zdolności przecieka
i dwoi wszystkie potęgi i siły,
wszystkie nad zwykle podnosi granice.
Oczy kochanka, miłością rozlśnione,
znoszą promienie, w których orzeł ślepie;
kochanek słyszy, czego nie podchwyci
nawet złodzieja podejrzliwe ucho,
kochanka stokroć czulsze dotykane
niż są ślimaka macki delikatne...
Tegom się w oczach kobiety nauczył:
z nich tryska czysty ogień prometejski,
to szkoły, księgi, sztuki i nauki,*

*którymi wiecznie świat karmi się cały,
bez których wszystko płaskie i nikczemne.”*

Komedia ta jest świętem życia i miłości, żartem z tych, którzy udają wyższość i wzgardę dla kobiet, manifestem stwierdzającym, że autor potrafił opanować cierpienia i wyszedł zwycięsko z bolesnej próby. Na zakończenie rozbrzmiewa pieśń pór roku, w której Will, miłośnik przyrody i wsi, mówi nie o królach i dworzanach, lecz o codziennych sprawach prostych ludzi, którzy chodzą ścieżkami wśród opłotków i mieszkają pod słomianą strzechą.

Oto śpiewa Zima:

*„Gdy z dachów wiszą zimowe sople
i kiedy w palce pacholek dmucha,
i ogień z wszystkich kominów bucha,
a w skopku mleka mróz ścina krople,
kiedy śnieg drogi wszystkie zawiewa
i tylko sowa wśród nocy śpiewa...
gdy wiatr śnieg pędzi z świstem przez błonie,
gdy nastrzępione umilkły ptaki,
gdy nosy dziewczyn niby buraki,
a głos plebana w kaszłaniu tonie,
pieczone jabłka na ruszcie syczą
i tylko sowy wśród nocy krzyczą:
uhu!
Pieśń wesola, gdy kucharka
szumowiny zbiera z garka.”*

Dzięki kontaktom z dworzanami Will znał dość dobrze szczegóły podziemnej wojny o wpływy u dworu, toczącej się między starym Burleighem a Essexem, faworytem królowej. Wynikła podówczas pewna sprawa, która uwypukliła intensywność nienawiści, dzielącej te dwie frakcje, z których każda dla własnej korzyści gotowa była poświęcić wszelkie względy moralne. Ktoś mianowicie oskarżył nadwornego lekarza, Żyda z Portugalii, doktora Lopeza, o udział w spisku na życie królowej. Elżbieta w ogóle nie chciała w to uwierzyć;

Burleigh zbadał zarzuty i uznał, że są bezpodstawne. Ale Essex dostrzegł sposobność skompromitowania starego ministra. Przy pomocy tortur wymusił na Lopezie i jego rzekomych współnikach wyznanie winy, a następnie taką samą metodą wydobyl zeznanie świadków.

Lepiej, dowodził Essex, aby kilku nawet niewinnych ludzi wycierpiało tortury, niż żeby jeden złoczyńca uszedł bezkarnie. On, Essex, broni rzeczy najcenniejszej – życia królowej, co jest tym ważniejsze, że sprawę następstwa tronu wciąż otaczają nie rozstrzygnięte wątpliwości. Will wiedział, że w takich warunkach nie ma mowy o sprawiedliwości.

Oskarżonemu nie pozostawiono możliwości obrony. W oparach izby tortur nie dało się już odróżnić prawdy od fałszu.

Człowiek, na którego rzucono choćby cień podejrzenia o zdradę stanu, stawał od razu w obliczu śmierci, i to śmierci okropnej.

Burleigh, zaplątany w sieć własnych obaw o życie królowej i trwogi, że okaże się nie dość

dbałym o bezpieczeństwo bezcennego skarbu, przeszedł w sprawie Lopeza na stronę Essexu.

Królowa, pod naciskiem wszystkich swoich doradców, ustąpiła. Lopeza, jeszcze pod szubienicą przysięgającego na swoją lojalność i miłość do królowej, wraz z rzekomymi współnikami wieszano, łamano kołem i ćwiartowano na oczach wrogiego, wyjącego histerycznie tłumu.

Will, pociągnięty przez kompanów na miejsce egzekucji, by wstrząśnięty i przerażony męką, którą ludzie zadawali ludziom.

Towarzysze żartowali z niego, że tylekroć przedstawiając gwałtowną śmierć w różnej postaci na scenie, cofał się na jej widok w życiu.

– Człowiek zna zło i dobro – odpowiedział. – Zdolny jest do czynów najwznioślejszych i najpodlejszych. Szczęściem dramaturg może ukazać ohydę zła tylko na scenie, gdzie krew jest farbą, a ofiary idą po przedstawieniu do oberży razem z oprawcami.

Ale sprawa Lopeza i jego współników, torturowanych aż do wyznania nie popełnionych win, prześladowała samotne godziny Willa. Gdy pisał „Kupca weneckiego”, wyrwały mu się – pod płaszczykiem miłosnych przekomarzań – słowa:

*„Ty może mówisz jak człek na męczarniach,
w boleściach mówić, co kto chce, gotowy.”*

Do uczucia grozy i oburzenia na niesprawiedliwość mieszał się u Willa głęboki żal, że człowiek taki jak Essex, zdawałoby się szlachetny i rycerski, nie zawahał się wydać ludzi na tortury i śmierć po to, by zdyskredytować w oczach królowej starego, wiernego Burleigha. A wśród tych, którzy Essexowi pomagali, którzy go podżegali i popychali – był także Złoty Lord.

Latem roku 1594 źle wypadły urodzaje. Na targach podniosły się ceny. Wszczęły się rozruchy, czeladnicy zmuszali przekupki do trzymywania się jednakowych cen.

Rząd się zaniepokoił: w mieście ogłoszono stan wyjątkowy, a pod koniec lipca pięciu czeladników, pojmanych podczas zamieszek, wieszano, ćwiartowano i torturowano na wzgórzu koło Tower. Rada miejska, jak zwykle, chwyciła się tego pretekstu, by zabronić przedstawień na dwa miesiące. Pozbawiony przyjaciela i kochanki, Will nie miał po co zostawać w mieście i wyruszył na objazd prowincji.

Objazdy stanowiły ryzyko pod wielu względami. Nigdy nie było pewności, czy aktorzy pokryją nawet własne wydatki. W takim mieście jak Cambridge dochód z jednego przedstawienia mógł wynieść do czterdziestu szylingów, ale w mniejszych miasteczkach czasem zbierano przy wejściu poniżej dziesięciu.

Poprzedniego roku zdarzyło się, że pewna trupa aktorska musiała wyprzedać kostiumy, by zapłacić rachunek w oberży.

Nawet latem bywało, że drogi rozklejały się od deszczów, koła wozu grzęzły i trzeba było wyciągać go z błota silnymi ramionami i dodatkową parą koni.

Zajazdy były czasem wygodne, oberżysta uczciwy, a posiłki smaczne; kiedy indziej zatrzymywali się w pomieszczeniach gorszych od stodoły, a jedzenie ledwie mogli przełknąć.

Will usiłował pisać i przydała mu się teraz dawna praktyka w ignorowaniu hałasów i przeszkód.

W każdej izbie w oberży mieszkało po kilku aktorów, a wszyscy rozkładali wszędzie swoje lary i penaty. Stół można było znaleźć tylko w szynkowni, tam więc Will udał się razem ze swoim piórem, kałamarzem i papierem i pisał wśród hałasu rozmów miejscowych piwoszków, którzy przychodzili,

by popatrzeć na aktorów i wypić z nimi parę kufli. Wciąż przejeżdżano też do innej miejscowości i wciąż na nowo trzeba było się pakować i rozpakowywać.

Dziedzińce ówczesnych zajazdów z łatwością dawały się przekształcić w teatr dla niewielkiego audytorium. W jednym końcu wznoszono pomost z desek, a przed nim były miejsca najtańsze dla stojących widzów; lokalni dygnitarze zasiadali na balkonach, biegnących wokół dziedzińca, prowadzących do izb gościnnych. Według takich samych założeń budowano potem stałe teatry, jak „Teatr” Burbage’a i „Rose” Henslowe’a. Ale o dziedzińce zajazdów trzeba było walczyć. Przez trzy dni w tygodniu zajmowali je tragarze i woźnice rozkładając tam paczki i przesyłki, przywiezione z innych miejscowości, i zabierając te, które miejscowi wysyłali dalej i bliżej.

Dla Cuthberta Burbage’a objazdy były szczególnie uciążliwe. Miał trudności ze zbieraniem pieniędzy za występ.

– Jeśli nie więcej jak czwarta część widzów zdołała się przedostać na „gapę”, uważano to za sukces. Kłopotał się o umieszczenie rekwizytów i kostiumów, o garderoby dla aktorów, z których każdy grał zwykle po parę ról i musiał się śpiesznie przebierać.

Will zaznał też na własnej skórze innego rodzaju przygody, na którą często bywały narażone wędrowne trupy aktorskie. Po przybyciu do pewnego małego miasteczka i uzyskaniu pozwolenia na przedstawienie, kompania grała po południu na dziedzińcu oberży, w której się zatrzymano. Gdy następnie aktorzy jedli wieczerzę, na dziedzińcu wjechał bogato ubrany podróżny z dwoma sługami i rozkazującym tonem przywołał oberżystę. Wieczór był ciepły, okna otwarte; aktorzy słyszeli, jak podróżny rozpytywał głośno:

– Czy macie tu wygodną kwaterę dla mnie, gospodarzu? Jestem wymagającym gościem, ale płacę dobrze!

– W takim razie zostańcie, łaskawy panie – odrzekł oberżysta. – Nie znajdziecie mięszkiego łóża ani równie dobrze upieczonej pary kurczaków na sto mil od mojej oberży!

– A kto tu jeszcze gości u was, gospodarzu? – pytał dalej szlachcic.

– Nikogo dziś nie ma, prócz kompanii aktorów, wielmożny panie – odrzekł oberżysta. – „Słudzy Lorda Strange’a” z Londynu. Bardzo uprzejmi w obejściu i spokojni ludzie, wielmożny panie!

– No, to szukaj wygodne posłanie, gospodarzu, i każ dobrze przewietrzyć prześcieradła. I przyslij mi do mego pokoju parę pieczonych kurcząt. Moi ludzie będą jedli w kuchni.

Szlachcic zsiadł z konia, jego sługa przytrzymał wierzchowca za uzdę. Oberżysta poganiał stajennych i posługaczy, ręce zacierał i z góry już liczył pieniądze.

– Idź, pilnuj moich kurczaków! – krzyknął na niego szlachcic.

Oberżysta pobiegł truchcikiem, ale przywołał go nowy rozkaz:

– A na razie, nim się ptaki upieką, powiedz trzem najważniejszym z tych tam aktorów, niech przyjdą do mnie na górę.

– Jego wino będzie równie dobre jak nasze, o ile nie lepsze – mruknął James Burbage.

– Pójdziemy i zobaczymy, czego od nas będzie chciał.

Odczekawszy chwilę, by szlachcic mógł się rozgościć w swoim pokoju, James Burbage, Kemp i Will poszli do niego.

– Witajcie, przyjaciele – rzekł pan. Ale siedział dalej za stołem i dolewał sobie wina do pucharka; aktorów nie poczęstował ani nawet nie prosił siadać. – Słyszałem o was, panie Burbage – mówił. – Czy macie z sobą tego aktora, który wam sztuki pisze? Szekspir czy jakoś tak się zowie.

– Jestem – powiedział Will zimno.

Przypomniawszy sobie, jak odmiennie witał go Southampton.

Ten jegomość musi być jakimś dorobkiewiczem, który swoich manier jeszcze nie dostosował do

świeżo zdobytego bogactwa.

– Słyszę, żeś już bogatym człowiekiem – ciągnął szlachcic.

– Pewno i zasługujesz na to.

Ponoć bardzo się starasz dobrać odpowiednie słowa dla twoich aktorów, chociaż i tak się często mylą! – Zwrócił się do Burbage'a. – A syn pański, Ryszard? Czy też jest z wami?

– Został na dole – odparł stary dyrektor.

– Temu fortuna powinna sprzyjać. Dobry aktor, wstrzemięźliwy w gestach, pięknie wygłasza swoje kwestie.

– Czy szanowny pan życzy sobie czegoś od nas? – zapytał Kemp, zniecierpliwiony tym katechizmem.

– Ileście dostali za wasze dzisiejsze popołudniowe przedstawienie, panie Burbage? – spytał szlachcic nie zwracając uwagi na Kempa.

– Mało. Poniżej dwudziestu szylingów – odparł zwięźle Burbage.

– Życzę panu dobrej nocy – rzekł Will i zawrócił do wyjścia.

– Chwilkę, panie Szekspirze!

Dokąd tak śpieszno? Nie wyjedziecie stąd wcześniej, jak jutro rano. Chcę wam zaproponować, byście jeszcze raz dali przedstawienie dziś wieczór. Zapłacę wam czterdzieści szylingów, panie Burbage, a oberżysta może ogłosić w miasteczku, by, kto ciekaw, przyszedł na dziedziniec bezpłatnie. Zgadzacie się?

Burbage spojrział na swoich dwóch towarzyszy. Will zmarszczył brwi, Kemp skinął głową.

– Nie możemy sobie pozwolić na luksus odmowy – powiedział Burbage do szlachcica.

– Bardzo dobrze. Początek za godzinę. Co będziecie grać?

Will był wściekły na Burbage'a. Gdy zeszli na dół, zapytał:

– Czy jesteśmy trupą psów cyrkowych, żeby skakać na rozkaz byle dorobkiewicza, który nam sakiewką przed nosem potrząśnie?

– Jesteśmy trupą aktorów – odpowiedział spokojnie Burbage – musimy codziennie mieć pełną miskę, tak samo jak psy cyrkowe.

Nic z tego dobrego nie wychodzi, Willu, gdy zapominamy o naszym stanie, choćbyśmy mieli przyjaciół szlachetnie urodzonych.

Will w milczeniu przełknął wymówkę. Miał bardzo świeże i bolesne dowody, że szlachetnie urodzeni przyjaciele potrafią potraktować aktora tak właśnie jak psa.

Przedstawienie się odbyło.

Czterdzieści szylingów zapłacono. Następnego ranka aktorzy wcześniej wyruszyli w drogę, zamierzając dotrzeć do sąsiedniego miasteczka, zanim południowy upał utrudni podróż.

W jakieś dwie godziny po wyruszeniu zatrzymali się w cieniu przydrożnych lip i zabrali się do posiłku, który oberżysta im na drogę przygotował. Niespodziewanie dogonił ich ów strojny szlachcic, który poprzedniego wieczoru tak hojnie opłacił specjalne przedstawienie.

Wstrzymał konia, a James Burbage pozdrowił go uprzejmie. Will cofnął się za drzewo, udając, że jest czymś zajęty, i z uśmiechem myśląc, że porównanie do psa jest nadal aktualne.

Szlachcic zachowywał się zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczoru.

– Życzyłbym wam dobrego dnia – odezwał się – ale mam zamiar postarać się o to, by ten dzień wcale nie był dla was dobry.

Musisz wiedzieć, panie Burbage, że oszukałeś się na mnie. Wielu, nawet sprytniejszych od was, zawiodło się podobnie. Gdyby nie to, nie mógłbym prowadzić tak dostatniego trybu życia, jak to czynię w mojej okolicy, w północnym hrabstwie York.

Aktorzy patrzyli na niego ze zdziwieniem. Will wyrzwał zza drzewa.

– Czterdzieści szylingów za przedstawienie nie jest oszukaństwem... – zaczął Burbage.

Umilkł nagle. Szlachcic wy dobył szablę z pochwy i obnażoną położył na poprzek siodła przed sobą; jego dwaj pomocnicy uczynili to samo.

– Nie traćmy czasu – rzekł szlachcic. – Jestem wojakiem i zdobywałem fortunę na obcych ziemiach, a dziś trudnię się tym rzemiosłem w kraju. Ode mnie aktorzy nic nie wygrają, choćby nie wiem jak grali; oddawajcie pieniądze! Teraz zabawię się w lichwę: nie tylko mi oddacie moje czterdzieści szylingów, ale wszystko, co macie!

– Pan chyba z nas żartuje – powiedział Burbage.

– Jesteście pieszo, moi przyjaciele – rzekł ostro tamten. – A ja i moi ludzie jesteśmy konno i uzbrojeni.

Lepiej oddajcie wszystko, i to teraz, bez zwłoki. A dziś wieczór zagracie znowu, by opłacić nocleg i wieczerzę!

Przerażony Burbage zwrócił się do Kempa, Dicka, Willa i innych.

– Wczoraj wieczorem – ozwał się Will – pozwoliliśmy temu rozbójnikowi, by nas ograbił z szacunku dla samych siebie. O wiele chętniej pozwolę mu dziś obrabować się z pieniędzy.

Z tymi słowy rzucił swoją sakiewkę, którą szlachcic zręcznie pochwycił.

– Widzę, że na dowcipie nie zbywa panu i poza teatrem, panie Szekspirze – powiedział rozbójnik. – A teraz, wy tam, reszta! Żywiej! Nie mam czasu czekać!

Zebrał jeszcze kilka sakiewek, schował szablę i wezwawszy swoich pomocników, szybkim galopem odjechał po trawiastej miedzy wzdłuż gościńca.

Aktorzy patrzyli za nim, potem spojrzeli po sobie.

– Bandyta z poczuciem humoru – mruknął Kemp.

– Wiecie, teraz go prawie polubiłem – rzekł Will. – Bandyta, który ma nie tylko poczucie humoru, ale i zamiłowanie do teatru!

– I miał za darmo swoje przedstawienie! – burczał Cuthbert.

– I ukradł kilka obiadów z psich misek! – roześmiał się Will i poklepał zmartwionego Jamesa Burbage'a po ramieniu.

Ostatnie przedstawienie w tym objeździe kompania dała w Banbury. Stamtąd Will pojechał sam w kierunku północno-zachodnim, zamierzając spędzić tydzień lub dwa w Stratfordzie. Anna złagodniała ostatnio. Ceniła znaczne sumy pieniędzy, które jej nominalny małżonek przysyłał coraz częściej do domu. I chociaż nikt nie mógł przypuszczać, aby małżonków, którzy dobrowolnie żyli o przeszło sto mil od siebie, łączyła namiętna miłość, Anna z satysfakcją przyjmowała spadający na nią odblask sławy, otaczającej nazwisko jej męża.

John Szekspir po prostu schlebiał synowi, który popłacił za niego dawne długi, a Mary szczyliła się tym, że ulubiony syn usprawiedliwiał jej wielką miłość.

Ale Will przede wszystkim poświęcał swój czas bliźniętom – Hamnetowi i Judytce. Dziewczynka rosła zdrowo i była coraz ładniejsza, lubiana przez wszystkich: dzielnie pomagała wszędzie tam, gdzie para dziewięcioletnich rączek mogła się przydać. Hamnet był delikatniejszy, ale nad wiek rozwinięty i bystry. Zachwycała go myśl, że jego ojciec jest aktorem. Naturalnie, nic jeszcze nie znaczyło w oczach chłopca, że ten ojciec był znacznie wybitniejszym poetą. Teatr imponował mu blaskiem i barwami, a wiedział, że na londyńskiej scenie jego ojciec grał ważne role. Serce Willa wyrывało się ku synowi. Przebywając wiele w towarzystwie ludzi, dla których sprawa

dziedzica była niesłuchanie ważna, spoglądał teraz na Hamneta innymi oczyma.

Ten chłopiec będzie nosił jego nazwisko w dalekiej przyszłości, nie znanej już ojcu. Will wspominał wiersze, które pisał do Southamptona o rozkoszach posiadania syna, i z zachwytem odnajdywał w rysach Hamneta podobieństwo do samego siebie.

Dyskutował z Anną o kształceniu chłopca, planował, że zabierze go w przyszłości do Londynu, gdzie może przy pomocy swoich przyjaciół będzie mógł go umieścić – gdy skończy dwanaście lat – w naprawdę dobrej szkole.

U Judytki zaś z przyjemnością obserwował serdeczne przywiązanie do brata.

Po raz pierwszy Will z żalem wyjeżdżał ze Stratfordu.

Chłopiec czepiał się jego rąk i tulił do niego, jakby bał się go utracić. A Will mocno obejmował swego jedyne go syna, jakby ta dziecinna obawa i jemu się udzieliła.

Wracał do Londynu bez pośpiechu, zatrzymując się na wygodne noclegi w oberży „Pod Koroną” w Oksfordzie i „Pod Jerzym” w Reading. Zastanawiał się po drodze nad swoją rodziną i rodzinnym miastem. Rozmyślał też o tym, do czego powracał.

„Gdybym był szlachetniejszego urodzenia, a choćbym tylko pochodził z ziemiaństwa, ta burza nigdy by się może nie rozpętała nad moją głową.

Miałbym uniwersyteckie wykształcenie. A z uniwersytetu niedaleko do poezji. Nie byłoby aktora Willa, wtłoczonego w barwy służbowej liberii. I ona nie wzgardziłaby mną. Może by ją zadowoliła moja pozycja społeczna. A tamten nie traktowałby jej jak dziewczki, należącej do jego służby.

Wszystko to nie świadczy o nich dobrze, ale rzecz to naturalna dla kobiety polować na najgrubszą zwierzynę, a dla mężczyzny – łowić najłatwiejszą.

Nienawidzić ich? Nie, nienawidzić ich nie mogę, chociaż widzę ich teraz w innej, mniej doskonałej postaci.

Przyjmuję mój los. Jestem aktorem i aktorem zostanę.

Hamnetowi to wystarcza”.

Trójkąt: Will, Czarna Dama i Złoty Lord – zdarzył się w życiu, nie na scenie. Nie było więc efektownego zakończenia.

Southampton bardzo szybko znudził się nową kochanką.

Czarna Dama usiłowała go zatrzymać, ale hrabia miał za wiele dróg ucieczki. Essex wciąż gdzieś się wyprawiał w poszukiwaniu nowych laurów i z przyjemnością widział u swego boku odważnego, przystojnego Southamptona. Młodzieniec bywał też na dworze, ale najwięcej czasu zabierała mu piękna krewniaczka Essexu, dama dworu królowej, Elżbieta Vernon. I po pewnym czasie Will, choć gardząc sam sobą, zaczął znowu zachodzić do Czarnej Damy.

Rozdział XIII

Kompania „Sług Lorda Szambelana” – dawniej „Lorda Strange’a” – obradowała w prywatnej izbie gospody „Pod Syreną”. Rano odbywały się próby, a po południu przedstawienia, toteż takie zebranie można było urządzać jedynie wieczorem. Will irytował się z powodu straty czasu, który mógł poświęcić pisaniu i przerabianiu sztuk. Ale był teraz udziałowcem kompanii i musiał uczestniczyć w zarządzaniu jej sprawami.

Lord Strange zmarł na tajemniczą chorobę, powszechnie przypisywaną czarom. Henryk Carey, Lord Hunsdon, krewny królowej, cieszący się jej łaskami i świeżo mianowany Lordem Szambelanem, chętnie dał swoje nazwisko osieroconej kompanii i przystroił aktorów na okazje publicznych występów w swoją liberię – błękitne płaszcze ze srebrnym łabędziem w locie, wyhaftowanym na lewej piersi. James Burbage wycofał się z czynnego życia (pozostał tylko nadal właścicielem teatru), a reorganizacja kompanii dała Willowi sposobność zakupienia udziału w aktorskiej spółce.

Jako udziałowiec Will pogodził się z zawodem aktora. Był teraz współwłaścicielem wszystkich ruchomości kompanii i co tydzień otrzymywał udział w dochodach.

Oczywiście, musiał również ponosić koszty i ryzyko, jak inni „łowcy fortuny”, których wielu było w różnych dziedzinach życia w elżbietańskiej Anglii.

Na kupno udziału – wynoszącego pięćdziesiąt funtów szterlingów – wziął pieniądze z zapobiegliwie odłożonej sumy, którą otrzymał w darze od Złotego Lorda po dedykacji poematu „Wenus i Adonis”. Miał już plany, jak rozporządzi resztą pieniędzy.

John Heminge, skarbnik i zarządzający sprawami finansowymi spółki aktorskiej, przewodniczył zebraniu, zasiadłszy u szczytu długiego stołu. Will siedział obok niego z jednej strony, z drugiej Dick Burbage, a Cuthbert, jako sekretarz, na drugim końcu stołu. Wzdłuż stołu zajęli miejsca: Henry Condell, Will Kemp, Augustine Phillips, George Bryan, Thomas Pope. W zebraniach uczestniczyli tylko udziałowcy oraz James Burbage, którego wieloletnie doświadczenie bardzo ceniono. Płatni aktorzy i praktykanci nie mieli prawa głosu w zarządzaniu teatrem.

– Dochody przedstawiają się nie najgorzej – mówił Heminge. – Ale stale mamy kłopoty z kostiumami. Publiczność lubi przepych, a to kosztuje.

Słuchaj, Cuthbercie, czego się dowiedziałeś o możliwości kupowania używanych strojów?

– Umówiłem się z lokajem zmarłego Lorda Strange’a... – zaczął Cuthbert.

Will obserwował swoich przyjaciół, myśląc, że chociaż niektórzy osiągnęli sławę w swoim zawodzie, jednak inteligencja ich była dość ograniczona. Ale z punktu widzenia kompanii najważniejsza była lojalność i poświęcenie sprawom teatru. Wszyscy udziałowcy ponosili wspólnie koszty utrzymywania czystości w budynku, na scenie i na widowni; sami kolejno zajmowali się zbieraniem pensów od widzów stojących na parterze i sześciopensówek od publiczności z galerii, mieli nadzór nad garderobą i rekwizytornią, doglądali roznoszenia odświeżających napojów i słodczy podczas przerw. I ci wszyscy, zebrani teraz przy stole, wypełniali swoje zadania

sumiennie i z całą dobrą wolą.

Wzajemne zaufanie i przyjaźń były kamieniem węgielnym wspólnoty, która wyróżniała się pod tym względem od innych, gdzie każdy aktor dbał tylko o własny zysk, nie ufał nikomu i pomniejszał wkład pracy towarzyszy.

Lekki uśmiech błysnął w oczach Willa, gdy pomyślał, że aktorzy uchodzili powszechnie za ludzi rozwiązłych, hulaków o swobodnych obyczajach. A przecież żadne zgromadzenie parafialnych notablów nie składało się z cnotliwych obywateli – prócz niego samego, naturalnie – dorzucił z pewną goryczą. Prawie wszyscy byli żonaci i szczęśliwi w małżeńskich więzach. Podczas objazdów wypisywali sążniste listy do żon, nie zadawali się ze służebnymi dziewczętami po karczmach i oberżach. Ulubionym tematem rozmowy Condella była jego żona Elżbieta, której imieniem ochrzcił wszystkie trzy swoje córki. Heminge tak samo uwielbiał swoją Rebekeę. I Will wiedział, że obie rzeczywiście były zacne, miłe i wyborne gospodynie, gdyż nieraz podejmowały go gościnnie, współczując samotnie żyjącemu koledze ich mężów.

A życie tych kobiet nie należało do najłatwiejszych.

Musiały zwykle zajmować się nie tylko własnymi dziećmi, ale i kilku praktykantami, mieszkającymi w ich domu i uczącymi się zawodu aktorskiego.

Wodę nosiły z najbliższej ulicznej studni, a zimą kupowały od woziwody. Niekiedy miały do pomocy służącą, zwykle popychadło ze wsi, ale częściej musiały radzić sobie same. Gdy morowa zaraza szalała w Londynie, aktorzy wyjeżdżali na długie objazdy, ale finanse i sprawy domowe rzadko kiedy pozwalały na wyjazd rodzinny.

Cuthbert poruszał kolejno różne sprawy, umieszczone na porządku dziennym zebrania. Nie wszyscy z zaangażowanych aktorów dorze wywiązywali się ze swych ról; coś trzeba zrobić, żeby zapewnić sobie dopływ świeżych sił aktorskich i dokładniej szkolić praktykantów; dwóch muzykantów trzeba zastąpić;

Phillips powiedział, że zna niezłego grajka i że każe mu zgłosić się do Heminge'a; jeden z uczniów zaczął przejawiać niepokojącą skłonność do chrypienia grubym głosem, co w kobiecych rolach brzmiało przerażająco.

Słuchając z roztargnieniem, Will pozwalał myślom wędrować.

Nie znaczyło to jednak, że nie interesował się praktycznymi szczegółami codziennego życia teatru. Miał w tych sprawach sporo doświadczenia, od młodości pomagając we wszystkim Jamesowi i Cuthbertowi Burbage'om.

Zawsze w porę się orientował, czy przedsięwzięcie okaże się nieopłacalne, czy też przeciwnie, przyniesie dodatkowy dochód dla zespołu. Kemp wyraził zdanie, że powinno się odmawiać młodzieńcom z galerii pierwszego piętra, którzy żądali, by im podawano napoje w czasie gry, nie tylko w przerwach: widzowie, którzy popijają i jedzą, stają się nieuważni, zaczynają hałasować; wszyscy się na to zgodzili i polecono Cuthbertowi wydać odpowiednie zarządzenia posługaczom. Condell zwrócił uwagę, że woźny, którego zadaniem było sprzątanie, rozleniwiał się ostatnio; polecono więc Cuthbertowi, by upomniał i pilnował woźnego.

Pope narzekał na opóźnienia w przepisywaniu poszczególnych ról przez skrybów; Heminge powiedział, że sam zbada, skąd się biorą te opóźnienia, które oczywiście utrudniają próby.

Dyskusje były zwięzłe i rzeczowe. Wszyscy obecni jako ludzie praktyczni, chcieli wywiązać się z podjętych zadań, ale jednocześnie śpieszyło im się do domów. Trzeba było jeszcze omówić sztuki, przeznaczone do wystawiania.

– Z twoich sztuk, Willu, idą przy wciąż jeszcze pełnej widowni „Komedia omyłek”, „Tytus Andronikus” i „Ugłaskanie sekutnicy” – rzekł Heminge. – Ale co dla nas przygotowujesz?

Mamy jeszcze „Stracone zachody miłości”, ale to się raczej nadaje na przedstawienia dworskie albo na uniwersytetach.

– Spodziewam się, że masz dla mnie w zanadrzu jakąś efektowną, grubą rolę – powiedział Dick Burbage uśmiechając się do Willa przez stół.

– Grubą rolę dla szczupłego aktora – odrzekł Will. – Więc nie pałaszuj za dużo wybornych puddingów twojej zacnej małżonki, Dicku! Mam dla ciebie rolę wdychającego kochanka.

– Z weseliskiem na końcu? – zapytał Dick, niezbyt zachwycony. – To bardzo przyjemne w życiu, ale na scenie wolałbym tragicznie, krwawo umierać.

– Nie bój się, będziesz miał śliczną śmierć – uspokoił go Will. – Co prawda nie krwawą, ale za to z aptekarskiej trucizny.

– Nie mów zagadkami, Will – wtrącił Kemp. – Opowiedz dokładniej, czy będę miał sposobność rozśmieszenia parteru, zanim Dick ich wzruszy i zasmuci?

– W każdym razie jest dobra rola dla twojego praktykanta.

Ale żeby zagrał niańkę mojej Julii, będziesz go musiał porządnie przeszkolić.

Jednocześnie podniętą i ograniczeniem w twórczości Willa był fakt, że znał osobiście aktorów, którzy mieli kreować role jego bohaterów. Dick Burbage jeszcze na tyle młodo wyglądał, że mógł doskonale zagrać rolę Romea; w dziesięć lat później więcej do jego twarzy i postaci nadawały się role Otella, Makbeta czy króla Lira. Praktykanci grywali role kobiet; ale dobrze grających młodzików było mało, więc i sztuki zawierały mniej kobiecych ról.

Will opowiedział pokrótce treść sztuki, nad którą właśnie pracował – rodowa waśń między Montekimi a Kapuletami w Weronie; miłość dwojga młodych, Romea i Julii, należących do tych dwóch zwaśnionych rodów; w sekrecie zawarty ślub, którego im udziela stary zakonnik, ojciec Laurenty; wygnanie Romea z Werony za udział w zabiciu jednego z Kapuletów; po czym ojciec Julii przyrzeka dać córkę za żonę młodemu szlachcicowi Parysowi; ojciec Laurenty układa plan połączenia młodej pary: daje Julii do wypicia napój, po którym ma pozornie umrzeć, a właściwie zapaść w letarg; Romeo przybywa przedwcześnie i ujrawszy ukochaną, jak sądzi, martwą, popełnia samobójstwo;

Julia budzi się i na widok nieżywego Romea przebija się sztyletem; oba rody ostatecznie zawierają zgodę nad trupami kochanków:

*„Smutniejszej bowiem los jeszcze nie zdarzył
jak ta historia Romea i Julii.”*

– Wszystko tu jest, co lubi widownia – zauważył Dick Burbage zaczynając już rozkoszować się swoją nową rolą.

– Tęgi wiersz będzie tu potrzebny, żeby poruszyć publiczność – mruknął Kemp, posępny jak zwykle, gdy nie był na scenie.

– No, co do tego, to możemy liczyć na Willa – odrzekł Heminge. – Kiedy sztuka będzie gotowa?

– Za parę dni – obiecał Will.

– Muszę tylko poskreślać trochę, żeby nie była za długa, i wygładzić kilka scen.

Heminge wstał i uderzył Willa po ramieniu.

– To zabieraj się do roboty – rzekł. – Mamy najlepszego dramaturga w Londynie, moi przyjaciele!

Heminge zaprosił Willa na kolację. Po drodze zapytał:

– Słuchaj, rad jesteś, że zostałeś udziałowcem?

– Oczywiście. Innymi oczyma patrzę teraz na wszystko. Mam zapewnioną pracę i dochód – dochód lepszy niż do tej pory. A potrzeba mi pieniędzy. Posyłam je rodzinie i planuję pewne inwestycje.

– Czy Southampton ci nie pomaga? – wypytywał dalej Heminge.

– Dostałem od niego jeden hojny dar, o którym wiesz. Ale ja nie chcę pasożytować.

– Przyjaźnicie się nadal? – Heminge spojrział z ukosa na przyjaciela; różne plotki doszły jego uszu.

– Ostatnio go rzadziej widuję, bo jest bardzo zajęty – odrzekł

Will niechętnie. – Lepiej zresztą starać się zdobyć fawory publiczności niż magnata – dodał z goryczą.

– I naszych aktorów-udziałowców – dorzucił Heminge, zadowolony.

– Właśnie. – Will mówił tak, jakby rozmyślał głośno. – Nie zależy mi na powodzeniu moich drukowanych poezji, o co mi chodziło jeszcze niedawno. Moje życie to teatr. Widzowie z parteru pracują równie ciężko, by zarobić swoje pensy, jak ja.

Nie boją się okazywać swoich uczuć, a ja im odpłacam moimi.

Może są bardziej bezceremonialni od dworzan, ale uczciwsi. Tupią, gwizdzą i krzyczą, gdy im się coś nie podoba; oklaskami i wiewatami przyjmują dobrą rzecz.

Nie prawią aktorom i dramaturgom gładkich komplementów w oczy, by za plecami ich wyśmiewać. Czasem bywają zbyt tępi by docenić subtelny dowcip, ale są wierni tym, którzy ich zabawiają według ich gustu. Obserwuję stale ich zalety i wady. I opowiadam się po ich stronie – niczego więcej nie chcę, tylko tego, aby i oni byli po mojej stronie.

Po ukończeniu „Romea i Julii”

Will przeczytał brulion tekstu udziałowcom. Krytykowano sztukę, nie tylko chwalono. Wszystkim chodziło zwłaszcza o trudności w jej wystawieniu, poszczególni aktorzy wyrażali też różne życzenia w sprawie swoich ról.

Will rzadko protestował przeciwko zmianom, które nie były zasadniczej natury – cecha, która zaskarbiała mu sympatię kolegów. Po wprowadzeniu poprawek przepisał tekst na czysto na dużych podwójnych arkuszach papieru, podzielonych na cztery kolumny. W pierwszej kolumnie od lewej strony wpisywał imię bohatera; dwie środkowe poświęcone były wierszom; proza rozciągała się czasem aż na czwartą kolumnę, zasadniczo przeznaczoną na wskazówki sceniczne. Arkusze, po zeszytciu, oddał głównemu kopiście, który miał pieczę nad archiwum dramatycznym kompanii.

– Panie Willu, ależ to wspaniała poezja! – powiedział do niego kopista po przeczytaniu sztuki.

– Dziękuję za komplement – odrzekł Will i zaśmiał się. – Ale i tak nie dostanę za to więcej pieniędzy!

Do obowiązków głównego kopisty należało, oprócz sporządzenia odpowiedniej ilości odpisów i wyciągów na użytek aktorów, również uzyskanie pozwolenia na wystawienie danej sztuki od marszałka dworu królowej, Edwarda Tilneya, któremu płacono honorarium w sumie siedmiu szylingów od każdego utworu.

Tilney nie dbał o to, czy tekst jest nieprzyzwoity albo bluźnierczy; cenzura jego polegała na sprawdzeniu, czy w sztuce nie ma ustępów o charakterze buntowniczym lub też obraźliwym dla godności rządu i monarchii. Z chwilą gdy manuskrypt wrócił od Tilneya, można było skracać tekst, ale nie wolno było już nic dodawać.

Gdy w garderobie kłopotano się o kostiumy do „Romea i Julii” – musiały być bogate, efektowne,

a dla mężczyzn również mocne, żeby przetrzymać szarpaninę pojedynków – Dick Burbage i Will rozpoczęli próbę. Dick, który liczył podówczas dwadzieścia sześć lat, był nie tylko głównym aktorem kompanii, ale i reżyserem – przy pomocy Willa.

Nie był właściwie bardzo urodziwy, ale miał twarz z charakterem: szerokie czoło, ciemne brwi, duży nos, zmysłowe usta i przyciętą w szpic bródkę.

Jego słynny rywal, Alleyn, miał zwyczaj miotać się po scenie i wykrzykiwać swoje kwestie, ilustrując je nadmiarem gwałtownych gestów. Styl gry Burbage'a był o wiele spokojniejszy, powściągliwszy, oparty na głęboko przeżytej roli, a nie na krzyku. Jego sława aktorska opierała się przede wszystkim na szeregu wielkich ról, które napisał dla niego Will Szekspir.

Cuthbert zajmował się zawiadamianiem o mających się odbyć przedstawieniach.

Wywieszano w najruchliwszych miejscach plakaty, które w przesadny nieco sposób wysławiały zalety sztuki; chodziło o przyciągnięcie widzów z parteru, których groszaki składały się na podstawie wpływów kasowych. Niejaki James Robert posiadał na zasadzie dekretu Gildii Księgarskiej i Papierniczej wyłączne prawo drukowania wszystkich teatralnych afiszów.

Oczywiście, wskutek tego przywileju, aktorzy musieli słono płacić za plakaty.

Bardzo zręcznie wykorzystano w „Romeo i Julii” możliwości techniczne sceny górnej i sceny wewnętrznej. Na górnej znajdował się balkon sypialni Julii, z którego córka Kapuletów wyznaje przy księżycu swą miłość do Romea, nie wiedząc, że on sam, wróg jej rodziny, słucha tego wyznania w ogrodzie pod balkonem.

„O, weź inną nazwę!

Czymże jest nazwa? To, co zowiem różą,

pod inną nazwą równie by pachniało;

tak i Romeo bez nazwy Romea

przecieżby całą swą wartość zatrzymał.

Romeo!

Porzuć tę nazwę, a w zamian

za to, co nawet cząstką ciebie nie jest,

weź mnie, ach! całą!” Umiejętnie wykorzystano również wewnętrzną scenę, gdzie ukrywano za kotarą lub ukazywano oczom widzów sypialnię Julii i rozgrywające się tam, tragiczne wypadki.

Później, gdy Romeo, uwiadomiony przez swego sługę o śmierci Julii, ryzykuje powrót, chociaż jest banitą, i udaje się prosto do grobowca Kapuletów – otwiera go, rozsuwając kurtynę nad wewnętrzną sceną i ukazuje Julię spoczywającą na katafalku.

„Ach, Julio!

Jakżeś ty jeszcze piękna! Mamże myśleć,

że bezcielesna nawet śmierć ulega

wpływowi miłości? że chudy ten potwór

w ciemnicy tej cię trzyma jak kochankę?

Bojąc się tego, zostanę przy tobie

i nigdy, nigdy już nie wyjdę z tego

pałacu nocy; tu, tu mieszkać będę

pośród twojego orszaku – robactwa.

Pójdź, ty niesmaczny, cierpki przewodniku!

Błady sterniku, pójdź rzucić o skały

falami życia skołatana łódkę!” Kiedy kurtyna zaszuwa się nad zmarłymi kochankami, na przedniej

scenie odbywa się pojednanie dwóch zwaśnionych rodów.

Tragedia „Romeo i Julia” oznacza w twórczości Szekspira początek wartościowania zła i dobra. Miłość i lojalność należy cenić, tyranie i nienawiść potępiać; stare właśnie feudalne i rodowe są śmieszne i godne pogardy. Merkucjo, przyjaciel Romea, raniony przez jednego z Kapuletów, mówi przed śmiercią:

„Niech lichy porwie oba wasze rody!”

W utworze tym po raz pierwszy przejawia się w tak bujnym rozkwicie talent Szekspira tworzenia żywych bohaterów, przemawiających z taką siłą prawdy, jakiej do tej pory nie spotykano w angielskim dramacie. Julia wydaje się połączeniem romantycznej Anny Whateley i śmiałej Czarnej Damy – połączeniem, które w oczach trzydziestoletniego Willa było ideałem kobiety. Romeo, Merkucjo, ojciec Laurenty, niańka – wszyscy są wyraźnie określonymi indywidualnościami, pierwszymi z tej plejady żywych postaci, którymi Szekspir miał zaludnić angielską scenę.

Sztuki popłynęły teraz wspaniałą falą spod jego pióra – „Ryszard II”, „Sen nocy letniej”, „Król Jan”, „Kupiec wenecki”. Po dwóch poematach erotycznych tragedia „Romeo i Julia” ustaliła zdecydowanie reputację Willa w kołach młodych studentów i prawników, jak również praktykantów i czeladników. Powiadano, że każdy młody kochanek w stolicy uczył się na pamięć słów Romea, by uwodzić nimi swoją bogdanę.

Przedstawienia teatralne stworzyły zapotrzebowanie na tekst drukowany. Różni piraccy księgarze z podstępnie zdobywanych tekstów drukowali „Romea i Julię”, przeważnie z błędami i przeróbkami, aby widzowie teatralni mogli jeszcze raz przeżyć doznane wrażenia, a młodzi ludzie – włożyć książkę pod poduszkę.

– To jest idiotyczne! – irytował się Ryszard Field, coraz bogatszy i coraz drażliwszy. – Sprzedaj mi twoje skrypty, a ja wydrukuję autoryzowane, poprawne wersje, nie te przerabiane okropności, ściągane z tekstów aktorskich i sztukowane wyobraźnią byle pismaka!

– Nie mogę sprzedać skryptów – odpowiedział spokojnie Will. – Gdy oddaję tekst sztuki do teatru, przestaje on być moją własnością, a staje się własnością kompanii.

– Głupiec z ciebie – orzekł Field. – Ludzie, którzy nie mają ani cienia praw własności do twoich dramatów, zbijają na nich fortunę, a na dobytek ukazują się niedokładne, połatane wersje.

– Ich nadużycia są sprawą ich własnego sumienia – upierał się Will. – Ja nie będę nigdy sprzedawał czegoś, co nie jest moje i czego nie mam prawa sprzedawać. Jeśli kompania zechce teksty wydrukować, to ona o tym zadecyduje.

– Ta wasza kompania sprzedaje sztuki tylko wtedy, gdy już u niej bardzo krucho z pieniędzmi – narzekał Field.

– Więc musisz poczekać na taką chwilę.

– Czyż ty tego nie pojmujesz?

Przecież możesz na tym robić pieniądze! Czy ci nie potrzeba pieniędzy? Takiś bogaty, że możesz złoto garściami wyrzucać na ulicę, aby inni je zbierali?

A prócz tego, Jacquinetta i ja też moglibyśmy na tym ładnie zarobić.

– Tak, o to właśnie ci chodzi – rzekł Will z odcieniem goryczy. – Nie troszczysz się naprawdę o moje sprawy. Gdybyś o nie dbał, zrozumiałbyś, jaką wagę przykładam do utrzymywania honorowych stosunków z kompanią aktorską. Ty myślisz tylko o tym, żeby samemu zarobić. Wiedz, Ryszardzie, że nasze stosunki w przyszłości nie będą się opierały na twoich złudnych nadziejach. Na mojej nieuczciwości nie zarobisz ani złamanego szylinga.

Field zaczerwienił się, wyprostował swoją otyłą postać, naburmuszył się niczym indyk

i wreszcie wybuchnął:

– A niech cię licho porwie!

Nie będę więcej czasu na ciebie tracił! Możesz zdechnąć w więzieniu za długi albo z nędzy i głodu jak większość twoich szacownych współtowarzyszy.

Twoje zasady w prowadzeniu interesów uchronią cię przed takim końcem – odparł energicznie Will. – Żałuję, panie Field, że stracił pan ze mną tyle cennego czasu, który znacznie korzystniej by pan spędził na przekupywaniu uczciwości bardziej podatnego klienta. Żegnam pana!

Will nigdy więcej nie przekroczył progu domu Ryszarda Fielda, który zamienił staroświecką uczciwość Stratfordu na korsarską moralność Londynu.

Rozdział XIV

Jako dramaturg związany z kompanią aktorską Will często musiał pisać na zamówienie.

Zdarzyła się taka okazja właśnie wtedy, gdy był zajęty pracą nad „Tragedią Ryszarda II”. Lady Elżbieta Vere, wnuczka Lorda Burleigh, pierwszego ministra królowej, ta sama, której Złoty Lord nie chciał poślubić, wychodziła za mąż za młodego hrabiego Derby. Kompania „Sług Lorda Szambelana” miała dla uświetnienia uroczystości dać przedstawienie nowej sztuki.

Will odłożył studia nad postacią i charakterem Ryszarda II, by napisać komedię, odpowiednią na ceremonię weselną.

– Tylko nie pisz wyłącznie w guście dworzan – ostrzegł go stary James Burbage. – Niech to będzie sztuka, którą potem będziemy mogli z powodzeniem grać dla widzów z parteru.

Tak się zrodził „Sen nocy letniej”, uroczą opowieść o miłości dwóch zakochanych par i o surowym ojcu. Córka nie chce poślubić przeznaczonego jej przez ojca narzeczonego, gdyż kocha innego. Poeta zabiera kochanków do lasu, do swego ukochanego Lasu Ardeńskiego – wbrew wszelkim greckim realiom – i poddaje ich losy różnym zawikłanym komplikacjom, by wreszcie doprowadzić do szczęśliwego zakończenia.

Podstawowa fabuła i tło nadawały się na dworskie przedstawienie.

Do tego Will włączył element czarodziejski, zaczerpnięty z wierzeń ludowych, powszechnych w Warwickshire. Wprowadził psotnego duszka Puka, czyli Robina Goodfellow, który tak mówi o sobie:

*„Czasem znów mię plotka
na dnie swej szklanki skrytego napotka
w suszonym jabłku, a gdy tyka duszkiem,
nagle ją w usta utnę tym jabłuszkiem
i zwiędłe łono zleję piwa strugą. Gdy mądra ciocia prawiąc powieść długą,
ku mnie jak w stółek gnie swe ciężkie brzemię,
umknę się spod niej, baba brzdęk na ziemię,
krztusi się, kaszle, krzyczy: „Czort, nie stółek!”*

Występują tu również autentyczne postacie z życia wsi: cieśla Pigwa, stolarz Spój, tkacz Spodek, miechownik Dudka, kotlarz Ryjek i krawiec Głodniak.

Z dawnych wspomnień poeta zaczerpnął rozmowy myśliwych:

*„Me psy pochodzą z spartańskich pomiotów
bure, pyskate, a ze łbów im wiszą
uszy, co ranną rosę zamiatają. Nogi w łuk, gardła jak tesalskich byków.
Wolne w pogoni, lecz w głosie jak dzwonki,*

każdy w ton niżej...”

„Sen nocy letniej” jest jedną z najbardziej uroczych fantazji, jakie wyszły spod pióra Szekspira. Z niechęcią przerwał pracę nad „Tragedią Ryszarda II”, ale jednocześnie chciał dowiedzieć, że jest mistrzem warsztatu literackiego, nie skazanym na zależność od natchnienia, lecz zdolnym do rozkazywania swej inwencji twórczej. Powróciwszy do pracy nad „Ryszardem II” wykazał w przejmujących siłą wyrazu scenach, jak nienawistna jest tyrania i jak katastrofalne skutki idą w ślad za nie udanym buntem.

Musiał jednakże mieć chwilę wytchnienia. Kierował swe kroki na ulicę Fenchurch, ilekroć Czarna Dama chciała go przyjąć.

„Pod Syrenę” zaglądał także i omawiał najświeższe wiadomości.

Ukazała się właśnie druga część „Królowej wrózek” Edmunda Spensera, zawierająca księgi czwartą, piątą i szóstą, zatytułowane „Przyjaźń”, „Sprawiedliwość” i „Uprzejmość”.

Spenser był jednym z protegowanych hrabiego Leicestera i sam aspirował do dworskich faworów; jednakże wysłano go do Irlandii jako sekretarza lorda zarządzającego tym krajem.

Wprawdzie poeta otrzymał tam zamek i miał dużo swobodnego czasu, który poświęcał pracy literackiej, ale uważał tę nominację za zesłanie i wymykał się do Londynu, kiedy tylko mógł. Will spotkał go kiedyś w Southampton House i szczerze podziwiał pierwszą część „Królowej wrózek”.

Rozprawiano też „Pod Syreną” o nowej sztuce George’a Chapmana wystawionej w teatrze „Rose”, zatytułowanej „Ślepy żebrak z Aleksandrii”, w której niejaki Irus, występując w rozmaitych przebraniach – jako hrabia to znowu lichwiarz – poślubia kilka dam i cieszy się ich miłością.

Aleksandryjskie tło służyło tylko do tym zjadliwszej satyry na ówczesne obyczaje dworskie.

Wiersz był dźwięczny i piękny.

– Wyraźnie można wyczuć w jego poezji – dowodził Will – pióro ucznia naszego niezapomnianego mistrza, Kita Marlowe.

Nowiny z kanału La Manche donosiły o upadku twierdzy Calais, zdobytej przez oblegających ją Hiszpanów.

Wielkie oburzenie zapanowało „Pod Syreną”, gdy się dowiedziano, że czterystu Anglików przebiło się przez zastępy hiszpańskie i dotarło do oblężonych Francuzów, ofiarowując im swą pomoc, a

Francuzi nie wpuścili odsieczy za mury i pozwolili, by Hiszpanie wysiekli cały oddział.

Francuzi twierdzili, że jeśli Hiszpanie zajmą twierdzę, to może za wstawiennictwem Kościoła uda się Francji ją odzyskać; ale gdyby Anglicy zagarnęli Calais, to trzeba by się na długo z nim pożegnać.

– Tragiczna to rzecz śmierć czterystu naszych rodaków – mówił Will. – Ale Francuzi mieli rację twierdząc, że gdybyśmy dostali się do Calais, niełatwo byłoby nas stamtąd wygnać.

W kraju umysły zajęte były świeżą nominacją Sir Roberta Cecila, syna Lorda Burleigha, na pierwszego sekretarza królowej.

Wiadomo było, że Cecil jest zdolnym dyplomatą i będzie dobrze służył królowej i krajowi. Ale ogólne zainteresowanie wzbudził fakt, że Cecila mianowano wbrew gorącemu sprzeciwowi hrabiego Essea.

– Hrabia Essex nazbyt zapalczywie rekomendował swego kandydata, Thomasa Bodleya – mówiono „Pod Syreną”. – Królowa nie ufa takim gorliwym pochwałom, obawiając się jakichś ukrytych racji.

– I hrabia Essex jest teraz w niełasce – ozwał się jakiś nieznajomy.

Na te słowa zapadło milczenie.

Wszyscy słyszeli już te plotki, ale nie mówiono o tym głośno.

Jeśli plotki były prawdziwe, wkrótce znajdą potwierdzenie; ale jeśli okazałyby się fałszywe albo choćby tylko przedwczesne, plotkarz mógł gorzko odpokutować swoją lekkomyślność. Ten nieznamy musiał być chyba prowokatorem.

Za to, gdy się spotykano prywatnie, przy zamkniętych drzwiach, tematu do plotek nie brakowało. Wiadomo było powszechnie, że rywalizacja o wpływy u dworu, między starym

Burleighem i jego synem z jednej strony, a z drugiej Essexem i Southamptonem, doszła zenitu.

Własną rozważną przezorność stary minister przekazał młodemu Sir Robertowi. Obaj pracowali spokojnie, solidnie jak ludzie, którzy ufają swym umiejętnościom. Essex, zawsze gwałtowny i niepohamowany, ośmielał się wybuchać pasją w obliczu królowej, która nie pozostawiała mu dłużną. Nieraz się zdarzało, że go własnoręcznie wytargała za uszy.

Kiedyś, gdy na dłużej niż zazwyczaj wycofał się z dworu, plotkarze powiadali, że porwał się ze szpadą na królewski majestat. Ale pobłażliwość królowej za każdym razem doprowadzała do zgody.

Do faksji Essexu zaliczało się dwóch siostrzeńców Lorda Burleigha – Francis Bacon, eseista i filozof, aspirujący do wysokich urzędów, których mu jakoś protekcja Essexu zapewnić nie mogła, człowiek o genialnym umyśle, ale marnym charakterze, i Anthony Bacon, od młodości cierpiący na podagrę, który pracował jak wół nad organizowaniem w kraju i za granicą siatki szpiegowskiej na prywatny użytek swego mocodawcy.

W żyłach Elżbiety nie darmo płynęła krew Tudorów. Nieodrodna córka Henryka VIII trzymała Essexu przy sobie jako świetną ozdobę dworu, raczyła się jego komplementami, darzyła go na wpół macierzyńskim uczuciem, ale kierowała się radami – o ile w ogóle kierowała się czymkolwiek radami – swego starego, wypróbowanego ministra Burleigha. W tych warunkach Essex niecierpliwił się coraz bardziej, gryzł wędzidło jak narowisty koń i dopuszczał się coraz dzikszych wybryków. A Will ogarniał niepokój o losy tego, który był jego patronem i przyjacielem, a teraz stał się dla Essexu nieodstępny towarzyszem – Złotego Lorda.

Dla Willa nie ulegało wątpliwości, że najlepiej było, gdy ci dwaj pełni energii młodzi magnaci wyprawiali się na wojaczkę. Niedawno razem z Sir Walterem Raleighem popłynęli do Kadyksu, gdzie Hiszpanie przygotowywali nowy najazd na brzegi Anglii. Flota angielska wpłynęła do zatoki, spaliła okręty hiszpańskie prócz dwóch wielkich galionów, które przyholowano do Anglii, a żołnierze, wylądowawszy, zdobyli miasto Kadyks i wymogli od mieszkańców wysoki okup.

Kompania „Pod Syreną” wiwatowała z radości. Essex był bohaterem dnia. Tylko James Burbage zauważył posepnie:

– To samo uczynił Drake przed dziewięciu laty. A jednak Filip hiszpański zebrał swoją Wielką Armadę i wysłał ją przeciw nam.

– Ale to zwycięstwo dowodzi, że jesteśmy wciąż mocniejsi od niego, nawet w jego własnym kraju – odparł Will, gorący patriota, wyrażając radosne uniesienie ulic Londynu.

Kompania „Sług Lorda Szambelana” pojechała na objazd w lipcu 1596 roku i wróciła dopiero w połowie września.

Zmęczony podróżą, Will wolnym krokiem udał się do swego nowego mieszkania. Mieściło się ono w dzielnicy Southwark, na południowym wybrzeżu, blisko teatru „Rose” i ogrodów, gdzie odbywały się zabawy i szczucie niedźwiedzi. Razem z wieczerzą gospodyni przyniosła mu list z adnotacją, że wysłano go ze Stratfordu. Ten list czekał na niego już od miesiąca, powiedziała. Will

nie otworzył go od razu. Zjadł wieczerzę, starannie złożył kaftan i położywszy się na łóżku, złamał pieczęć.

List pisał jego brat Edmund.

Will czytał, a twarz jego pozostała na chwilę bez wyrazu.

Potem ręka trzymająca list, osunęła się bezwładnie. Leżał patrząc w sufit. Brwi jego ściągnęły się, zacisnął powieki, głębokie zmarszczki położyły mu twarz – walczył ze łzami.

Przygryzł wargi aż do krwi, a list wysunął się z palców i upadł na podłogę.

– Mój syn! Mój syn! Zbyt podobny do anioła, by mógł pozostać na tej ziemi. Jak się rozpaczliwie tulił do mnie, gdy wyjeżdżałem ostatni raz... Nigdy więcej...

Mały Hamnet nie żył.

Will przechylił się i znowu podniósł list.

„Anna zachowuje się bardzo dzielnie – czytał. – Zuzanna jest dla niej wielką pomocą.

Biedna Judytka strasznie rozpacza...”

„Przed miesiącem” – powiedziała gospodyni. W Stratfordzie pomyślała, że jest bez serca. Ale powinni wiedzieć, że latem zawsze wyjeżdża. Tak się złożyło, że tego roku „Słudzy Lorda Szambelana” wybrali się na południe i wschód, a nie na zachód i północ.

Oszołomiony ciosem, automatycznymi ruchami Will ubrał się znowu, wziął kapelusz i poszedł do domu Dicka Burbage’a, by mu powiedzieć, że wyjeżdża na tydzień lub dwa.

Dick i jego żona okazali mu szczerą sympatię i współczucie.

Ale żal Willa zmieniał się w gorycz.

– Trzymajcie się razem – powiedział do nich na odchodnym.

– Szczęśliwy człowiek, dla którego dom rodzinny jest największą radością.

O świcie następnego ranka wyjechał z Londynu.

Z Judytką i Zuzanną poszedł na grób syna. Anna miała zaciśnięte wargi i suche oczy. Will czytał w jej twarzy, ile wycierpiała, widział też, że nie chce ulec żalowi, a ta determinacja uczyniła ją jeszcze surowszą.

Mary Szekspir płakała na ramieniu swego sławnego syna, ale najbardziej chyba rozpaczał stary John, który głęboko kochał wnuka i widział w nim przyszłość rodu.

– Teraz Gilbert i Edmund muszą myśleć o przedłużeniu rodu – rzekł do Willa.

– Jest jeszcze dużo innych Szekspirów – rzekł Will.

– Ale nie synów Johna – odparł stary człowiek.

Will próbował rozproszyć ból i pocieszyć ojca, omawiając sprawy finansowe. Jako dobry aktor, wybitny dramaturg i udziałowiec kompanii teatralnej, Will mógł teraz popłacić ostatnie długi ojca i pozostawić mu nawet poważną sumę pieniędzy.

– Tylko nie pożyczaj nikomu – prosił go. – I nie gwarantuj za przyjaciół.

– To tacy zaci ludzie – bronił się John.

– Gdy się ojcu dobrze powodziło, okazywali gorącą przyjaźń – przypomniał Will. – Ale kiedy nadeszły złe czasy, unikali nas jak ognia, pamiętam to dobrze. Wydaje mi się, że masz tutaj jednego tylko przyjaciela – a ty sam nim jesteś, ojcze.

Anna, Zuzanna i Judyta dostały piękne, nowe stroje. Bratu Edmundowi, teraz szesnastoletniemu młodzieńcowi, Will ofiarował szpadę.

– Obym jej nigdy nie potrzebował używać, jak tylko na scenie – rzekł młodzieniec.

– Jak to: na scenie? – podchwycił Will.

– Bo ja chcę zostać aktorem jak ty, Willu. Czy mi pomożesz?

– Wolalbym ci dopomóc w zdobyciu jakiegoś innego zawodu – odrzekł Will. – Zarobki aktora to

rzecz bardzo niepewna!

– Ale tobie się dobrze powodzi – nalegał Edmund.

– Mało kto wiąże koniec z końcem. Nie mógłbyś znaleźć sobie czego solidniejszego?

– Ty też kiedyś paliłeś się do tego, żeby zostać aktorem – zauważył chytrze Edmund.

– Obrąłem zawód, który mi wtedy z różnych względów odpowiadał – mruknął Will.

– Mnie też ten zawód odpowiada i zostanę aktorem, czy zechcesz mi pomóc, czy nie! Twoje nazwisko cieszy się szacunkiem, a twoja sakiewka jest dobrze wypchana – dla mnie to wystarczająca zachęta.

– Przynajmniej poczekaj jeszcze parę lat – rzekł Will bezradnie.

Do rozmowy braci wtrącił się stary John Szekspir:

– Edmund powiada, że twoje nazwisko jest otoczone poważaniem. Słuchaj, Willu, chciałem o tym z tobą pomówić.

Czy nie zamierzasz kiedyś powrócić do Stratfordu i osiąść tutaj na stałe? Wtedy kiedy już zarobisz dość pieniędzy?

– Z pewnością, gdy rozstanę się z moim zawodem, nie będę dłużej siedział w Londynie – odpowiedział Will obejmując ramieniem Judytkę.

– A wiesz, co ci tutaj zyska najwięcej poważania? – zapytał ojciec i zaraz sam odpowiedział na własne pytanie. – Herb szlachecka.

– Herb? – powtórzył Will z uśmiechem. – Tak, przypuszczam, że to więcej waży w Stratfordzie niż poezja.

– Przeszłość naszego rodu daje nam prawo do tego – ciągnął stary Szekspir. – Mój pradziad, jak ci dobrze wiadomo, walczył pod Henrykiem VII na polach Bosworth. Tak, i na własne oczy widział, jak koronę, która spadła z głowy zabitego Ryszarda III i potoczyła się w krzaki, podniósł Sir Wiliam Stanley i włożył na głowę Henryka. Za zasługi mego pradziada na polu walki otrzymaliśmy tego dnia dobra w hrabstwie Warwick.

– A co się z nimi stało? – zapytał Edmund, który złośliwie podejrzewał – nie on jeden zresztą – że zarówno nadane dobra, jak i zasługi owego pradziada na polu walki były mitem.

John Szekspir mruknął coś o tym, że dobra zabrano dziadowi, i śpiesznie ciągnął dalej:

– Pochodzimy z dobrego ziemiańskiego gniazda. Takie właśnie rody dały Anglii więcej niż połowę jej rycerzy. Ja sam byłem burmistrzem i sędzią pokoju. A Will jest ceniony i szanowany...

– Masz słuszość, ojcze – przerwał mu Will. – Powinieneś złożyć podanie, aby ci przyznano herb.

John Szekspir zaszurał nogami, odchrząknął i zaczął oglądać swoje paznokcie.

– Widzisz, ja już złożyłem takie podanie. Przed dwudziestu laty, kiedy byłem burmistrzem – wyznał. – Ale nie przyznano mi herbu.

Will puścił Judytkę i pochylił się naprzód na kanapie, na której siedział razem z córką i bratem.

– Czy to znaczy, że ci odmówili, ojcze? – zapytał ostro.

– Nie, po prostu zignorowali moje podanie – odparł posępnie John.

– Niech ich licho porwie! – wykrzyknął Will. – Ale muszą ci to przyznać teraz. Tyle mogę dla ciebie zrobić, ojcze.

– To nie dla mnie, mój synu.

Dla ciebie, dla was. Jestem już stary i obecnie nie ma to dla mnie wielkiego znaczenia, chociaż przyznaję, że przed dwudziestu laty...

Will uśmiechnął się szeroko.

– Widzisz, ojcze... Jeżeli herb zostanie przyznany tobie, to ja będę nie tylko szlachcicem, ale

i synem szlachcica!

– I ty jesteś poetą! – parsknął śmiechem Edmund. – Rozumujesz jak kupiec, nie jak poeta!

– No cóż, nie powiem, żeby mi to nie sprawiało wielkiej satysfakcji i dziś jeszcze – przyznał John Szekspir. – Po tylu frasunkach i kłopotach...

Niemają ich zaznałem w życiu, a po prawdzie najczęściej z mojej własnej winy. I widzisz, twoja matka pochodzi z rodu Ardenów, z herbowej szlachty. Byłaby rada, gdybyśmy i my mieli herb.

Dlatego właśnie złożyłem podanie wtedy, przed dwudziestu laty. Bo nigdy żadna kobieta nie zasługiwała bardziej na wszelkie zaszczyty niż ona, mój synu.

Kiedy po powrocie do Londynu Will siadł do pisania następnej sztuki historycznej, „Życie i śmierć króla Jana”, nie był właściwie w nastroju twórczym.

Śmierć jedyne go syna ciążyła mu kamieniem na sercu i nachodziły go wątpliwości, czy słusznie postąpił rozłączając się na tak długo z rodziną. Ale za późno było na żale. Tak musi już być, dopóki sytuacja finansowa nie pozwoli mu osiąść z powrotem na stałe w Stratfordzie nad Avonem.

„Król Jan” należy do tych nielicznych sztuk Szekspira, w których autor porusza – przynajmniej jako temat poboczny – aktualny problem swoich czasów, mianowicie długą i uporczywą walkę królowej Elżbiety z potęgą papieżstwa. Z początkiem panowania króla Jana, w XIII wieku, na Anglię nałożono interdykt papieski w rezultacie zatargu o inwestyturę arcybiskupa Canterbury. Will przedstawił problem w sposób obiektywny, bez fanatyzmu i – sekciarstwa – w taki sam sposób, w jaki Elżbieta traktowała sprawy religijne, zapytując swego kuzyna, Filipa hiszpańskiego: „Czemu nie zezwalasz swoim poddanym iść do piekła ich własną drogą?”

Szekspir w swej sztuce, podobnie jak i królowa w życiu, próbował łączyć ludzi wszelkich przekonań religijnych wspólnymi obowiązkami wobec ojczyzny.

Publiczność teatralna, dla której hiszpańska Wielka Armada stanowiła nie tylko wspomnienie, ale niebezpieczeństwo nowego najazdu, żywo reagowała na ostatnie słowa przedstawienia:

*„Nie legła Anglia i nigdy nie legnie
u stóp wzdargliwych dumnego zdobywcy,
chyba że naprzód sama siebie zrani.
Dziś, gdy jej dzieci wszystkie w domu społem,
niech i z trzech krańców świata przyjdą wrogowie,
a my ich zgnieciemy. Jeśli wierność ona
zachowa sobie, nic nas nie pokona.”*

Do wtóru tym słowom serca elżbietańczyków przetrwały wiele groźnych dni, kiedy ich mała wyspa nie miała prawie żadnego przyjaciela w Europie.

Wspomnienie osobistego nieszczęścia Willa znalazło wyraz w wizerunku młodziutkiego księcia Artura, następcy tronu.

Pod piórem osieroczonego ojca powstała postać chłopięca o anielskiej łagodności i szlachetności, ale nie sztuczna ani papierowa, przeciwnie, wiarygodna i pełna wdzięku. Po śmierci książątka matka Artura rozpacza słowami, które przechodziły przez myśl Willa, gdy stał nad świeżym grobem syna:

*„Bo smutek zajął miejsce mej dziecińcy,
śpi w jej łóżeczku, chodzi za mną wszędzie,*

*powtarza słowa, patrzy jej oczkami,
wszystkie mi lube przypomina wdzięki,
jej pustą odzież wypełnia swym kształtem...*”

W księgarni na dziedzińcu Św. Pawła mężczyzna średniego wzrostu, harmonijnej budowy ciała, o wysokim czole, nad którym przerzedzały się już włosy, w ciemnopurpurowym kaftanie i białym, wykładanym kołnierzu, według najnowszej mody zastępującym krezę, posuwał się krok za krokiem, z nosem utkwionym w książce, wzdłuż wąskiego przejścia między półkami. Na drugim końcu przejścia ukazał się młodzieniec, ubrany bardzo strojnie; jego długie, jasne loki spadały na jedno ramię.

Dwaj mężczyźni, pogrążeni w książkach, zbliżali się do siebie, nieświadomi własnej obecności. Było akurat dość miejsca, by się mogli minąć.

Schylając głowę nad książką, lewą ręką lekko przytrzymując szpadę, każdy grzecznie unikał przeszkodzenia drugiemu, na którego spojrzeć nie pozwalało mu zaabsorbowanie lekturą. Nagle rozległ się metaliczny brzęk.

Pochwy szpad uderzyły o siebie.

Dwaj mężczyźni zwrócili się jednocześnie ku sobie schylając się w lekkim ukłonie. Dwie głowy uderzyły o siebie ostro, dwa kapelusze – jeden z szerokim rondem, drugi z wąskim – poleciały na podłogę.

– Do kroćset!

– Na honor!

– Will...

– Milordzie...

Na chwilę, krótką jak okamgnienie, zamilkli obaj pocierając sobie czoła. Will pierwszy odezwał się z uśmiechem...

– Więc przyszło w końcu do pojedynku na szpady...

Southampton odparł również z uśmiechem:

– Jednak ucierpieliśmy.

– Nie byliśmy na to przeznaczeni, aby ból sobie nawzajem zadawać.

– I nigdy więcej taka okazja się nie trafi – odrzekł Złoty Lord.

– Prawdziwych przyjaciół mało na świecie. Powinniśmy ich przytrzymywać żelaznymi bosakami.

– I przypieczętowywać ponowne spotkanie najlepszym winem, jakim moje piwnice rozporządzają!

Southampton ujął Willa pod ramię i razem wyszli z księgarni.

Tak to przypadkiem i bez wielkich ceregieli zakończyła się przerwa w przyjaźni.

Po odnowieniu tego kontaktu, którego brak tak boleśnie Szekspir odczuwał, przyjaźń nawiązała się na trwalszej niż dawniej podstawie – młodszy z przyjaciół uznawał w starszym księcia poetów, starszy nie idealizował już młodszego, lecz pobrażał jego gorącej krwi.

Will z nowym zapałem rzucił się w wir swych różnorodnych teatralnych zajęć. Zaglądał wprawdzie do Czarnej Damy – której objęcia, jak teraz podejrzewał, dzielił z niejednym, ale której czar działał wciąż na niego z neodpartą mocą – ale poza tym pracował z zapamiętaniem.

Pisał „Kupca weneckiego”, wzorując się na sztuce swego mentora, Kita Marlowe’a, „Żyd z Malty”. W pięknym przemówieniu głosił konieczność miłosierdzia, o którym władcy zapominali wśród codziennych egzekucji, wieszania, obcinania uszu i wszelkich tortur:

*„Dla miłosierdzia nikt przymusu nie ma;
ono jak kropla niebieskiego deszczu
spływa na ziemię, dwakroć błogosławi
tego, co daje, i tego, co bierze,
ono z potężnych jest najpotężniejsze;
przystoi królom lepiej niż korona.”*

„Kupiec wenecki” zalicza się do komedii, ale komedią w tej sztuce jest tylko element baśniowy. Szekspir przekreśla tutaj podział na kategorie, łącząc tragedię z komedią, fantastykę z realizmem.

Skończywszy sztukę w jednym porywie trzech bezsennych nocy, Will odłożył pióro w stanie kompletnego wyczerpania.

Śniadanie stało na stole nietknięte. Oparł głowę na poręcz krzesła i zamknął oczy.

Rozległo się stukanie do drzwi: weszła gospodyni z listem.

Mechanicznie zaczął czytać.

List był znowu ze Stratfordu, ale tym razem nie zawierał tragicznych wiadomości. Urząd heraldyczny przyznał Johnowi Szekspirowi herb rodowy, który mógł być „odtworzony na tarczach, zbrojach, ryngrafach, chorągiewkach, pieczęciach, sygnetach, budynkach, wszelkich statkach i naczyniach, liberiach, nagrobkach i pomnikach”. Herb nawiązywał do nazwiska: złota dzida (spear – dzida) o srebrnym ostrzu, na czarnym pasie ukośnym w polu złotym; na hełmie srebrny jastrząb z rozpostartymi skrzydłami, stojący na srebrnym wieńcu i podtrzymujący dzidę.

Dewiza przypominała rozmowę Johna Szekspira z synem: „Non Sanz Droict” – nie bez prawa.

(Tego rodzaju „zawołania” układano w języku stratfordzkim na wzór dawnych dewiz herbowych przyniesionych z Francji przez rycerzy Wilhelma Zdobywcy.)

Ten herb i ta dewiza, gdyby zostały wcześniej nadane, zaważyłyby może na życiu Willa, kiedy wszedł po raz pierwszy w koła towarzyskie Southampton House.

Intermezzo III

– Oderwałeś się od życia twego rodzinnego miasta – powiedziała Judyta – ale nadanie herbu było może tą liną, która miała cię w końcu przyholować z powrotem do Stratfordu, prawda, ojczy?

Zastanawiał się chwilę.

– Raczej dźwignią, która mnie poruszyła, niż liną, która by mnie przyciągnęła. Jak wielu młodych marzyłem w rodzinnym mieście o zdobyciu sławy na szerokim świecie. A kiedy wyjechałem, zacząłem marzyć o sposobach powrotu. Długo coś stawało temu na przeszkodzie...

Ale wreszcie jestem tutaj.

– I to jest takie cudowne – powiedziała cicho Judyta.

– Mówiłem ci kiedyś – ciągnął bawiąc się w zamyśleniu kartami manuskryptu leżącego na stole – że kocham Stratford i rzekę Avon, i Las Ardeński. Dla mnie nie ma innej przyrody, tylko tutejsza, w hrabstwie Warwick.

To widać z moich sztuk. Jeśli scena rozgrywa się na tle przyrody, to zawsze tej, którą znam najlepiej, jakkolwiek bym jej nadał nazwę, w jakimkolwiek klimacie i jakiegokolwiek stronie świata umieścił. Niczym wytłumaczyć nie można umiłowania ziemi ojczystej. Tego się nie pojmie rozumem, tylko uczuciem.

– Czy to jest to najsilniejsze uczucie? – spytała Judyta.

– Różne uczucia wydają się w jakimś okresie najsilniejsze.

Form miłości jest wiele – umiłowanie ziemi, kobiety lub mężczyzny, domu, nawet konia czy psa albo polnych kwiatów z wiosną, gniazda z pisklętami.

Często te formy się łączą, zazębiają o siebie. Polny kwiat przypomina kochaną dziewczynę, a razem stanowią może część krajobrazu rodzinnych stron. – Wstał i podszedłszy do Judyty, spojrzął w jej podniesioną ku niemu, jasną twarz. – Albo też powrót do domu oznacza połączenie z ukochaną córką.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć; wreszcie odezwała się nieśmiało:

– Wiesz, ojczulku, mam parę pytań, które chciałabym ci zadać, ale bardzo osobistych.

Czy mogę?

– Pytaj, kochanie.

– Więc powiedz mi, dlaczego ty najczęściej zapożyczasz od innych treść sztuki, nie wymyślasz jej sam?

– Po prostu dlatego, że to nie jest moja najmocniejsza strona.

Jestem częścią organizmu – aktorskiej wspólnoty. Mam obowiązki wobec moich towarzyszy. Muszę myśleć o tym, by zapełnić widownię. Nie mogę tu ryzykować. Więc zapożyczam fabułę, o której wiem, że została wypróbowana, i nasycam starą treść tym, co mogę od siebie dodać. Fabuły stanowią powszechną własność, ale poezja, sytuacje, dialogi, charaktery – te pochodzą ode mnie.

– Tak, ty dobrze znasz ludzką naturę – zauważyła. – Teraz powiedz mi, czy umiesz na pamięć wszystko, co napisałeś? Cytujesz tak swobodnie!

– Nie wszystko, tylko te sceny, które najbardziej przypadły do gustu aktorom i publiczności; te, które mają najbardziej dramatyczną wymowę.

Zapominasz, że gram w moich własnych sztukach, dzień po dniu, w Londynie i na prowincji.

Niektórzy dramaturdzy oddadzą swój manuskrypt, przyjdą na jedną lub dwie próby i na tym koniec. Ja żyłem z każdą z moich sztuk długimi tygodniami i później jeszcze często do niej powracałem. A oprócz tego każda jest w pewnym sensie częścią mnie samego, która wyraża jakiś rozdział mojej filozofii życiowej.

– Jeszcze jedno pytanie, chociaż niezupełnie na temat – rzekła Judyta. – Czy widzisz czasem w Londynie stryja Gilberta? Rzadko o nim wspominasz.

– Cóż Gilbert! – uśmiechnął się Szekspir. – Doskonale mu się powodzi, jak wiesz, że sprzedają norymberszczyzny. Widujemy się, i owszem raz na rok koło Wielkiejnocy. Szczerze mówiąc, mało mamy z sobą wspólnego. Poza tym zdaje mi się, że Gilbert ma wątpliwości, czy jestem odpowiednim towarzyszem dla jego żony, która pochodzi z purytańskiej rodziny. Słyszał oczywiście plotki o mnie. Londyn nie jest właściwie takim dużym miastem, jak może myślisz. Jeśli człowiek jest znany, wiedzą o nim wszyscy wszystko. A echa plotek, gdy docierają do moich uszu, czasem zabolą, chociażby nawet bywały słuszne.

Akt czwarty „Burzy” był niebawem gotów: krótki, jedna tylko scena, w której Prospero zgadza się wydać córkę za Ferdynanda, Ariel zaś sprowadza Junonę i Ceres, by zesłały błogosławieństwo na młodych narzeczonych:

*„Sława, skarby, stadło zgodne,
piękne dzieci, dnię pogodne,
szczęściem każdy dzieńznaczony,
to wasz posag od Junony.*

.....

Urodzajna zawsze niwa,

*spichlerz zawsze pełen żniwa
i gron pełne winogrady,
pod owocem zgięte sady,
i dnie wiosny zawsze świeże,
aż swe plony jesień zbierze,
błogie żniwa, urodzaje:
ten wam posag Ceres daje.”*

Will śpiewał swoim przyjemnym, dźwięcznym tenorem, a Judyta przytupywała do taktu drobną stopą.

Alegoryczna scena dobiega śpiesznie końca, gdyż Prospero przypomina sobie, że Kaliban, Stefano i Trynkulo ułożyli spisek na jego życie. Ze słowami:

*„Sen i my z jednych złożeni pierwiastków;
żywot nasz krótki w sen jest owinięty...”*

śpiesznie wyprawia Mirandę i Ferdynanda do swojej celi.

Spiskowcy rabują garderobę Prospera: Kaliban upomina ich i nalega, by nie marudzili dla paru marnych gałąńców, lecz zabierali się do dzieła.

Wbiegają duchy w postaci psów i gonią za potworem i jego nowymi panami, a Prospero rozkazuje gniewnie:

*„Teraz niech duchy kości im połamią
bez miłosierdzia suchym reumatyzmem,
niech im mięśnie kurczem pościągają,
po ciele więcej niech wyszczypią cętek,
niż ich ma skóra dzika lub lamparta.”*

Jednoosobowa publiczność śmiała się do rozpuku i oklaskiwała gorąco.

– Wyglądałeś tak śmiesznie goniąc dookoła – powiedziała. – Tak zwinnie się wykręcasz i zawracasz, że naprawdę widzi się nie jednego człowieka, lecz kilku!

– Jeden tylko jestem! – powiedział, jeszcze zadyszany. – Ale każdy aktor niejedną gra rolę. I powrócimy teraz do różnych ról, które grywałem nie tyle na scenie, co w życiu.

Skończymy tę małą opowieść o komedii mojego życia dziś jeszcze, choćbyśmy mieli posiedzieć trochę dłużej niż zwykle.

– Będę tylko żałować, gdy skończysz – odparła Judyta.

Część czwarta
„Łabędź z Avonu”

Rozdział XV

Z całą przezornością Will nie wkraczał na ścieżki politycznych problemów swego własnego czasu – ścieżki, które nazbyt często wiodły do Tower i pod topór kata. Ale umysł jego zaprzętały sprawy polityki. Sztuki historyczne, do których teraz powrócił, poruszały temat władzy królewskiej, jej ciężarów, odpowiedzialności, które korona nakłada na ludzi, często niezdolnych do podjęcia tego zadania, mówiły o konieczności obejmowania całokształtu zagadnień politycznych, wyższych ponad interesy osobiste, o potrzebie sprawiedliwości, miłosierdzia, a także poczucia bezpieczeństwa. Sztuki te poświęcone były sprawom rządów nad narodami, gdzie większość poddanych nie miała nic do powiedzenia o własnym losie.

Will nie trzymał się ściśle faktów historycznych. Więcej zależało mu na zainteresowaniu publiczności i na tworzeniu postaci, których role jego towarzysze mogli efektownie kreować, sytuacji nadających się do poetycznego ujęcia i przedstawienia czynnika ludzkiego w machinie rządów.

W otoczeniu Southamptona Will mógł obserwować intrygi dworskie, rezultaty królewskiej łaski lub niełaski, starcia między tymi, którzy w danej chwili mieli wpływy, a ich rywalami. Bystry obserwator dostrzegał wyraźnie skazy charakteru Elżbiety, która w swoich faworytach budziła polityczne ambicje, ale nie zamierzała ich zaspokoić; która wciąż wzdragała się przed wyznaczeniem następcy tronu, bo nie umiała zdobyć się na otwarte stwierdzenie gorzkiej prawdy, że ona sama nie będzie miała potomka. Takie postępowanie królowej mnożyło spiski na jej życie, u ministrów wytwarzało stan ciągłej podejrzliwości, a w całym społeczeństwie budziło niepokój i napięcie, które pod koniec jej rządów nieomal paraliżowało wszelkie poczynania.

Nawet siła rządów Elżbiety – najbardziej despotycznych w historii Anglii – rodziła niebezpieczeństwa. Czasy sprzyjały rządowi silnej ręki, ale wzrastająca potęga kraju, oparta na kupieckiej burżuazji i wolnych zawodach, zwiastowała erę, w której następny, równie despotyczny monarcha nie będzie już tolerowany. Wyczulony słuch Willa już i teraz, z końcem stulecia, mógł dosłyszeć między uderzeniami zegara dziejów pierwsze odgłosy nadchodzącego z nieubłaganą koniecznością starcia między władcą a jego ludem. Essex, zyskawszy sobie ogromną popularność w kraju – co nawet budziło niepokój Elżbiety – wyzywał Historię, próbując to starcie przyspieszyć.

Will zaplanował sztukę „Król Henryk IV” w dwóch częściach, a jednocześnie miał już na uwadze następną – „Życie Henryka V”.

Dlatego też w ciągu wszystkich powikłań panowania Henryka IV – władcy stanowczego, mądrego, ale niezbyt pewnego tronu, który zagarnął siłą, a nie odziedziczył według prawa – dominującą postacią jest jego syn, książę Henryk. Jego to młodzieńcze szaleństwa są tematem, dla którego spiski i wewnętrzne intrygi stanowią tylko tło. Zasadniczy problem polega na tym, czy następca tronu spełni własną obietnicę:

„Błądzą, lecz błąd mój zasługą się stanie,
gdy go odkupię, a niespodziewanie.”

To pytanie stwarza napięcie przez cały ciąg obu części sztuki. W bitwie z magnatami, przeciwnikami króla, pod Shewsbury książę Henryk dotrzymał obietnicy, a jednocześnie najgoręcej wychwala odwagę swego brata Jana i słyszy w nagrodę słowa królewskiego ojca:

„Stracone dobre imię odzyskałeś...” Obejmując władzę w ostatnim akcie sztuki, Henryk V wykazuje rozwagę i przezorność. Na zmianę jego charakteru wskazuje też stosunek do Sir Johna Falstaffa, towarzysza szalonych hulank, który się dawniej chełpił, że pod berłem nowego króla będzie nieomal sam rządził.

„Ja nie znam cię, starcze. Weź się do modlitw...
nie myśl, że jestem, czym niedawno byłem;
bo Bóg wie o tym, a świat się przekona,
żem się na zawsze przeszłości mej wyrzekł...” Tak autor przygotowuje widzów do ostatniej części wielkiej trylogii historycznej – do „Henryka V”, idealnego króla-bohatera elżbietańczyków.

Ale chociaż Will rozmyślał się w historii, a jego publiczność rozkoszowała się widowiskami historycznymi z entuzjazmem gorących patriotów – i autor, i publiczność lubili się również pośmiać. Nie tylko komedie szekspirowskie zawierają element komizmu, ale i poważniejsze sztuki historyczne.

Mało która z jego postaci cieszyła się taką popularnością, jak Sir John Falstaff, którego potężna tusza – wcielona przez Willa Kempa – miała za cel rozweselenie widzów „Henryka IV”. W czasach tego władcy żył istotnie niejaki Sir John Oldcastle, który zasłynął z szalonych wybryków i hulank.

Nieustannie też oznajmiał, że ma zamiar pokutować i poprawić się, tylko po to, by w następnej minucie zapomnieć o wszelkich obietnicach. Posiadał nadzwyczajny talent mówienia prawdy o sobie, ale tylko częściowej. Will przekształcił tę historyczną postać w bohatera komicznego, rodzaj króla tawern.

Gdy tylko jego korpulentna postać wkraczała na scenę, widownia szalała z radości, a najbardziej gdy Falstaff, sam tchórz jakich mało, tak na przykład potępiał tchórzostwo:

„...tchórz gorszy od szklanki wapnistego wina:

tchórz to rzecz paskudna.

Idź sobie swoją drogą,

stary Jasiu, umieraj,

kiedy zechcesz,

bo jeśli męstwo, uczciwe męstwo,

nie zapomniane na powierzchni tej ziemi,

to ja jestem śledź wyikrzony.

Nie znajdziesz w Anglii trzech

uczciwych ludzi nie powieszonych,

a jeden z nich utył i starzeje.

Dopomóż nam, panie!

Zły to świat, powtarzam.

Bodajem się był tkaczem urodził!

Śpiewałbym psalmy lub co innego.

Zaraza na wszystkich tchórzów!”

Stary hulaka jest głównym kompanem księcia Henryka we wszystkich jego eskapadach, łącznie z planowanym rabunkiem.

Ten to bohater tak się spodobał królowej Elżbiecie, że kazała zawiadomić Willa, iż chce zobaczyć Falstaffa zakochanego; w rezultacie powstały „Wesołe kumoszki z Windsoru”. Ale w owej przyjaźni łączącej młodego księcia Henryka i starego hulakę Falstaffa, odnajdą się niewątpliwie echa przyjaźni Southampton – Will. Książę Henryk to Złoty Lord; Falstaff – jego dowcipny i wierny kompan Will. I nadeszła chwila, gdy Falstaff został z pogardą odtrącony. Will umiał śmiać się sam z siebie.

W Roku Pańskim 1597 dużo wydarzeń odbiło się bezpośrednio na sprawach teatru i literatury.

Jedno z nich dotyczyło Willa osobiście. Upłynął termin dzierżawy gruntu, na którym James Burbage wybudował swój „Teatr”, a właściciel odmówił przedłużenia umowy. Stary aktor kupił więc na zachód od granic miasta kawałek ziemi, na którym stał stary budynek, niegdyś własność zakonu dominikanów (Blackfriars). Zapłacił za to olbrzymią jak na owe czasy sumę sześciuset funtów szterlingów, a wydał jeszcze paręset funtów na przebudowę i dostosowanie budynku do potrzeb teatralnych.

Scena była kryta i wyposażona w rzędy świec do wieczornych przedstawień.

Ale w dzielnicy tej mieszkali przeważnie ludzie bardzo zamożni, szlachta i arystokracja. Zamieszkał tu też pewien londyński drukarz wraz ze swą żoną, Francuzką, który zbił fortunę i teraz bardzo dbał o własną, świeżo zdobytą pozycję społeczną. A ponieważ na dodatek chował urazę do jednego z aktorów kompanii „Sług Lorda Szambelana” – chociaż był niegdyś jego przyjacielem – postarał się wyrzucić zemstę, atakując Jamesa Burbage’a i jego nowy teatr. Ryszard Field odwiedził swoich zamożnych sąsiadów i schlebiając im, wyjaśnił, że pragnie ich uchronić od hałasu trąb i bębnow, wrzawy tłumów, kompanii rozwiązłych aktorów i nikczemnych typów przychodzących na przedstawienia. Szlachta i Ryszard Field podpisali w tej sprawie petycję do Rady Królewskiej. Will, dowiedziawszy się o tych planach, poszedł osobiście do Fielda, ale pokojowa odprawiła go od drzwi ze słowami, że pan jest zajęty i będzie zajęty. Rada Królewska wydała zarządzenie, aby żaden teatr nie śmiał zatruwać dystyngowanego wykquintu dzielnicy Blackfriars.

– Utopiłem w tym budynku wszystkie moje pieniądze do ostatniego szylinga – powiedział James Burbage z beznadziejnym znużeniem w głosie.

– Jeszcze go odzyskamy – zapewniał z uporem Cuthbert.

– Walka będzie długa – odparł James – i ja nie zobaczę już jej końca.

– Nie gadaj, James – rzekł Will. – Jeszcze zobaczysz i nasze zwycięstwo, i początek wielkich dni teatru w nowej siedzibie.

– Dałby Bóg, żeby się to spełniło, zacny przyjacielu – odparł stary Burbage. – Ale ja co innego w kościach czuję!

Wytrawny, stary aktor, który przez długie lata żył tylko dla teatru i przez teatr, zapadł w jakąś letargiczną obojętność, jakby go nic nie obchodziło, jakby nawet nie dbał, czy jeszcze żyje. Za stary był, by się otrząsnąć i podnieść po takim ciosie. W dwa miesiące po decyzji Rady Królewskiej James Burbage, człowiek, który wprowadził Szekspira w świat teatru, wystawił jego pierwszą przeróbkę i zachęcił do twórczości oryginalnej – już nie żył.

Jego młodszy syn, Dick, odziedziczył budynek w Blackfriars, starszy, Cuthbert, otrzymał swój udział w ruchomościach. Bracia wynajęli odnowiony budynek teatralny niejakiemu Harry’emu Evansowi, który zaangażował dwa teatralne zespoły dziecięce i nie napotkał sprzeciwu ze strony

mieszkańców wytwornej dzielnicy, gdyż jego przedstawienia przyciągały publiczność spokojniejszą od krewkich czeladników i hałaśliwych zwolenników kompanii „Sług Lorda Szambelana”.

Młodziutkich aktorów angażowano dość wątpliwymi sposobami – często kupowano ich po prostu od rodziców-nędzarzy. Koszt utrzymania takiego dziecięcego zespołu był bardzo niski, co pozwalało wydawać większe sumy na stroje i efekty widowiskowe, tak lubiane przez publiczność.

Wielu znanych dramaturgów pisało dla zespołów dziecięcych, a Will wspomina o ich konkurencji w „Hamlecie”, mówiąc ustami Rozenkranca:

„...wylęgło się tam stado dzieci, małych indyczą, które piszczą jak opętane i gwałtowne za to odbierają oklaski. Te są teraz w modzie i tak dalece oczerniają teatr niższej klasy (tak nazywają tamten), że niejeden z rapierem przy boku, bojąc się piór gęsich, nie śmie się już tam pokazać.”

Tymczasem w teatrze „Rose” kompania „Sług Lorda Admirała” wystawiła znowu sztukę pióra rywala Willa, George’a, Chapmana, komedię zatytułowaną „Humor wesołego dnia”, w której ozwała się nowa nuta – ostrej satyry. Inni komediopisarze, łącznie z Willem, do tej pory pokpiwali sobie łagodnie i niezłośliwie z wprowadzanych na scenę charakterystycznych postaci, takich jak zazdrosny stary ramol, dowcipny i strojny dworzanin, purytańska żona i zamyślony melancholik.

– Dopiero Chapman – rozprawiał Will „Pod Syreną” – ukazał nam wszystkim prawdziwą misję komedii: bezwzględne wyszydzenie głupoty i szaleństw ludzkich.

Na południowym wybrzeżu Tamizy, na zachód od obecnego mieszkania Willa, wzniesiono w roku 1594 nowy teatr – „Swan”

(Łabędź). Tu w roku 1597 kompania „Sług Lorda Admirała” wystawiła sztukę wybitnego satyryka Thomasa Nashe i wstępującego dopiero na arenę Bena Jonsona, zatytułowaną „Wyspa psów”. Ale tym nie poszło tak gładko, jak Chapmanowi.

Satyre na współczesne obyczaje uznano za oszczerczą i buntowniczą. Wtrącono do więzienia Jonsona i jednego z aktorów, Gabriela Spencera.

Nashe wycofał się w porę, osiadł na wschodnim wybrzeżu Anglii i poświęciwszy się rozkoszom gastronomicznym, napisał panegiryk na cześć... wędzonych śledzi.

Ben Jonson, wielki i głośny później pisarz, liczył wówczas lat dwadzieścia pięć – był o osiem lat młodszy od Szekspira.

Barczysty, tęgi, o ogorzalej twarzy, z wyglądu raczej przypominał murarza, w którym to zawodzie za młodu praktykował.

Przez jakiś czas służył w wojsku i brał udział w kampaniach niderlandzkich; po powrocie do kraju został aktorem w jednej z podrzędnych wędrownych trup, a jednocześnie studiował klasyków greckich i rzymskich, których poznał jeszcze w szkole.

Niełaskawy los spotkał też inną wybitną postać w ówczesnym świecie intelektualnym – autora „Królowej wrózek”, Edmunda Spensera. Zamek jego w Kilcolman w Irlandii został spalony i zrabowany przez Irlandczyków, zbuntowanych przeciw obcym najeźdźcom, a jedno z dzieł Spensera zginęło w płomieniach.

Człowiek, który napisał najpiękniejszy poemat w Anglii XVI wieku, powrócił złamany do Londynu i w dwa lata później zmarł w skrajnej nędzy. Will rozmyślając nad tym, co mogło spotkać jego samego, gdyby powodzenie poematów „Wenus i Adonis” oraz „Porwanie Lukrecji” odciągnęło go od pracy dla teatru, zauważył:

– My, jego rodacy, tak wysoko ceniliśmy Edmunda Spensera, wielkiego poetę, że pozwoliliśmy mu umrzeć w nędzy, po czym pochowaliśmy go z największymi honorami w Opactwie

Westminsterskim. Łzy są tańsze od chleba.

„Henryk IV” zdobył od razu szalone powodzenie. Na fali popularności, nabrawszy zaufania we własne siły, Will wybrał się latem 1597 roku do Stratfordu, wioząc z sobą – starannie pozaszywaną w odzieży – znaczną sumę pieniędzy. Myśli jego, gdy galopował po zielonym skraju wyboistego gościńca, nie zawsze krążyły wokół przyjemnych spraw.

Czarna Dama kaprysiła ostatnio, a Will gardził sobą za brak ambicji, za narzucanie się jej.

Ale ciepłe promienie słoneczne, widok żniw na okolicznych polach, podniecająca zieleń drzew, śpiew ptaków – podniosły go na duchu i przypomniały młode lata.

W parę dni później stał z Anną i dwiema córkami na dziedzińcu przed domem zwanym New Place.

Ogród tej posiadłości oczarował go, gdy był jeszcze małym chłopcem. Dom, zbudowany przez Sir Hugh Cloptona, stał pustką od kilku już lat. Dach wymagał naprawy, stodoły za budynkiem mieszkalnym mocno ucierpiały, ogród zarósł chwastami.

– Wszystko to doprowadzimy do ładu – rzekł Will.

– Więc to naprawdę nasze? – zapytała czternastoletnia Zuzanna; ta starsza córka z rysów twarzy była podobna do matki, ale w oczach jej krył się wesóły ogień, odziedziczony po ojcu.

– Naprawdę nasze – potwierdził uroczyście Will. – Podpisałem akt kupna dzisiejszego ranka.

– A pieniądze? – zapytała Anna. – Ile czasu będziesz spłacał?

– Każdy szyling jest już zapłacony: sześćdziesiąt funtów – odparł z dumą jej mąż. – Co więcej, zostawię wam dostateczną sumę na remont, który omówię z budowniczym przed wyjazdem do Londynu.

– Lepiej ci się powiodło, niż kiedykolwiek przypuszczałam – przyznała Anna; miała na sobie tego dnia nowy kapelusz najmodniejszego podówczas fasonu, który Will przywiózł jej z Londynu.

– Lepiej, niż gdybym został w Stratfordzie jako rękawicznik – powiedział Will spojrzawszy na nią z ukosa.

Anna bardziej teraz panowała nad swoim złośliwym językiem; milczała więc, choć miała ochotę wspomnieć, jak ciężko wychowywać dzieci samotnej kobiecie, której mąż zarabia na życie o setki mil od domu.

Judyta wcale się nie odzywała, wpatrzona w oszołomieniu w ten wspaniały budynek, który miał teraz być jej domem. W sukience i fartuszkuszytych tym samym krojem i z tego samego materiału, co ubranie matki, Judytka wyglądała nad wiek dorośle. Ale zachowywała się jeszcze bardzo dziecinnie. Nagle klasnęła w dłonie.

– Cudny, cudny, cudny! – zawołała. – Największy i najpiękniejszy dom w całym mieście! Jak Hamnet by się cieszył... – zaczęła, ale odwróciła się nie kończąc zdania, twarzyczka jej posmutniała.

– Musimy uporządkować ogród – rzekł Will – i zasadzić więcej drzew. Może pewnego dnia będę mógł dokupić jeszcze trochę ziemi...

– Ten dom będzie za duży dla mnie i dla dziewczynek – zauważyła Anna.

– Mówiłem już z Thomasem Greene, naszym pisarzem miejskim, który załatwiał mi formalności urzędowe. Chciałby wynająć część domu na jakiś czas.

– Tak będzie lepiej – zgodziła się Anna. – Ale powiedz, czy dawno nosiłeś się z zamiarem kupienia tego domu?

– W pewnym sensie od czasu kiedy byłem chłopcem – odparł niespodziewanie Will. – A w ciągu ostatnich paru lat zachodziłem popatrzeć na New Place za każdym razem, kiedy przyjeżdżałem do

Stratfordu. I za każdym razem bardziej pragnąłem go kupić. Ostatnio tak uporczywie myślałem o tym, że w „Henryku IV” porównałem dobre rządy państwem do budowania domu:

*„Kto chce budować, najprzód grunt obejrzy,
potem plan zrobi, a gdy już zobaczy
kształt domu – kosztą budowy obliczy.
Jeśli nad jego zdadzą mu się możliwość,
nowy plan z mniejszym zakreśla przepychem
albo się całkiem wyrzeka budynku.”*

Podobnie i my się musimy zabrać do odnawiania, abyśmy mogli zrobić wszystko, co się nam zda potrzebne, a nie przekroczyć naszych możliwości.

Judytka zapomniawszy o smutku, znowu klasnęła w rękę.

– Jak ja lubię słuchać, tatusiu, kiedy deklamujesz wiersze z twoich sztuk!

– To chodź, wrócimy na ulicę Henley – powiedział Will z uśmiechem. – Opowiem ci o Tytaniu i Oberonie, królowej i królu wrózek, i o tym, jak Tytania zakochała się w człowieku z osłą głową.

Judytka chwyciła ojca za rękę i zaczęła go ciągnąć do domu.

Ale Anna odwracała się jeszcze i spoglądając na New Place, rzekła:

– To wspaniała posiadłość.

Boję się, że może za wspaniała dla nas...

Lata niedostatku uczyniły ją bardzo ostrożną.

– Nie troszcz się o to – uspokajał ją Will opierając się Judytce. – W naszej odbudowie nie będziemy postępować jak człowiek, który

„...dom zaczął wznosić

nad swoją możliwość, a w połowie pracy

wstrzymać się musiał i kosztowne mury

na łup zostawić łzom chmur wędrujących,

na pośmiewisko wiatrom twardej zimy.” – Chodźmy już, tatusiu! – wołała Judytka skacząc na jednej nodze. – Ja chcę usłyszeć o królowej wrózek!

Rozdział XVI

– Mam list dla pana Szekspira od pana Heminge’a – rzekł zdyszany praktykant aktorski.

– Zostaw go u mnie, chłopcze, oddam go jutro rano – odrzekł Krzysztof Mountjoy, u którego Will od niedawna zamieszkał.

– Ale mnie polecono oddać list do własnych rąk pana Szekspira, i to zaraz – zaprotestował praktykant.

– Sam nie wiesz, co gadasz – rzekł niecierpliwie Mountjoy. – Ja głową odpowiadam za jego spokój! Dał mi surowe polecenie, żeby mu nie przeszkadzać, „nawet gdyby jej królewska mość przyszła, co jest mało prawdopodobne” – takie były jego słowa – aż do godziny siódmej jutrzejszego ranka!

– Pewno śpi – rzekł praktykant obracając list w palcach. – Wyglądał na bardzo zmęczonego dziś na próbie.

– Śpi? On nigdy nie śpi. W każdym razie w ciągu tych ostatnich paru tygodni – odparł Mountjoy. – Siedzi przy stole i pisze, pisze, pisze! Karta za kartą... Rankiem będzie biało od kart na całej podłodze. Ja go znam.

– Nie wiem, co mój pan powie – martwił się praktykant. – Goście przyjechali niespodziewanie. Chciał, żeby pan Szekspir przyszedł do niego na wieczerzę.

– Niech lepiej poszuka kogo innego do kompanii – poradził Mountjoy. – List zostaw u mnie.

Oddam go, kiedy będę mógł, ale na wieczerzę dzisiaj i tak będzie za późno. Nie ośmielę się mu przeszkodzić.

Był to okres najbardziej wytężonej pracy i płodnej twórczości w życiu Willa.

Dopełniał swych obowiązków jako udziałowiec spółki aktorskiej, ale poza tym pogrążył się bez reszty w pisaniu. Bardzo rzadko zaglądał „Pod Syrenę”, by oderwać się na małą godzinkę od całonocnej pracy z piórem w ręku. „Życie Henryka V”, „Wesołe kumoszki z Windsoru”, „Wiele hałasu o nic”, „Jak wam się podoba”, „Wieczór Trzech Króli”, „Juliusz Cezar”, „Troilus i Kresyda”, „Hamlet” – wszystkie te sztuki zostały napisane i wystawione w okresie czterech lat 1598-1601, i to przez człowieka, który jednocześnie sam grał, reżyserował i brał udział w zarządzaniu kompanią, a przy tym jeździł co roku na paromiesięczne objazdy prowincji.

Heminge i Dick Burbage nalegali, by Will pisał, pisał jak najprędzej, póki jeszcze szalony sukces „Henryka IV” był świeży w pamięci widzów. A sam Will, od kiedy kupił New Place, zaczął marzyć o tym, by wycofać się z czynnego życia i osiąść na stałe w Stratfordzie. Ale na to potrzebne mu były pieniądze, dużo pieniędzy. Tak więc interesy kompanii pokrywały się w tej chwili z jego własnymi potrzebami. Stosunek z Czarną Damą, który mu zaczynał ciążyć i napawał niesmakiem do samego siebie, stanowił dodatkowy czynnik przytrzymujący go przy biurku, gdzie z piórem w dłoni mógł uciekać w świat fantazji i znajdować ulgę, wypowiadając własne niepokoje ustami swych bohaterów.

Miał teraz wreszcie doskonałe warunki do pracy. Pokoje w Southwark nie przypadły mu do

gustu. Bliskość ogrodów, gdzie szczuto niedźwiedzie, była przyczyną niesamowitych hałasów, ciągnących się do późna w noc.

Psy ujadły, warczały i wyły rzucając się na niedźwiedzie, a później przeraźliwie skomlały, gdy groźny zwierz je rozdzierał; niedźwiedź ryczał potężnym głosem, widzowie krzyczeli głosami, które też nie miały w sobie nic ludzkiego, podnieceni żądzą krwi, kompletnie niezrozumiałą i wstrętną dla Willa, współczującego cierpieniom biednych zwierząt.

Poszukał więc innego „locum” i znalazł je w domu Krzysztofa Mountjoy, francuskiego hugenota osiadłego w Anglii.

Dom jego mieścił się na rogu ulicy Srebrnej i Monkswell w dzielnicy Cripplegate, na północ od katedry Św. Pawła, w północno-zachodnim zakątku murów miejskich, wysuwających bastiony nad starą fosą. Była to zaciszna ulica, gdzie osiedlili się przeważnie lekarze i bławatnicy i gdzie różne gildie miały swoje biura. Heminge i Condell również mieszkali w pobliżu, a także pisarze – Ben Jonson i Thomas Deker. W dwóch obszernych, widnych pokojach, które Will wynajął, mógł się nareszcie rozkoszować pewnymi wygodami i po raz pierwszy Londyn wydał mu się domem, a nie tylko zajazdem.

Krzysztof Mountjoy również był związany ze światem teatralnym jako bardzo wzięty kapelusznik i perukarz pracujący z kilku czeladnikami. Jego córka Maria tworzyła fantastyczne kreacje, które nosili nie tylko młodzi chłopcy grający na scenie role kobiet, ale damy dworu i sama królowa. Te modne ubiory na głowę robiono z posrebrzanych i pozłacanych drutów, pereł i klejnotów, a dla teatru – z imitacji drogich kamieni.

Mountjoy i jego żona troszczyli się serdecznie o Willa, dbali o jego wygody, nie pozwalali nikomu przeszkadzać mu, gdy pisał. Tworząc w „Henryku V” scenę zalotów angielskiego króla i francuskiej królowej, Will zwrócił się do córki swoich gospodarzy z prośbą, by sprawdziła francuszczyznę pięknej Katarzyny, i spłacił dług wdzięczności, dając francuskiemu heroldowi w tej sztuce nazwisko Mountjoy.

Chociaż pogrążony w pracy twórczej, Will nie mógł pozostać obojętnym na sprawy Złotego Lorda. Przyjaźń ich kwitła znowu, a Will, chociaż nie pracował w Southampton House, często korzystał z bogatej biblioteki hrabiego. Southampton wyprawił się na morze z Essexem i Raleighem przeciw flocie hiszpańskiej, która gromadziła się z zamiarem dopłynięcia do portów irlandzkich, by stamtąd zaatakować Anglię. Ekspedycja zyskała tylko częściowe powodzenie. Raleigh wyróżnił się odwagą i samodzielnością decyzji, ale Essex uznał to za akt niesubordynacji i odprawił większość jego oficerów. W dziesięć lat później Will pisał w „Antoniuzie i Kleopatrze” słowa, które musiały być echem tej sprawy:

*„Kto robi w wojnie więcej niż naczelnik,
swojego woda wodzem ten zostaje.
Tak więc ambicja, ta cnota żołnierska,
musi przenosić czasami przegraną
nad świetne, ale groźne jej zwycięstwo.”*

Southampton również odznaczył się dzielnością, ale Essex, jako jego przyjaciel, nie miał mu tego za złe.

Odpowiedzialność za niepowodzenie wyprawy spadła na Essex, którego królowa zganiła ostro. Drażliwy, nie znoszący nagany, Essex w gniewie opuścił dwór i położył się do łóżka, udając chorego.

Elżbieta robiła się coraz bardziej skąpa i trudna w sprawach finansowych i coraz chętniej słuchała ryzykownych anegdot, które jej do ucha opowiadali młodzi dworzanie, coraz częściej też ulegała atakom furii i wydawała się wtedy wręcz niespełna zmysłów.

Starzała się zastraszająco.

Teraz tylko niekiedy wracała jej dawna intuicyjna zręczność w prowadzeniu spraw państwa, tylko niekiedy jej serce, tak wrażliwie niegdyś wyczuwające nastroje i pragnienia poddanych, dyktowało genialne przemówienia.

Nawrót przyjaźni ze Złotym Lordem wciągnął Willa bliżej w namiętny, nierozsądny konflikt, który rozgorzał teraz między królową a Essexem. Elżbietą szarpały sprzeczne uczucia: miłość do młodzieńca z jednej strony, a z drugiej – gniew wobec jego arogancji i coraz natrętniejszego wtrącania się w sprawy państwowe. Essex na przemian szalał na królewskim dworze, to znowu zamykał się samotnie w jednym ze swoich pałaców. Ten konflikt, odzwierciedlający anormalne nastroje schyłku panowania Elżbiety, tragiczny sam w sobie, musiał się skończyć tragedią.

Wkrótce i Southampton zarobił sobie na niełaskę królowej. Jego ukochana, Elżbieta Vernon, spodziewała się dziecka. Lord powrócił śpiesznie z paryskich hulanek i potajemnie poślubił ją, po czym natychmiast znowu udał się za morze, by tracić pieniądze we Francji. Królowa nie dbała o cnotę swych dam dworu, ale wpadała w furję, jeśli któraś spodziewała się dziecka, a już potajemny ślub był nieomal obrazą majestatu.

Gdy Złoty Lord, uboższy o kilka tysięcy koron, nareszcie powrócił do kraju, jego pierwszym mieszkaniem było więzienie Tower. Królowa wkrótce dała się przebłagać, ale Southampton zwrócił na siebie jej uwagę w sposób niepożądany.

Will martwił się bardzo o przyszłość swego młodego przyjaciela, którego kariera zapowiadała się tak świetnie, a który teraz znalazł się w wyraźnym niebezpieczeństwie.

Sytuacja pogorszyła się jeszcze w następnym roku. Essex, wyznaczony na wodza sił angielskich, których zadaniem było stłumienie rebelii w Irlandii, otoczył się swoimi poplecznikami, co musiało wzbudzić podejrzliwość królowej i jej ministrów, a następnie mianował Southampton dowódcą konnicy, chociaż Złoty Lord nie miał kwalifikacji na to stanowisko. W rezultacie Southampton musiał zrzec się tej godności i służyć jako zwykły kapitan, ale Essex zabrał go z sobą na kilka spotkań i pertraktacji z rebeliantami, co było uważane za zdradę.

Will tymczasem kontynuował swoje herkulesowe prace; nie tylko pisał, ale i adaptował cudze sztuki, a także czytał wszystko, co przynoszono do teatru i oceniał, czy się nadaje do wystawienia.

– Mam tu sztukę Ben Jonsona – powiedział pewnego dnia Heminge na zebraniu. – Nic niewarta. Muszę mu ją odesłać.

Odłożył manuskrypt i omawiał dalsze sprawy porządku dziennego, przygotowanego przez Cuthberta.

Will sięgnął przez stół i przysunął sobie manuskrypt.

Zaczął czytać. Przeczytawszy dwie strony przerwał, ale manuskrypt zatrzymał.

– Chcę go zabrać do domu – powiedział do Heminge’a. – W każdym razie muszę to przeczytać. Ben jest bardzo utalentowany, nie należy go zniechęcać.

– Ty to najlepiej ocenisz – zgodził się Heminge. – Ale moim zdaniem tracisz czas na próżno.

Następnego dnia Will przyniósł manuskrypt do teatru.

– Nie masz racji, co do tej sztuki, John – oznajmił. – To jest dobra rzecz. Będziemy mieli pełny teatr.

Po powtórny przeczytaniu utworu Heminge nadal oponował, ale Will obstawał przy swoim i kompania postanowiła wypróbować sztukę. Miała istotnie powodzenie, jak Will przewidział,

i przyniosła dobry dochód. Od tej pory Ben Jonson, chociaż nieraz zazdrosny o sławę starszego dramaturga i zawsze gotów do szyderstw, pozostał wielbicielem i wiernym przyjacielem Willa.

Ale wystawienie tej sztuki, chociaż pośrednio, przyczyniło się do ponownego uwięzienia Ben Jonsona. Gabriel Spencer, aktor z kompanii „Sług Lorda Admirala”, który razem z Benem siedział w więzieniu za „Wyspę psów”, nie mógł mu darować, że sprzedał sztukę rywalizującej kompanii. Czekał po przedstawieniu przed teatrem „The Curtain” i zwymyślał wychodzącego autora. Temperament Jonsona nie pozwolił mu wybaczyć takiej zniewagi. Doszło do pojedynku. Jonson został zraniony w ramię, ale chociaż miał szpadę o dziesięć cali krótszą niż jego adwersarz, przeszył mu prawy bok. Spencer zmarł. Jonsona aresztowano, jednak po miesiącu zwolniono go dzięki jakimś kruczkom prawnym i tylko zasekwestrowano mu ruchomości, co było dla poety znikomą stratą.

Kiedy Will pisał „Wiele hałasu o nic”, cierpiał na nieznośny ból zębów. Nie znać jednak na tej pogodnej sztuce, obfitującej w humor, poezję, radości i kłopoty młodych kochanków – dokuczliwego cierpienia autora, prócz tego, że napomyka o tej dolegliwości aż cztery razy, gdy w całej pozostałej swojej twórczości wspomina o bólu zębów tylko raz (w „Cymbelinie”):

*„Jeszcze nie było mędrca na tej ziemi,
co by cierpliwie ból zębów wytrzymał.”*

Bohater sztuki, Benedykt, który postanawia nigdy się nie ożenić, i wesoła, czarująca Beatryks, która oczywiście w końcu wychodzi za niego za męża, stali się wkrótce ulubieńcami Londynu, jakby na dowód, że ból zębów nie przeszkodził twórczej weni poety.

W tym czasie zmarł Lord Burleigh, stary, mądry doradca królowej i wierna podpora jej tronu. Elżbieta siedziała i osobiście karmiła go łyżką.

„Słudzy Lorda Szambelana”, grywając często na dworze, nie mogli nie zauważyć, jak odbiły się na energii i żywotności królowej te podwójne katastrofy: zawód, jaki jej sprawili młodzi faworyci, i śmierć starych, zaufanych doradców. Nadal cieszyła się przedstawieniami, ale bez dawnego entuzjazmu.

Pewnego dnia, gdy Will zaszedł na chwilę „Pod Syrenę”, zastał tam grupę aktorów, między nimi Dicka Burbage, Heminge’a, Condella, Phillipsa i Kempa, a także Cuthberta Burbage.

Powitali go hałaśliwie.

– Chodź, chodź do nas, najdoskonalszy! – wołał Heminge.

– Złotousty, miódopłynny! – deklamował Condell.

– Plautus i Seneka w jednej osobie – oznajmiał Kemp.

– Mistrz wykwintnej frazy – wywodził Dick Burbage.

Phillips przysunął mu krzesło z wysokim oparciem, umieszczając je u szczytu stołu zastawionego flaszkami z winem i pucharkami.

– Czy mam być ofiarą jako jagnię na ołtarzu? – spytał zdziwiony Will.

– O, nie! Nie jesteś jagnięciem, chyba raczej lwem w literaturze! – zawołał Phillips, ale ta odpowiedź nic jeszcze Willowi nie wyjaśniła.

Gdy tylko usiadł, Heminge zerwał się i wznosił pucharek.

– Wznoszę toast za zdrowie... – zaczął.

Will podniósł rękę gestem protestu. Ale Dick także wstał z pucharem w ręku i dawał znaki pozostałym, by poszli za jego przykładem.

– Pijemy za zdrowie dramaturga „Sług Lorda Szambelana”, najlepszego ze wszystkich, zarówno w komedii, jak i tragedii!

– Przecież jestem tym samym, jakim byłem wczoraj i będę jutro! – zakrzyknął Will. – Dlaczego mnie tak honorujecie akurat dziś?

Zignorowali jego pytanie i wychylili kielichy. Will mógł tylko powiedzieć:

– Dziękuję wam, dziękuję z całego serca, przyjaciele... Ale powiedzcie mi: czy ja zwariowałem, czy też...

– Ani ty, ani my – odpowiedział Cuthbert. – W każdym razie nie bardziej niż zwykle. Tylko ty jeszcze nie wiesz, a my już wiemy.

– Przeczytaj mu, John – rzekł Kemp.

Heminge wstał znowu i wziął świeżo wydaną książkę, zatytułowaną „Palladis Tamia, czyli skarbnica wiedzy”.

– A zatem słuchajcie, panowie! – rozpoczął. – Oto co powiada wielbny Frances Meres, rektor i profesor, pisząc o naszych współczesnych angielskich poetach i porównując każdego z nich do pisarzy tworzących po grecku, po łacinie i po włosku:

„Jako dusza Euphorbusa ożyła ponoć w Pitagorasie, tak wdzięczna dusza Owidiusza żyje dziś w złotoustym i miódopłynnym Szekspirze, o czym świadczą jego poematy „Wenus i Adonis” oraz „Porwanie Lukrecji” i jego najwdzięczniejsze sonety krążące wśród przyjaciół. Jako Plautus i Seneka ogłoszeni są za najlepszych w tragedii i komedii pośród Latynów, tak i Szekspir wśród Anglików najdoskonalszy jest w obu rodzajach dla sceny... Jako rzekł Epius Stolo, iż muzy przemawiałyby językiem Plauta, gdyby miały mówić po łacinie, tak samo ja powiadam, iż gdyby miały mówić po angielsku, mówiłyby wytwornie cyzelowanymi frazami Szekspira...”

Willa wzruszyła głęboko tak chwalebna ocena, a jeszcze bardziej gorące i radosne przyjęcie tej krytyki przez przyjaciół. Tego wieczoru dał spokój pracy i powrócił późną nocą do domu Mountjoyów z mocno zapróżoną głową. Z pewnością nie był wtedy w stanie napisać przemowy, którą Henryk V wzywa swych żołnierzy do powtórnego ataku na francuską twierdzę Harfleur.

W tej awanturze rolę eksperta grał Peter Street, majster murarski, ale wodzem była energiczna starsza pani, wdowa po Jamesie Burbage, którą od grudniowego chłodu chronił obszerny, pikowany płaszcz.

– Uważajcie! Wszystko róbcie dokładnie tak, jak mówi majster Street! – wołała. – Inaczej zmarnujecie budulec!

Peter Street i z pół tuzina jego robotników najpierw uważnie usunęli całe urządzenie teatru, a następnie zaczęli rozbierać drewnianą budowlę wzniesioną niegdyś przez starego Jamesa Burbage i nazwaną „The Theatre”.

Bracia Burbage razem z Willem pomagali, gdy trzeba było dodatkowej pary silnych ramion, przy zdejmowaniu ciężkich belek lub obalaniu wielkich pali.

Podeszło do nich kilku ludzi, a ich przywódca oznajmił:

– Nie możecie tego robić. To jest własność prywatna.

– Budynek jest naszą własnością – odparł Cuthbert. – Jeśli macie zastrzeżenia, proszę, niech tu przyjdzie właściciel gruntu.

– Wyjechał do Londynu – mruknął człowiek.

– A wy myślicie, że my o tym nie wiemy? – zaśmiał się Will.

Przybysze próbowali przeszkadzać robotnikom, ale ci odepchnęli ich na bok. Bracia Burbage,

Will i majster Street chwycili za kije i zaczęli okładać solidnie natrętów.

Wywiązała się krótkka, lecz dość ostra utarczka, w której Will dostał bolesny cios w łokieć, ale odpłacił za niego z procentem.

– Dalej, chłopcy! Bić ich, pędzić! Niech wracają do swoich żon! – wołała pani Burbage wymachując pięścią. – To był dom mojego Jamesa! Jego synowie mają do niego prawo!

Aktorzy brali górę.

– Bij, zabij! – krzyczała stara dama.

Czwórka obrońców, zagrzana jej okrzykami, zaatakowała raz jeszcze, wymachując kijami.

Napastnicy odwrócili się i uciekli wśród śmiechu aktorów.

Majster Street otrzepał ręce z kurzu i wrócił do roboty.

Zręcznym robotnikom niewiele trzeba było czasu. Niebawem cały teatr leżał już pod postacią porządnie poukładanych stosów desek, belek i wszelkiego budulca. Tymczasem nadjechały wozy i zaczęto na nie to wszystko ładować.

– Pan Burbage z solidnego materiału budował – zauważył majster Street opukując jedną z olbrzymich belek.

– Dlatego właśnie warto ponieść koszty rozbiórki – odrzekła wdowa.

– Tak, dziś by taki budulec kosztował majątek – potrząsnął głową majster, fachowo oceniając drzewo. – Ile czasu stał ten budynek?

– Ponad dwadzieścia lat – odrzekł Cuthbert.

Słupy, belki, deski, które niegdyś były teatrem Jamesa Burbage’a, pierwszym w Londynie stałym teatrem, zawieszono do promu, przetransportowano na południowy brzeg rzeki i złożono na placu odległym o jakieś dwieście jardów od teatru „Rose”.

Dopiero gdy wszystko przewieziono do ostatniej drzazgi i postawiono stróża, pani Burbage zgodziła się pójść do domu.

– Muszę powiedzieć – wyznała – że nie miałam takiej satysfakcji od czasu, kiedy Dick grał Ryszarda III.

Kiedy termin wygaśnięcia dzierżawy placu – co tak gnębiło Jamesa Burbage’a – minął ostatecznie, właściciel nie zgodził się przedłużyć umowy.

Wtedy właśnie pani Burbage rzekła do synów:

– Niech sobie zatrzyma swój plac. Ale jeśli mu pozwolicie zabrać choćby jedną deskę z budynku, to nie jesteście synami swego ojca! A przecież nie zechcecie takiej niesławy na mnie ściągnąć.

Kompania „Sług Lorda Szambelana” przedyskutowała pałacy problem. Grali w teatrze „Curtain”, ale był on bardzo mały i pozbawiony właściwego wyposażenia.

– Ja bym głosował za wybudowaniem nowego budynku w innej dzielnicy – rzekł Cuthbert.

Śmiało to było przedsięwzięcie, ale aktorzy ufali swojemu niewątpliwemu pierwszeństwu wśród zespołów teatralnych. Po krótkiej dyskusji postanowiono zaryzykować. Bracia Burbage, Will Szekspir, Heminge, Phillips, Pope i Kemp zdecydowali się wyłożyć fundusze potrzebne na budowę, przy czym bracia pokrywali połowę kosztów, a każdy z pozostałych – dziesiątą część.

Will słyszał, że był do wydzierżawienia plac w dzielnicy Southwark, w pobliżu jego poprzedniego mieszkania przy ulicy Maiden Lane. Plac obejrzano: okazał się odpowiedni. Podpisano umowę dzierżawną na trzydzieści jeden lat z tenutą czternastu funtów i dziesięciu szylingów rocznie.

Plac miał tę zaletę, że leżał w niewielkiej odległości od śródmieścia, a jednocześnie już poza obrębem jurysdykcji miejskiej.

Gdy właściciel dawnego placu w Shoredith wrócił do Londynu, wniósł do sądu skargę na ludzi majstra Streeta o zdeptanie mu trawy. Nic innego nie mógł im zarzucić, gdyż w dawnej umowie

dzierżawnej istniała klauzula przewidująca możliwość zabrania budynku, który pozostawał własnością Jamesa Burbage'a.

Peter Street i jego ludzie rozpoczęli natychmiast budowę nowego teatru. Fundamenty podmurowano, gdyż w pobliżu rzeki należało się zabezpieczyć od wilgoci; przyszli cieśle i murarze; dano nowe wyposażenie wnętrza, bo dawne uznano za przestarzałe. Wspólnicy musieli zapłacić Streetowi nie więcej jak czterysta funtów, co zawdzięczali dobremu gatunkowi drewna, użytego przez Jamesa Burbage'a.

Couthbert dopilnował, aby w nowym budynku było więcej miejsca niż dawniej na przechowywanie coraz znaczniejszej ilości kostiumów, należących do spółki aktorskiej.

Zainstalowano wszystkie najnowsze urządzenia mechaniczne za sceną, a Dick postarał się, aby nie zabrakło otworów w podłodze, przez które pojawiały się duchy. Również pod dachem umieszczono skomplikowane urządzenia, pozwalające na spuszczenie na scenę bogów i bogiń oraz na wytwarzanie błyskawic i grzmotów.

Street ukończył nowy budynek latem roku 1599 – najpiękniejszy teatr w Londynie, mogący pomieścić trzy tysiące widzów, zbudowany wysiłkiem i nakładem doskonale dobranego zespołu, który zdobył zasłużoną palmę pierwszeństwa. A przecież w owym czasie bogata wystawa, wyborna gra i wysoki poziom innych teatrów londyńskich stanowiły przedmiot zachwyty i podziwu zagranicznych gości.

Burbage'owie nazwali nowy teatr „The Globe” („Pod Kulą Ziemską”); w godle – wyhaftowanym na jedwabnej fladze – mieli Herkulesa niosącego kulę ziemską na ramionach, a jako motto słowa: „Totus mundus agit histrionem” (łac. cały świat gra komedię). Na ten temat Will, pisząc w owym czasie „Jak wam się podoba”, skomponował przemowę, którą włożył w usta melancholijnego Jakuba:

*„Świat jest teatrem, aktorami ludzie,
którzy kolejno wchodzi i znikają.
Każdy tam aktor niejedną gra rolę,
bo siedem wieków dramat życia składa.”*

Sławny aktor komiczny, Will Kemp, niedługo był współwłaścicielem teatru „Globe”.

Świetny tancerz – tańczył w każdej prawie swojej roli – założył się o znacznie większą sumę, że przetańczy przestrzeń stumilową, od Londynu do Norwich. Otoczony zmieniającymi się, ale wciąż tak samo krzyczącymi z zachwyty tłumami, Kemp wygrał swój zakład, a jego ciżmy przybito na ratuszu miejskim dla upamiętnienia tego przedsięwzięcia. Jego towarzysze natomiast odnieśli się z pewną niechęcią do wyczynu, który określono jako cyrkowy i poniżający zawód aktora. Kemp rozstał się więc z kompanią, by tańczyć przez Alpy aż do Rzymu.

Tymczasem „Henryk V” był już gotów na otwarcie teatru „Globe”.

W sztuce tej miarą wielkości władcy jest jego talent militarny, którego dowody składa w wojnie z Francją. Treścią sztuki są po prostu dzieje kampanii, toczonych na początku XV wieku, i troska Henryka o problemy wojskowe. Wyraźne tu są dwa oblicza wojny: odwaga, lojalność i wytrwałość, a zarazem rany, śmierć, zniszczenie. W sztuce było wszystko, czego mogłaby zapragnąć patriotycznie usposobiona publiczność – od śmierci Sir Johna Falstaffa na początku sztuki, poprzez serię wspaniałych przemówień i zwycięstw oręza angielskiego, aż do zaręczyn triumfującego Henryka z „piękną Kasią”, córką pokonanego króla Francji.

Autor rzucił tu również zuchwałe wyzwanie wyobraźni widzów, gdy odtwarzał dwa wojujące

z sobą narody w granicach sceny teatru przy pomocy kilkunastu wynajętych statystów, symbolizujących wielotysięczną armię. Will zdawał sobie z tego sprawę i w „Prologu”, który sam wygłaszał, próbował zapewnić sobie współdziałanie imaginacji widzów:

*„Przypuśćcie, że w tym ciasnych murów pasie,
dwa się potężne zmieściły królestwa,
których dwa czoła dumne i zuchwale
rozdziela tylko wąski morza rękaw.
Wy brak zastąpcie myśli waszych siłą,
jednego męża podzielcie na tysiąc
i dajcie życie wojskom urojonym.”*

Zasłużoną sławą cieszyły się w tej sztuce przemówienia Henryka, wzywającego do boju żołnierzy w dawnym stylu epickim. Przed bitwą pod Azincourt wołał:

*„Kto dziś przeżyje a do domu wróci,
w górę podrośnie na dnia tego wzmiankę.*

.....
*Choćby o wszystkim zapomniał, spamięta
swoje rycerskie w potrzebie tej czyny.*

.....
*Bo kto dziś ze mną kroplę krwi wyleje,
mym będzie bratem, dzień go ten uszlachci...”*

Nocą, w przeddzień bitwy pod Azincourt, król Henryk, odrzuciwszy insygnia swojej władzy, przywykły za młodu do obcowania z ludem, miesza się nie poznany między żołnierzy i rozmawia z nimi. Dowiaduje się, iż uważają go za odpowiedzialnego zarówno za ciała, jak i za dusze żołnierzy, i rozmyśla nad ciężkim zadaniem monarchy, wiodącego swój naród drogą wielkości:

*„Dalej na króla! I życie, i dusze,
i wasze długi, i stroskane żony,
dzieci i grzechy zwalcie je na króla. Wszystkim za wszystko musi odpowiadać.
Ciężka powinność, wielkości bliźniaczka,
słowom każdego głupca być uległym,
swe tylko własne czującego troski. Iluż rozkoszy musi król się wyrzec,
których spokojnie prywatny używa!”*

Kiedy pisał „Henryka V”, Will rozmyślał nad odpowiedzialnością, która spoczywała na Essexie i jeszcze młodszym od niego Southamptonie.

Królowa namiętnie pragnęła zwycięstwa w Irlandii, obawiając się, że w przeciwnym razie Hiszpanie znajdą tam punkt oparcia w swych planach najazdu.

Will czuł, że klęska ściągnęłaby zgubne konsekwencje na wszystkich biorących udział w wyprawie, i w „Prologu” do aktu piątego, gdy król-triumfator powraca do Londynu, pozwolił sobie wspomnieć o swoich niepokojach.

*„Obaczcie teraz w kuźni waszych myśli,
jak Londyn swoich wylewa mieszkańców;
Lord Mayor z rady swej świętym orszakiem,
jak rzymski senat ściśnięty dokoła
pospólstwa rojem, wysuwa się naprzód,
aby powitać zwycięzcę Cezara.
Tak, mniej wysoki, ale sercom drogi,
gdyby namiestnik wdzięcznej pani naszej
z Irlandii wrócił (a da Bóg, że wróci),
na szabli ostrzu niosąc bunt przebity,
ileż tysięcy ze spokojnych ulic
biegłoby witać drogiego zwycięzcę?”*

Will grał króla Francji Karola w tej sztuce, którą przedstawiano również na dworze.

Elżbieta знаła już Willa jako dramaturga i aktora i parokrotnie za pośrednictwem Southamptona i innych przesyłała mu słowa uznania. W czasie dworskiego przedstawienia „Henryka V” wyróżniła go w szczególny sposób. W akcie drugim jest scena, kiedy wysłannik oznajmia o przybyciu „ambasadorów Henryka angielskiego”, a król Karol idzie ich powitać. W tym momencie Elżbieta rzuciła na scenę swoją rękawiczkę niemal pod jego nogi. Will zatrzymał się przed leżącą rękawiczką, mówiąc, jak wypadało z roli:

*„Niechaj wejdą,
swe wypowiedzą zlecenia natychmiast.”*

I tym samym pełnym godności tonem dorzucił:

*„A chociaż zajęci tym ważnym poselstwem,
schylamy się, by podnieść naszej angielskiej siostry rękawiczkę.”*

Złożył niski ukłon „swej angielskiej siostrze” i zwrócił się do Delfina, by wysłuchać jego rad.

Wejście ambasadorów trzeba było opóźnić, dopóki nie przebrzmiała burza oklasków, zapoczątkowanych przez samą Elżbietę.

Rozdział XVII

Ben Jonson usadowił się na widocznym miejscu na galerii teatru „Globe”, gdzie wystawiano jedną z jego sztuk. Will, z trudem powstrzymując śmiech, nie pasujący wcale do roli, którą grał, obserwował go ukradkiem ze sceny. Zarozumiały i arogancki, Ben pogardzał do głębi aktorami i jeśli któryś nie wypowiedział kwestii tak, by mu przypadła do gustu, krzywił się i otrząsał.

Czasami nawet zwracał się do sąsiadów i rozkładał ręce gestem wyrażającym beznadziejność, aż któryś z widzów powiedział głośno:

– Dajże im pan grać! A krytykować będziesz jutro.

Zamieszanie na widowni wytrąciło z równowagi młodego praktykanta aktorskiego, który grał rolę kobiecą; w ogóle mało który z aktorów nie irytował się z powodu grubiańskiego zachowania Bena Jonsona.

Po przedstawieniu odbywały się próby „Juliusza Cezara”, którą to sztukę Will właśnie ukończył.

Ben został na próbie, chociaż nikt go nie zapraszał, a nawet dawano mu do zrozumienia, że jego obecność jest niepożądana.

– Może będę mógł poprawić tu i ówdzie tego waszego analfabetę Willa – mówił Ben prychnąwszy śmiechem. – Czyż on ma wykształcenie klasyczne, że ośmiela się przedstawiać rzymskiego imperatora Londynowi?

Po próbie większość braci aktorskiej zebrała się tego wieczora „Pod Syreną”, bo sporo było ciekawych nowin do obgadania. Essex powrócił z Irlandii! Gnał konno dzień i noc z kilku tylko towarzyszami, i w wysokich butach i otrogach, obryzganym błotem, w podróznym kaftanie, wpadł, tak jak stał, prosto do komnat Elżbiety, którą jej damy dworu właśnie ubierały.

Młody wódz nie odniósł zwycięstwa w Irlandii, stracił więcej niż połowę wojska, zawarł kompromisowy układ z tymi, których miał pokonać, i powrócił sprzeciwiając się wyraźnym rozkazom królowej. Nawet on, były romantyczny kochanek Elżbiety, nie mógł traktować jej w ten sposób bezkarnie. Skazano go na areszt domowy. „Pod Syreną” zawrzało.

W tym momencie do oberży wszedł Ben Jonson.

– Ha! „Słudzy Lorda Szambelana” przy korycie! – rzekł ze złośliwą pogardą. – Nie macie tu miejsca dla głodnego, choćby nie był człowiekiem waszego gatunku?

Aktorzy, źli na Bena, patrzyli na niego z niegościnnym milczeniem. Ale Will kazał podać jeszcze jedno krzesło i zrobił mu miejsce obok siebie za stołem. Usiadłszy Ben sięgnął po flaszkę, nalał sobie i rzekł:

– Sądząc po twojej pozornej gościnności, spodziewasz się pewno, że będę teraz chwalił twojego „Juliusza Cezara”, co?

– Gdybyś go chwalił, węszyłbym w tym podstęp – odparł Will, uśmiechnięty, ale mając się na baczności.

– Jak mogę chwalić, kiedyś napisał taki wiersz: „Cezar nigdy nie czyni zła, chyba że ma po temu słuszne powody”? – zapytał Ben śmiejąc się hałaśliwie.

– Nie widzę w tym nic niewłaściwego – rzekł biesiadujący z aktorami dworzanin.

– Na honor! Co jest złe, nie może być słuszne, a słuszne nie jest słuszne, jeżeli jest złe – dowodził

Ben.

– Władcy muszą niekiedy postępować w sposób, który wydaje się zły, aby uniknąć większego zła albo osiągnąć słusność tą drogą – argumentował dworzanin.

– I ty to chcesz wytłumaczyć widowni? – zapytał Ben z ustami pełnymi jadła, zwracając się do Dicka Burbage’a.

Dick zignorował jego pytanie.

Można było się śmiać z arogancji Bena i rozumieć jej powody albo po prostu ninawidzić go.

Większość aktorów nienawidziła Bena Jonsona. Natomiast Will – dobroduszny, łagodny, nie posługujący się dowcipem, by ranić, słowem przeciwieństwo Jonsona – nie krył podziwu dla wiedzy i talentu kolegi po piórze. Ben nie był po prostu grubianinem. Za jego sarkazmem często kryły się bystre i trafne obserwacje – jak w tym wypadku.

Will uznał słusność jego uwagi i zmienił zakwestionowany wiersz na:

*„...Cezar krzywdy nie czyni nikomu,
i nie bez słusznych powodów wymaga,
aby mu stało się zadość.”*

– Kiepsko się pożywiacie – ciągnął Jonson. – Wyobrażałem sobie, że „Słudzy Lorda Szambelana” wyrobili sobie w kuchniach swoich szlacheckich patronów bardziej wymagające podniebienia.

– I twojemu podniebieniu ta potrawa może przypaść do gustu – odezwał się Will podając mu wazkę z przyprawami. – Nie bez musztardy!

Zebrani wybuchnęli śmiechem.

Will przypomniał bowiem dobrodusznie, jak to Ben Jonson, w jednej z komedii, wykpił dewizę herbu Szekspirów – „Nie bez prawa” – nadając swemu bohaterowi, imieniem Puntarvolo, herb z wyobrażeniem świni bez głowy, którego dewiza brzmiała:

„Nie bez musztardy!”

– Ale nasz Will nigdy w swoich sztukach nie atakuje kolegów-pisarzy – rzekł z naciskiem Dick Burbage, gdy śmiech ucichł.

– Może ze strachu, by ciosu nie odparowali – burknął Jonson.

– A może po prostu uważa, iż należy żyć i pozwalać żyć innym – powiedział spokojnie Will.

Wbrew głośno wyrażonej pogardzie dla podawanych potraw, Ben zjadł dwie olbrzymie porcje, po czym odsunął w tył krzesło, rozsiadł się wygodnie, otarł wąsy i rzekł:

– Twoja łacina i greka są na poziomie elementarnym, Willu.

Interpretacją historii antycznej też nie powinieneś się zajmować...

– Nie zgadzam się z tym – przerwał mu Heminge.

– Jeden wielki szolarz śpieszy z odsieczą drugiemu – zakpił Jonson. – Dajcie mi skończyć! To jedzenie i wino zaczyna mnie rozmarzać. – Zwrócił się do Willa i położył ciężką rękę na jego ramieniu. – Ale co do poezji, to wszyscy zostają daleko w tyle za tobą.

My, reszta, mamy pewne poczucie rytmu i trochę sensu w naszych wierszach, ale w twojej poezji tyle jest życia, że po prostu kipi w niej, fermentuje!

Podziwiana dziś, będzie budziła zachwyt przez długie lata, kiedy i ty, i ja od dawna spoczniemy w grobie.

Nie można było oczekiwać piękniejszego komplementu. Will był wzruszony. Ale Heminge nadal siedział nadęty, nie zapomniawszy urazy.

– Ja jednak jestem zdania, że i łacina, i greka Willa są na zupełnie wystarczającym poziomie.

– Nie można wypychać człowieka nigdzie na siłę! – ryknął w odpowiedzi Jonson. – Musi iść tam, gdzie jest jego właściwe miejsce! Will powinien napełniać swoje sztuki cudownymi słowami i dawać wizerunki prawdziwych ludzi, nawet jeśli postępują jak osły. Nasz Will tak hojnie rozrzuca najpiękniejsze obrazy i sentencje, że obdziela nimi najbardziej trywialne sceny, kiedy kto inny zachowałby te skarby na chwile bardziej wzniosłe. Oto dlaczego jego sztuki mkną na skrzydłach poezji od pierwszej do ostatniej chwili, a sztuki innych dramaturgów człapią na znużonych nogach. Ale łacina i greka?

Lepiej zostaw to, Willu, ludziom wykształconym.

W arogancji Jonsona było wiele uczciwości. Ale większość aktorów z zespołu Lorda Szambelana tak się na niego zirytowała, że nie chcieli więcej wystawiać jego dramatów.

Tematem „Juliusza Cezara” był problem tyranii i wolności. Po źródła zwrócił się Szekspir do „Żywotów” Plutarcha, przetłumaczonych na angielski przez Thomasa Northa. Konflikt, spowodowany odrębnością charakterów Cezara, Brutusa, Kasjusza i Marka Antoniusza, doprowadza do szczytowego punktu słynna mowa pogrzebowa.

Stanąwszy w obliczu zgromadzonego tłumu, który gorąco aprobował zabójstwo Cezara, Marek Antoniusz genialną retoryką odmienia te nastroje i każe ludowi domagać się śmierci Brutusa, mordercy Cezara. W rezultacie zabójcy muszą uciekać z Rzymu, po czym, zabrawszy wojsko, by stawić czoło Markowi Antoniuszowi i Oktawiuszowi, Brutus wydaje im bitwę w nie sprzyjających dla siebie warunkach. Marek Antoniusz chytrze podał w wątpliwość jego honorowe zamierzenia, a on sam, przegrawszy z winy własnej niezaradności, wątpi w swoją szlachetność, która doprowadza go tylko do samobójczej śmierci.

„Członki me pragną spoczynku po trudach,

z jakimi wlokłem je do tej godziny.” Brutusowi nie brak wielkości charakteru, ale rozumem nie dorównuje Markowi Antoniuszowi.

Kasjusz posiada rozum, ale brak mu charakteru. On to staje się przyczyną upadku Brutusa i swojego, ponieważ nie ma dość siły woli, by przeprowadzić własne rozsądniejsze decyzje.

Potępia sam siebie słowami:

*„Jeżeli nisko spadamy, częstokroć
nie jest to wina gwiazd, ale nas samych.”*

Wkrótce ukazała się następna sztuka, „Jak wam się podoba”, w której Will opisuje uroki Lasu Ardeńskiego, tym razem przeniesionego do Francji, i zapełnia go dworzanami na wygnaniu, służbą, wieśniakami, pięknymi damami i hożymi dziewczętami. Poza głównymi bohaterami stworzył dwa typy, które zwróciły na siebie uwagę widzów: cynicznego filozofa Probierczyka, przedstawionego pod postacią błazna, i melancholika Jakuba; autor obdarzył tego ostatniego wieloma własnymi cechami, a przede wszystkim bystrą inteligencją i smutkiem w sercu, które będą charakteryzowały również Hamleta.

Sztukę urozmaicała muzyka, śpiew i chłopska filozofia, którą reprezentuje pasterz Koryn:

*„...jestem uczciwy parobek i co jem,
i co noszę, to zarobiłem;
nie mam do nikogo nienawiści;
nie zazdroszczę niczyjemu szczęściu;
raduję się z cudzej pomyślności,
a cierpliwie znoszę własną biedę;
najdumniejszy jestem, gdy widzę,
jak moje owce szczypią trawę
a moje jagnięta ssą maciory.”*

Will grał w tej sztuce rolę Adama – wzór lojalnego i wiernego sługi.

Rozporządzając takimi sztukami, odpowiednim budynkiem i zgranym zespołem, kompania „Sług Lorda Szambelana” łatwo zwyciężyła rywalizujące z nią teatry. „Słudzy Lorda Admirała” zamknęli swój teatr „Rose”, mieszczący się w pobliżu, i zabrali się do budowania nowego, jak najdalej od niebezpiecznego sąsiedztwa. Ale budowa teatru „Globe” wyczerpała kiesę „Sług Lorda Szambelana”. Musieli więc sięgnąć po nie tknięte dotąd zasoby – zaczęli sprzedawać prawa wydawnicze sztuk Willa. Ze sprzedaży tej autor otrzymał tylko tyle, co każdy z udziałowców. Jak inni ówczesni dramaturdzy odstępował bez zastrzeżeń prawa do swych sztuk kompanii, gdy je po raz pierwszy wystawiała.

Teraz tylko tę korzyść odnosił, że mógł dopilnować, aby wydrukowana oficjalnie wersja nie była przekręcona i wypaczona, co się zdarzało często w pirackich przedrukach. Czasami przedruku dokonywano na podstawie tego, co jakiś przedsiębiorczy skryba zdołał zapamiętać z przedstawienia, które raz widział. Rezultaty bywały rozpaczliwe.

Kryjąc w sobie, jak zazwyczaj, osobiste radości i zgrzyoty, Will często powracał myślami do nielejalności okazanej mu przez Złotego Lorda i Czarną Damę.

Dawno już przestał ich winić.

Raczej doszukiwał się w sobie jakiegoś braku, który odebrał mu ich przyjaźń i miłość. Wydawało mu się, że poniósł klęskę w życiu – nie w sprawach swojego zawodu, ale w jakimś ogólnym, ludzkim wymiarze. Z tymi myślami zaczął pisać sztuki, których bohaterowie ponieśli klęskę i innych pociągali własnym upadkiem z powodu jakiejś skazy na swoim charakterze, skądinąd nawet wielkim i szlachetnym. W kołach jego przyjaciół modne było również roztrząsanie problemu wydarzeń tworzących człowieka, a nie człowieka, będącego ich twórcą.

Zaabsorbowany tymi myślami, Will natrafił któregoś dnia na stary duński melodramat, historię morderstw i duchów, wołających o pomstę. W „Juliuszu Cezarze” odniósł świetny sukces, ale zarzucono tej sztuce nadmierną ilość pierwszoplanowych postaci. Teraz Will postanowił przekształcić melodramat z dziejów duńskiego dworu w tragedię, której wszyscy bohaterowie będą jak gdyby tłem dla jednej głównej postaci. Na niej spocznie odpowiedzialność za pomstę – na młodzieńcu, który będzie pogłębiał tragizm sytuacji swoją szlachetną odrazą do zabójstwa. Will wiedział, jak trudno bywa niekiedy zdobyć się na decyzję, która sprawi komuś cierpienie, ale rozumiał też, że jej odwleknięcie może przyczynić jeszcze większego bólu zarówno innym, jak i zwlekającemu.

Dał swemu głównemu bohaterowi smutną zadumę i gorącą uczuciowość Romea, ale obdarzył go prócz tego większą dozą intelektualizmu. Wezwany przez ducha zamordowanego ojca do pomsty na stryju-mordercy, obecnym królu Klaudiuszu, który z nieprzystojnym pośpiechem poślubił wdowę, Hamlet przyjmuje zobowiązanie, ale musi wprawdzie przeobrazić cały swój charakter, nim wrodzona

wielkodusznosc pozwoli mu zabic z zimna krwia zbrodniarza.

Królewicz duński nienawidzi swej odrazy do zabójstwa, które jest jego obowiązkiem:

*„Muszę mieć chyba wnętrzości gołębia
i brak zupełny żółci, nadającej
gorycz poczucia krzywdy, kiedy jeszcze
nie napisał dotąd stada sępów ściernem
tego nędznika. O bezwstydnym łotrze!
Zakamieniały, krwawy, sprośny łotrze!
Bodajżem!
Mnież to przystoi, synowi,
jedynakowi zamordowanego
drogiego ojca, od nieba i piekła
powołanemu do zemsty, jak baba
marnymi słowy dawać folgę sercu
i na przekleństwach trawić czas jak prosta
karczemna dziewczka?!...”*

A jednak, w obliczu sposobności – gdy Klaudiusz klęczy i modli się, a on sam stoi za nim ze wzniesionym już mieczem – znowu znajduje wymówkę i cofa się nie zadając ciosu.

Jego ojca zabito, gdy spał po uczcie, wysłano na tamten świat skalanego grzechem. A Klaudiusz znajduje się w tej chwili w stanie łaski.

*„I jażbym się zemścił,
gdybym go zabił teraz, kiedy skrucą
oczyszcza duszę, przygotowanego,
opatrzonego w podróż z tego świata?*

Nie.

Czekaj, mieczu, sposobniejszej pory.” Ta skaza niezdecydowania powoduje zagładę – nie zamierzoną – Poloniusza i jego córki Ofelii, niegdyś zaręczonej z Hamletem, która znajduje śmierć w nurtach rzeki zupełnie tak samo, jak przed wielu laty dziewczyna imieniem Katarzyna Hamlet.

Dopiero świadomość, że on sam ma paść ofiarą zbrodniczych knowań króla Klaudiusza, wyzwala pierwotną furję i nienawiść w Hamlecie. A wówczas zginie nie tylko król, ale i królowa, matka Hamleta, i syn Poloniusza Laertes, i w końcu on sam – Hamlet. Ci inni nie zginęliby, gdyby Hamlet wykazał większą stanowczość, szybkość w działaniu, umiejętność zadania błyskawicznego, celnego ciocu. A jednak ten bohater nie jest chwiejnym słabeuszem: jest szlachetny właśnie w swym wahaniu, jest postacią tragiczną, która zaskarbia sobie sympatię, i współczucie widzów.

Sztuka pełna jest osobistych refleksji i wspomnień.

Udzielając rad aktorom, którzy mają grać na duńskim dworze, Szekspir krytykuje w istocie rzeczy pompatyczność Alleyna i skłonności Kempa do bawienia publiczności conceptami własnego pomysłu, bez względu na tekst i na współgrających. W całej tej tragedii rozsiane są myśli o smutku, odwadze, przeznaczeniu, wierze i miłości, o godności człowieka:

*„Jak doskonałym tworem jest człowiek!
Jak wielkim przez rozum!
Jak niewyczerpanym w swych zdolnościach!*

*Jak szlachetnym postawą i w poruszeniach!
Czynami podobnym do anioła, pojętnością zbliżonym do bóstwa!
Ozdobą on i zaszczytem świata. Arcytypem wszechjestestw!”*

Dramaturg nie zamykał oczu na sprawy aktualne. Mało kto w Londynie nie rozpoznał w Poloniuszu niedawno zmarłego starego Williama Cecila, Lorda Burleigh, który wydawał się takim nudziarzem młodym galantom na dworze i który zostawił swemu synowi długie, szczegółowe pouczenia. Podobnie czyni Poloniusz wysyłając Laertesu z poselstwem w obce kraje:

*„Nie bądź skorym myśli
wprowadzać w słowa, a zamiarów w czyny.
Bądź popularnym, ale nigdy gminnym.
Przyjaciół, których doświadczysz, a których
wybór okaże się być ciębie godnym,
przykuj do siebie żelaznymi klamry...*

.....
*Nie pożyczaj drugim
ani od drugich: bo pożyczkę daną
tracim najczęściej razem z przyjacielem...”*

Widzowie pierwszych przedstawień „Hamleta” wiedzieli dobrze, jak wiele kłopotów przyczynił królowej Elżbiecie jej niesforny faworyt Essex.

Młody magnat miał dar zdobywania sobie popularności, nie tylko urodą i męstwem, ale także wyszukaną uprzejmością i taktownym zachowaniem.

Ubóstwiali go kupcy, rzemieślnicy, praktykanci, kobiety wszelkich stanów i wszelkiego wieku. Elżbieta bała się utracić swoją własną popularność – którą ceniła najbardziej ze wszystkiego – w konflikcie z popularnością Essexu, gdyby kazała wytoczyć mu proces i oskarżyć go o zdradę stanu w Irlandii. Puściła więc tę sprawę płazem. Will zastanawiał się głęboko nad tym zagadnieniem, choćby dlatego, że obchodziło ono osobiście jego patrona, Złotego Lorda. Widzowie rozumieli doskonale aktualne aluzje w słowach króla Klaudiusza:

*„Jak niebezpieczne jest pozostawienie
tego młodzieńca na wolności, sami
widzimy teraz, niestety, zbyt jasno.
Nie nam tu jednak wypada surowe
stosować środki. On ma zachowanie
u ludu, który nie bierze na rozum,
ale na oko; gdzie zaś to ma miejsce,
tam zwykle bywa ważona na szali
nie wina, ale kara winowajcy.”*

Dick Burbage zdobył zasłużone uznanie rolą Hamleta, którego odtworzył z całą powściągliwością, jaką nakazywał innym aktorom. Dosłownie wżywał się w tę postać; przesiadywał godzinami sam na sam z Willem, doskonaląc intonację każdego zdania, uprawiając się w ten nastrój intymnego zamyślenia, którego Will od niego wymagał przy wygłaszaniu wielkich monologów.

Nadzwyczajna indywidualność aktorska Dicka przyciągała uwagę publiczności na wszystko, cokolwiek mówił czy robił. Prócz tego nigdy nie spychał w cień współgrających z nim aktorów, wiedząc, że ich talenty jeszcze podkreślają jego własny. Nic więc dziwnego, że publiczność teatralna wstawiała i oklaskiwała Hamleta, przyłączając się do hołdu, jaki mu składał wierny przyjaciel Horatio:

*„Pękło cne serce. Dobranoc, mój książę;
niechaj ci do snu nuczą chóry niebian!”*

Rozdział XVIII

Kiedy Złoty Lord powrócił z kampanii irlandzkiej, posłał Willowi wiadomość, żeby go nie odwiedzał. Southamptona nie aresztowano co prawda jak Essex, ale dom jego był pod obserwacją, a każdego, kto tam przychodził, pilnie śledzono.

Essex został ostatecznie, ku ogólnemu zdziwieniu, zwolniony.

Ale Southampton nadal nie życzył sobie odwiedzin Willa. Dotknięty i urażony poeta nie wiedział, co o tym sądzić.

Przed kilku laty, gdy jeszcze był w łaskach, Essex otrzymał przywilej ściągania ceł od słodkich win, importowanych do kraju. Niemalże fortuny rosły na takich przywilejach, które nadawano na określony przeciąg czasu. Właśnie upływał termin.

Powtórne nadanie przywileju tej samej osobie było dowodem szczególnej łaski królewskiej, lecz Elżbieta nie zdradzała ochoty do okazania jej Essexowi i oznajmiła, że w przyszłości ściąganie ceł od importu słodkich win będzie należało wyłącznie do skarbu państwa.

Strata najważniejszego źródła dochodów była dla Essex, dotkliwym ciosem. Gdyby Elżbieta znała jego zamiary, kiedy wojował w Irlandii, odebrałaby mu nie tylko ów przywilej. Gdyż Essex, stojąc na czele znacznych sił wojskowych, planował ni mniej, ni więcej, tylko usunięcie siłą ministrów królowej i mianowanie siebie jedynym i wszechwładnym doradcą Elżbiety.

Kiedy przycichła sprawa słodkich win, zaczęły się nagle ukazywać liczne broszury wychwalające hrabiego Essex, a zniesławiające jego przeciwników. Nawet na murach pałacu królewskiego pojawiły się obraźliwe napisy. Elżbieta zastanawiała się nad ponownym aresztowaniem Essex, ale odradził jej to Francis Bacon, który wkradł się ostatnio w łaski królowej. Bacon był zdania, że tego rodzaju posunięcie jest na razie niewskazane ze względu na olbrzymią popularność Essex i że należałoby poczekać na sposobność, aż dopuści się on jawnego i rażącego wykroczenia, którym można będzie go obciążyć bez żadnych wątpliwości. W tej radzie krył się jadowity podstęp, ponieważ Bacon doskonale wiedział, że królową, zazdrosną o własną popularność u poddanych, doprowadza do pasji najłżejsza wzmianka o możliwym rywalu.

Dnia 8 lutego 1601 roku Will przyszedł „Pod Syrenę” do głębi wzburzony. Natknąwszy się na Bena Jonsona, wybuchnął:

– Coś słyszał? Czyż jest aż tak źle?

– Jak najgorzej. Zbrojni ludzie gromadzą się od świtu w Essex House... O dziesiątej było ich już ponoć trzystu... A Robert Cecil i rząd są przygotowani... na wszystko.

Posłali do Essex, jakiegoś dygnitarza dworskiego, żeby zapytał o przyczynę tego zbrojnego zgromadzenia.

Zamknięto go pod strażą w jednej z izb pałacu hrabiego...

– Ależ to szaleństwo! – przerwał mu Will.

– Czegóż innego spodziewać się można po szaleńcu? – odpowiedział pytaniem Ben. – Czy wiesz, że kiedy przed paru dniami ktoś wspomniał o warunkach, pod jakimi jej królewska mość byłaby

gotowa do zgody, rycerski hrabia wykrzyknął: „Jej warunki są równie koślawe, jak ona sama!”

To szaleniec, powtarzam.

– Southampton, Southampton... – jęknął za całą odpowiedź Will.

– A wiesz, że Essex znosił się w sekrecie z synem Marii Stuart, by wspólnie najechać Anglię?

No, czy to nie szaleniec?

– Ale co się dzisiaj dzieje? – pytał Will w desperacji. – Po co to zbrojne zbiegowisko w Essex House?

– Ty, przyjaciel Southamptona, nie wiesz tego? – zapytał znowu Ben.

– Nie widziałem się z nim od tygodni. Dałby Bóg, żebym mógł go zobaczyć, może bym mu wyperswadował...

Przerwał. Obaj nadstawili uszu, wymienili spojrzenia. Z ulicy dobiegała narastająca wrzawa, tupot końskich kopyt i okrzyki.

– Do królowej! Do królowej!

Uknuto spisek na moje życie! – wołał donośny głos, wysoki, o szlachetnym brzmieniu.

Jonson pierwszy dopadł drzwi, potężną swoją postacią odpychając innych. Will biegł tuż za nim, a Ben odwrócił się do niego, by krzyknąć:

– Jeśli chciałeś widzieć Southamptona, to go masz!

Na czele jechali dwaj hrabiowie, Essex i Southampton, za nimi można było naliczyć wzdłuż ulicy Cheapside ze dwustu może ludzi – połowa z nich konno, połowa pieszo. Essex powtarzał swój krzyk:

– Uknuto spisek na moje życie!

Za mną, przyjaciele! Oczyszcmy królewski dwór z moich wrogów!

Jonson rzekł:

– Mniej ma przyjaciół, niżby sobie życzył!

Za wodzami i ich przyboczną, uzbrojoną drużyną biegło paruset londyńczyków – najwyraźniej gapiów, nie uczestników. Żaden nie miał nawet kija.

Ben i Will wyszli na ulicę i wmieszali się w tłum.

– Essexu wezwano wczoraj, by się stawił przed królewską radą – mówił Ben ściszym głosem do ucha towarzyszowi. – Stronnicy hrabiego byli pewni, że miano go aresztować. Więc Essex udał chorego... Sam widzisz, jaki jest chory...

Teraz Essex wznosił inne okrzyki. Wciąż powtarzał, że spisek zagraża jego życiu, ale zaraz dodawał:

– Chwytajcie za broń, przyjaciele, inaczej na nic mi się nie przydadacie!

Jonson komentował:

– Królowa za dużo mu dała swobody. A teraz Essex przypuszcza albo chce, by inni przypuszczali, że jej ministrowie nastają na jego życie. Może to i prawda, ale Essex lepiej by zrobił, gdyby się schronił pod opiekę królowej, niż bawił się w takie szaleństwa!

– Co się stanie z Southamptonem? – powtarzał Will.

– Taki zdolny, świetny, wspaniały człowiek! Taką miał przyszłość przed sobą! A teraz?

Essex cieszył się popularnością, gdy prowadził wojny za granicami kraju. Ale inaczej to wyglądało, gdy wzywał do rebelii. Wraz z Southamptonem zatrzymał się przed domem szeryfa.

– Szeryf ma do dyspozycji zbrojne i wyćwiczone oddziały;

Essex liczy na jego pomoc! – domyślał się Jonson.

U wylotu ulicy, przy której mieścił się dom szeryfa, przystanęli i obaj aktorzy.

Gapie podeszli trochę bliżej, ale też zatrzymali się na bezpieczną odległość od możliwych zamieszek. Prędko rozeszła się wieść, że szeryf wymknął się z domu tylnym wejściem, przez ogród,

i udał się do Lorda Mayora.

Nagle od strony ulicy Cheapside ukazał się galopujący oddział konnicy z królewskim heroldem na czele, który wołał:

– Hrabia Essex i hrabia Southampton są zdrajcami stanu!

Każdego, kto się do nich przyłączy, spotka kara wymierzana zdrajcom!

Zakotłowało się przed domem szeryfa. Ludzie dosiadali koni.

Essex, Southampton i ich poplecznicy zawrócili. Wołali teraz co innego:

– Infantka hiszpańska została mianowana dziedzicem tronu Anglii! Do broni, obywatele, inaczej

Inkwizycja do nas zawita!

Ale nadal nikt z tłumu nie przyłączał się do nich. Gdy dwaj przywódcy mijali Bena i Willa, ci dostrzegli ich zmarszczone czoła i zaciśnięte wargi.

Tymczasem Essex wciąż wygłaszał wiadomości o infantce, w co nawet łatwowierny tłum londyński nie chciał wierzyć.

– Wie już, że przegrał – rzekł Jonson.

– Żeby pleść takie głupstwa, trzeba być zupełnie pozbawionym humoru! A poczucia humoru ludziom w City nie brakuje – zauważył Will.

– I poczucie humoru niewiele by mu pomogło – burknął Jonson.

– Mylisz się, to najpewniejsza łódź, którą można przepłynąć przez życiowe burze – odrzekł Will; pamiętał, że jego umiejętność widzenia humorystycznej strony własnych nieszczęść ustrzegła go może od obłąkania.

– W chwili próby człowiek klnie, a nie śmieje się – upierał się Ben, który rozumiał sytuacje komediowe, ale osobiście nie miał poczucia humoru. Z siebie samego śmiać się na pewno nie potrafił.

– TO zależy od człowieka – odrzekł Will. – Wielkim i możliwym tego świata rzadko dano poczucie humoru. Inaczej ich własne pozy za bardzo by ich śmieszyły. W całej naszej historii jedna tylko Elżbieta posiada może ten cenny dar, a i ona często go tłumi, bo śmiać się z samego siebie uchodzi za lekkomyślność.

Tłumy, a wraz z nimi Ben i Will, szły w bezpiecznej odległości za buntownikami z powrotem do City. Tuż przed katedrą Św. Pawła przeciągnięto łańcuch wszerz ulicy, a za łańcuchem stanął oddział muszkieterów Sir Johna Levesona. Essex dobył szabli, wołając:

– Na nich! Banda najmitów nie wzbroni mi wejścia do własnego domu!

Starli się. Sir Christopher Blount, młody ojczym Essexu, zabił muszkietera pchnięciem szpady, ale natychmiast inni otoczyli go, zranili i wzięli do niewoli. Rozległy się strzały, zabito kilka osób w tłumie, kula przeszła kapelusze Essexu.

Niektórzy z jego własnej drużyny zaczęli się wymykać.

– Ma dość! – zauważył Jonson.

– Patrz, ucieka w stronę rzeki!

Istotnie, Essex, Southampton i bardzo już nieliczna grupa jeźdźców wspięli konie i odjechali galopem.

Will z ciężkim sercem, świadom, że jego Złotemu Lordowi grozi kara śmierci, pozwolił się Benowi zaprowadzić z powrotem „Pod Syrenę”. Szli ulicami pełnymi podnieconych, niespokojnych tłumów. Z największym trudem przecisnęli się do tawerny.

Przez resztę dnia napływały tam coraz to nowe wiadomości.

Essex po powrocie do swego pałacu przekonał się, że więźniów oswobodzono... Essex zdążył spalić kompromitujące papiery... Jego pałac otoczono, oblegają go regularne oddziały pod wodzą

Lorda Admirala i Sir Waltera Raleigha... Ale Essex nie chce słyszeć o poddaniu.

– Czy nikt nie wie, co o tym wszystkim myśli jej królewska mość? – spytał Will.

– Jest bardzo spokojna – odpowiedział jeden z dworzan. – Przyniesiono jej wiadomość o rebelii, gdy siedziała przy posiłku. Powiedziała, że Bóg, który ją na tron wprowadził, na tronie ją zachowa, i dalej jadła z bardzo dobrym apetytem.

Biorąc przykład z królowej, Will poszedł do domu i zabrał się do pracy nad sztuką, którą podówczas pisał – „Troilus i Kresyda”. Około północy Krzysztof Mountjoy zastukał cicho do drzwi jego pokoju. Nie otrzymał odpowiedzi. Zastukał jeszcze raz. Cisza. Ostrożnie otworzył drzwi i zajrzał. Will siedział za stołem i pisał, a wokoło, na stole i na podłodze, piętrzyły się stosy kart manuskryptu. Nawet głowy nie podniósł.

– Sądziłem, że pan zechce usłyszeć najświeższe nowiny – powiedział szeptem Mountjoy.

Will drgnął, jak gdyby budził się z transu.

– Oczywiście, oczywiście, proszę wejść, panie Mountjoy!

– Około dziesiątej wieczorem Essex i Southampton wyszli z pałacu i na klęczkach oddali swe szpady Lordowi Admiralowi.

Will nic nie odrzekł. Widział w wyobraźni, jak Złotego Lorda wraz z Essexem wprowadzono do Tower Bramą Zdrajców... Po głowie snuły mu się wiersze, które w „Henryku VI” włożył w usta „twórcy królów”, Warwicka, umierającego od rany odniesionej w domowych zamieszkach:

*„Teraz ma chwała w krwi leży i prochu!
Parki, chłodniki moje mnie rzucają,
z wszystkich mych włości tylko mi zostało,
ile na ciała mego trzeba długość.
Czym chwała, berło? Garstką tylko błota...”*

Lata te, w oczekiwaniu śmierci Elżbiety, były bogate w zdarzenia zwiastujące wielkie zmiany. Ale Will – coraz pewniejszy swego pióra w służbie kompanii aktorskiej, coraz mniej zaprzątnięty burzami miłości i przyjaźni, coraz bardziej zamknięty w sobie i zamyślony – zapamiętał się w pracy twórczej.

„Wesołe kumoszki z Windsoru” powstały w dwa tygodnie. Królowa wyraziła życzenie obejrzenia zakochanego Falstaffa, Will napisał zatem komedię, której tłem są okolice zamku Windsor.

Wesoła i dowcipna sztuka spodobała się nie tylko na dworze, ale i publiczności – teatru „Globe”.

Jeszcze jedną sztukę – „Wieczór Trzech Króli” – wystawiono najpierw w pałacu Whitehall, przed królową i jej znamienitym gościem, włoskim księciem Bracciano. Wzniesiono piętrowe balkony dla widzów wokół ścian wielkiej sali bankietowej, zostawiając pośrodku wolną przestrzeń kształtu prostokąta dla aktorów – po obu stronach tej umownej sceny mieściły się symboliczne domy. Elżbieta zasiadła na fotelu pod baldachimem, wszyscy widzowie byli barwnie wystrojeni, osypani klejnotami, prócz panien dworskich, których dziewiczo białe suknie były przedmiotem niejednego złośliwego żartu wśród aktorów czekających na swoje występy.

„Wieczór Trzech Króli” to utwór pełen lirycznej poezji i radości życia. Jedną z postaci była wzorowana w sposób łatwy do rozpoznania, dowcipny, lecz nie złośliwy, na Lordzie Knollys, dygnitarzu, którego młodszy dworzanie nie lubili z powodu jego zarozumiałości i purytańskich skłonności. Jako Malvolia, intendenta bogatej hrabiny Oliwii, oszukuje go pokojowa, dowodząc, że jej pani jest w nim zakochana, co budziło serdeczny śmiech na widowni.

Gości włoskich, którym często wymykała się dowcipna gra słów, oczarowały pełne wdzięku pieśni:

*„Miłość, o droga, jutra nie czeka,
bo śmiech i radość dzisiaj ucieka,
kto wie, co jutro urodzi.
Kto wciąż ucieka, umiera z głodu,
więc daj mi, droga; ust twoich miodu,
bo młodość jak kwiat przechodzi.”*

Prawdę ostatnich słów tej piosenki Will zaczynał osobiście odczuwać. Liczył lat trzydzieści siedem. O nieuchronności mijającego czasu, o śmierci przypominała mu też wiadomość ze Stratfordu – umarł jego ojciec.

Bywały chwile, kiedy niezaradność starego Szekspira irytowała Willa, ale kochał szczerze wielkoduszne serce, które było przyczyną tylu kłopotów.

Tymczasem człowiek młodszy od Willa, człowiek, do którego życie się uśmiechało wspaniałymi obietnicami, hrabia Southampton, męczył się w więzieniu w Tower.

Niewielkie było prawdopodobieństwo, by stamtąd wyszedł, dopóki żyła Elżbieta.

Ale mimo wszystko mógł mieć nadzieję. Jego przyjaciel i wódz, Essex, był już poza nadzieją, poza wszelkimi doznaniem. Wobec swych sędziów zachował się z odwagą i godnością, ale kiedy – głównie wskutek mowy oskarżycielskiej swego dawnego protegowanego, podstępnego Bacona – skazano go na śmierć, Essex załamał się.

Wyznawał w rozpacz swojej winę, oskarżał współników, łącznie ze swym ojczymem i siostrą, o namawianie go do buntu. Stojąc już na pomoście, w obliczu kata – ubrany w czarny kaftan i kapelusz, w szkarłatnej kamizelce – ze skrucą powiedział, iż „ponosiły go pycha, próżność i umiłowanie doczesnych rozkoszy”.

Trzykrotnie musiał kat zamachnąć się toporem, nim wreszcie odciął głowę Essexu. Następnie wedle zwyczaju, podniósł ją za włosy i zawołał: „Boże, chroń królową!”

Tragiczny epizod śmierci Essexu – gdyż był to tylko epizod w ówczesnym życiu politycznym – miał jednak szczególną wymowę, jako symbol tragedii epoki.

Śmierć ojca, uwięzienie Złotego Lorda, ogólny nastrój niepewności w kraju – wszystko to pogłębiło jeszcze udrczenie umysłu, w jakim Will wówczas żył i tworzył. Następną sztukę zatytułował jednak „Wszystko dobre, co kończy się dobrze”.

– Zapłaciłem za to pięć razy więcej niż za dom, nie licząc oczywiście odbudowy – rzekł Will stojąc pod wysokim żywopłotem ogradzającym część czterdziestu trzech hektarów ziemi, którą kupił i oglądał teraz z żoną i córkami.

– Muszę przyznać, że posiadanie ziemi daje mi uczucie pewności, zabezpieczenia – mówiła Anna. – Ziemia! Niczego nie można porównać z posiadaniem ziemi.

– Co z tą ziemią zrobimy? – pytała Judyta.

– Po co tak niemądrze pytasz? – odrzekła Zuzanna. – Przecież jest wydzierżawiona. My będziemy tylko odbierać tenutę.

– Upatrzyłem sobie jeszcze kawałek – objaśnił Will. – Będzie z tego dochód, kiedy ja już...

– Zyskamy na znaczeniu w oczach przyszłych konkurentów – przerwała mu Zuzanna zwracając się

do Judyty.

Na gościńcu za żywoplotem rozległ się w oddali tętent kopyt końskich i zbliżał się szybko.

– Ty i twoi konkurenci! – odrzekła niecierpliwie Judyta. – O niczym innym w ogóle nie myślisz.

I dlaczego ziemia miałyby dodać nam znaczenia?

Jakby nie dość było, że tatuś jest tak znamienitym człowiekiem!

Will podniósł rękę nakazującym gestem. Umilkły. Za żywoplotem wstrzymano wierzchowce.

Dolatywały stamtąd głosy.

– Tę ziemię kupił niedawno pan Szekspir – objaśniał jeden głos.

– Jeszcze mu nie dość, że ma najpiękniejszy dom w całym Stratfordzie i że nadano mu herb? –

zapytał drugi głos.

Rozmawiali dwaj mężczyźni, akcentem prowincjonalnym, ale jak ludzie wykształceni – bez wątpienia ziemianie.

– Ambitnemu niczego nie dość – odparł pierwszy głos. – Ziemia doda mu znaczenia wśród nas.

– Słucznie. Nic nie dorówna posiadaniu ziemi – powtórzył drugi jak echo słów Anny.

Judyta parsknęła śmiechem.

Zuzanna zmarszczyła czoło i położyła palec na ustach. Will uśmiechnął się, ale również nakazał milczenie. Dialog za żywoplotem toczył się dalej.

– Aktorzy i poeci mają może znaczenie w Londynie. My tutaj mamy własne o nich zdanie.

– Teatry to rzecz szkodliwa.

Mam nadzieję doczekać się chwili, kiedy je pozamykają.

Tylko deprawują młodzież.

– Bo ostatecznie cóż to jest komedia? Nie uprawisz tego, nie obsiejesz, bydłęcia nie napasiesz, w dzierżawę za dobrą tenutę nie oddasz.

– A ziemia? Kto ma ziemię, ma i gotówkę, i znaczenie.

– Tak, z tą ziemią i ze szlacheckim herbem pan Szekspir znajdzie miejsce między najpierwszymi.

– Słyszałem, że przyjechał do Stratfordu. Myślę go odwiedzić.

Dwaj mężczyźni popędzili wierzchowce i wkrótce pogalopowali dalej. Will uśmiechał się, ale jakoś krzywo.

– A w chwili gdy nie będę mógł kupować więcej ziemi albo okoliczności mnie zmuszą do sprzedaży, nie zechcą mnie znać – powiedział wspominając ojcowskie doświadczenia. – Dramaty, poezje – nic nie znaczą. Rodzą się w głowie. Ale ziemia mówi o pieniądzach i każdy rozumie ten głos.

Anna zmarszczyła czoło.

– Nie możemy się obejść bez pieniędzy – powiedziała.

– Dlatego właśnie harowałem do upadłego i jeszcze będę harował, aby zebrać jak najwięcej pieniędzy – odparł Will z niezwykłą szorstkością. – Ale pieniądz pożera ludzi i zatruwa ich, jak tych zacnych ichmościów, którzy wybierają się do nas z wizytą.

Do tego tematu Will miał niebawem powrócić w „Tytonie Ateńczyku”.

„Cóż to jest? złoto? żółte i świecące,
kosztowne złoto?.....

Na co to, bogi? To zdolne odciągnąć
kapłanów waszych od waszych ołtarzy,
wyrwać poduszkę spod głów zdrowych ludzi.

Złoty niewolnik ten wiąże i zrywa
ludzkie przysięgi, przeklętych poświęca,

każe ubóstwiać wstrętą trędowatość,
złodziejom daje godność i pokłony,

na senatorskiej ławie ich osadza...”

Dwunastu członków kompanii aktorskiej maszerowało w pochodzie od Tower of London do Westminsteru. Will siedł w jednym rzędzie z Dickiem Burbage, Henrykiem Condellem i Jamesem Heminge'em. Każdy z tych dwunastu został niedawno mianowany „prywatnym kamerdynerem” dworu i otrzymał cztery i pół jarda szkarłatnego sukna na sporządzenie odświętnego stroju, który mieli teraz na sobie. Will irytował się na mianowanie i szkarłatny kaftan, który nazywał „liberią śmieszności”.

Ceremonialna procesja odbywała się z racji uroczystego wjazdu do Londynu króla Jakuba Pierwszego, do niedawna Jakuba Szóstego szkockiego, syna Marii Stuart.

– Dziwne się wydaje – mówił Dick Burbage – mieć na tronie króla.

– Przeszło pół wieku minęło od śmierci Henryka Ósmego – dodał Heminge. – A on był właściwie naszym ostatnim męskim monarchą.

– Elżbieta żyła za długo – rozważał Condell. – Przeżyła swoją chwałę.

– Pod koniec życia zrobiła się histeryczką – przyznał Dick. – Wpadała w pasję z lada przyczyny, tupiała nogami, cięła i darła arrasy.

– Wiedziała, że koniec nadchodzi, i to się jej bynajmniej nie podobało – zauważył Condell. – Jak na jej gust, za dużo spotka monarchów tam, dokąd poszła!

– Nie wiadomo, dokąd poszła – wtrącił Will.

– Nie bądź niesprawiedliwy! – rzekł Heminge. – Pomyśl, że objęła władzę w królestwie biednym i bez żadnego znaczenia w świecie. Zostawiła je w dobrobycie i otoczone szacunkiem.

– Anglia była całym jej światem – zgodził się Dick. – Nigdy nie opuściła ziemi angielskiej ani na jeden dzień.

Mało monarchów służyło swemu krajowi i swoim poddanym z takim poświęceniem.

– I mało monarchów tak wyzyskiwało swoich ministrów – dodał Will.

– Czemuś taki surowy dzisiaj? – zapytał Heminge.

– Nikt mnie nie prześcignie w uznaniu zasług Elżbiety – odparł Will. – Chcę tylko przypomnieć, że była kobietą – nie boginią ani świętą.

– Co prawda, za długo trzymała nas w niepewności, czy po jej zgonie nie wybuchnie wojna domowa o następstwo tronu – dodał Dick.

– „Chociaż Bóg wzniósł mnie wysoko – Will zacytował ostatnie oficjalne przemówienie Elżbiety – jednakże za chwałę mego panowania liczę to, iż królowałam z waszą miłością...

Nie pragnęłabym żyć ani panować dłużej, niż wymagałoby tego wasze dobro”. Mowa brzmi trochę teatralnie, ale wyznaję, że to piękne słowa.

– Cóż to był za dzień, kiedy umarła! – rzekł Condell. – Wojna domowa wisiła w powietrzu, dopóki nie dowiedzieliśmy się, że nikt nie kwestionuje praw Jakuba. A bałem się jakiegoś wybryku Raleigha!

– Król też – mruknął Will.

– Ale kiedy wieczorem z wieżyczki teatru zobaczyliśmy ogień zapalający się wzdłuż brzegów Tamizy, odetchnąłem z ulgą – ciągnął Condell.

– Sztuki historyczne Willa nauczyły londyńczyków bać się wojny domowej – zauważył Dick.

– Ale słuchaj, Willu, nie napisałeś ody pośmiertnej ku czci Elżbiety – przypomniał Condell.

– Skazała na dożywotnie więzienie mego przyjaciela, a na śmierć jego towarzysza broni – odparł Will.

– Miała na to słuszne i wystarczające powody, sam przyznasz – rzekł Heminge.

– Ale co by mój przyjaciel pomyślał, gdybym zaczął chwalić jego dręczycielkę? – zapytał Will.

Nikt mu nie odpowiedział.

Mieszkańcy Londynu wylegli tysiącami na ulice miasta, by powitać nowego króla. Jakub rządził już od paru miesięcy, ale morowa zaraza wypędziła go ze stolicy, zanim mógł wystąpić publicznie. Aktorzy, mianowani przez króla jego „kamerdynerami” i nazwani „Sługami Królewskimi” zamiast „Sługami Lorda Szambelana”, byli zbyt przezorni, by krytykować nowego władcę. Był to młodo wyglądający mężczyzna lat trzydziestu kilku, o jasnych, jakby wypłowiałych włosach i kobiecej cerze. Nie odziedziczył ani urody swojej matki, ani jej fizycznej odporności. Czoło miał zbyt wypukłe, mówił twardym szkockim akcentem, nogami powłóczył tak, że nie mógł chodzić bez pomocy.

Przed trzynastu laty poślubił Annę, księżniczkę duńską, i wierzył, że czarownice wywołały burzę na morzu, która opóźniła jej przyjazd do Szkocji. Poza wielkimi uroczystościami dworskimi Anna rzadko kiedy pojawiała się u jego boku. Wolał towarzystwo ładnych, młodych chłopców, upudrowanych i uróżowanych.

Cokolwiek Will myślał o uwięzieniu Złotego Lorda przez Elżbietę, zdawał sobie doskonale sprawę, chociaż o tym nie mówił, że ten król, pozbawiony godności osobistej, ograniczony, drobiazgowy i złośliwy, nie przysporzy krajowi wielkości, a raczej roztrwoni to, co zyskała „dziewicza królowa”.

– W każdym razie Southampton spocznie teraz na puchowym łożu – rzekł Heminge, gdy podchodzili do katedry westminsterskiej. – Elżbieta jeszcze nie ostygła, a on już odzyskał wolność...

– I ruszył do Szkocji na spotkanie króla – dodał Condell.

Will powstrzymał się od uwagi, że wszyscy, którzy przeciwstawiali się zmarłej królowej, będą teraz w łaskach.

Natomiast dawni faworyci – prócz Roberta Cecila, który postarał się o to, by nawiązać stosunki z Jakubem jeszcze za życia swojej pani – będą mogli uważać się za szczęśliwych, jeśli nie znajdą się w więzieniu. Raleigha to nie ominęło. Natychmiast oskarżono go o spisek i wtrącono do Tower, gdzie próbował popełnić samobójstwo. Nie dopuszczono do tego, ale skazano go na śmierć, który to wyrok odkładano później z roku na rok. Raleigh siedział długo w więzieniu, gdzie przeprowadzał eksperymenty chemiczne, pisał „Historię świata” i wysłał przepiękne listy do swojej ukochanej Bess.

Southampton, w całej swej wspaniałości, przybrany z nadmierną może jaskrawością, jechał przed królem piastując jego miecz.

– Co król zyska, to ja stracę – rzekł posępnie Will.

– Ależ Southampton nie zapomni z pewnością o tobie! – zawołał Dick.

– Może i nie zapomni. Ale kamerdyner to kamerdyner, a faworyt królewski to faworyt królewski.

– Ten król już nam przysporzył znacznych korzyści – przypomniał Heminge.

– Dostajemy dwadzieścia funtów za dworskie przedstawienie zamiast dawnych dziesięciu – rzekł Dick.

– A kiedy graliśmy w Wilton House, dostaliśmy nawet trzydzieści – dodał Condell.

Miał na myśli niedawne przedstawienie – kiedy w Londynie zapanował popłoch z powodu zarazy – w wiejskiej siedzibie Williama Herberta, hrabiego Pembroke, jeszcze jednego z tych, którzy, odsunięci za panowania Elżbiety, od razu zyskali łaskę Jakuba.

Krół przebywał w Wilton House, a hrabia okazał duże zainteresowanie sprawami kompanii aktorskiej, zwłaszcza ich sławnym dramaturgiem.

Ale wzgląd na finansowe korzyści nie rozchmurzył czoła Willa. Był w posepnym usposobieniu, a nastrój ten rzucał cień na sztukę, którą pisał – „Miarka za miarkę” – opartą na włoskiej historyjce w stylu Boccaccia. Tematem jej były sprawiedliwość, miłosierdzie i przebaczenie.

Will zawsze nienawidził niesprawiedliwości i hipokryzji, toteż sztuka zawiera wiele gorzkich i surowych myśli.

Łagodzi ją tylko urok miłosnych pieśni:

*„O, odwróć usta, co mi fałszywe
przysięgi słodko kłamały,
i oczy, których płomienie żywe
jutrzenkę oszukiwały,
lecz zwróć całunki, uczuć zadatki,
uczuć zadatki,
miłości naszej fałszywe świadki,
fałszywe świadki!”*

Rozdział XIX

Dobiegając czterdziestki, Will Szekspir mógł się wydawać oczom świata człowiekiem, który osiągnął złoty wiek swego życia.

Szanowany jako aktor, uznany był za najwybitniejszego z żyjących w swoim drugim, a stokroć ważniejszym zawodzie – dramaturga. Zebrał niezłą fortunę, zaopatrzył rodzinę i zabezpieczył się na starość.

Dawna pogarda uniwersyteckich krytyków zmieniła się teraz tak radykalnie, że mało który z profesorów nie był jego wielbicielem. Pracował w zespole aktorskim nadzwyczaj dobranym i zgodnym, samodzielnie finansowo, jednym i tym samym od początku jego kariery.

A jednak pesymistyczny, pełen udręki nastrój, w którym pisał „Troilusa i Kresydę”, „Wszystko dobre, co kończy się dobrze” i „Miarka za miarkę” – nie opuszczał poety. Miał żonę i kochankę, a jednak nie zaznał w swym życiu wielkiej, odwzajemnionej miłości. Utracił jedyne syna, którego zaledwie zresztą znał. Przyjaźń, chociaż nawiązana ponownie, zawiodła go.

U swej żony, kochanki, i uwielbianego przyjaciela spotkał się z egoizmem, jako cechą charakteru dominującą nad wszystkimi innymi. Patrzył, jak Essex i Southampton, przeznaczeni zdawałoby się do wielkich rzeczy, zmarnowali swoje zdolności w intrygach, wiodących pod topór katedry i do więzienia. W sobie widział potencjalne możliwości zła, chociażby tylko w triumfie zmysłowych pożądań nad intelektem i lepszą stroną swojej natury. A więc, czy natura ludzka, zapytywał sam siebie, nie jest zasadniczo nikczemna? Czy człowiek, wbrew panegirynom Hamleta, jest nie najwyższym wzorcem doskonałości, lecz najnikczemniejszym ze stworzeń? Will był bliski pesymizmu i rozpacz, co mogło się fatalnie odbić na jego dalszej twórczości.

„Rzetelnym bądź sam względem siebie” – kazał powiedzieć Poloniuszowi. Nadeszła chwila na taką właśnie rzetelność – inaczej na resztę życia będzie musiał nienawidzić własnego moralnego tchórzostwa. Musi stanąć twarzą w twarz z najwyższymi i najgłębszymi zagadnieniami życia i śmierci, musi przeanalizować tajemnice istnienia, przyczyny zła, motywy cnót i wydobyć z piekła rozpacz wiare w możliwość moralnego dobra.

„Nieśmy ten ciężar, co los na nas wkłada,
mówmy, co czuję, a nie co wypada.”

(Cytat z „Króla Lira” w przekładzie Zofii Siwickiej.)

Zaczął ten rozrachunek od „Hamleta”, ale na pewien czas porzucił olbrzymie zadanie, by wypełnić swe obowiązki wobec współników i publiczności. I to poczucie spełnionego obowiązku ratowało go od ostatecznej depresji.

W najgłębszej udręce umysłu zabrał się do pisania tragedii, której bohater Otello – prosty, szlachetny, godny miłości i kochający – morduje swą ukochaną Desdemonę za sprawą przewrotnego Jagona. Tworząc Jagona, obnażając jego podłość, Will zgłębił najtajniejsze zakamarki, gdzie rodzi się zło, a zgłębiając, wyegzorcyzmował przerażenie, którym go napełniały.

W tym czasie nastąpił koniec długiego, męczącego romansu Willa z Czarną Damą. Wiedział, że powinien był go zakończyć już dawno temu. Nieraz, gdy czynił jej ostre wymówki, odrzucała go.

Potem napady tęsknoty wyrzywały mu słowa namiętnego pożądania, które zyskiwały mu ponowny dostęp do jej zbyt łatwych łask.

I tak przez dziesięć lat trwały te wędrówki między piekłem a niebem. Aż wreszcie jej nowa, jawna zdrada położyła kres nie tylko tej miłości, ale i wszelkim tego rodzaju związkom.

W porywie namiętnego gniewu Will chwycił za pióro, wziął manuskrypt „Otella” i ustami Murzyna wyrzucał z siebie wściekłą zazdrość, która go torturowała:

*„O ty chwaście,
tak wdzięcznie piękny, tak słodko pachnący,
że aż odurzasz; bogdajbyś był nigdy
na świat nie przyszedł!*

.....

*O gminna sprośnico!
W hutnicze piece zmieniłbym me lica
i srom mój w popiół obrócić bym musiał,
gdybym o twoich czynach wspomniał tylko.”*

Nie były to słowa człowieka czynu, lecz zrozpaczonego poety.

Ale dramaturg nie stracił z oczu swojego celu: pokazać szlachetność triumfującą – nawet w samobójstwie – nad złem.

Otello postępuje okrutnie, ale tak ohydna jest szatańskość Jagona, że widzowie obdarzają Murzyna bez zastrzeżeń swoją sympatią, potępiając podłość i współczując oszukanej, szlachetnej prostocie, świadomej własnych błędów. Otello mówi przed samobójczą śmiercią:

*„Wystaw mnie proszę takim, jakim jestem;
nie ujmij ani nie dodaj niczego.
Przyjdzie ci przeto mówić o człowieku,
co nieroztropnie, ale bardzo kochał...”*

Latem roku 1605, w czasie pobytu w Stratfordzie, Will przeprowadził największą ze swoich transakcji – nabył ziemię, która przynosiła rodzinie sześćdziesiąt funtów tenuty dzierżawnej. Jego stratfordzkie dochody wzrosły niepomniernie; dochody londyńskie zwiększyły się też wraz z powodzeniem spółki aktorskiej i wynosiły od dwustu do trzystu funtów rocznie. Dom na ulicy Henley od śmierci ojca także do niego należał, ale zajmowała go matka schorowana ostatnio i słaba.

Will przyszedł ją któregoś dnia odwiedzić razem z żoną i córkami.

– To pewna, że skorzystałeś z doświadczeń twego ojca – powiedziała Mary Szekspir. – Przewornie się obchodzisz z pieniędzmi.

– Inwestuję tylko w te rzeczy, na których coś niecoś się rozumiem – odrzekł syn. – Domy, ziemia, przedsiębiorstwa teatralne...

– Cieszy mnie, że tak umiejętnie gromadzisz fortunę – rzekła z uznaniem matka. – Będiesz jej potrzebował pewnego pięknego dnia, gdy znużysz się wielkim miastem, w którym teraz żyjesz.

– Myśmy tu nieraz potrzebowali pieniędzy i nie wiedzieliśmy, że on je ma, dopóki nie zaczął urzeczywistniać swoich wielkich planów – mruknęła Anna.

– Mamo! – wykrzyknęła Zuzanna.

– Jak możesz tak mówić!

Anna gniewnie podniosła głowę.

– Pan Will Szekspir jest wybornym aktorem! – rzekła szyderczo. – Pan Will Szekspir jest wyśmienitym dramaturgiem.

Pan Will Szekspir ma głowę do interesów. Och, mam tego dość, aż do mdłości! Bo pan Will Szekspir na całe lata porzucił żonę i córki, by same sobie radziły, to trzeba przede wszystkim dodać.

Mięła w dłoniach rękawiczki, sama zdziwiona swoim nagłym wybuchem, nagłym obnażeniem dawnych, najtajniejszych myśli.

Na chwilę zapanowało zgorzzone milczenie.

– Oczekiwałem więcej zrozumienia od ciebie, Anno – powiedział w końcu Will.

– A jakie zrozumienie ty nam okazałeś? – odparła gwałtownie Anna. – Pamiętam, w jakiej żyłyśmy biedzie...

– Ja też byłem w biedzie w tych czasach – powiedział pojednawczo Will. – Dostałyście pieniądze, kiedy tylko mogłem je posłać.

– A teraz od dawna mamy więcej niż ktokolwiek w mieście, mamo! – dodała Judyta.

– Posyłałeś pieniądze! – krzyknęła Anna. – Powinieneś być tu, w domu, tu zarabiać i opiekować się nami jak inni mężowie!

Dziewczęta spojrzały z przestrachem na ojca. Will lekkim znakiem głowy wskazał im drzwi. Obie wstały i spojrzawszy na babkę, wyszły.

– Głupia z ciebie kobieta – powiedziała Mary Szekspir spokojnym, ale stanowczym tonem.

– Gdyby twój mąż tu został i przez całe życie sprzedawał rękawiczki, czy przyszłabyś dziś do mnie tak wystrojona, jak w tej chwili? I czy mielibyście New Place? Czy byłabyś szanowana w całym mieście jako żona poważnego ziemianina?

– Szanowana przez jednych, a pogardzana przez innych, którzy mają purytańskie poglądy – odparła Anna. – Ziemianin! Ale i aktor także! Równie dobrze można być błaznem!

– Sama nie wiesz, co mówisz – oznajmiła Mary Szekspir; ujęła synową za ramię i potrząsnęła nią mocno.

– Wiem, co mówię! – krzyknęła Anna wrywając się. – Pewno powinnam być wdzięczna za to, że jestem żoną Willa Szekspira, że mieszkam w New Place, że mam stroje? Otóż nie! Tysiąc razy wolałabym być żoną ubogiego, uczciwego człowieka, który żyje ze swą rodziną! Wy myślicie, że ja nie wiem, jakie życie on prowadzi w Londynie? Cały Stratford wie. Z jego wielmożnymi przyjaciółmi, którzy trafiają do więzienia, i z kochankami!

– Nic nie masz do powiedzenia, Willu? – spytała matka.

– Nie lubię awantur – odrzekł obojętnie. – A nade wszystko scen małżeńskich.

Ale jeśli mało mówił, myślał o tym intensywnie i podjął temat niewdzięczności w następnej swojej sztuce, przeobraziwszy niewdzięczność żony na niewdzięczność córek. Z legendarnej prehistorii Brytanii, spisanej przez Holinsheda i innych dawnych pisarzy, zaczerpnął dzieje króla Lira. Miał też świeżo w pamięci niedolę jednego z podopiecznych królowej Elżbiety. Sir Brian Annesley miał trzy córki; dwie starsze usiłowały umieścić ojca w zakładzie dla obłąkanych, aby zawładnąć jego dobrami. Jedna tylko, najmłodsza, sprzeciwiała się tym niecnym zamiarom, ale ojciec w końcu rzeczywiście stracił zmysły w rezultacie okropnych przeżyć i czarnej niewdzięczności swoich dzieci.

W tragedii również występują dwie starsze córki króla Lira, niewdzięczne i podstępne, które udają gorącą miłość do ojca, i trzecia – Kordelia, łagodna i szlachetna, która nie poniża się do wyrażania głośno swoich uczuć i z tego powodu przez jakiś czas Lir odnosi się do niej z niechęcią. Drugoplanowy wątek pokazuje innego ojca, księcia Gloucester, podstępnie oszukanego przez swego bękarta, który go doprowadza do wydziedziczenia prawego syna.

Całość jest wstrząsającą tragedią na temat stosunków między rodzicami i dziećmi – rodzice, oszukani pozorami, odtrącają prawdę, dzieci, podniecane chciwością, prześcigają się w złem.

Jest to również tragedia pełna okrucieństw. Księcia Gloucester oślepiają; jego prawy syn zabija bękarta; jedna ze złych córek Lira truje siostrę i popełnia samobójstwo; Kordelia ginie, zdradziecko powieszona, a Lir, oszalały z rozpacz, umiera w obłąkaniu.

Z zasadniczym wątkiem niewdzięczności i stosunków między rodzicami a dziećmi wiążą się tematy poboczne: fałsz kryjący się w wyznaniach uczuć, wstręt do miłości i płodzenia dzieci – wszystko to każe wykrzyknąć Lirowi wypędzonemu przez bezlitosne córki z domu w czasie burzy:

*„Dmijcie, wichryzyska, aż wam miechy pękną!
Dmijcie, wściekajcie się! Plujcie powodzią
wy, katarakty, i wy, huragany,
aż zatopicie wieże po szczyt kopuł!
Wy, siarką tchnące, jak myśl chyże błyski,
zwiastuny dęby druzgocących beltów,
osmalcie biały mój włos! A ty, gromie,
wszystko niszczący, splaszcz twarde krąg świata,
zgnieć wszelkie kształty przyrodzenia, zniwecz
wszelkie zarody niewdzięcznej ludzkości!”*

A jednak Will walczy przeciwko rozpacz i nie przekreśla wszystkich wartości człowieka.

Wśród przeciwności losu Lir pojmuje, jak cierpią bezdomni od niełaskawej przyrody, i żałuje, że za mało się troszczył o „bezdomną biedę”. Kobiety stają obnażone, bez masek, ale kobiecość znajduje rozgrzeszenie w postaci Kordelii. Większość znacznych ludzi w tej tragedii spotyka straszny koniec, ale w samym ich cierpieniu jest wielkość, która budzi z kolei szlachetne uczucia miłosierdzia i gotowość do poświęceń. Książę Albanii, mąż złej córki Lira Goneryli, nie stanął po jej stronie w okrutnym traktowaniu ojca i obejmując królestwo, rozkazuje:

*„Niech każdy przyjaciel?
Cnót swych dank znajdzie,
każdy nieprzyjaciel
kielich goryczy.”*

Próby nowej sztuki – „Makbeta” – szły rozpaczliwie. Dwaj aktorzy nie przyszli wymawiając się błahymi pozorami. Dick Burbage i Will z trudem usiłowali odtworzyć tragedię człowieka, który, choć szlachetny, ulega pokusom ambicji i daje się pociągnąć od morderstwa do morderstwa w beznadziejnych usiłowaniach utorowania sobie drogi do tronu, w chwilach wahania popędzany bezwzględnością i okrucieństwem żony. Wreszcie osiąga obojga zasłużona kara. Zła królowa umiera, Makbet ginie w rozstrzygającej jego losy bitwie.

– Powtórzyć tę scenę – rzekł Dick Burbage. – Lady Makbet musi budzić grozę. Jej zbrodnie pozbawiły ją zmysłów, ale dusza gorzko ich żałuje, nie z powodu świadomości zła, tylko ze strachu.

Lekarz i jedna z dam pałacowych śledzą Lady Makbet, która chodzi we śnie jak lunatyczka, wykonuje dziwne ruchy i mówi budzące grozę słowa. Rolę jej grał młody praktykant aktorski; kiedy wszedł na scenę ze świecą w ręku, a lekarz zauważył: „Patrz, pani, jak sobie ręce obciera!” – Dick krzyknął:

– Co z tym obcieraniem rąk?

Czy ty w ogóle nie uważasz na tekst?

Praktykant rzucił świecę na podłogę.

– A jak mam niby trzymać tę świecę, kapiącą gorącym woskiem, i jednocześnie ręce sobie obcierać? – zaprotestował.

– No, może masz rację – przyznał Burbage. – Willu, musisz coś na to poradzić.

Zdecydowano, że Lady Makbet, chodząc jak błędna po scenie, powinna w pewnym momencie odstawić świecę na bok. Ale Dick, grający Makbeta, wciąż wynajdywał nowe błędy. Kiedy dotarli do sceny, w której oficer zawiadamia Makbeta, że jego żona nie żyje, a ten kwituje jego słowa jednym zdaniem: „Powinna była umrzeć nieco później” – Dick zawołał:

– Tak być nie może! Musisz tu coś zmienić, Willu. Nie mogę jednym zdaniem rozprawić się ze śmiercią własnej żony i od razu zabrać się do innych spraw!

Muszę tu mieć jeszcze coś do powiedzenia. I to wcale niepodobne do ciebie, aby tak przeskakiwać z jednego tematu na drugi, bez żadnego ogniwa, bez żadnej pauzy. Wykombinuj tu jakąś przemowę – może coś o moim dawnym małżeńskim szczęściu? I tak mam za mało do powiedzenia w ostatnim akcie. Widzowie zapomną, że moja rola miała być główną.

– Zrobię, co się da – obiecał Will. – Wy tymczasem powtórzcie jeszcze raz scenę czwartego aktu z czarownicami.

Will wyszedł, a trzech aktorzy, grający role czarownic, zebrali się wokół stołka, który wyobrażał kocioł, i zaczęli powtarzać niesamowitą scenę przywoływania duchów – ostatni zjawia się Banko, niegdyś najbliższy przyjaciel Makbeta, a później jego ofiara. Czarownice zaczynają mieszać czarodziejski napój.

„Trzykroć miauknął bury kot. Tak, i trzykroć puszczyk wrzasł.

Lelek jęczy: czas już, czas.

Dalej, dalej, siostry wiedźmy,

czarodziejski krąg zawieźdźmy

wkoło kotła, rzućmy doń

zbójczych jądów pełną dłoń.

Ropuszysko, siostró płazu,

coś od zimna bryłą głazu

przez trzydzieści dni i nocy

w odrętwiałej śpiąc niemocy

skisło, zgniło w własnej ropie,

ciebie naprzód w kotle topię.” Will także był zmęczony trudnym rankiem. Gdy skończył tę tragedię, sądził, że napisał jedną ze swoich najlepszych sztuk, a tymczasem każdy aktor wysuwał co do niej zastrzeżenia.

Większą część dwóch pierwszych aktów Will napisał w jednym natchnionym zrywie, zasiadłszy do pracy o siódmej rano. Nie poszedł tego dnia do teatru, polecił Mountjoyowi odprawić posłańca od Burbage’a i rzucił się, wyczerpany, na łóżko tuż przed północą.

Kiedy przeczytał ukończoną już sztukę zespołowi aktorskiemu, ani jeden głos krytyki z ich strony się nie podniósł.

A teraz? Tak, to się zdarzało – sztuka w czytaniu i sztuka na scenie to dwie różne rzeczy! I pisz nową kwestię dla Burbage’a!

No cóż, to wielki tragic. Wie, czego potrzeba do dobrej roli.

Ale nie można tu umieścić żadnych sentymentalnych nonsensów o szczęściu małżeńskim Makbeta. Will nie był do tego w nastroju. Może jakieś refleksje na temat życia i śmierci? Na temat słabości, podminowującej siły Makbeta? Wbrew jego lwiej odwadze w walce jakiś odcień przygnębienia, pesymizmu?

Will wrócił, gdy czarownice zniknęły ze sceny.

– Napisałeś, Willu? – zapytał Dick Burbage. – Świetnie! To jest dramaturg, o jakim zawsze marzyłem! Choćby sztuka była nie wiem jak bogata, zawsze masz jeszcze skarby do dodania.

Pokaż!

– Nie jest to właściwie przemowa, której chciałeś – ostrzegł go Will i podał mu kartę.

„Powinna była umrzeć nieco później;

czego się było tak śpieszyć z tą wieścią?

Ciągle to jutro, jutro i znów jutro

wije się w ciasnym kółku od dnia do dnia,

aż do ostatniej głoski czasokresu;

a wszystkie wczora to były pochodnie,

które głupocie naszej przyświecały

w drodze do śmierci. Zgaśnij, wątłe światło.

Życie jest tylko wędrującym cieniem,

nędznym aktorem, który swoją rolę

przez parę godzin wygrawszy na scenie

w nicość przepada – powieścią idioty,

głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą.” Nie tylko przy tej okazji na życzenie aktora lub reżysera

Will dopisywał w ostatniej chwili scenę, która miała wzruszyć publiczność do łez, zmusić do okrzyków, oklasków lub milczącej zadumy. Ale ile scen, które też na życzenie reżysera musiał skreślić, byłoby również olśniło słuchaczy?

W miarę jak goiła się rana, zadana ostatecznym rozstaniem z Czarną Damą, Will zaczął obmyślać, jeszcze podczas pisania „Makbeta”, ostatnią ofiarę, jaką chciał złożyć na ołtarzu tej miłości. Chciał ją koniecznie wyegzorcyzmować ze swego umysłu, a mógł tego dokonać przedstawiając swoje przeżycia w sztuce. Pokaże światu wspaniałą kurtyzanę, budzącą wszechwładne namiętności, dla której i mądry polityk, i dzielny wódz tracą zmysły i popełniają błędy wiodące do upadku. Historię zaczerpnął z Plutarcha; bohaterem – występującym już w „Juliuszu Cezarze” – był Marek Antoniusz. Z własnego doświadczenia wziął model kurtyzany i dał jej imię Kleopatry.

W ten sposób powstała ostatnia z genialnych tragedii Szekspira, w której roztaczał przepyszne obrazy ekstrawaganckiej rozrzutności królowej Egiptu:

„Jej łódź, podobna do jasnego tronu,

zdała się palić kołysana falą;

rufa jej była ze szczerego złota,

żagle z purpury, a tak woniejące,

że wiatry przy nich mdlały zakochane;

*wiosła ze srebra przy odgłosie fletni
w takt biły wodę, która śpieszniej biegła
jak zakochana w wiosł uderzeniu...”*

Bohaterka tak jednak przewyższała możliwości odtwórcze praktykantów aktorskich, że jedna z najpiękniejszych sztuk Willa poniosła niespodziewanie klęskę na ówczesnej scenie, chociaż jej główny bohater, Marek Antoniusz, wbrew wszelkim swoim wadom, pozostawiał widzom niezatarte wrażenie wspaniałej, imponującej postaci, szlachetnej natury zmagającej się z ludzkimi słabościami.

*„Nogami Ocean okraczał,
świat opasywał wzniesionym ramieniem,
a dla przyjaciół głos jego był dźwięczny
jak sfer harmonia; gdy chciał strach obudzić,
głos ten był groźny jak piorunu grzmoty...”*

Trzeba powiedzieć, że Will wiele zawdzięczał Czarnej Damie, która mu przysporzyła tyle cierpienia. Od chwili gdy ją poznał, w postaciach wielu jego bohaterek można odnaleźć jakieś właściwości jej charakteru, Ofelia zaś, Desdemona i Kordelia wcielają jego tęsknotę za cechami, których brakło Czarnej Damie – za czystością i wiernością. Bez Czarnej Damy nie doszedłby Szekspir może do tak wnikliwego poznania samego siebie, do zrozumienia tajemnic życia, do stworzenia swych najwspanialszych tragedii.

Rozdział XX

– Jesteś chory – powiedziała Anna rzuciwszy jedno spojrzenie na twarz Willa, który w zabrudzonym kaftanie podróżnym przywłókł się do drzwi swego domu w Stratfordzie pewnego letniego dnia 1608 roku.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Kto ty jesteś? – zapytał.

– Istotnie, od dość już dawna nie uważasz mnie za swoją żonę – odparła Anna. – Ale ja nią jestem.

Patrzył na Annę, z wysiłkiem marszcząc czoło. Wreszcie potrząsnął głową, wzruszył ramionami i bez słowa powłókł się na górę do swego pokoju.

Anna czekała przez pół godziny.

Will nie schodził. Zajrzała do jego pokoju. Leżał na łóżku, z twarzą ukrytą w poduszce.

Potrząsnęła nim, zawołała po imieniu. Usłyszała tylko:

– Judyta... Judyta...

Minęło kilka tygodni, zanim Will zaczął odzyskiwać zdrowie umysłu i ciała. Półleżąc na długim fotelu, przysuniętym do otwartego okna, dumał nad tym, co doprowadziło go do choroby.

Pisanie cyklu wielkich tragedii było oczywiście olbrzymim wysiłkiem woli i intelektu. Tak ogromna praca, dokonana w tak krótkim czasie, wyczerpałaby najbardziej odporny organizm.

Atmosfera w kraju też wywoływała nerwowe napięcie.

Anglię wstrząsały groźne kryzysy. W roku 1605 wykryto w ostatniej chwili spisek katolików, który miał na celu wysadzenie w powietrze króla i posłów za pomocą ładunku prochu ukrytego w piwnicy pod parlamentem. Pamiętając aż nadto dobrze niespokojne chwile związane z sukcesją po śmierci Elżbiety, londyńczycy odetchnęli z ulgą na wieść o ocaleniu monarchy – najstarszy syn Jakuba był jeszcze niedorosłym młodzieniaszkiem. Rezultaty spisku szczególnie dotknęły świat teatralny. Reakcja przeciw katolicyzmowi, który coraz częściej utożsamiano ze zdradą kraju, dodała sił purytanom, których przekonania stanowiły groźbę dla egzystencji teatrów.

Jeszcze ostrzejszy kryzys miał miejsce w roku 1607. Dwór królewski cechowała ostentacyjna rozrzutność. Jakub nie miał też talentu swej poprzedniczki na tronie, która chętnie wysłuchiwała próśb poddanych i trzymała rękę na pulsie życia kraju. Ludność wiejska zubożała z powodu grodzenia ziemi gminnej i zwyczajki cen, wywołanej „spichlerzową” polityką wielkich ziemian. Uciśnieni wieśniacy wiedzieli, że teraz na nic się nie zda szukać ratunku w Westminsterze. W kraju panowało coraz większe rozgoryczenie. W środkowych hrabstwach, łącznie z rodzinnym Warwickshire Willa, wrzenie dochodziło prawie do otwartej rebelii. Studia nad dawną historią ojczystą uczyniły Szekspira szczególnie wyczulonym na tego rodzaju niebezpieczeństwo.

Po niepowodzeniu, jakie spotkało „Antoniusza i Kleopatę”, Will napisał

„Koriolana”. Były to dzieje człowieka o bezkompromisowej uczciwości, który nie chce zdobywać władzy w jedyny możliwy w ówczesnym Rzymie sposób – łudzeniem ludu oszukańczymi obietnicami. Wygnany z kraju, Koriolan przechodzi na stronę nieprzyjaciół i ginie tragiczną śmiercią. I ta sztuka nie miała powodzenia na scenie.

Przepracowany i wyczerpany, Will źle zniósł kolejne porażki.

Wiedział dobrze, że ostatnie tragedie były lepsze od wielu jego sztuk, które spotkały się z głośnym aplauzem. Ale to go nie pocieszyło. Wydawało mu się, że zawiódł położone w nim zaufanie kompanii aktorskiej. Spróbował jeszcze raz. W „Tymonie Ateńczyku” odtworzył zawodną przyjaźń ludzi gromadzących się wokół bogactwa i hojności. Tym razem nawet nie oczekiwał powodzenia. Pod dostatkiem było w sztuce świetnych wierszy, ale konflikt wypadł blado, a opuszczony przez przyjaciół Tymon wyrażał gorycz zbyt bolesną, jak na gusty londyńskiej publiczności. Król Lir, umierając, kochał przynajmniej nieszczęśliwą Kordelię i wiernego Kenta, natomiast Tymon kazał napisać na swym grobie:

*„Bez biednej duszy biedne spoczywa tu ciało,
niech mór dobije wszystkich, co po nim zostali!
Tu śpi Tymon: przeklinał, żyjąc, ludzkość całą
i ty ją klnij, przechodniu, tylko klnąc idź dalej!”*

Zespół „Sług Królewskich” nie zdecydował się na ryzyko wystawienia tej sztuki, a Will przyznał rację towarzyszom.

„Czy to oznacza koniec? – dumał. – Czy zagubiłem mój talent w zmaganiach z samym sobą?”

Gdziekolwiek się zwrócił, zewsząd spotykały go bolesne ciosy. Owey zimy roku 160788 – niezwykle surowej, kiedy po Tamizie zamiast promów kursowały sanie zaprzężone w woły – zmarł Edmund, najmłodszy brat Willa.

Chłopiec urzeczywistnił swe dawne ambicje i został aktorem, ale w dziejach teatru nie zapisał swego imienia. Ceniąc własną niezależność, nie przyłączył się do zespołu „Sług Królewskich”. „Jakakolwiek by mi rolę wyznaczali, zawsze bym przypuszczał, że robią to ze względu na mojego brata” – powiedział. Śmierć Edmunda wstrząsnęła Willem, który czynił sobie wyrzuty, że zajęty własnymi sprawami za mało troski poświęcał bratu. Następnie dotarła do niego wiadomość o śmierci ukochanej matki.

Niebawem znalazł się w Stratfordzie w stanie zupełnego psychicznego i fizycznego załamania.

W chorobie wzywał Judytę i tylko jej pozwalał się doglądać.

Dziewczyna pielęgnowała go z takim oddaniem i troskliwością, że ojcu zaczęło wracać zdrowie duszy i ciała. Po raz pierwszy w życiu doświadczał czulej, pozbawionej egoizmu miłości i rozkoszował się tym. Wrodzona pogoda i serdeczne przywiązanie Judyty uratowały go od ostatecznego zwątpienia.

Z godziny na godzinę był silniejszy i coraz szybciej pozbywał się melancholii. Objawy przepracowania ustąpiły. Ale nabrał przekonania, że nadszedł czas, by opuścić Londyn. Jeśli ma jeszcze cieszyć się towarzystwem córek, musi osiedlić się na stałe w Stratfordzie. Zresztą prócz córek, pojawiło się jeszcze trzecie pokolenie.

Zuzanna wyszła za mąż za doktora Johna Halla, lekarza stratfordzkiego o z lekka purytańskich skłonnościach.

Dzięki tej parze Will w czterdziestym czwartym roku życia został dziadkiem. Teraz co dzień prawie zachodził do domu Hallów i rozkoszował się widokiem pulchnej wnuczki, jak nigdy nie

rozkoszował się własnymi dziećmi.

Ale nim ostatecznie wróci do Stratfordu, musi odzyskać zaufanie do swoich możliwości i usprawiedliwić się w oczach kompanii, pisząc parę sztuk, które by przyniosły towarzyszom dobry dochód. Pojechał do Londynu z twarzą naznaczoną śladami przeżytej burzy, z większą stanowczością w wyrazie ust, z oczyma nieruchomymi jak głązy. Przeżył szturm życia, uodpornił się na cierpienia, ale jednocześnie i dawne, namiętne porywy stały mu się obce.

Przyjaciele uważali, że jest spokojny, a nawet pogodny. Wstał z choroby z dziwną zdolnością spoglądania pobłażliwie na ludzkość, którą niegdyś wyklinał, a zwłaszcza na tych, którzy go skrzywdzili.

Pierwszy utwór, do którego się zabrał, przypominał żywo najwcześniejsze jego próby dramaturgiczne. Przerobił cudzą sztukę, skrócił ją, ozdobił pięknem poezji, efektowną sceną sztormu i postacią o dziewczęcej niewinności – wspomnieniem Judyty. Rezultat nazwał „Peryklosem”, a chociaż tragedia nie należy do jego arcydzieł, spełniła swoje zadanie – i zespół aktorski, i widzowie przyjęli ją bardzo dobrze.

Następna sprawa miała być próbą nowo zdobytej pogody ducha. Drukarz nazwiskiem William Thorpe wydał bez autoryzacji sonety Szekspira.

Will przywykł już do pirackich wydań swoich dramatów, przeważnie zmienionych, przekreślonych i zwulgaryzowanych.

Ale sonety były wysłane do

Złotego Lorda i do niego należały. Piracką publikację zadedykowano tajemniczo „Panu W.H.”, z czego Will wywnioskował, że wiersze dostały się do rąk ojczyma Southamptona, pana Williama Harveya. Może Southampton sam zarządził, żeby ogłoszono je drukiem; może tylko zaniedbał wydania co do nich jakichkolwiek zarządzeń. W każdym razie świadomie lub przez niedbalstwo, ów niegdyś uwielbiany Złoty Lord naraził Willa na bolesne upokorzenie: jego najbardziej osobiste sprawy, cierpienia i przeżycia stały się publiczną własnością; dyskutował o nich, wyśmiewał je albo współczuł z autorem każdy praktykant kupiecki i każda dziewczyna w Londynie!

Will zdołał się opanować, ale tym jaśniej pojął, że Londyn nie jest miejscem dla niego. Londyn uczynił go tym, czym był, ale jednocześnie przysporzył mu najgorszych cierpień. Otrząśnięte ze stóp proch stolicy, z nozdrzy wygna przykre odory ciasnych ulic i wróci do rześwych powiewów i czystego powietrza Stratfordu. Ale wydobyć się z Londynu nie było prostą sprawą i zajęło mu prawie tyleż czasu, co przed dwudziestu pięciu laty decyzja opuszczenia rodzinnego miasta.

Kompania „Sług Królewskich” otrzymała nareszcie zezwolenie na spektakl w teatrze „Blackfriars”, wygrywając w ten sposób ostatecznie sprawę, która niegdyś przyspieszyła zgon Jamesa Burbage’a. Siedmiu członków zespołu, łącznie z Willem wzięło teatr w dzierżawę od braci Burbage. Przenosiny z teatru „Globe” stawiały nowe wymagania przed dramaturgiem.

„Blackfriars” był teatrem pod dachem, stosunkowo niedużym, oświetlonym licznymi kandelabrami. Słowem, był to teatr dla publiczności nielicznej, wybrednej, spragnionej dowcipu i nowości.

Will najpierw dał im „Cymbelina” – historię męża, który przyjmuje zakład, iż żona pozostanie mu wierną podczas jego nieobecności. Szekspir zgromadził w tej sztuce wiele starych trików komediowych i dodał parę nowych; występują w niej: zła macocha, król-ojciec bez serca, słodka Imogena, chytry i podstępny czarny charakter Jachimo i śmieszny gbur Kloten. Autor dodał tu również scenę z duchami i Jowiszem zstępującym z niebios na orle wśród grzmotów i błyskawic. W rezultacie powstała sztuka piękna i wzruszająca, która bardzo podniosła na duchu kompanię, odnosząc jednocześnie świetny sukces kasowy.

Jeszcze jedną sztukę – aby dowieść, że sukces nie był czymś przypadkowym – Will napisał przed wyznaczeniem dnia wyjazdu z Londynu. Fabułę „Zimowej powieści” zaczerpnął ze starej sztuki dawnego nieprzyjaciela, Roberta Greena, pod tytułem „Pandosto” – o zazdrosnym królu, który znieważa wierną małżonkę, czyni oszczercze i niesłuszne zarzuty przyjacielowi, wreszcie wygania małą córeczkę. Cała potęga magii szekspirowskiej jest w tej sztuce, w której wszystkie wątki zbiegają się pomysłowo, by doprowadzić do szczęśliwego zakończenia. Nie brak chwil wzruszających i patetycznych, a całość kończy się nutą pogody i optymizmu, jakie nareszcie osiągnął poeta przewyciężywszy burze swojego życia. Są tu też prześliczne opisy przyrody, w których Will odtwarza piękno Lasu Ardeńskiego i okolic Stratfordu, piękno kwiatów i ziół:

*„To kwiaty dla was: gorąca lawenda,
mięta i cząber, wonny majeranek,
nagietka, co się kładzie spać ze słońcem
i z słońcem oko płaczące otwiera...*

.....
*Powrót jaskółki przędzące narcyzy,
które pięknnością zwodzą wiatr kwietniowy,
fiołki skromne, lecz czystsze, lecz słodsze
nad wzrok Junony i oddech Cytery;
blade pierwiosnki, co w dziedzictwie giną...”*

Ta komedia mogła być godnym pożegnaniem Willa, gdyż okazała się nowym sukcesem scenicznym.

Ale wielki dramaturg zamyślał napisać jeszcze jedną sztukę, kiedy już będzie odpoczywał w ciszy Stratfordu. Miał w niej powiedzieć:

*„Wszystkie zamiary moje dojrzewają:
duchy posłuszne, nie pękają czary...”*

Wszyscy członkowie zespołu „Sług Królewskich”, bez żadnego wyjątku, zgromadzili się w tak zwanej „izbie aktorów”, w oberży „Pod Syreną”. Długie stoły zasłano białymi obrusami, zastawiono pucharkami, naczyniem, nożami i łyżkami.

Dick Burbage, Cuthbert, Heminge, Condell – dawne, znajome twarze, prócz Augustyna Phillipsa, który zmarł w roku 1605, zostawiwszy Willowi trzydzieści szylingów w złocie, i oprócz Williama Sly pochowanego w roku 1608. Nowa twarz – to John Fletcher, dramaturg, współpracujący z Francisem Beaumontem. Obu tym młodym poetom Will pomagał i przyjaźnił się z nimi.

Heminge, jako przewodniczący kompanii, zajął pierwsze miejsce za stołem, w fotelu o wysokim, rzeźbionym oparciu. Na drugim końcu stołu zasiadł Dick Burbage. Willa posadzono po prawej ręce Heminge’a; miał łagodny uśmiech na zmęczonej twarzy i wyglądał starzej niż na czterdzieści sześć lat, które sobie wówczas liczył. Dziewczęta służebne zaczęły roznosić półmiski z rybą, napełniono pucharki. W tym momencie drzwi otwarły się gwałtownie, ukazując korpulentną, ogromną postać Bena Jonsona.

– „Królewscy Słudzy” nigdy mi nie mówią, kiedy zabierają się do uczy! – wykrzyknął tubalnym głosem. – Muszę sam wywęszyć zapach pieczonego mięsiwa. Hej, zacny panie Heminge, nie zaprosi

mnie pan do swego boku?! W tej izbie rozchodzi się zapach nie tylko pieczystego, ale i szczególnie ważnej uroczystości.

Chciałbym wziąć w niej udział, chociaż niewielu z was darzy mnie sympatią, bo człowieka, który tu dziś gra główną rolę, kocham prawie bałwochwalczo!

Heminge uniósł pytająco jedną brew i spojrzał na Willa; ten odpowiedział ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

Cuthbert, który siedział po lewej ręce Heminge'a, wstał i rzekł:

– Zajmij moje miejsce, Ben. Ja usiądę obok Dicka.

Pochód półmisków nie ustawał.

Ben milczał, bo miał ciągle usta tak pełne, że nie mógł słowa wymówić. Po rybie szły porządkiem pieczenie wołowe, baranie i cielęce, dalej owoce i słodkie budynie.

– Te potrawy nie są takie złe – powiedział Will do Bena.

– Złe? – wykrztusił Ben z wypchanymi ustami. – Ależ wyśmienite! Lepiej wam się zaiste powodzi, odkąd was awansowano ze sług szambelańskich na służki królewskie!

– Ja tylko myślałem, że ci nie smakuje, bo, jak się zdaje, nie jesteś w stanie przełknąć ani jednego kęsa bez popijania piwem! – rzekł z uśmiechem Will szturchając nieznacznie Heminge'a.

– Nie bądź głupcem, człowieku! – ryknął Jonson, na sekundę oderwawszy się od smakowitej kości baraniej, którą ogryzał. – Ja piję nie dlatego, żebym nie mógł jeść, ale dlatego, że znam służbę tutejszą i wasze gołębnie apetyty, moi mili kompani!

Uprzątną mi stół, zanim będę miał sposobność pożywić się jak należy. Nie tracę więc czasu na to, by oddzielnie jeść i oddzielnie pić. I to, i to dobre; a razem jeszcze dwakroć lepsze!

Chociaż nie lubili Bena, aktorzy nie mogli powstrzymać się od śmiechu, a Jonson w podzięcie machnął ku nim obgryzaną kością.

Rzeczywiście, aktorzy wkrótce zaczęli odsuwać się od stołu, przestali jeść, zabierając się tym energiczniej do picia.

Służba uprzątała półmiski i talerze.

– Jeszcze nie! Jeszcze nie! – protestował Ben. – Słuchaj, Heminge, czy to już wszystko?

– To jest bankiet – odrzekł Heminge. – Dopierośmy rozpoczęli. Nie powiedziałem ci wcześniej, żebyś sobie trochę podjadł pieczeni i zostawił dla nas więcej dziczyzny i drobiu!

– Zdradziecki podstęp! – roześmiał się hałaśliwie Jonson.

– No, jeśli tak, to już tylko wezmę kawalątko, by mi starczyło na przerwę po ucztach. Pewno będą przemówienia. Trzeba pokrzepiać ciało, by móc wszystkiego wysłuchać!

I z zabieranego już półmiska pochwyciwszy łopatkę cielęcą w charakterze „kawalątki”, zaatakował ją, najpierw nożem, a później zębami. Służba uśmiechała się i pokazywała go sobie palcami.

Uprzątnięto ze stołów wszystko prócz pucharków, a zręczny pacholek umiejętnie wywinął się z półmiskiem Benowi. Heminge wstał.

– Tylko krótko, John, tylko krótko! – upomniał go Ben. – Wiemy wszyscy, co myśleć o Willu!

Prostymi, zwięzłymi zdaniem Heminge wyraził żal ich wszystkich z powodu rozstania z droгим towarzyszem, który postanowił na stałe opuścić Londyn. Will Szekspir nie będzie już więcej występował na scenie, chociaż zatrzyma swój udział w kompanii; mieli jednak nadzieję, że będzie ich często w Londynie odwiedzał – przyrzekł im przecież jeszcze jedną sztukę.

Ale potem nie zamierza więcej pisać. Mają młodego Johna Fletchera...

– To bardzo kiepskie zastępstwo – wtrącił skromnie młodzieniec.

– ...z którym Will obiecał współpracować, jeśli Fletcher zechce.

Heminge opowiedział następnie historię współpracy Willa nie tylko z obecną kompanią, ale i z dawnym „Teatrem” od pierwszych chwil jego pobytu w Londynie.

Po nim przemawiał Dick Burbage opowiadając o poświęceniu, z jakim Will pracował dla kompanii, o tym, jak gotów był pomagać w każdej pracy, na scenie i za sceną, w organizowaniu przedstawień i w sprawach finansowych.

Heminge wezwał z kolei Fletchera, jako najlepiej uprawnionego, do omówienia twórczości Willa. Ale na to Ben Jonson się nie zgodził.

– Nie, nie! – zawołał podnosząc się. – Ja się dopominam o głos. To mój przywilej starszeństwa!

Fletcher ustąpił z wrodzoną mu skromnością. Aktorzy niepokoiли się: nigdy nie było wiadomo, co Benowi strzeli do głowy.

Wprawdzie głęboko cenił i szanował twórczość Willa, ale w zapale krasomówczym potrafił nieraz na rzecz dobrego dowcipu poświęcić swoje przekonania. Ben wiedział jednak, kiedy powinien zachować powagę.

Co prawda zaczął istotnie od starego swojego żartu: „Małoś posiadał łaciny, Willu, a jeszcze mniej greki” – ale następnie w przepięknej oracji opisywał swego rywala i przyjaciela jako „duszę epoki”, „Łabędzia z Avonu”, wychwalając jego umiłowanie sztuki, przypominając słuchaczom, że poeci nie tylko się rodzą, lecz tworzą samych siebie własną pracą, doskonaląc w pocie czoła swój kunszt. Zakończył przepowiednią, że jak długo ludzie będą czytali, tak długo będą się rozkoszowali dramatami Willa, „które nie są dla jednej epoki, ale po wsze czasy”.

Gdy usiadł, chwilę trwało milczenie. A potem wybuchły burzliwe oklaski i dla mówcy, i dla bohatera wieczoru. Wszyscy wstali i pili zdrowie „Łabędzia z Avonu”.

Epilog

– A więc byłeś zadowolony z „Cymbelina” i „Zimowej powieści”? – zapytała Judyta, kiedy ojciec skończył mówić.

– Któż może być w głębi serca zadowolony z tego, co stworzył? – zapytał w odpowiedzi ojciec. – Aktorzy mego zespołu byli zadowoleni, bo publiczność dobrze sztuki przyjęła – i dworzanie, i płacący po szylingu widzowie z parteru. To mi wystarczyło.

– Żyłeś dla swojej pracy – powiedziała w zadumie Judyta.

– Żyłem i dla mniej wartościowych rzeczy – odparł. – Ale praca dawała mi najwięcej szczęścia, zadowolenia, pogody.

Czasem jej złorzeczyłem – ale któż nie zwraca się niekiedy przeciw temu nawet, co kocha najbardziej? Często ja moją pracę zawiodłem, ale ona nigdy mnie nie zawiodła, jak zawiodło mnie wielu mężczyzn i wiele kobiet.

– Jak mężczyzna i kobieta z twoich sonetów? – zapytała Judyta. – Te sonety są bardzo piękne, ale niektóre z nich... bardzo gorzkie...

– Musisz pamiętać, jak powstawały – powiedział. – Sonety wyrażały, może nazbyt otwarcie, myśli i wrażenia przelotne, najczęściej kreślone w gorączce emocji.

Odzwierciedlały instynkty, które chociaż tkwią w każdym z nas, kryją się zwykle pod powłoką nieczułych słów. Do pewnego stopnia jesteśmy wszyscy nieszczerzy. Ale jeśli by każdy bez ceremonii ujawniał swoje prawdziwe „ja”, stałby się, jak zacny Ben Jonson, bardzo trudny do współżycia. To głęboko ukryte „ja” jest przyczyną naszych złych humorów, napadów gniewu i przejawów próżności. Mało kto opanowuje się zawsze, ale najmądrzejsi i najwartościowsi umieją hamować swoje gwałtowne popędy. Jeśli mnie nazywano „łagodnym”, „miodoustym” – określali mnie tak ci, których nigdy nie dotknąłem boleśnie ujawnieniem mojego drugiego „ja”, istniejącego we mnie tak, jak istnieje nawet w tobie pod twoją czułą i troskliwą serdecznością. Bo istnieje w każdym. Te sonety, które słusznie nazywasz gorzkimi, przeznaczałem tylko dla oczu Złotego Lorda, bo przyjaciele powinni znać nawzajem swoje demony.

– Po wszystkim, co przeżyłeś, i wszystkim, czego dokonałeś – powiedziała Judyta – czy ostatecznie zyskałeś przekonanie, że każdy człowiek ma dane po temu, żeby być dobrym i wartościowym? Chcę w to wierzyć.

– Widzisz, kochanie, moje życie było walką – odrzekł. – Musiałem się zмагаć z moimi własnymi demonami, z moim własnym piekłem. Walczyłem też usilnie o podwyższenie mej kondycji. Znałem namiętne pożądanie kobiet. Pragnąłem przyjaźni z człowiekiem, który stał o wiele wyżej ode mnie na społecznej drabinie. Zaznałem zdrady przyjaciela i kochanki.

Cierpiałem wiele, chociaż z pewnością większość moich cierpień sam sprowadziłem na siebie. I czego mnie to wszystko nauczyło? Dość prostej filozofii przetrwania i świadomości, co jest możliwe do osiągnięcia.

Ludzie mają zaiste piekielne skłonności do zła, ale pamiętaj, co mówi Malkolm w „Makbecie”:

*„Wszak aniołowie jaśnieć nie przestają
choć najjaśniejszy z nich upadł.”*

Ostatni akt „Burzy”, wkrótce gotów do odczytania, zawierał tylko jedną scenę.

Prospero daje się poznać rozbitkom, przebacza im i raduje ich serca widokiem Ferdynanda – którego już oplakali – grającego w szachy z Mirandą, zaś służebny duch wygnańca sprowadza im statek, gotów do powrotu w rodzinne strony. Ariel będzie mógł teraz wieść swobodne życie, o którym śpiewał:

*„Pójdę z pszczołą kwiaty ssać,
w ich kielichach będę spać,
gdy sowa huka po wieżach,
na mych koniach, nietoperzach,
wciąż za latem będę gnać,
będę się po kwiatkach kryć,
i jak motyl błogo żyć.”*

– Więc to jest twoje pożegnanie ze sceną – powiedziała Judyta. – Pozostawiłeś twoją wyspę, wyrzekłeś się magicznej różdżki...

Will nie zaprzeczył; powtarzał w myśli słowa Prospera z piątego aktu „Burzy”:

*„...niebotyczne skały
w odwiecznych, mocnych wstrząsałem podstawach,
sosny i cedry wyrwałem z korzeniem.
Na me rozkazy otwarły się groby
i wypuściły zbudzonych umarłych.
Siły tej czarów wyrzekam się teraz...*

.....
*A czarnoksiężką złamię potem różdżkę
i w głębokościach ziemi ją zagrzebię...”*